

WIELKA KSIĘGA SCIENCE FICTION⁰¹

OPRACOWAŁ
MIKE ASHLEY

PHILIP K. DICK

+ ROBINSON + WILLIS + KNIGHT

NAJBARDZIEJ INTRYGUJĄCE UTWORY
FANTASTYCZNO-NAUKOWE



fabryka słów
www.fabrykaslow.pl

ANTOLOGIA WIELKA KSIĘGA SCIENCE FICTION

TOM I

Opracował: Mike Ashley

Przełożyła: Małgorzata Koczańska



fabryka słów

2011

Spis treści

Karta tytułowa

WSTĘP Następny krok

Eric Brown

🕒 Eric Brown 🕒 UL-LA, UL-LA

Peter F. Hamilton

🕒 Peter F. Hamilton 🕒 UŚMIERCINY

Greg Egan

🕒 Greg Egan 🕒 N JAK NIESKOŃCZONOŚĆ

Damon Knight

🕒 Damon Knight 🕒 PARADOKS

Connie Willis

🕒 Connie Willis 🕒 PRAKTYKA STUDENCKA

Robert Reed

🕒 Robert Reed 🕒 W SKLEPIE „JA”

Kim Stanley Robinson

🕒 Kim Stanley Robinson 🕒 SEN O WINLANDII Wprowadzenie

Robert Sheckley

🕒 Robert Sheckley 🕒 BILET NA TRANAI

Philip K. Dick

🕒 Philip K. Dick 🕒 DRZWI WYJŚCIOWE DO WEWNĄTRZ

Mark Clifton

🕒 Mark Clifton 🕒 CO JA ZROBIŁEM?

Dwie klasyczne apokalipsy

🕒 Frank Lillie Pollock 🕒 FINIS

George C. Wallis

🕒 George C. Wallis 🕒 OSTATNI DZIEŃ NA ZIEMI

Następny krok

O fantastyce naukowej zwykło się mówić, że to literatura pomysłów, i na pewno tak właśnie jest. Lecz jest także czymś więcej. To literatura opowiadająca o zmianach – zmianach, jakie wypływają z tych pomysłów.

Tym, co najbardziej fascynuje mnie w science fiction (albo sf, jak zazwyczaj skracam tę nazwę) i co każe mi do niej wracać, jest możliwość ujrzenia cudu ludzkiej wyobraźni spekulującej o nas i o wszechświecie. Mogę przekonać się, w jaki sposób każdy z pisarzy używa swoich umiejętności, wiedzy i przede wszystkim wyobraźni, by stworzyć pomysł i zobaczyć, co z niego wyniknie. To najstarsze pytanie, które zwykle przyciąga ludzi do nauk ścisłych: „A co, jeżeli?”. Z odpowiedzi zawsze wynika zmiana. Może to być zmiana na lepsze – krok naprzód, ale również zmiana na gorsze. Większość utworów sf stara się ostrzec ludzkość przed niebezpieczeństwem, jakie niesie taka zmiana.

W tej antologii znajdują się oba rodzaje opowiadań: te, które zawiodą nas krok naprzód – czasami nawet więcej niż jeden – i te, w których cofniemy się nieco. Jest też kilka takich, które poprowadzą nas krok w bok.

Są tutaj utwory opisujące inne światy, opowiadania o obcych istotach przybywających na Ziemię, historie o robotach, podróżach w czasie, inżynierii genetycznej, utopiach i dystopiach, nierozwiązywalnych zagadnieniach, katastrofach i apokalipsie. Wszystko, co należy do fantastyki naukowej. Ale przede wszystkim są to opowieści o ludziach i o tym, jak radzą sobie z trudnymi warunkami, pomysłami i zmianami.

Kiedy zacząłem kompletować tę antologię, chciałem wybrać najbardziej intrygujące i zaskakujące utwory fantastyczno-naukowe z ostatnich czterdziestu lub pięćdziesięciu lat. Ponieważ science fiction dotyczy zmian i technologii, sporo tekstów starzeje się błyskawicznie. Nawet najlepiej napisane opowiadanie, oceniane wysoko przed półwieczem, dziś może zostać odebrane zupełnie inaczej, właśnie z powodu zmian, jakie zaszły w naukach ścisłych i społeczeństwie przez minione dziesięciolecia. Fantastyka naukowa stara się przewidywać przyszłość, ale rzadko jej się to udaje. Bardzo nieliczne utwory okazują się prorocze, jak choćby te, które opisały z wyprzedzeniem Internet lub gwałtowny rozwój telefonów komórkowych czy komputerów, upadek komunizmu i bloku wschodniego czy wzrost problemów z narkotykami na Zachodzie. Dlatego kiedy przeczytałem ponownie wiele moich ulubionych utworów sprzed lat, wiedziałem, że nie wszystkie zyskają uznanie w dzisiejszych czasach.

Jednak udało mi się osiągnąć cel. Antologia zawiera dwadzieścia dwa opowiadania. Dwa – Stephena Baxtera i Erica Browna – są zupełnie nowe, napisane specjalnie do tej książki. Kolejne dwa – Franka L. Pollocka i George’a C. Wallisa – to

utwory reprezentujące „złoty wiek”, pochodzące sprzed prawie stu lat. Pozostała osiemnastka stanowi wyselekcjonowany przekrój literacki z lat 1950–1990. W rezultacie powstał zbiór łączący to, co najlepsze w starej i nowej fantastyce naukowej, pełen zaskakujących i różnorodnych pomysłów.

Założmy na przykład, że wynaleziony zostanie preparat dający dostęp do innej rzeczywistości i do innej wersji samego siebie w tej rzeczywistości. Jak kontrolować taki środek? O tym właśnie pisze Greg Egan w *N jak Nieskończoność*. Co jest rzeczywistością, a co snem? Na różne sposoby wyjaśnia to Robert Reed i Kim Stanley Robinson. Czy obcy są wśród nas, choć nie zdajemy sobie sprawy z ich obecności? Tę kwestię próbują wyjaśnić H. Chandler Elliott i Mark Clifton. Czy istnieje niewykrywalny obiekt? To właśnie opisuje Colin Kapp w *Cieniu i Mroku*. Brian W. Aldiss i John Morressy zastanawiają się nad efektami i konsekwencjami inżynierii genetycznej, a Connie Willis rozważa, co mogłoby zmienić losy drugiej wojny światowej. A jakie skutki pociągnie za sobą wejście do wnętrza czarnej dziury? Ostateczną granicę można przekroczyć z George’em Landisem w *Wyprawie do czarnej dziury*.

W tej książce jest oczywiście więcej opowieści. Jeżeli interesują Was obcy, zajrzyjcie do opowiadań Erica Browna, Petera Hamiltona, Michaela Swanwicka i Clifforda Simaka. Jeżeli szukacie sardonicznej oceny innych cywilizacji, przeczytajcie utwory Roberta Sheckleya i Philipa K. Dicka. A gdybyście zapragnęli ujrzeć koniec świata, sięgnijcie do postapokaliptycznej klasyki.

W antologii znajdzie się coś dla każdego. A świat

nieograniczonej wyobraźni jest tylko o krok – wystarczy odwrócić tę stronę.

A zatem: miłej lektury.

Mike Ashley

Eric Brown Kiedy Eric przysłał mi to opowiadanie, byłem zachwycony, ponieważ idealnie pasowało na początek tej antologii – jako kombinacja starego i nowego. Eric Brown (ur. 1960) wypłynął na scenę SF serią oryginalnych utworów publikowanych w „Interzone”, co potem zaowocowało pierwszym zbiorem pt. *The Time-Lapsed Man* (1990). *Inne opowiadania tego autora można znaleźć w Blue Shifting* (1995). *Eric Brown jest również autorem powieści: Meridian Days* (1992), *Engineman* (1994), *Penumbra* (1999), *New York Nights* (2000) – powieść otwierająca trylogię, w której skład wchodzi również *New York Blues* i *New York Dreams*. *Cykl jest horrorem SF o prywatnym detektywie w wirtualnym świecie 2040 roku.*

UL-LA, UL-LA

Po trwającej trzy dni odprawie Enright opuścił kosmodrom Kennedy'ego i ruszył do domu. Wsiadł do kabrioletu marki Chevrolet i skierował się do Keys, na południe.

Był sam – po raz pierwszy od trzech lat. Wcześniej dusił się na *Niezlomnym* jak zwierzę w klatce. Trzy długie lata, tyle właśnie trwała podróż na Marsa i z powrotem. Nawet na powierzchni planety, pod rozległym różem niebios, Enright nigdy nie czuł się tak naprawdę sam. Zawsze przecież w komunikatorze rozbrzmiewały głosy McCarthy'ego, Jeffriesa lub Spirek, przypominające, że w końcu trzeba będzie wrócić do ciasnych kwater lądownika. Dziesięć kilometrów za kosmodromem Enright zjechał na nadbrzeże, wspiął się na wydmnę i otoczony szumem morza spojrzał w wieczorne niebo.

Tam wysoko był Mars. Enright wspomniał misję. Nawet w najśmielszych marzeniach nie spodziewał się tego, co odkryją pod powierzchnią czerwonej planety. Był równie zdumiony jak wszyscy. Lecz wiedział z całą pewnością, że od tej pory nic już nie będzie takie samo. W tej nieuchronnie zbliżającej się chwili, gdy informacje wyjdą na jaw, zmieni się wszystko. Na zawsze.

Po kwarantannie pozwolono mu spędzić parę godzin z Delią, zanim porwano go na gorączkową odprawę. Oczywiście nie

wolno mu było ujawniać szczegółów misji, kobieta wyczuła jednak, że nie wszystko jest w porządku. Kiedy nadeszła pierwsza transmisja z Marsa, Delia znajdowała się w sali kontroli lotu, lecz dyrektor Roberts przerwał łączność, zanim Enrightowi wymyknęło się coś ważnego.

Enright zadrzał. Wiatr robił się coraz chłodniejszy.

Wrócił do chevroleta i skierował się do domu.



Zostawił samochód na podjeździe, podszedł do drzwi.

Dziecięca huśtawka nadal stała na podwórku, jak ponad cztery lata temu, kiedy kupili ten dom. Delia obiecała, że usunie ją podczas nieobecności Enrighta.

Kobieta siedziała w jasno oświetlonym salonie, czytając. Uniosła głowę, gdy Enright przekraczał próg, ale nie wstała, by się przywitać.

– Miało cię nie być do jutra – stwierdziła oskarżycielskim tonem.

– Udało się skończyć dzień wcześniej. Myślałem, że zrobię ci niespodziankę. – Był świadom dystansu między nimi po tak długim rozstaniu.

Przy kolacji rozmawiali. Nieważne tematy, obojętny ton, zdradzający, że oboje starają się unikać ważnych kwestii. Delia wróciła do pracy – w pobliskiej szkole podstawowej uczyła trzy dni w tygodniu. Jej siostrzeniec, Ted, dostał się na uniwersytet na Florydzie.

Enright chciał powiedzieć Delii – chciał jej opowiedzieć, co zdarzyło się na Marsie. W przeszłości zawsze dzielili wszystko.

Dlaczego nie teraz? Co go powstrzymywało?

Tajność misji? Dokumenty, które podpisał siedem lat temu, gdy przyjęto go do NASA?

A może bał się, że to, co odkryli na Marsie, okaże się jedynie zbiorową halucynacją i Delia pomyśli, że Enright traci zmysły, jeżeli wyzna, co widział?

Kombinacja tych wszystkich czynników, uświadomił sobie.

Tej nocy kochali się, lecz jakoś niepewnie, a potem leżeli w prostokacie księżycowego blasku padającego na łóżko.

– Co się stało, Ed? – zapytała.

– Mmm? – próbował udąć, że już prawie zasnął.

– Byłam tam, w kontroli lotów. Wyszedłeś ze Spirek. Coś się stało. Głośny dźwięk... Nie wiem, brzmiał jak lawina. Powiedziałeś: „O Boże...” i Roberts przerwał łączność, a potem wyrzucił mnie z sali. Minęła godzina, zanim ktoś się pojawił. Godzina. Wyobrażasz sobie? Umierałam ze strachu.

Enright otarł jej łzy.

– Roberts rzucił mi jakąś historyjkę o osuwisku – powiedziała.

– A potem znowu usłyszałam twój głos, gdy zapewniałeś, że wszystko w porządku.

To było zainscenizowane na poczekaniu – kilka zdań dla Roberta, by mógł uspokoić rodziny i odesłać je do domu.

Enright wzruszył ramionami.

– Tak właśnie było. Osunęły się kamienie i straciłem równowagę. – Nawet w jego własnych uszach nie zabrzmiało to przekonywająco.

Delia mówiła, jakby go nie słyszała.

– A trzy dni temu, po powrocie, wyczułam, że coś jest nie tak. I

teraz... Ukrywasz coś.

Pozwolił, by cisza stała się nieprzyjemna, zanim odpowiedział:
– Niczego nie ukrywam. Po prostu trudno mi się znowu przyzwyczaić. Wyobraź sobie, jak się czuję po trzech latach zamknięcia w puszczy z takimi kretynami, jak McCarthy i Jeffries.

– To nie dla ciebie, Ed. Jesteś geologiem, nie astronautą. Powinieneś zostać na uczelni.

Objął ją mocniej.

– Cii – szepnął i zamilkł.

Tej nocy śnił. Był znów na Marsie. Czuł, jak regolit – rozdrobniona powierzchnia skały – usuwa mu się spod nóg. Wrażenie, że zaraz nastąpi nieuchronny upadek i uderzenie o dno przepaści, ścisnęło żołądek Enrighta tak samo jak w tamtej chwili, wiele miesięcy temu. Przewrócił się i potoczył, zanim udało mu się zatrzymać i usiąść. We śnie otworzył oczy – i nagle się obudził.

Wciągnął głośno powietrze, chwytając się krawędzi łóżka. I wtedy uświadomił sobie, że już nie jest nieważki, nie unosi się w śpiworze. Był na Ziemi. Był w domu. Wyciągnął ramiona, obejmując Delię.

Rano, gdy żona była w szkole, poszedł na spacer. Otwarta przestrzeń po tak długim pobycie w ciasnych kabinach *Niezłomnego* miała nieodparty urok. Enright nieświadomie skierował się na pole golfowe, krocząc nieśpiesznie ścieżką w cieniu klonów.

Zbliżył się do zagłębienia w piasku i zapatrzył na doskonałość tej przeszkody dla golfistów. Zamknął oczy, gdy poczuł dreszcz. Znajome doznanie. Znowu był na Marsie. Pod podszewkami

chręścił regolit.

Kiedy otworzył oczy, ujrzał dziewczynkę, może dwunastoletnią i boleśnie piękną. Stała na krawędzi piaskowej pułapki i przyglądała się Enrightowi.

W dłoni ścisnęła długopis i kartkę.

Za nią, na trawie, czekało dwóch mężczyzn.

– Pan Enright? Proszę pana? – zapytało dziecko. – Mogę prosić o autograf?

Wyciągnął rękę, wziął długopis i kartkę, podpisał się niewprawnie.

Dziewczynka popatrzyła na skrawek papieru, jakby autograf dodał mu czarodziejskiej mocy. Jeden z mężczyzn w oddali pomachał i uśmiechnął się szeroko.

Delia nadal była w szkole, gdy Enright wrócił do domu. Znalazł numer do złomiarza i umówił się na zabranie huśtawki. Potem usiadł za biurkiem w swoim gabinecie i spojrzął na stos korespondencji.

Zaczął przeglądać listy.

Jeden był od Joshuy Connaughta z Anglii. Przez wiele lat przed misją Enright prowadził korespondencję z różnymi ekscentrykami. Connaught twierdził, że pisze książkę o historii lotów kosmicznych, i chciał poznać poglądy Enrighta na kilka kwestii.

Wymieniali listy kilka razy w miesiącu, odchodząc coraz dalej od podboju kosmosu i dyskutując o wszystkim, co tylko przyszło im do głowy. Anglik był żonaty i nie miał dzieci, podobnie jak Enright.

Odłożył list, nie zaglądając do środka.

Odchylił się w fotelu i zamknął oczy.
Znów był na Marsie, znowu spadał...



Lądowanie poszło znakomicie.

Pierwszy pojazd załogowy dotknął powierzchni innej planety dokładnie o 3:33 rano czasu Houston, drugiego sierpnia 2020 roku.

Poza strachem Enright niewiele pamiętał z tamtej chwili. Nigdy nie znosił dobrze lotów – podróże samolotem budziły w nim dreszcze: bał się startu i przyziemienia, chociaż nieźle radził sobie pomiędzy tymi momentami. To samo dotyczyło lotów kosmicznych. Start z kosmodromu Kennedy’ego został przesunięty o dzień, a potem opóźniony jeszcze o pięć godzin. Kiedy nareszcie *Niezlomny* wystrzelił z platformy startowej 39a, Enright był kłębkim nerwów. Na szczęście na tym etapie podróży stanowił tylko bagaż. Dwaj pozostali astronauty musieli wykonać całą pracę – tak samo jak ponad osiemnaście miesięcy później podczas lądowania na ogromnej rdzawej równinie Amazonis Planitia.

Enright pamiętał, jak ścisnął podłokietniki fotela, by opanować drżenie, i patrzył przez iluminator na poszarpaną, skalistą powierzchnię Marsa, która zdawała się zbliżać niebezpiecznie szybko.

Jeffries zauważył stan Enrighta i zaczął się śmiać, zachęcając McCarthy’ego, by też mu się przyjrzał. Na szczęście oficer sił powietrznych był zbyt zajęty. Tylko Spirek posłała Enrightowi współczujący uśmiech, chyba również niezbyt dobrze znosiła

manewr.

Docinki urwały się, gdy gwałtowne szarpnięcie zaparło dech w piersiach. Szybkość opadania wyraźnie się zmniejszyła. Usiana głazami równina zdawała się teraz unosić na spotkanie pojazdu.

Niemal nie odczuli lądowania.

McCarthy i Jeffries byli ludźmi NASA do szpiku kości, weteranami wielu misji orbitalnych i sławnego powrotu na księżyc w 2015. Świetni astronauta, lecz beznadziejni towarzysze podróży. Podbój kosmosu czy zdobywanie wiedzy obchodziły ich znacznie mniej niż polityczne rezultaty tego, co robili – zarówno dla nich osobiście, jak i dla kraju. Enright przypuszczał, że McCarthy niedługo po powrocie weźmie udział w wyborach prezydenckich, a Jeffries skończy jako szycha w Pentagonie.

Obaj z wyższością patrzyli na Enrighta, jego doktorat z geologii i karierę naukową w Miami, które zdecydowały o jego udziale w misji.

Spirek... Enright nie potrafił dokładnie jej scharakteryzować. Jak pozostali, poświęciła się karierze astronautycznej, ale nie przejawiała tej zuchwałości i przemądrzałej retoryki, co jej koledzy. Spirek była pilotem w siłach powietrznych i miała wykształcenie medyczne oraz – podobnie jak reszta zespołu – dodatkowe kwalifikacje naukowe. Jej zadaniem było zbadanie możliwości kolonizacji Marsa.

McCarthy miał jako pierwszy stanąć na czerwonej planecie, a zaraz po nim Enright. Zabawne – pomyślał geolog, gdy poinformowano go o tym na jednym ze spotkań przygotowawczych – nieźle jak na chłopaka z farmy w Iowa: drugi człowiek na Marsie...

Po lądowaniu Jeffries rzucił parę złośliwości, imputując, że Enrightowi zbyt trzęsą się kolana, by dał radę wyjść na spacer. Miał nawet czelność powiedzieć mu to prosto w twarz.

– Nic mi nie jest – odparł Enright.

– Ed ma zezwolenie na wyjście, Jeffries. Chyba nie chcesz, aby Roberts dowiedział się, że popsujesz mu plany, co? – odezwała się Spirek.

Astronauta wymamrotał coś pod nosem. Dla Enrighta zabrzmiało to jak „suka”.

Niedługo potem schodził za McCarthym na zalaną słońcem Amazonis Planitia; w uszach dudniło serce, nogi drżały na szczeblach drabinki. W końcu postawił stopę na obcej planecie.

Po opuszczeniu lądownika mieli dwie godziny i mnóstwo rzeczy do zrobienia. Enright tylko w krótkich przebłyskach myśli uświadamiał sobie doniosłość sytuacji.

Zebrał próbki skał, zrobił odwierty regolitu w pobliżu miejsca lądowania. Filmował każdą czynność na użytek geologów i NASA, by podczas kolejnych wypraw można było kontynuować badania.

Przypomniawszy sobie, jak wyprostował się w końcu i ze zdumieniem spojrzawszy na wschód. Jak mógł wcześniej nie zauważyć? Za lądownikiem wznosił się stromy szczyt w kształcie piramidy. Górował nad wulkaniczną równiną i – tak na oko – miał chyba z kilometr wysokości. Geolog musiał unieść głowę, by sięgnąć wzrokiem wierzchołka.

Później na zewnątrz wyszli Spirek z Jeffriesem, podczas gdy Enright zajął się wstępnymi badaniami próbek skalnych, a McCarthy przesłał raport do kontroli lotów.

Dzień minął jak we śnie, wszystko było ok.

Następnego ranka, gdy słońce rozjaśniło wiśniowy nieboskłon, Enright i Spirek wybrali się na jazdę próbną marsmobilem. Oddalili się może o kilometr, stale mając lądownik w zasięgu wzroku.

Spirek prowadziła. W pewnym momencie zatrzymała pojazd i uniosła głowę. Dotknęła ramienia Enrighta, a zaraz potem usłyszał jej głos w słuchawce.

– Spójrz, Ed – wskazała na niebo.

Enright podążył za jej palcem i ujrzał małą, migoczącą gwiazdę wysoko na nieboskłonie.

– Ziemia – wyszeptała Spirek. Mimowolnie poczuł ucisk w krtani na widok rodzimego świata zredukowanego do tak niewielkich rozmiarów.

Gdyby nie decyzja kobiety, by zatrzymać się i pokazać mu Ziemię, Enright nie dokonałby swojego jakże brzemiennego w skutki odkrycia.

Spirek już miała ruszyć dalej, ale mężczyzna zauważył coś w regolicie, kilkanaście metrów od marsmobila.

– Hej! Czekaaj, Sally!

– Co jest?

Wskazał szczelinę.

– Nie wiem. Wygląda na zapadlisko. Chciałbym się bliżej przyjrzeć.

Sal zerknęła na zegar.

– Masz dziesięć minut, dobra?

Enright wysiadł i podszedł do prostokątnego zapadliska w czerwonym pyle. Zatrzymał się na krawędzi, ukląkł i przesunął

dłonią po twardej skale. Oto pierwszy człowiek – pomyślał – który dotyka tego kamienia, dokładnie w tym miejscu...

Podniósł się i zrobił krok.

A wtedy grunt zapadł mu się pod stopami.

– O mój Boże!

Po upadku dźwignął się do pozycji siedzącej, potłuczony i oszołomiony, ale nie ranny. W półmroku sprawdził system podtrzymywania życia. Skafander był cały, butle z powietrzem nieuszkodzone.

Dopiero wtedy się rozejrzał. Znajdował się w ogromnej kawernie, rozległej tak, że nie widać było końca.

Kiedy pył opadł, ukazały się przedmioty pod ścianami.

– O Chryste! – krzyknął Enright. – Spirek... Spirek!



Stał w drzwiach, przyglądając się, jak pracownik złomowni rozmontowuje huštawkę i ładuje ją na bagażnik półciężarówki.

Enright był w domu od czterech dni i zaczynał popadać w rutynę. Śniadanie z Delią, potem golf – samotnie, jeżeli żona pracowała. Spotykali się na lunchu w mieście, a potem spędzali popołudnie w domu, Delia najczęściej w ogrodzie, Enright w salonie, czytając magazyny lub czasopisma.

Za tydzień miał wrócić na uniwersytet i rozpocząć badania nad próbkami z Marsa. Niezbyt go cieszyła ta perspektywa. Nie tylko dlatego, że oznaczała mniej czasu z Delią – geologia i wszystko, czego mógł się dowiedzieć o marsjańskich skałach, bladło w porównaniu z odkryciem na czerwonej planecie.

Roberts zadzwonił kilka dni temu. NASA już przygotowywała

kolejną wyprawę. Enright przypomniał sobie, co McCarthy i Jeffries powiedzieli o odkryciu – że stanowi potencjalne zagrożenie. Geolog w tamtym momencie z trudem powstrzymał się, by nie ryknąć śmiechem. A jednak, co zdumiewające, kiedy wrócił na Ziemię, usłyszał, jak chłopcy z obsługi kosmodromu powtórzyli niemal dokładnie te same słowa. I teraz potwierdził je również Roberts, zwierając się nieoficjalnie, że rząd już uchwalił budżet kolejnego lotu na Marsa. Tym razem misji wojskowej. Ciekawe, czy McCarthy i Jeffries byli zadowoleni?

Złomiarz skończył demontaż i odjechał. Delia klęczała przy płocie, siejąc kwiaty. Enright obserwował ją przez chwilę, zanim wrócił do środka.

Spod poduszki na sofie wyciągnął broszurę, którą znalazł tam wczoraj.

– Delia?

Odwróciła się z uśmiechem.

Dostrzegła ulotkę i jej uśmiech zniknął, a spojrzenie stwardniało.

– Chciałam je tylko przejrzeć. Nie sądziłam, że...

– Delia, już o tym rozmawialiśmy.

– Pięć lat temu, czy jeszcze wcześniej? Czasy się zmieniły. Wracasz na uczelnię. A ja mogę zrezygnować z pracy. Ed – w jej głosie zabrzmiała prośba – bylibyśmy idealni. Tacy ludzie jak my są najbardziej poszukiwani.

Enright usiadł na trawniku, kładąc broszurę pomiędzy sobą i żoną. Wiatr uniósł okładkę i zaszeleścił kartkami. Ukazała się galeria błagalnie wpatrzonych w Eda twarzy, zbiór fotografii dobranych tak, by poruszyć serca bezdziejnych par, jak Enright i

Delia.

Wyciągnął dłoń, zatrzymując kartki. Ujrzał zdjęcie małej jasnowłosej dziewczynki. Przypomniała mu dziecko, które poprosiło go o autograf na polu golfowym.

I wbrew sobie poczuł w głębi serca tęsknotę, bolesne pragnienie.

– Dlaczego jesteś tak bardzo przeciwny, Ed?

Planowali z Delią, że wcześniej założą rodzinę. Wtedy okazało się, że kobieta jest bezpłodna. Enright pogodził się z myślą, że ich małżeństwo będzie bezdzietne, i poświęcił się żonie, jednak Delii nie przyszło to równie łatwo. Kiedy pięć lat temu wspomniała po raz pierwszy o adopcji, skwitował to stwierdzeniem, że kocha ją za mocno, by dzielić się uczuciem z dzieckiem. Brednie, oczywiście. W rzeczywistości Enright nie chciał, by Delia obdarzyła miłością kogoś jeszcze.

A teraz? Teraz niekiedy odczuwał tęsknotę i pragnienie, by obdarzyć miłością dziecko, ale nie potrafił wyjaśnić niechęci do pomysłu żony.

Potrząsnął głową, nie mówiąc nic. Stał długą chwilę, zanim wrócił do domu.

Następnego dnia Delia znalazła go w gabinecie. Enright wymknął się tam zaraz po śniadaniu i przez prawie godzinę przyglądał się replice szesnastowiecznego globusa. Wodził wzrokiem po łamanych, poszarpanych liniach, które dawno temu odwzorowywały granice państw i kontynentów.

Terra incognita...

Trzask otwieranych drzwi wyrwał go z zamyślenia. Delia stanęła w progu, opierając dłoń na futrynie. Przyniosła gazetę.

Usiadła na skraju fotela przy regale z książkami. Enrightowi udało się uśmiechnąć.

– Nie jesteś sobą, odkąd wróciłeś.

– Przepraszam. To pewnie napięcie. Jestem zmęczony.

Skinęła głową. Zapadło milczenie.

– Wiesz – podjęła – że wtedy pojawiły się różne opowieści? Sieć trzeszczała od plotek i przypuszczeń.

Uśmiechnął się.

– Nic dziwnego. Pierwsi ludzie na Marsie...

– Nie tylko dlatego, Ed. Dlatego, że spadłeś i nagle przzerwano łączność.

– I co głosiły plotki? Że zostałem porwany przez małe zielone ludziki?

– Ujmowano to nieco inaczej. Ale pojawiły się spekulacje... że trafiłeś na ślady życia. – Delia przerwała na chwilę. – Więc?

– Więc co?

– Co się wtedy zdarzyło?

Westchnął.

– Wolisz wierzyć plotkom prasowym niż...?

Uciszyła go, unosząc poranną gazetę. Nagłówek na pierwszej stronie „Miami Tribune” głosił: *ŻYCIE NA MARSIE?*

Enright sięgnął po dziennik, by przeczytać artykuł.

Od dzisiaj narastają spekulacje wokół pierwszego załogowego lądowania na czerwonej planecie. Przecieki z NASA mogą wskazywać, że astronauci McCarthy, Jeffries, Enright i Spirek odkryli starożytne ruiny podczas drugiego wyjścia na powierzchnię. Niepotwierdzone doniesienia sugerują, że...

Enright przerwał lekturę i oddał żonie gazetę.

– Niepotwierdzone doniesienia, pogłoski. Typowe brednie szmatławców.

– Więc nic nie zaszło?

– Co mam powiedzieć? Wpadłem do dziury – ale nie znalazłem się w Krainie Czarów.

Potem, kiedy Delia wyszła bez słowa, przeklął się za tę żalostną odzywkę.

Na dnie marsjańskiej rozpadliny nie natrafił na Krainę Czarów, lecz na coś znacznie dziwniejszego.

I już pojawiły się przecieki. Może powinien powiedzieć żonie prawdę, zanim prasa wszystko ujawni?

Przez resztę poranka Enright zajmował się zaległą korespondencją. Odpowiedział na niektóre listy, przerzucił inne. Miał już wyjść na lunch, kiedy jego uwagę przyciągnął charakterystyczny znaczek z królewskim popiersiem. Odłożony kilka dni temu list od Connaughta z Anglii.

Ciekawe, jaką szaloną teorię tym razem wymyślił ekscentryczny znajomy?

Enright otworzył kopertę i rozwinął pojedynczy arkusz luksusowego papieru. Zwykle dostawał od Anglika plik kartek pokrytych drobnym, starannym pismem.

Tym razem list zawierał tylko trzy krótkie akapity. Enright przeczytał je, potem przeczytał ponownie, czując nagłą suchość w ustach. Kartka wysunęła się z drżącej dłoni na kolana mężczyzny.

Drogi Ed!

Śledziłem Twoją wyprawę na czerwoną planetę z

zainteresowaniem i troską. Teraz jesteś już z powrotem i mam nadzieję, że szybko przeczytasz mój list. Słuchałem tego przekazu z Amazonis Planitia, który tak nagle został przerwany w niewyjaśnionych okolicznościach... Zastanawiałem się, czy ludzkość nareszcie znalazła obce życie.

Ed, przyjacielu, jeżeli naprawdę znalazłeś coś wśród marsjańskich piasków, sądzę, że mogę Ci podsunąć wyjaśnienie. Gdybyś zechciał odwiedzić moją posiadłość przy najbliższej okazji, mógłbym Ci opowiedzieć interesującą historię.

Jeżeli potrzebujesz dodatkowych argumentów, że warto się wybrać w podróż, pozwól, że przypomnę Ci słowa: „Ul-la, ul-la!”...

Twój szczerze oddany – Joshua Connaught

Enright przeczytał list chyba tysiąc razy, nim w końcu go złożył i na długie minuty utkwiał spojrzenie w ścianie.

O ile marsjańskie odkrycie zdawało mu się nierozwiązywalną enigmą, o tyle wiadomość z Anglii jeszcze pogłębiła poczucie tajemniczości.

Geolog sięgnął po telefon i zamówił bilet do Londynu.

Później, po lunchu, powiedział Delii, że dostał wezwanie do NASA i zapewne utknie w Centrum Kosmicznym na tydzień lub dłużej.

– Czy chodzi... Czy chodzi o to, co stało się na Marsie?

Jak wiele jej powiedzieć?

– Delia, kiedy wrócę... Myślę, że będę mógł ci co nieco wyjaśnić. Zgoda?

I wtedy powróciły słowa, które Connaught zapisał na końcu listu.

Ul-la, ul-la.



Poderwał się z osypiska i rozejrzał ze zdumieniem. Pył opadł, a jasne promienie słońca wdarły się do komnaty, po raz pierwszy od diabli wiedzą jak dawna.

Zza zasłony kurzu i blasku wychynęły ustawione szeregiem pod ścianami kształty. Enright spadł z najwyższej pięćdziesięciu stóp, przedmioty – maszyny! – miały prawie tyle samo wysokości.

– O Chryste. – krzyknął. – Spirek... Spirek!

Niemal natychmiast usłyszał odpowiedź.

– Wszystko w porządku, Ed? Słyszysz mnie? Nic ci nie jest?

– Sal, musisz to zobaczyć.

– Gdzie jesteś, Ed?

Spojrzał w górę. Nieduża postać w srebrzystym skafandrze wychylała się nad krawędzią wyrwy, próbując wypatrzeć geologa.

Zamachał ramionami.

– Zejdź do mnie, Sal. Musisz to sama zobaczyć!

W głośnikach usłyszał McCarthy'ego: – Co się tam dzieje? Enright? Spirek?

– Masz zdjęcia, McCarthy? – zapytał Enright.

– A kamera działa? Kiedy spadłeś, obraz stracił ostrość.

Geolog sprawdził urządzenie. Chyba przerwało filmowanie, gdy staczał się po zapadlisku. Włączył ponownie nagrywanie i obrócił się, by zamocowany do hełmu obiektyw mógł zarejestrować to, co znajdowało się przy ścianach pomieszczenia. Część sklepienia zapadła się z biegiem czasu, a płyta zamykająca otwór w suficie złamała się pod ciężarem

człowieka i piasku.

– Wszystko jest rozmazane. Niewiele widać – odezwał się McCarthy.

Enright podniósł się, sprawdzając, czy utrzyma się na nogach. Nic mu się nie stało. Żadnych złamań. Postąpił krok, wychodząc z plamy słonecznego światła, i przyjrzał się dokładniej maszynerii niknącej gdzieś w perspektywie.

– Niech mnie piorun trzaśnie – wymamrotał Jeffries.

Spirek nadal zerkąła znad krawędzi, niepewna, jak zejść po osypisku.

– Ed, może raczej powiesz mi, co znalazłeś?

Odchylił się, by na nią spojrzeć.

– Zejdź tu i sama się przekonaj, Sal.

Zawahała się, stawiając stopę na stromiźnie i posyłając w dół fale piasku, niczym dziecko zbiegające z wydmy.

Na dole straciła równowagę i upadła na plecy. Enright pomógł jej wstać. Gdy kobieta rozglądała się po komnacie, geolog nadal trzymał jej dłoń i wbijał wzrok w twarz za szybą hełmu, by zobaczyć minę Spirek.

Nie odezwała się słowem, ale w oczach zalśniły jej łzy.

A potem, w zupełnej ciszy, padła w ramiona Enrighta.

Trzymając się za ręce jak przerażone dzieci, ruszyli w głąb komnaty.

Podeszli do maszynerii, a raczej pojazdów. Stało ich tu setki – smukłe kolumny, ciemne i oleiste, nieruchome i ciche, a jednak każda wycelowana i ustawiona zgodnie z jakimś planem.

A potem natrafili na mniejszą maszynę, może o połowę niższą od innych. Enright zamarł wpatrzony w wehikuł. Nie zdołał się

powstrzymać, zaszlochał.

– Ed? – Sal ścisnęła mu dłoń.

Wskazał jej stojący na trzech nogach pojazd kroczący.

Potrząsnęła głową.

– Nie rozumiem... Co z tego?...

W głośniku Enright usłyszał znowu McCarthy'ego.

– Hej, wy dwoje! Wracajcie natychmiast. Sal, ile powietrza ci zostało?

Kobieta zaklęła.

– Cholera, Ed. Musimy wychodzić.

Enright jak zahipnotyzowany wpatrywał się w wehikuł.

– Ed! – ponagliła go.

Niechętnie odwrócił się i ruszył za Sal w górę osypiska, do marsmobila.



Anglię, w przeciwieństwie do skąpanej w słońcu Florydy, skuwały okowy jednej z najbardziej surowych zim w tym stuleciu. Z miejsca przy oknie Enright mógł podczas lądowania podziwiać bajkowy widok. Geolog widział śnieg pierwszy raz od prawie dwudziestu lat i dziwił się, jak bardzo jest oczyszczający: przekształcał przeciętny widok w jasny i czysty pejzaż. Zdawało się, że oto jest ziemia, na której może się zdarzyć niejeden cud.

Po wyjściu z lotniska Heathrow Enright wsiadł do pociągu wschodniej linii, dotarł do miasteczka Barton Humble w Dorset, a stamtąd taksówką dojechał do posiadłości Brimscombe.

Podczas dziesięciomilowej jazdy przyglądał się krajobrazowi. Śnieżny pejzaż był równie obcy i fascynujący jak powierzchnia

Marsa. Mężczyźnie zdawało się, że oto zanurza się w sercu starożytnej krainy; wszystko, co widział w Anglii, nosiło piętno czasu, znamiona historii i trwałości, jakiej pozbawione było amerykańskie otoczenie, do którego Enright przywykł. Drogi tu były wyboiste i znaczone koleinami, z wysokimi krawężnikami – nadawały się bardziej dla powozów konnych niż samochodów. W mijanym dębowym, mrocznym lesie stare drzewa zdawały się widmami, dźwigającymi zamiast liści dziewiczo biały śnieg.

Posiadłość Brimscombe rozsiadła się między lasem i niewysokimi wzgórzami, wielka i zwalista, przypominająca Enrightowi wiejskie dwory, których rozmyte kształty widywał w dzieciństwie na czarno-białych filmach.

Taksówkarz zerknął na grubą warstwę śniegu okrywającą podjazd i potrząsnął głową.

– Wysadzę pana tutaj, dobra?

Enright zapłacił, podniósł torbę podrózną z tylnego siedzenia i spojrzał na fasadę posiadłości.

Nagle poczuł się samotny w obcym świecie. Znał dobrze to ściskające wewnątrz wrażenie obcości. Przeżywał je, gdy był na Marsie.

Co ja tu, do diabła, robię? – zastanawiał się. Nieoczekiwanie uświadomił sobie, jak musi wyglądać z zewnątrz – amerykański astronauta stojący samotnie na grudniowym mrozie w zapadłej angielskiej mieścinie – i uśmiechnął się pod nosem.

– Ul–ła, ul–ła – powiedział, przy każdym słowie wypuszczając z ust obłoczek pary – efekt całkowicie nowy dla Enrighta i dość denerwujący. – Chyba wariuję.

Ruszył przez śnieg. Podeszwy rytmicznie trzaskały przy

każdym kroku, gdy zgniatały zmarzniętą powierzchnię bieli.

W ocembrowanym oknie wschodniego skrzydła posiadłości zapłonęło światło, pomarańczowe i zapraszające. Enright wspiął się po paru stopniach i odnalazł przycisk dzwonka obok wysokich sosnowych drzwi.

Pół minuty później drzwi się otworzyły i geologa powitało ciepło i światło emanujące z wnętrza.

– Pan Enright, Ed, nie masz pojęcia, jak miło, że...

Enright rozluźnił się, w chwili gdy spojrzał na swojego długoletniego korespondenta. Connaught miał otwartą, przyjazną twarz, jaką Amerykanin kojarzył z angielskimi aktorami charakterystycznymi starej szkoły. Tak na oko dobiegał sześćdziesiątki, był średniej postury, z szopą siwych włosów, szczerym uśmiechem i błękitnymi oczyma.

Ubrany był w tweedowe spodnie i kamizelkę, z której kieszonki wystawała dewizka od zegarka.

– Musisz być wyczerpany po podróży. Na dworze jest paskudnie. – Poprowadził Enrighta przez hol. – Dziesięć stopni poniżej zera przez cały tydzień. To rekord, a przynajmniej tak się mówi. Najgorsza zima od sześćdziesięciu lat. Na pewno przyda ci się coś do picia, a potem posiłek. Pokażę ci twój pokój. Gdy tylko się odświeżysz i rozgościsz, przyłącz się do mnie, będę w bibliotece.

Gospodarz wskazał otwarte drzwi po prawej stronie, zza których widać było buzujący ogień i ciągnące się wzdłuż ścian, wysokie pod sufit regały z książkami.

– To biblioteka, a zaraz obok jest pokój gościnny. Mam nadzieję, że nie przeszkadza ci spanie na parterze? Mieszkam tu

sam, a od odejścia Liz nie zaglądam nawet na piętro. Mieszkanie na dole wychodzi taniej. No, jesteśmy.

Wprowadził Enrighta do pomieszczenia z podwójnym łóżkiem i przyległą łazienką, a potem przeprosił i zostawił go samego.

Enright usiadł na łóżku i zerknął przez okno na zimowe błonia. Jedyłą skazą na bezkresnej bieli były ślady jego stóp, które już powoli zacierał padający znowu śnieg.

Amerykanin wziął prysznic, przebrał się i ruszył do biblioteki. Connaught stał przy barku.

– Szkocka czy brandy?

Enright poprosił o brandy i usiadł na skórzanej sofie przy kominku. Connaught zajął głęboki fotel po prawej.

Ku własnemu zaskoczeniu geologowi udało się poprowadzić uprzejmą konwersację. Chociaż zżerała go ciekawość i jedyne, czego chciał, to wyjaśnienie obiecanie w liście. Enright miał ten list przy sobie, ukryty w kieszeni spodni.

Ul-la, ul-la...

Odpowiadając na pytania Connaughta, miał czas poczynić własne obserwacje.

– Lot był w porządku – silniki odrzutowe wypchnęły nas na orbitę i wyłączyły się zgodnie z planem po półtorej godzinie... Anglia jest zaskakująca... Wszystko wydaje się takie stare i takie małe... Posiadłość robi wrażenie... W Ameryce nie mamy nic podobnego...

A potem rozmawiali o historii podboju kosmosu przez człowieka. Connaught miał niezwykle rozległą wiedzę, o wiele większą niż Enright z jego skrawkami politycznych informacji o wyścigu poza Ziemię.

Godzina minęła na przyjemnej pogawędce, ani razu nie dotykając powodów, dla których Enright znalazł się w Anglii.

Connaught zerknął na zegar przy kominku.

– Już ósma! Dokończmy rozmowę przy kolacji.

Poprowadził Enrighta do wygodnego salonu ze stołem we wnęce przy oknie, nakrytym dla dwóch osób.

Parująca zapiekanka, miska sałatki i otwarta butelka wina już czekały.

Connaught gestem zaprosił, by usiedli.

– Zatrudniam kobietę z miasteczka – wyjaśnił. – Genialna kucharka. Przychodzi na parę godzin dziennie, gotuje mi i sprząta.

Zjedli zapiekankę z wieprzowiną i cynaderkami, pieczone ziemniaki, marchewki i szparagi. Skończyli butelkę i otworzyli kolejną.

Wieczór płynął przyjemnie. Enright rozluźniał się coraz bardziej z każdą lampką wina. Przyjazny ton konwersacji, który wypracowali w korespondencji, także teraz nie uległ zmianie. Enright porównywał uprzejmą łagodność gospodarza z rozbuchanym egocentryzmem McCarthy'ego.

Ul-la, ul-la...

Nieoczekiwanie rozmowa zboczyła – i właśnie Connaught zainicjował zmianę tematu: – Śledziłem wszystkie relacje z wyprawy na Marsa. Nie wychodziłem z Internetu. Miałem nadzieję i modliłem się, że wyprawa coś odkryje, choć, rzecz jasna, byłem też przygotowany na rozczarowanie... Przyznam ci się, Ed, że za młodu chciałem zostać astronautą. Tylko marzyłem, oczywiście. Nic nie zrobiłem w tym kierunku. Wyobrażałem

sobie, że będę odkrywał nowe światy, obce cywilizacje.

Enright uśmiechnął się.

– A ja nigdy nie miałem takich ambicji. Do programu wypraw kosmicznych trafiłem chyba przez przypadek. Właśnie szukano geologa do misji i po prostu się zgłosiłem. – Zawahał się. – Dlatego kiedy stanąłem na powierzchni Marsa, ostatnią rzeczą, jaka mogłaby mi przyjść do głowy, było odkrycie obcej cywilizacji.

– Oglądałem transmisję, tę, w której spadłeś. W chwili gdy się odezwałeś, wiedziałem. Poznałem po tonie niedowierzania i zdumienia. Po prostu wiedziałem, że coś znalazłeś.

Connaught napełnił kieliszki.

– Co się zdarzyło, Ed? Opowiedz, jak trafiłeś na...

I Enright wrócił wspomnieniami do lądowania, swojego pierwszego spaceru po powierzchni Marsa, a potem do kolejnego. Jak zawodowy bajarz opisał upadek po osuwisku i odkrycie hali. Uświadomił sobie nawet, że podoba mu się rola opowiadacza...



Wrócili do lądownika z zaledwie czterominutową rezerwą powietrza.

McCarthy i Jeffries czekali w kajutach, kiedy Spirek i Enright przechodzili przez służbę i ściągali skafandry. Byli bladzi i milczący.

Enright popatrzył po twarzach reszty załogi, potrząsając głową. Miał wrażenie, że zapomniał, jak się mówi.

– Kontrola lotu wariuje. Gdybyś słyszał Roberta. A co będzie,

kiedy pozna najnowsze wieści...

Sal Spirek opadła na fotel.

– Jesteśmy sławni, panowie. Sądzę, że to najbardziej doniosłe wydarzenie w historii ludzkości. Nie przesadzam, prawda?

Popatrzyli na siebie, daremnie próbując się przekonać, że owszem, Spirek przesadziła.

Enright pokręcił głową.

– O co chodzi? – zapytała Sal.

Nie umiał znaleźć słów, by wyrazić to, w co sam nie potrafił jeszcze uwierzyć.

– Nic nie rozumiecie – zaczął.

– Coś nie w porządku? – przerwała mu Spirek.

– Te urządzenia w hali – wyjaśnił. – Cylindryczne rakiety i trójnogi.

Powiódł spojrzeniem po twarzach astronautów, wyrażających skrajny brak zrozumienia.

– Nikt z was nie czytał *Wojny światów*?

Sześć godzin później, za pozwoleniem Roberta z kontroli lotów, czworo astronautów założyło skafandry i ruszyło marsmobilem do podziemnej hali.

W drodze przez piaszczystą marsjańską równinę Enright prawie spodziewał się, że kawerna będzie pusta – walce i trójnogi okażą się jedynie wytworem jego wyobraźni.

Zatrzymał się tuż za osuwiskiem, z Sal u boku i McCarthym z Jeffriesem z tyłu. Mężczyźni wciągnęli głośno powietrze na widok maszyn niknących w półmroku.

Ed i Sal ruszyli w głąb sali, mijając plamy słonecznego światła i zanurzając się w cień. Enright włączył latarkę na ramieniu i

rozejrzał się wśród szeregów wielkich cylindrycznych rakiet wspartych na splątanych rusztowaniach.

Zatrzymali się przy mniejszej maszynie, trójnogu zwieńczonym wianuszkami skomplikowanych macek i kopulastym, metalicznym kapturem.

McCarthy i Jeffries podeszli bliżej.

– Maszyny bojowe – powiedział Enright.

McCarthy spojrzał na niego uważnie.

– Mógłbyś powtórzyć?

– Wells nazwał je maszynami bojowymi – wyjaśnił Enright. – W swojej powieści...

Urwał, gdy dotarły do niego implikacje słów, które wypowiadał z takim spokojem.

Przeszedł między eksponatami techniki obcej kultury. W hali panował nastrój jak w muzeum lub mauzoleum.

McCarthy szybko się zrównał z Enrightem.

– Naprawdę oczekujesz, że uwierzemy w... – zaczął, ale Spirek mu przerwała: – McCarthy, ja czytałam *Wojnę światów*. Chryste, Wells się nie mylił. Walce, maszyny bojowe...

– To niemożliwe!

– Wszystko tu jest, McCarthy – odpowiedział Enright. – Tak jak opisał Wells.

McCarthy spojrzał na geologa. Jego twarz skrywała lustrzana powierzchnia osłony hełmu.

– Jak to wyjaśnisz?

Enright wzruszył ramionami.

– Nie wyjaśnię. Nie potrafię. Bóg raczy wiedzieć.

– Tutaj! – Spirek uklękła w cieniu za trójnogiem. – Wells miał

rację nie tylko w kwestiach technicznych. – Wskazała za siebie. – Spójrzcie.

Brak powietrza z mumifikował Marsjanina – wyglądał tak, jak opisał go przed stu dwudziestu laty wiktoriański autor.

Wszystko się zgadzało: para pustych oczu wielkości spodków, usta przypominające dziób, macki jak u ośmiornicy – odnóża, które według przypuszczeń Wellsa służyły Marsjanom do chodzenia.

To najbardziej szkaradny widok, jaki w życiu widziałem, pomyślał Enright.

Ruszył między walcami, znajdując coraz więcej martwych ciał leżących na podłodze hali.

– Trzeba to zgłosić Robertsowi. Musimy opracować strategię – stwierdził Jeffries.

Enright podniósł na niego oczy.

– Strategię?

Jeffries zatoczył ramieniem krąg.

– To zagrożenie, Enright. Myślę, że poziom A1 gotowości bojowej będzie odpowiedni. Skąd mamy wiedzieć, czy te potwory nie planują właśnie inwazji? Czy nie o tym była powieść Wellsa?

Enright i Spirek wymienili znaczące spojrzenia.

– Marsjanie są martwi, Jeffries. Ich świat umierał. Żyli pod ziemią, ale skończyło się im powietrze i jedzenie. Zginęli, zanim zdążyli stąd uciec.

– Nie wiesz tego na pewno, Enright. Możesz tylko przypuszczać.

Enright oddalił się od pozostałych. Potrzebował chwili samotności i izolacji, by oswoić się z własnym odkryciem.

Za wysokim łukowatym przejściem znalazł system ramp prowadzących na niższe kondygnacje. Wyobraził sobie miasto, ogromny podziemny kompleks, dzieło martwej od dawna cywilizacji.

Do Enrighta dołączyła Sal Spirek.

– Skąd Wells to wiedział? – zapytała. – Jak to możliwe, że wiedział?

Enright usiłował przypomnieć sobie dokładniej powieść, którą czytał jako nastolatek. Poruszył go opis zniszczonego, opuszczonego Londynu po inwazji. Wspomniał jęki, jakie wydawali Marsjanie, gdy umierali zaatakowani przez ziemskie drobnoustroje, żałobny lament odbijający się echem wśród śmiertelnie cichego miasta.

Ul-la, ul-la, ul-la, ul-la...



– Co się stało, gdy zobaczyłem te wszystkie maszyny? – Enright potrząsnął głową. – Bardziej wtedy czułem, niż myślałem, Joshua. Byłem oszołomiony z niedowierzania, a potem z przejęcia. Po powrocie na statek, kiedy miałem czas o tym pomyśleć, trochę się przestraszyłem. Ale wtedy, kiedy po raz pierwszy ujrzałem maszyny Marsjan... To był piekielny wstrząs, gdy zrozumiałem, dlaczego wydają mi się tak cholernie znajome.

Connaught pokiwał głową.

– Wells – stwierdził.

Na chwilę zapadła napięta cisza.

– Skąd wiedziałeś? – Pochylił się. – Skąd wiedział Wells?

Gospodarz wstał.

– Napijesz się whisky? Mam wyborną irlandzką...

Podszedł do mahoniowej komody i nalał hojnie dwie porcje Bushmillsa, po czym wrócił do stołu.

Enright upił trunku, czując, jak gorąco rozlewa mu się w gardle niczym rozgrzany aksamit.

– Mój prapradziadek James – zaczął Connaught – odziedziczył posiadłość po ojcu, który zbudował ją w tysiąc osiemset siedemdziesiątym roku dzięki zyskom z handlu winem. James był pisarzem – zapomnianym i niepublikowanym. Pisał utwory, które można nazwać fantastyką naukową. Na własną rękę wydał kilka krótszych, jednak przeszły niezauważone. Uczciwie mówiąc, miał wspaniałą wyobraźnię i beznadziejny styl. W skrócie rzecz ujmując, James przyjaźnił się z młodym wtedy jeszcze – a było to około tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego – aspirującym do wielkości pisarzem. Gość nazywał się Wells. Spotykali się często w weekendy i dyskutowali o swoich powieściach, pomysłach, fabułach *et cetera*. Jedną z historii, jaką opowiedział Wellsowi James, dotyczyła inwazji istot z Marsa. Marsjanie przybyli na Ziemię w wielkich walcach i polowali na ludzi w bojowych maszynach kroczących. Najpewniej mój pradziadek próbował sam napisać tę powieść, ale chyba mu się nie udało. Wells podchwycił pomysł, a reszta jest historią. *Wojna światów*. Klasyka literatury.

Connaught umilkł, zaglądając do szklanki.

Enright kiwnął głową, wyobrażając sobie, jak Herbert George Wells i James Connaught dyskutowali o swoich pomysłach właśnie w tym domu wiele lat temu.

– Jak? – zapytał w końcu. – Jak twój pradziadek dowiedział się

o Marsjanach?

Zorientował się, że jest już podpity, bo język mu się plątał. Ciekawość i oczekiwanie stały się niemal nie do zniesienia.

– Pewnej nocy w tysiąc osiemset osiemdziesiątym roku – podjął opowieść Connaught – James spacerował po ogrodzie. Było późno, dochodziła północ. Często tak się szwendał, szukając natchnienia. W każdym razie zauważył coś na niebie – duży płonący obiekt nadlatujący od strony wybrzeża. Obiekt spadł z hukiem w zagajniku na tyłach posiadłości.

Enright sięgnął po butelkę i dolał sobie whisky.

– James pobiegł tam... I znalazł wbity głęboko w ziemię ogromny walec, jarzący się czerwono i parujący w chłodnym powietrzu.

Enright wyprostował się, potrząsając głową.

Joshua Connaught uśmiechnął się.

– Nie wierzysz mi?

– Nie, tylko... Wierzę ci, naprawdę. Tylko to takie nierealne, fantastyczne...

– Pradziadek ogroził krater i zbudował wokół niego osłonę. Budowla stoi do dziś. Od śmierci Elizabeth nikogo tam nie wpuszczałem.

Nieoczekiwanie na Enrighta spłynęło olśnienie. Nieznacznie uniósł dłoń.

– Tak, Ed. Nadal tu jest – uśmiechnął się Connaught.

Enright potrząsnął głową.

– Chcesz powiedzieć...?

– Marsjański walec i inne maszyny.

Amerikanin opróżnił szklanke, whisky sparzyła mu przełyk.

Connaught wstał.

– Pójdziemy?

Enright podniósł się z wahaniem.

– Prowadź, proszę.

Chwiejąc się, opuścił salon za gospodarzem.

Oczekiwał, że wyjdą na zewnątrz, ale Connaught poprowadził go przez wąskie drzwi i jeszcze węższe schody w dół. Minęli piwnice oświetlone jedynie słabym blaskiem nagich żarówek – w niektórych komórkach stały wina, inne były puste i zaniedbane. Ceglany korytarzyk ginął w półmroku.

– Wyszliśmy już z posiadłości. Przejście prowadzi pod warzywnikiem z tyłu domu do zagajnika – wyjaśnił przez ramię Connaught.

Enright tylko skinął głową, zdając sobie sprawę, że oczekiwanie na to, co zaraz zobaczy, oraz chłód powietrza orzeźwia go i otrzeźwia.

Tunel ciągnął się przez może pięćset jardów i kończył niewielkimi drewnianymi drzwiami.

Connaught wyjął z kamizelki klucz i otworzył zamek. Gestem zaprosił Enrighta do środka.

Amerykanin ostrożnie przestąpił próg.

Otoczyła go nieprzenikniona ciemność, dopóki Joshua nie włączył światła.

Nagie żarówki rozjaśniły duże pomieszczenie z czerwonej cegły. Wklęsłe ściany sprawiały wrażenie, jakby to było wnętrze galeonu. Drewniane stopnie prowadziły w dół, podłogę wyłożono również czerwoną cegłą.

Na środku spoczywał walec, długa sinoniebieska kolumna,

identyczna jak te, które Enright widział na Marsie. Na pancerzu znajdowało się okrągłe wejście. Nieopodal walca leżała maszyna bojowa.

Enright zszedł na dno z rozdziawionymi ustami. Okrążył walec, przy którego wielkości ludzie sprawiali wrażenie karzełek. Wyciągnął dłoń i dotknął lodowatej powierzchni cylindrycznej rakiety – coś, na co nie mógłby sobie pozwolić na Marsie. Uważnie obejrzał również trójnog, podziwiając złożoność metalowej konstrukcji – zbudowanej tak daleko od Ziemi przez rasę, która już dawno wymarła.

– Według przekazów rodzinnych – odezwał się Connaught – tej nocy James przykucnął nad dołem i ze strachem obserwował, jak na powierzchni przekręca się i otwiera właz. Jednak minęły godziny i nic się nie wydostało na zewnątrz poza dziwnym, obcym jękiem, brzmiącym jak „ul–la, ul–la, ul–la, ul–la”. Nadszedł świt, zanim James zebrał się na odwagę i zbliżył do walca. W promieniach słońca dostrzegł w pojeździe trzy istoty, wszystkie już martwe. Na szczęście zagajnik znajdował się na ziemi Jamesa, a drzewa zasłaniały krater. W ciągu następnych lat mój przodek samotnie wzniósł tę budowlę nad walcem, a resztę życia poświęcił badaniu jego zawartości. On i jego syn odtworzyli trójnog, który tu widzisz. Próbowali nawet zakonserwować ciała obcych, ale niewiele z nich zostało.

Enright uniósł wzrok.

– Niewiele?

Connaught podszedł do drewnianego podestu, na którym stało spore biurko i sarta kartek oraz notatników oświetlona lampką. Wskazał na pękaty słój i unoszący się wewnątrz naczynia szaro–

brązowy strzęp przypominający skórę.

– To wszystko, co zostało po pierwszych istotach, które wylądowały na planecie Ziemia.

– Czy James pokazał to Wellsowi? – zapytał Enright.

Connaught pokręcił głową.

– To była ściśle strzeżona tajemnica, znana tylko Jamesowi i jego synowi. Jak wspomniałem, James opowiedział Wellsowi o swoim pomysle na powieść fantastyczną, zapewne również pokazał mu rysunki walca i innych maszyn, a nawet podobizny obcych oraz opisał ich śmiertelny lament.

– I do tej pory nie pokazywałaś tego nikomu spoza rodziny?

Connaught uśmiechnął się.

– Moment, kiedy mój ojciec dowiedział się o tym miejscu, ginie w pomroce dziejów. Dziadek był stary, gdy pokazał mu walec – jego umysł nie był już tak bystry. Ojciec wziął opowieść za bajki i wymyślił. Uznał, że James sam zbudował te maszyny, i zamknął budynek. Otworzył go tylko dla mnie, gdy sam zacząłem szperać po piwnicach i wypytywać o zamknięte drzwi na końcu korytarza.

– Ale ty uwierzyłeś w opowieść Jamesa – stwierdził Enright.

Connaught zawahał się.

– W latach siedemdziesiątych byłem na Oxfordzie – wyznał. – Studiowałem literaturę starożytną, potem zacząłem pracować dla rządu, zajmowałem się deszyfrowaniem kodów... Kiedy odziedziczyłem posiadłość, dokładnie przebadalem to, co znalazłem w tym miejscu.

Pochylił się nad biurkiem i wysunął szufladę. Wyjął z niej opaskę srebrzysty przedmiot, przypominający książkę.

Położył ją na blacie i otworzył. Strony również były srebrne, zrobione z cienutkich, jakby blaszanych arkuszy pokrytych drobnymi splotami linii w słupkach, które mogły być pismem. Jednak było to pismo, jakiego Enright w życiu nie widział.

– James znalazł to w walcu. Przez lata próbował odczytać księgę z gwiazd, jak ją nazywał. Nie udało mu się. Kiedy trafiła do mnie, podjąłem wyzwanie, jakiemu nie sprostał mój pradziad.

Enright spojrział na Anglika.

– Udało ci się?

Connaught otworzył kolejną szufladę i wyjął bardziej tradycyjny plik kartek formatu A4, spiętych jak kołnotatnik.

– Udało mi się. W zeszłym roku skończyłem przekład. Większość to encyklopedia opisująca ich świat i historię rasy. Mars umierał, Ed. Przed wieloma tysiącami lat istoty, które żyły na jego powierzchni, musiały zejść pod ziemię, by schronić się przed mrozem. Ta egzystencja ich dziesiątkowała, przeżyło zaledwie kilkadziesiąt tysięcy. Wtedy zrozumieli, że muszą opuścić swój świat.

– I podbić Ziemię – dokończył Enright.

Ale Connaught tylko się uśmiechnął i potrząsnął głową.

– Ten lud pragnął pokoju. Tylko w fantazjach Wellsa Marsjanie byli agresywni.

Podał Amerykaninowi otwarty na pierwszej stronie notes.

– Proszę – powiedział.

Enright podszedł. W uszach łomotała mu krew, gdy przebiegł wzrokiem pierwszy akapit.

My, z czwartej planety Układu Słonecznego, planety, którą nazywamy Vularia, przybyliśmy na trzecią z misją pokojową. Choć

nasz gatunek dał się poznać jako wojowniczy i stoczył wiele bratobójczych wojen, rozwinęliśmy się i przekroczyliśmy ten etap ewolucji. Przybywamy w nadziei, że istoty z trzeciej planety połączą siły i wspólnie rozpoczną eksplorację kosmosu...

Enright poczuł ucisk w gardle i przestał czytać. Przekartkował resztę stron wypełnionych drobnym drukiem.

Pomyślał o McCarthym i Jeffriesie oraz militarnej misji, do której właśnie rozpoczęły się przygotowania. Uśmiechnął się pod nosem.

– Ponad półtora miliona słów – rzekł Connaught. – Ledwie liznąłeś tego skarbu.

Enright odwrócił się od biurka. Spojrzał na walec i tak zwaną maszynę bojową. Za plecami słyszał głos gospodarza: – Mój prapradziadek przypuszczał, że Marsjanie umarli, zanim dotarli na Ziemię – że to nie ziemskie wirusy pozbawiły ich życia, lecz ich własne mikroorganizmy. Wspaniale byłoby, gdyby przeżyli.

Enright ponownie się odwrócił.

– Dlaczego, Joshua? Dlaczego mi to pokazałeś? Te maszyny, twój przekład...

– Dlaczego? Moja rodzina trzymała to w sekrecie wystarczająco długo. Moja praca dobiegła końca, tłumaczenie jest gotowe. Chciałbym mieć swój wkład w historyczne wydarzenia, pragnę, by ludzkość poznała moją rolę i zapamiętała moją osobę. Wezwałem cię, żebyś mógł zabrać kopię przekładu do Ameryki i poznać rozwiązanie tajemnicy, jaką odkryłeś pod piaskami Marsa.

Wskazał drzwi.

– Robi się zimno. Wracajmy. Masz ochotę na drinka w

bibliotece?

Enright rzucił ostatnie spojrzenie na marsjańskie pojazdy i ruszył za Connaughtem.



Podczas lotu do Ameryki Enright miał sen. Znajdował się w Londynie, ale Londynie spustoszonej przez apokaliptyczną wojnę. Kroczył wśród ruin, nasłuchując. Nie był sam. Obok szło dziecko, drobna dziewczynka, i kiedy na nią spojrzał, poczuł nadzieję – nadzieję na przyszłość, nadzieję przepełnioną radością. Dziewczynka ujęła go za rękę i wówczas do uszu Enrighta to dotarło. Najpierw słabo, potem coraz wyraźniej. To był najsmutniejszy, najbardziej poruszający dźwięk, jaki kiedykolwiek słyszał.

– Ul–ła, ul–ła, ul–ła, ul–ła...

Obudził się nagle. Dotyk ciepłej, drobnej rączki wydawał mu się tak realny, że się rozejrzał, jednak fotel obok był pusty.

Samolot schodził do lądowania na lotnisku w Orlando.

Enright zajrzał pod siedzenie, upewniając się, że teczka z tłumaczeniem marsjańskiej księgi nie znikła.

My, z czwartej planety Układu Słonecznego, planety, którą nazywamy Vularia, przybyliśmy na trzecią z misją pokojową [nawiązania do Wojny światów H.G. Wellsa]...

Uśmiechnął się w duchu, zamknął oczy i pomyślał o Delii, o domu, o przyszłości.

Peter F. Hamilton Zaczął pisać mniej więcej w tym samym czasie co Eric Brown, jednak jego twórczość obejmowała nie tyle krótkie formy, lecz raczej długie, pełne rozmachu powieści, które tchnęły nowe życie w odmianę literatury fantastycznej typową dla złotego wieku – space operę. Jego trylogia *Night's Dawn – The Reality Dysfunction (1996)*, *The Neutronium Alchemist (1997)* i *The Naked God (1999)* podejmuje temat ostatecznej walki. Prezentowane opowiadanie, jeden z wczesnych utworów tego autora, pokazuje kolejny aspekt pojedynku na śmierć i życie, choć w nieco mniejszej skali.

UŚMIERCINY

Dzisiaj wreszcie zabije ksenola. Pewność siebie Mirana rosła w oszalamiającym tempie, podsycana podświadomym pragnieniem. Wiedział, że to zdarzy się właśnie dziś.

Nawet na jawie słyszał eteryczne jak świst wiatru wycie duchów, daleki lament przepełniony nienawiścią. Zdawało się, że cały świat przesycony jest przecuciem nadchodzącej śmierci.

Miran polował na ksenola od dwóch miesięcy. Płasał w dolinie skomplikowany śmiertelny taniec tropienia, czyhania i pogoni. Miran dobrze poznał ksenola, jego reakcje na różne sytuacje, jego ścieżki i niektóre kryjówki wśród skał oraz niechęć do stromych zboczy. Był teraz jego bratnią duszą, niemal bliźniakiem. Należeli do siebie, byli związani.

Miran pragnął tylko podejść na tyle blisko, by zacisnąć dłonie na szyi ksenola, poczuć, jak życie wycieka z groteskowego ciała dręczyciela. Ale był człowiekiem praktycznym. Powtarzał sobie w duchu, że nie zachowa się jak sentymentalny osioł i nie zmarnuje okazji – jeśli będzie można załatwić sprawę za pomocą laserowej strzelby, użyje jej. Żadnych wahań, żadnych wyrzutów sumienia.

Sprawdził wskaźnik doładowania broni i wyszedł przed dom. Dom – to słowo stanowiło czystą kpinę. To nie był dom – już nie.

Prosta, trzyizbowa konstrukcja z prefabrykatów dostarczona przez Kompanię Kolonizacyjną Jubarry, przeznaczona dla dwóch osób. Dla Candice i Mirana. Kiedyś wśród ścian odbijał się echem śmiech Candice, nasycając pokoje radością nawet w najbardziej ponury dzień. Teraz było to tylko niezbędne schronienie, dach nad głową, gdzie Miran mógł planować swoje posunięcia i wymyślać podstępny.

Fizycznie dzisiejszy dzień nie różnił się od innych na Jubarrze. Mroczne, ołowianoszare chmury leniwie płynęły nisko nad ziemią ze wschodu na zachód. Zimny opar wirował wokół kostek Mirana, zraszając trawę i kamienie lśniąca wilgocią. Później spadnie deszcz, jak zwykle.

Mężczyzna stanął przy grobie Candice – płytkim dole przykrytym nierównymi odłamkami miejscowego piaskowca. Jej imię wyryte zostało niewprawnie na największym z kamieni. Żadnego krzyża. Prawdziwy Bóg nie pozwoliłby Candice umrzeć, nie w ten sposób.

– Ostatni raz – wyszeptał Miran. – Przyrzekam. A potem koniec.

Widział ją znowu. Jej bladą, pokrytą kropelkami potu twarz wspartą na poduszkach. Smutek i ból w spojrzeniu przepełnionym świadomością, jak niewiele zostało już czasu.

– Porzuć ten świat. – Candice zacisnęła rozpalone palce na dłoni Mirana, by podkreślić swoje słowa. – Proszę, dla mnie. Pozbawiliśmy to miejsce życia i teraz należy do umarłych. Żywi nie mają tu czego szukać, nie ma nadziei, nie ma celu. Nie marnuj się, nie oplakuj przeszłości. Obiecuj mi.

Powstrzymał zatem łzy i przyrzekł, że odejdzie i znajdzie nowe

życie w innym świecie, ponieważ to właśnie Candice chciała usłyszeć, a Miran nigdy jej nie odmawiał. Ale były to puste słowa, bez znaczenia – nie miał dokąd odejść... bez niej.

Potem tylko siedział beczynn timer, gdy pożerała ją gorączka. Patrzył, jak oddech Candice zwalnia, a z jej twarzy znikają bruzdy napięcia i znużenia. Po śmierci była taka piękna i tak krucha. Przydusić ją zwałami ziemi zakrawało na świętokradztwo.

Po tym jak pogrzebał Candice, legł na łóżku, pragnąc tylko także znaleźć się w grobie.

Głęboką nocą usłyszał dźwięk. Stłumiony odgłos uderzeń kamienia o kamień. Miran zmusił się, by wstać. Chata zadrżała niebezpiecznie. Nie miał pojęcia, jak długo leżał – może godziny, może dni. Wyjrzał z za drzwi. W pierwszej chwili nic nie dostrzegł. Potem oczy przystosowały się do ciemności i wychwyciły blade smugi fosforescencji drżące na krawędziach chmur. Mroczna płatanina cieni pochylała się nad mogiłą, drapiąc odłamki piaskowca.

– Candice? – krzyknął, zataczając się ze strachu. Podświadomość natychmiast podsunęła mu stosowne wyobrażenia, nadające ciemności mrożące krew w żyłach kształty – demonów, zombie, ghuli i trolli.

Mrok zafalował, gdy przebrzmiał krzyk, krawędzie cienia rozmyły się, niemal znikając.

Miran wrzasnął, wybiegając przed domostwo. Mięśnie napięły mu się z oburzenia i żądy odwetu. Kiedy jednak dobiegł do grobu, ksenol zdążył zniknąć bez śladu. Przez chwilę mężczyzna myślał, że zdarzenie było jedynie majakiem, halucynacją. Jednak

wówczas zobaczył, że kamienie nagrobka zostały porzucane, a wilgotna ziemia poruszona w miejscach, gdzie dotknęły jej stopy nieczłowieka. Miran opadł na kolana, ciężko dysząc i przesuwał dłońmi po głazach. Mdlilo go na myśl, co ksenol mógłby zrobić Candice, gdyby ją wykopał. Resztki zdrowego rozsądku, jakie jeszcze pozostały w umyśle Mirana, powoli zaczynały się ulatniać. Przyszłość, dotychczas mglista i niepewna, nagle stała się jasna. Miał teraz cel: pozostanie w tej dolinie tak długo, aż upewni się, że nic nie zakłóci wiecznego odpoczynku Candice. No i pozostała jeszcze kwestia odwetu na potworze, który sprofanował jej grób.

Miran zostawił mogiłę i przeszedł przez zaniedbany warzywnik do wejścia doliny. Otaczające ją wzgórza były jak ściany więzienia – strome zbocza i rozpadliny, gdzieniegdzie znaczone żwirem lub pasmami dzikiej, splątanej trawy. Wznosiły się, tworząc klaustrofobiczną oazę. Miran nie miał ochoty podziwiać widoku, który przywoływał wspomnienia z lepszych czasów. Dnem kotliny meandrowała rzeka, zasilana niezliczonymi strumieniami spływającymi ze źródeł ukrytych w niedostępnych masywach. Łąki u stóp gór kwitły, a szkieletowe konary i podobne do martwych szczurów gryzonie nurzały się leniwie w powolnym mętym nurcie. Niżej, w głębi doliny, gdzie rzeka płynęła szybciej, rachityczne drzewa kołysały gałęziami w rytmie spienionych fal.

To była jego ziemia. Ten właśnie widok powitał Mirana i Candice, gdy przedarli się przez wzgórza. Stanęli wtedy objęci, przepełnieni zachwytem, wiedzieli bowiem, że ryzyko się opłacało. Tutaj mieli ułożyć sobie życie, zajmując się uprawami

dla ekologów w zamian za gwarancję otrzymania dwudziestu tysięcy akrów ziemi. W chwili przybycia kolonistów Candice i Miran byliby bogaci, a ich dzieci stanowiłyby elitę Jubarry.

Miran potoczył spojrzeniem po pejzażu straconych nadziei i widmach złamanych ambicji. Wszystko zaplanował. Wczorajszą pogoń przerwał przy urwisku na drugim brzegu rzeki. Prowadził go instynkt i doświadczenie. Ksenol przemykał się północnym dnem doliny przez dwa dni. W skałach u podnóża gór znajdowały się jaskinie i rzadkie tutejsze krzewy owocowe. Schronienie i pożywienie – dobre miejsce. Nawet ksenol od czasu do czasu ucieka przed beznadziejną pogodą Jubarry.

Miran spojrzał przed siebie. Niczego nie dostrzegł. Nie czuł nawet przewrotnej więzi z obcym w zakamarkach umysłu.

Nie miał pojęcia, jak do niej doszło. Być może Miran i ksenol tyle przeżyli razem, że odkryli mentalne powinowactwo, coś podobnego do pokrewieństwa, jakie wszystkie stworzenia mogłyby odczuwać w raju. A może obcy posiadał jakiś szczątkowy zmysł telepatii, co wyjaśniałoby, dlaczego zwiadowcy–ekolodzy nigdy żadnego nie złapali. Niezależnie od przyczyn Miran mógł wyczuć ksenola. Nawet tej pierwszej nocy przy mogile wiedział o obecności innych, przemykających w oddali i skradających się w pobliżu, by zatrzymać się na odpoczynek. Dziwne myśli i zniekształcone obrazy sączyły się do umysłu człowieka.

Z całą pewnością ksenol szedł na północ, w stronę wzniesień za rzeką żłobiącą powoli koryto w dolinie.

Miran rozejrzał się po zapuszczonym polu. Pierwszymi roślinami, jakie tu zasadził, były ziemniaki i kukurydza,

zmodyfikowane, by znieść podły klimat Jubarry. Tamtej nocy, kiedy skończył sadzenie, Miran wyniósł Candice na pole i położył jej szczupłe ciało w żyznej czarnej ziemi. Kobieta roześmiała się cicho – co też go naszło? Ale celebrowali ten dzień pogańskim, starożytnym rytuałem płodności, a podmuchy ciepłego wiatru pieściły ich skórę. Miran wziął Candice z dzikim triumfem, jak człowiek ze starożytności, który oddaje cześć bogom za dar życia, a Candice krzyknęła z rozkoszy.

Sadzonki przyjęły się i rozkwitły. Ale teraz dławiki je miejscowe chwasty. Mężczyzna wykopywał po kilka ziemniaków, by zjeść je z rybą lub kurczakiem. Monotonna dieta, ale jedzenie nie obchodziło Mirana, stanowiło tylko konieczne źródło energii.

O poranku zaczęło mżyć. Miran nie był nawet w połowie drogi do celu, gdy przejmująco zimne krople wdarły mu się za kołnierz i popłynęły wzdłuż kręgosłupa. Ziemia i kamienie pod stopami stały się zdradziecko śliskie.

Przeklinając pod nosem, zwolnił kroku. Prawdopodobnie ksenol również wyczuwał Mirana. Wkrótce obcy będzie musiał się ruszyć, by utrzymać bezpieczny dystans. Człowiek mógłby iść szybciej, ale od zdobyczy dzieliły go kilometry – nie miał szans dopaść jej za dnia. Poza tym nie chciał ryzykować – upadek i złamanie kości zakończyłoby polowanie.

Ksenol znowu się poruszył. W nieustannym szumie deszczu Miran próbował porównać to, co wyczuwał w umyśle, z tym, co widział.

U stóp jednego ze wzniesień znajdował się półkilometrowy prawie wykrot, którym spływał strumień. Trawiasta niecka

usiana była głazami, jakie przyniosły tam lawiny. Najstarsze z odłamków okrywało szmaragdowe futro gąbczastych miejscowych porostów.

Ksenol kierował się na kraniec wykrotu. W pułapkę! Jeżeli Miran dotrze pierwszy do szczytu wzniesienia, obcy nigdy się stamtąd nie wydostanie. Będzie można go podejść wąskim pasmem solidnego gruntu, przypierając stworzenie do brzegu strumienia. Miran nie był pewien, ale ksenole chyba nie umiały pływać.

Zaciskając zęby, by nie szczękały z przenikliwego zimna, mężczyzna walczył z podmuchami mroźnego wiatru, przebijając się przez fałdy torfu na dnie wąwozu. I wtedy natknął się na szkielet bykozaura.

Zatrzymał się i z szacunkiem przesunął dłońmi po wielkich, bielejących w szarówce świtu krzywiznach żeber. Bykozaurowy były ciężkimi czworonogami, drapieżnikami o niewielkim mózgu i paskudnym temperamencie. Potrafiły narobić bałaganu w osadach kolonistów, a ich mięso przyprawiało ludzi o niestrawność. Na dodatek laserowe strzelby okazały się zupełnie bezużyteczne w konfrontacji z wielkim zwierzęciem, a Kompania Kolonizacyjna nie zamierzała uzbrajać pionierów w działa ciężkiego kalibru. Dlatego zastosowano genetycznie zmodyfikowane wirusy. A ponieważ bykozaurowy miały tę samą fizjologię co inne ssaki na planecie, zarząd Kompanii milcząco założył, że ta eksterminacja nie będzie dotyczyła tylko jednego gatunku. W badania i eksploatację Jubarry zainwestowano już miliony technodolarów i zarząd nie mógł sobie pozwolić, by potencjalnych osadników przeraziły dinozauropodobne okazy

jubarrskiej fauny. W planach czekały kolejne planety, które miała skolonizować tłocząca się na Ziemi ludzkość.

Wirus okazał się skuteczny w dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach.

Sny Mirana często nawiedzało pięćdziesiąt milionów zjaw, duchów ksenoli. Gdyby wcześniej znał prawdę o zbrodni, nigdy nie skorzystałby z hojnej oferty Kompanii Kolonizacyjnej. W dziejach ludzkości nie było większego grzechu niż Jubarra. Na każdego pioniera ze zwiadu przypadało dwadzieścia tysięcy tubylczych duchów, ziejących nienawiścią, która zalewała ludzi jak fale powodzi.

Może to właśnie duchy wpływały na słońce Jubarry? Astronomowie twierdzili, że nigdy nie widzieli gwiazdy o tak niestabilnym cyklu. Trzy miesiące po przybyciu Candice do doliny obserwatorium słoneczne zanotowało anomalie, plamy i wybuchy na słońcu, gwałtownie nabierające intensywności. Jubarra wchodziła szybko w epokę lodowcową. Geolodzy odkryli, że okresy interglacjalne na planecie wynoszą co najwyżej pięć tysięcy lat – oni także z niczym podobnym nie mieli dotychczas do czynienia. Botanicy dopiero wtedy zrozumieli, dlaczego znaleźli tu tak niewiele gatunków flory.

Natychmiast ogłoszono, że planeta nie nadaje się do kolonizacji. Firma prowadząca osadnictwo na Jubarrze zbankrutowała. Wszelkie aktywa zamrożono, a Komisja Konfederacji Ksenoekologów wytoczyła zarządowi korporacji proces o eksterminację obcych gatunków, tak zwany ksenocyd.

Już wtedy stało się jasne, że rzesze cywilnych inżynierów i konstruktorów, którzy mieli zbudować kosmoport i pierwsze

miasto, nigdy się nie pojawią. Nikt nie przybędzie, by kupić plony z tutejszych upraw. Ekolodzy zwinęli placówki badawcze. Nawet podnieceni astronomowie przygotowywali się do odlotu na uniwersytety, pozostawiając jedynie automatyczne satelity do rejestracji danych o niestabilnej gwiazdzie.

Nowina o końcu zabiła Candice. Odebrała jej ducha walki. Ze wzmocnionym sztucznie układem immunologicznym kobieta nie powinna ulec gorączce. A jeżeli to nie zarazki, musiała być inna przyczyna choroby. Wspólne marzenia, na których realizację tak ciężko pracowali, obróciły się wniwecz. Przyczyną śmierci Candice było złamane serce.

Ksenol wracał na wzgórze, poruszał się bardzo szybko. Poniewczasie zdał sobie sprawę, że popełnił błąd. Okoliczności sprzyjały człowiekowi. Już niedługo. Bardzo, bardzo niedługo...

Miran dotarł do stóp wzniesienia. Przecisnął się w dół głębokiego wądołu między ostrymi głazami, oderwanymi erozją od zboczy. Szukał wyżej równiejszego terenu, gdzie odbędzie się konfrontacja z obcym. Z miejsca, w którym się znajdował, miał doskonałe pole do ostrzału całego wykrotu. Pod stopami zachręściły głośno drobne kamyczki, jedyna oznaka pośpiechu myśliwego.

Wiatr ustał, przez szare chmury przebiły się promienie słońca. Candice kochała te chwile. Jej łagodny charakter sprawiał, że nie widziała tu nic poza dzikim pięknem natury. Za każdym razem, gdy słońce przebiło się przez mroczny nieboskłon, przerywała pracę i delectowała się widokiem. Spłukiwana nieustannym deszczem ziemia w promieniach słońca błyszczała jak nowa.

„Ta ziemia czekała na nas, by ją ożywić”, mawiała Candice.

„Czekała na ludzi, by tu zamieszkali i przynieśli jej radość. Ta dolina to raj”.

Miran słuchał jej szczerych słów i wierzył tak, jak nie wierzył w nic innego w życiu. Podczas miesięcy, które spędził tu razem z Candice, nie było żadnej kłótni, nie padło nawet jedno gniewne słowo. Czyż mógł być lepszy omen zwiastujący wspaniałą przyszłość?

Pracowali całymi dniami, sadząc rośliny, korzystając z każdej sekundy dziennego światła. A w nocy kochali się godzinami z namiętnością tak intensywną, że niemal przerażającą. Leżąc potem w łóżku, zwierzali się sobie z najskrytszych myśli, szepcząc czule o życiu, które dzięki ich miłości wkrótce zakiełkuje w Candice.

Miran wspominał tamte szczęśliwe dni. Czy już wtedy ksenol ich obserwował? Czy podglądał ich podczas namiętnych uniesień? Słuchał ich cichych, małych sekretów? Przemykał niewidoczny wśród nowych roślin, rosnących na ziemi, dla której ludzie przelali krew jego gatunku? Czy spoglądał w niebo, gdzie migotały obce światła, oznajmiające przybycie kolejnych uzurpatorów? Co myślał ten obcy, gdy jego świat został najechany i podbity? I jak by się czuł, gdyby wiedział, że jego rasa cierpiała na próżno?

Mężczyzna wyczuł wzmożoną czujność ksenola, gdy obcy wkroczył na wzniesienie. Zatrzymał się, kiedy Miran przebiegł ostatnie metry po ostrej, splątanej trawie. Człowiek stał teraz na szczycie wzgórza, spoglądając w dół zwężającego się wykrotu.

Błotnisty strumień spływał powoli jakieś sześćset metrów poniżej, między wielkimi głazami i kilkoma fałdami ziemi, ale

nie było tu miejsca, by się bezpiecznie ukryć.

Ksenol wycofywał się w stronę strumienia. Miran nie dostrzegł ruchu, ale wiedział od początku, że nie będzie łatwo. Nie chciał, aby było łatwo. Przy pomocy noktowizora lub choćby psów mógł przyspieszyć pogoń, skrócić ją do paru dni. Ale chciał, aby ksenol miał świadomość, że jest celem. Chciał, by poczuł na własnej skórze koszmar pogoni, wiedział, że myśliwy z nim igra, i przeżywał niepokój targający wnętrzości, jaki jest udziałem każdego uciekiniera. Miran chciał, by obcy cierpiał tak, jak cierpiała Candice. By przeżywał męki, jakie były udziałem człowieka, gdy nawiedzały go duchy ksenoli.

Powolnym, uważnym krokiem mężczyzna ruszył naprzód, ściskając strzelbę. Uważnie obserwował otoczenie, szukając najdrobniejszego ruchu – cieni migoczących pomiędzy głazami, drżenia na tafli wody przy mulistym brzegu. Może tylko lekkiego zawirowania mgły – czegoś, czego ksenolowi na pewno nie uda się ukryć. W tej chwili nie miało znaczenia, jakiej użyje iluzji, Miran i tak go dopadnie. Chwyci go w objęcia i uśmierci z czułością kochanka. Ostatni akt wielkiej tragedii. Litościwe zwolnienie z życia dla ksenola, dla duchów, dla Candice i dla Mirana. Obcy był ostatnim ogniwem wiążącym ich z niedolą. Jego śmierć będzie aktem bezgranicznego miłosierdzia.

Do szczytu wzgórza pozostało może czterysta metrów, gdy mężczyzna wyczuł początki paniki w myślach ksenola. Obcy również musiał odgadywać bliskość człowieka, jego śmiercionośne intencje i zupełną bezwzględność. Zimne przekonanie wypełniające mu umysł.

„Sploniesz”, pomyślał Miran do ksenola. „Twoje ciało pożre

ogień i ból. Oto, co przynoszę”.

Wstręt i przerażenie, tak właśnie obcy miał spędzić ostatnie chwile życia. Żadnej godności. Żadnej nadziei. Ten sam koszmarny lęk, który pochłonął Candice, który zniszczył jej mały wspaniały świat.

Miran spojrział na wąskie bruzdy przy brzegu. Na ich dnie lśniły nieruchome kałuże. Otaczały je wysokie trzciny zwieńczone karmazynowymi kłębkami nasion. Poniżej pieniły się niebiesko-zielone kłębki glonów, roztaczając splecione nici. Kleiste krople miodowego soku spływały z ich końców.

Mężczyzna starał się dostrzec zakłócenia – wybrzuszenie w trawie, podobne do wielkiego kretowiska, lub większy od innych kłąb alg. Wiatr zakołysał łodygami trzcin, przynosząc ostry, kwaśny odór zgnilizny. Ksenola tam nie było.

Miran pewnie zszedł w dół.

Z każdym krokiem myśli obcego stawały się klarowniejsze. Bez wątpienia był blisko. Umysł ksenola rozdzierał strach. Chimeryczne doznanie kurczenia się, marszczenia skóry – obcy zapadał się do wewnątrz. Odruch obronny, próba zamknięcia się w sobie, zniknięcia, tak by straszliwy przeciwnik przeszedł, nie zauważając skulonej ofiary. Ksenol zanurzał się w przyjazną glebę, wtapiał w otoczenie.

I był blisko, bardzo blisko. Gorzkie doświadczenie pozwoliło Miranowi to ocenić.

Dzień należał do człowieka, ale noc była czasem obcego. Ksenol powracał do gospodarstwa raz za razem. Skradał się jak złośliwy upiór. Jego nieustanna obecność niszczyła spokój w sanktuarium snów Mirana.

Często śnił, że biegnie wzdłuż kotliny z Candice, śmiejąc się, krzycząc i tańcząc w promieniach słońca między drzewami. Dolina nie była taka, jaką pamiętał – jasna, ciepła, usiana tęczowym kobiercem kwiatów i otoczona drzewami uginającymi się od soczystych owoców. Sen o marzeniach Candice.

We śnie zanurzali się z Candice w błękitnej, przejrzystej wodzie, piszcząc z zimna, chlapiąc i skacząc jak młode najady. Za każdym razem mężczyzna przytulał Candice. Oczy miała zamknięte, szyję odsłoniętą, a usta rozchylone w wyczekującym westchnieniu. Ale potem skóra kobiety zawsze się marszczyła, ciemniała i nabrzmiwała pod uściskiem palców. I za każdym razem Miran dostrzegał, że obejmuje ksenola.

Kiedy zdarzyło się to po raz pierwszy, obudził się, drżąc w gniewie, zaciskając dłonie na pościeli w niekontrolowanych spazmach. Właśnie wtedy myśli człowieka i obcego splotły się, a umysły połączyły i zmieszały. Początkowo gniew Mirana był jak pożar, szybko jednak zmienił się w lodowatą żądzę mordy. Mężczyzna chwycił broń i nagi wybiegł w noc.

Ksenol był tam, za ogrodzeniem – mglista plama czerni odcinająca się w mroku. Jego obecność rozwiała zwątpienie ogarniające umysł Mirana, choć nie był pewien, czy burzliwą inicjację więzi zapoczątkował on, czy też obcy.

Mężczyzna usłyszał odgłos uderzeń o ziemię, gdy ciężkie ciało ksenola zerwało się do ucieczki. Strzelił i cienki jak igła promień podczerwieni rozdarł ciemność, rozświetlając otoczenie krwawą flarą. W miejscu, gdzie trafił, wybuchły pomarańczowe płomienie, kilka suchych krzewinek zajęło się ogniem.

Potem przez resztę nocy Miran siedział w progu, strzegąc

grobu. Okrył się grubym kocem, od czasu do czasu pociągał łyk brandy prosto z butelki i kurczowo ścisnął spoczywającą na kolanach laserową strzelbę. Kiedy nadszedł świt, zszedł nad rzekę po śladach ksenola.

Zdaje się, że przez te pierwsze tygodnie obcy nie potrafił trzymać się z dala, a Miran bał się zasnąć. Wówczas nadchodziły bowiem sny, w których prześladowały go duchy i ksenol, wślizgując się w otepiały umysł, torturując go wspomnieniem okrucieństwa, jakie ludzkość popełniła wobec Jubarry. I nawet Candice nie mogła przynieść Miranowi ukojenia, ponieważ ksenol odebrał mu jej obraz, pozostawiając jedynie łyżę i poczucie straty.

Miran zszedł ze stoku. Półkoliste jak paznokiec torfowisko falowało łagodnie, otoczone karłowatymi krzewami i ostrymi głazami. Mulista brązowa woda uderzała o brzeg sto metrów dalej.

Obecność ksenola przejawiała się coraz wyraźniejszym mamrotaniem w umyśle człowieka. Była na tyle silna, że Miran mógł spojrzeć na świat przez dziwne, obce zmysły. Mroczny kłęb mgły, w którym rozbłyskiwały iskry i wiry, zbliżał się powoli, lecz nieuchronnie. On. Miran.

– Pokaż się! – rozkazał.

Ksenol zeszywniał, wtapiając się w ziemię.

– Nie? – szydził Miran w poczuciu pewnego zwycięstwa. – Zobaczymy.

Przed nim znajdowało się pięć głazów. Wielkie brunatno-żółte kamienie, które ongiś stoczyły się ze szczytów, znaczyły plamy brudnozielonego mchu na łuskowatej, żłobionej tysiącami zim

powierzchni.

Miran wycelował laser w najbliższy głaz i strzelił. Rubinowy promień rozbłysnął jasno nawet w świetle dnia. Strużka siniego dymu uniosła się z miejsca trafienia, czerniejące odłamki opadły na trawę, osmalając ostre źdźbła. Skokowi temperatury towarzyszył przenikliwy syk.

Mężczyzna skierował lufę na drugi kamień i ponownie wystrzelił.

Trzeci głaz się rozprostował.

W obozie, gdzie mieszkał zwiad ekologów, ochrzczone ksenoli zmienioskórami w wyrazie niechętnego uznania dla ich zdolności do wtapiania się w tło. Plotki o istnieniu tych bestii krążyły od pierwszego lądowania, ale dopiero po wypuszczeniu wirusa udało się znaleźć ciało ksenola. Niektórzy z ksenobiologów uważali, że skoro obcy tak długo potrafili się ukrywać i unikać złapania, to muszą być rozumni; był to również jeden z argumentów, jakim posłużyła się Komisja Ksenoekologów podczas przesłuchań zarządu Kompanii.

Kilka autopsji przeprowadzonych na niekompletnych ciałach ksenoli wskazało, że obcy mają chrząstki zamiast kości, co pozwalało im w pewnym stopniu zmieniać kształt, a podskórne gruczoły produkowały pigment dowolnej barwy, umożliwiając maskowanie, nieporównanie doskonalsze od tego, które stosowały ziemskie kameleony.

Miran przekonał się, że ludzie w obozie również obawiają się nocy. Za dnia bez trudu dało się rozpoznać ksenoli, ich skóra była zbyt szorstka i pomarszczona, łatwa do odróżnienia od ludzkiej, nawet jeżeli przybierała identyczną barwę, obcy mieli

też zbyt patykowate kończyny. Ksenole były nocnymi stworzeniami, przystosowanymi do dzikich lasów i wilgotnych łąk, gdzie można łatwo się ukryć przy pomocy mimikry, naśladowując obiekty w otoczeniu, jeśli zbliżało się zagrożenie w postaci naturalnego wroga – bykozaura. Jednak nocą, gdy ksenole wędrowały przez nieoświetlone uliczki między barakami, niewyraźna człekokształtna sylwetka stawała się nie do odróżnienia od prawdziwego człowieka.

Coraz mniej liczna populacja obozu nauczyła się na noc ryglować drzwi.

Kiedy ksenol się wyprostował, był wyższy od Mirana o prawie pół metra. Z guzkowatej skóry obcego zniknął rdzawy odcień, ustępując naturalnemu, sinoszaremu zabarwieniu. Ciało również powróciło do zwykłego kształtu: gruszkowatego korpusu wspartego na dwu chudych nogach i talerzowatych stopach, z długimi ramionami zakończonymi kleszczowatymi dłońmi. Para fioletowych oczu wpiła się w Mirana.

Umysł ksenola wypełniła rezygnacja, a zaraz po niej głęboki gniew. Emocje skłębiły się w głowie człowieka, wypierając jego własne myśli.

– Nienawidzę cię – powiedział Miran obcemu. Dwa miesiące żałoby i złości przeniknęły do głosu, zmieniając go w dzikie warknięcie.

W jednym ksenol nie różnił się od innych osaczonych zwierząt. Rzucił się do ucieczki.

Miran oddał trzy szybkie strzały. Dwa trafiły w górną część korpusu zbiega, ostatni – śmiertelny – w środek. Promień lasera wydarł w gadziej skórze dziury wielkości pięści, przebijając

mięśnie i docierając do organów wewnętrznych.

Pionowe, bezwargie usta między oczami ksenola rozchyliły się jak rozcięcie, wydając wysoki świergot. Obcy zamachał chudymi ramionami, z ran postrzałowych popłynęła rzadka żółta krew. Z ostatnim jęklwym westchnieniem padł na ziemię.

Miran posłał jeszcze dwa strzały w głowę leżącego. Uznał, że mózg znajduje się blisko oczu. Kleszczowate dłonie zacisnęły się i rozchyliły bezwładnie, a potem ksenol już się nie poruszył.

Odległy grzmot przetoczył się przez dolinę, huk zawibrował między zboczami gór, zwiastując nadejście ulewy. Miran usłyszał jej szum, gdy przekraczał próg domu. Nie czuł satysfakcji. Zresztą wcale jej nie oczekiwał. Nagrodą było poczucie spełnienia po pokonaniu tylu trudów.

Jednak Jubarra nie mogła zaoferować Miranowi więcej celów, do których mógłby dążyć. Zabicie ksenola nie było bohaterskim czynem, wspinałym triumfem przedstawiciela ludzkości. Stanowiło jedynie osobistą pokutę i rozgrzeszenie, nic więcej. Miran musiał uwolnić się od przeszłości, jeżeli miał odnaleźć jakąś przyszłość.

Zatrzymał się przy grobie okrytym stosem ostrych kamieni, które miały chronić szczątki przed odgrzebaniem przez ksenola. Mężczyzna odpiął pas i położył na mogile laserową strzelbę oraz zapasowe baterie. Ofiara dla Candice. Dowód, że Miran skończył to, co miał do zrobienia w dolinie, a teraz był wolny i mógł odejść, zgodnie z życzeniem zmarłej.

Opuścił głowę i powiedział: – Skończone. Wybacz, że zwlekałem tak długo. Musiałem to zrobić.

A potem zaczął się zastanawiać, czy dla niej to naprawdę

koniec. Bo czy duch Candice nie będzie samotny? Jeden człowiek zmuszony wędrować pomiędzy tymi, których jego rasa przypadkowo wymordowała.

– To nie była jej wina! – krzyknął do duchów ksenoli. – Nie wiedzieliśmy! Nie prosiliśmy o to. Wybaczcie jej.

Jednak w głębi duszy tliło się poczucie winy. To, co zrobiono, uczyniono przecież w jego imieniu.

Wrócił do domu. Drzwi zostawił otwarte, krople deszczu padały na płyty podłogi, wilgoć chłodziła powietrze. Miran otrząsnął się z wody i wślizgnął do wnęki łazienkowej za zasłoną.

Twarz, która spojrzała na niego z lustra nad zlewem, zmieniła się przez minione dwa miesiące. Była wychudła, poznaczona długimi bruzdami na szorstkich od kilkudniowego zarostu policzkach. Skóra wokół oczu pociemniała, spojrzenie zdawało się puste. Żałosny widok. Miran westchnął – oto, do czego sam się doprowadził. Candice nie zniosłaby, gdyby tak wyglądał. Zdecydował, że powinien się umyć, ogolić i znaleźć czyste ubranie. A jutro pojedzie do obozu ekologów. W ciągu sześciu tygodni powinien przylecieć statek, który zabierze ich z planety. Krótki, smutny rozdział ludzkiej interwencji w historię Jubarry zakończy się w tym właśnie momencie. Nie wcześniej i nie później.

Miran opryskał twarz ciepłą wodą, zmywając warstwę zastałego brudu. Był tak zajęty, że nie zwrócił uwagi na odgłosy z zewnątrz, tak typowe w gospodarstwie: szelest wiatru w krzakach i sadzonkach, skrzypienie zawiasów, odległy szum rzeki.

Stukot dochodzący z salonu był tak nagły, że mężczyzna zamarł w napięciu. Twarz w lustrze pobladła.

To musiał być kolejny ksenol. Ale Miran nic nie wyczuł, żadnych obcych, splątanych doznań przenikających do jego umysłu.

Zacisnął dłonie na zlewie, by opanować drzenie. Ksenol nie jest w stanie wyrządzić człowiekowi większej krzywdy, powtarzał sobie. Te kleszczowate palce mogą zostawić paskudne zadrapania, ale nic więcej. Poza tym człowiek potrafi szybciej biegać. Miran dobiegnie do strzelby na grobie, zanim ksenolowi uda się dotrzeć do frontowego wyjścia.

Gwałtownie odsunął zasłonę. Pokój był pusty Miran nie wybiegł, lecz pospiesznie wysunął się z wnęki. Czy obcy poszedł do sypialni? Drzwi były lekko uchylone. Chyba dobiegł zza nich jakiś szmer. I wtedy mężczyzna zobaczył, co wywołało klekot.

Jedna z płyt podłogi wypaczyła się i odstawała niczym uchylone wieko skrzyni. Pod nią znajdowała się mroczna nora. Co było absolutnie nie do przyjęcia. Dom został wybudowany na powierzchni, nie miał piwnic.

Miran pochylił się nad otworem. Płyta miała około metra długości i szerokości, a pod nią wykopano podobnych rozmiarów dół. Na jego dnie spoczywały odłamki przypominające szczątki naczyń.

Ksenol. Miran instynktownie wiedział, że to obcy wykopał jamę. Mężczyzna podniósł jeden z białych odłamków. Wklęsły, z zewnętrznej strony suchy i gładki, wewnątrz lśnił od kleistego śluzu. Jajko.

Miran poczuł, jak eksploduje w nim gniew. Ksenol złożył jajo

w jego domu! Przechytrzył człowieka, wybierając jedyne miejsce poza podejrzeniem. Ten obcy drań założył gniazdo tam, gdzie miały dorastać dzieci Mirana.

Pchnął drzwi sypialni. Candice czekała na niego w łóżku, naga i uśmiechnięta. Świat zawirował przed oczyma. Nogi ugięły się pod mężczyzną, chwycił się framugi.

Candice była tak daleko.

– Candice – głos mu się załamał. Pokój zdawał się nierzeczywisty, to zmniejszał się, to nienaturalnie rozszerzał. Candice, ukochana Candice, była zbyt mała. Widok rozmył się jak po alkoholu, ale zaraz Miran opanował się. Candice miała mniej niż metr wzrostu.

– Kochaj mnie – powiedziała. Jej głos przypominał mysi pisk.

A jednak to była ona. Miran przesunął spojrzeniem po ukochanym ciele, którego obraz miał tak dokładnie wyryty w pamięci – długie nogi, płaski brzuch, wysokie piersi, ramiona umięśnione po wielomiesięcznej pracy w polu.

– Kochaj mnie.

Ksenol. Płód z gniazda pod podłogą. Nawiedzający Mirana w snach, żywiący się sennymi marzeniami. Płód, który narodził się z otaczającej dom miłości.

– Kochaj mnie.

Pierwszy ksenol narodzony po spotkaniu z człowiekiem, instynktownie naśladowający formę, jaka zapewnić mu miała największe szanse na przetrwanie w nowym wspaniałym świecie.

Szczupłe ramiona obcego wyciągnęły się do Mirana. Idealnie ludzka klatka piersiowa opięta była gładką kremową skórą.

Człowiek zaszlochał z bólu.

– Kochaj mnie.

Mógłby. Wiedział, że to prawda i prawda, rozdzierała go w śmiertelnym cierpieniu. Mógłby kochać ksenola. Życie ze zniekształconym, wynaturzonym cieniem Candice było lepsze niż bez niej. Obcy przecież urośnie. A w mrocznych godzinach samotności będzie obok Mirana i da mu ukojenie.

– Kochaj mnie.

Nie był dość silny, by oprzeć się pokusie. Jeżeli ksenol urośnie, Miran weźmie go w ramiona i zmieni w utraconą kochankę. Znowu będzie kochał Candice. Jeżeli ksenol urośnie...

Miran wsunął dłonie pod łóżko i uniósł je z gwałtownością szaleńca. Łóżko, materac, pościel splątały się, utworzyły kłębowisko. Ksenol pisnął, gdy stoczył się na podłogę.

– Kochaj mnie! – zabrzmiał dziki krzyk. Obcy, z nogami unieruchomionymi prześcieradłem i wykrzywioną twarzą, czołgał się do stóp Mirana.

Mężczyzna doskoczył do szafy, uniósł jej tylne nogi. Wiele godzin spędził kiedyś, zbijając ją z miejscowego drewna, mebel był solidny, mocny i ciężki.

– Kochaj mnie! – krzyk zmienił się w desperacki, błagalny jęk.

Szafa zachwiała się na przednich nogach. Z dzikim szlochem Miran pchnął ją po raz ostatni. Uderzyła o podłogę z głośnym hukiem, przygniatając tors ksenola.

Mężczyzna zwymiotował, po czym wybiegł na oślep z sypialni, zataczając się. Upadł przed domem, szlochając i drapiąc błotnistą ziemię, niczym oszalałe zwierzę.

Stłumiony łomot sprawił, że Miran uniósł wzrok. Pomimo łez

ujrzał, jak kamień na mogile odtacza się ze sterty. Ze szczeliny wystrzeliło szczupłe ramię. Drobne łuski zaczęły opadać. Dłoń i ramię powiększały szczelinę. Wreszcie nagi homunkulus wyprostował się niezgrabnie, rozrzucając skorupki jajka, z którego się wyklął. Nawet jajo ksenola posiadało zdolność do wtapienia się w otoczenie.

Miran patrzył oszołomiony, jak stworzenie odczołguje się ze sterty odłamków piaskowca na mogile i przyłącza do kolejnej pary człekokształtnych ksenoli, czekającej nieopodal.

W domu najbezpieczniejszym sposobem na przetrwanie było naśladowanie obiektu otoczonego miłością, chronionego i hołubionego. Ale na zewnątrz przetrwanie zapewnić mogło jedynie przybranie formy najgroźniejszego ze wszystkich drapieżników.

Trzy miniaturowe postaci uniosły laserową strzelbę.

– Nienawidzę cię – syknął zjadliwie jeden z obcych, a potem uderzył małą pięścią w spust.

Miran nie mógł uwierzyć, że jego własna twarz zdolna jest do wyrażania tak wielkiego gniewu.

Greg Egan Choć młodszy od Erica Browna i Petera Hamiltona (nawet jeżeli jest to różnica zaledwie paru miesięcy), Greg Egan (ur. 1961) cztery lata wcześniej niż oni publikował utwory fantasy i science fiction w Australii, skąd pochodzi. Już debiut ugruntował pozycję Grega Egana jako „jednego z najbardziej pomysłowych autorów”, jak określił go „The Times”. Egan, jak Hamilton, zawsze sięga przełomu – nic nie jest zbyt trudne dla jego wyobraźni. Powieść *Quarantine* (1992) opisuje Ziemię wyrwaną z Układu Słonecznego przez ogromne i silne pole, podczas gdy *Diaspora* (1997) i *Teranesia* (1999) przedstawiają nowy etap ewolucji gatunku ludzkiego. Krótsze utwory Egana, które można znaleźć między innymi w *Axiomatic* (1995) i *Luminous* (1998), przyciągają uwagę intrygującymi przedstawieniami wielowymiarowej rzeczywistości. O tym również jest prezentowane opowiadanie.

N JAK NIESKOŃCZONOŚĆ

Jedna rzecz nigdy się nie zmienia: kiedy jakiś zmutowany śmieć na N zaczyna mieszać w rzeczywistości, zawsze to ja jestem wysyłany w środek bałaganu, by zrobić porządek.

Dlaczego? Mówi się, że jestem stabilny. Niezawodny. Godny zaufania. Można na mnie polegać. Po każdej odprawie psycholodzy Korporacji (za każdym razem ktoś inny, zawsze nieznajomy) potrząsają z niedowierzaniem głowami nad wydrukiem i mówią, że jestem dokładnie tą samą osobą, jakbym to „ja” miał się zmienić.

Światów równoległych jest nieskończenie wiele – tak jak liczb naturalnych, a nie jak liczb całkowitych, które utrudniają jedynie liczenie bez pomocy matematycznych twierdzeń, jednak mówiąc prosto – ja jestem niezwykły, bo niezmienny: bardziej podobny do siebie na każdym ze światów niż inni ludzie. Jak podobny? Na ilu światach? Wystarczająco wielu, by było to przydatne. Wystarczająco wielu, bym mógł wykonywać swoją pracę.

W jaki sposób Korporacja to odkryła i w jaki sposób mnie znalazła, nigdy mi nie powiedziano. Zostałem zwerbowany, gdy miałem dziewiętnaście lat. Przekupiony. Wyszkolony. I poddany praniu mózgu, jak przypuszczam. Czasami zastanawiam się, czy moja stabilność jest zaprogramowana – może takim właśnie

mnie stworzono: niezmiennym? Może nieskończona liczba różnych ludzi, którzy przeszliby ten sam proces co ja, stałaby się taka jak ja. Ale musieliby przejść dokładnie to samo. Zresztą tak naprawdę nie wiem.



Detektory rozrzucone wokół planety wykryły słaby załazek wiru i określiły, że jego centrum będzie miało kilka kilometrów średnicy, ale to wszystko, co mogły zrobić. Każda wersja Korporacji dzieli się bez oporów technologią ze swoimi odpowiednikami, by uzyskać jednorodność i optymalność działań, ale nawet na najlepszym z możliwych światów detektory są zbyt wielkie i jednocześnie za bardzo delikatne, by przetrwać w pobliżu wiru i przesłać dokładniejsze odczyty.

Helikopterem docieram na pustkowie południowej granicy getta w Leightown. Nigdy tu nie byłem, ale zasłonięte roletami wystawy sklepów i szare wieżowce wyglądają bardzo znajomo. Każde wielkie miasto na świecie (na każdym świecie, jaki widziałem) ma podobne miejsca, stworzone przez politykę, zwykle nazywaną polityką różnicowania praw. Używanie lub posiadanie N jest nielegalne, a karą w większości krajów są (zwykle) masowe egzekucje, jednak władze wolą raczej mieć użytkowników zebranych w wydzielonych strefach, niż ryzykować ich rozproszenie po całym społeczeństwie. Dlatego jeżeli ktoś zostanie złapany z N gdzieś na miłym, czystym przedmieściu, może łatwo zarobić kulę w głowę, ale w miejscu takim jak getto w Leightown spotkanie z przedstawicielami prawa jest mało prawdopodobne. No i proszę – ani jednego gliny

w zasięgu wzroku.

Kieruję się na północ. Minęła ledwie czwarta nad ranem, ale panuje nieznośny upał, a kiedy wychodzę przez strefę bezpieczeństwa na ulicę, otacza mnie natychmiast tłum. Ludzie kręcą się przy nocnych lokalach, sklepach z alkoholem, lombardach, kasynach i burdelach. Światła uliczne w tej części miasta są wyłączone, ale jakiś maniak bezpieczeństwa zastąpił zwykle żarówki samoładującymi się sferami z trytem lub fosforem, które rzucają na chodniki plamy zimnego, bladego światła, wyglądające jak radioaktywne mleko. Powszechnie zakłada się błędnie, że użytkownicy N nie robią nic poza śnieniem dwadzieścia cztery godziny na dobę, jednak to śmieszne – ci ludzie potrzebują jak wszyscy jedzenia, picia i pieniędzy, a bardzo niewielu zużywałoby narkotyk tylko po to, by znaleźć swoje *alter ego* pogrążone we śnie.

Wywiad donosi, że w Leightown istnieje jakaś odmiana kultu wiru, którego zwolennicy mogą próbować przeszkodzić mi w wykonaniu zadania. Ostrzegano mnie już wcześniej przed podobnymi grupami, ale nigdy do niczego nie doszło, najdrobniejsze zakłócenie rzeczywistości wystarcza, by wymazać podobne aberracje. Korporacja i getta stanowią stałą odpowiedź na N, chyba są od siebie bezpośrednio zależne, w przeciwieństwie do innych aspektów rzeczywistości. Co nie znaczy, że mogę sobie pozwolić na brak czujności. Nawet jeżeli te kultury nie mają wpływu na moją misję, bez wątpienia wyznawcy są zdolni do zabicia jednej z moich wersji i wolałbym, abym to nie był przypadkiem właśnie „ja”. Zdaję sobie sprawę, że nieskończona liczba moich odpowiedników przeżyje – a

niektórzy będą się ode mnie różnić tylko tym, że przeżyli – może zatem nie powinienem się przejmować kwestią śmierci.

Ale się przejmuję.

W garderobie Korporacji ubrano mnie skrupulatnie: w koszulkę z hologramem, pasującą bardziej otyłej matronie, która pragnie odbyć podróż dookoła świata, najmodniejsze dzinsy i odpowiednie adidas. Paradoksalnie użytkownicy N zwykle są niewolnikami lokalnej mody – w przeciwieństwie do ludzi z ich snów. Może chodzi o pragnienie rozdzielenia życia we śnie i życia na jawie. Dzięki temu mam doskonały kamuflaż, choć nie można oczekiwać, że tak pozostanie – kiedy tylko wir się rozkręci, rozrzucając po getcie skrawki różnych wariantów historii, zmiany w stylu ubierania będą jedną z najbardziej wyraźnych oznak bliskości wiru. Jeżeli moje ubranie nie zacznie wyglądać jak skrawki strojów różnych trendów, będę wiedział, że idę w złym kierunku.

Wysoki, łysy mężczyzna z zasuszonym ludzkim kciukiem zwisającym z ucha potrąca mnie przy barze. Kiedy się cofam, zaczyna wykrzykiwać obelgi i przekleństwa. Zachowuję ostrożność – facet może mieć kumpli w tłumie, a nie czas teraz na przepychanki. Nie chcę pogarszać sprawy, odpowiadając na wyzwiska, ale staram się wyglądać na pewnego siebie, choć bez okazywania wstrętu lub arogancji. Opłaciło się. Bezkarne lżenie mnie przez pół minuty najwyraźniej usatysfakcjonowało gościa, ponieważ uśmiecha się z dumą i odchodzi.

Kiedy ruszam dalej, zastanawiam się, ile wersji mnie nie pozwoliłoby koleśowi wywinąć się tak łatwo.

Przyspieszam, by nadrobić opóźnienie.

Jakaś kobieta pojawia się przy mnie i idzie obok.

– Cześć! Podobało mi się, jak sobie poradziłeś. Finezyjnie. Zręcznie. Pragmatycznie. Pełny profesjonalizm. – Ma ze trzydziestkę i krótkie, metalicznoblękitne włosy.

– Spadaj, nie jestem zainteresowany.

– Czym?

– Czymkolwiek.

Potrząsa głową.

– Nieprawda. Jesteś tu nowy i szukasz czegoś. Albo kogoś. Mogłabym pomóc.

– Powiedziałem: spadaj.

Wzrusza ramionami i zwalnia, zostając z tyłu, ale rzuca mi jeszcze w plecy: – Każdy myśliwy potrzebuje przewodnika! Pomyśl o tym.



Parę przecznic dalej skręcam w nieoświetloną uliczkę. Opustoszała, cicha, śmierdząca przypalonymi śmieciami, tanimi środkami owadobójczymi i moczem. Ale wyczuwam wyraźnie: w mrocznych wnętrzach zniszczonych budynków ludzie na N śnią.

N nie jest jak inne narkotyki. Wizje, jakie przynosi, nie są surrealistyczne ani euforyczne. Ani też nie są to odloty na stymulantach: puste fantazje, absurdalne bajki o nieograniczonym bogactwie i nieopisanym szczęściu. N przynosi sny o życiu – dosłownie – o życiu, które mogło się zdarzyć śniącemu, równie prawdziwym i realnym jak to na jawie.

Z jednym wyjątkiem: jeżeli wydarzenia we śnie zaczynają przybierać nieprzyjemny obrót, śniący może w każdej chwili

porzucić życie i wybrać kolejne (bez śnienia, że zażywa N... choć i tak się zdarzało). On lub ona może przejść do kolejnej egzystencji, w której można zmienić błędne decyzje. To życie bez porażek, bez twardych konsekwencji. Wszystko jest zawsze możliwe i w zasięgu ręki. N pozwala ludziom żyć zastępczo w każdym świecie równoległym, gdzie istnieje ich *alter ego* – osoba o wystarczająco podobnej fizjologii mózgu, by utrzymać rezonansowe, pasożytnicze połączenie. Badania dowiodły, że nie potrzeba doskonałej zgodności genetycznej, lecz aby pojawiły się warunki sprzyjające powstaniu więzi, wystarczą podobne przeżycia z dzieciństwa.

Dla większości użytkowników narkotyków nie jest niczym więcej jak oknem do innego życia. Ale dla jednego na kilkaset tysięcy staje się drzwiami. Podczas trzeciego lub czwartego roku zażywania tacy ludzie zaczynają przenosić się fizycznie ze świata na świat, chcąc zająć miejsce jednego ze swoich *alter ego*.

Problem polega na tym, że w przypadku nieskończoności prosta wymiana nigdy nie jest ani prosta, ani łatwa – w grę wchodzi wszystkie wersje zmutowanego użytkownika posiadającego umiejętność fizycznego przemieszczania się między światami równoległymi i wszystkie wersje, którymi taki użytkownik pragnie się stać. Tego rodzaju podmiiany pochłaniają energię i nie jest to okoliczność sprzyjająca – w praktyce każdy użytkownik, który chce dokonać zamiany, musi przenosić się stopniowo, nieustannie, przechodząc przez punkty węzłowe. A te punkty węzłowe są zajęte również przez inne wersje użytkownika. Dlatego przypomina to przeciskanie się przez tłum lub przedzieranie przez silny nurt. Śniący musi płynąć.

Na początku, rzecz jasna, *alter ego*, które odkryły umiejętność poruszania się między światami, są nieliczne i rozmieszczone zbyt rzadko, by miało to znaczenie. Jednak im dalej w nieskończoność, tym wyraźniej jej symetrię ogarnia paraliż: wszystkie potencjalne zdarzenia stają się równocześnie możliwe, nawet te całkowicie sprzeczne. Wszystko po prostu znosi się wzajemnie.

Kiedy symetria zostaje złamana po raz pierwszy czy drugi, zwykle pojawia się tylko lekkie drgnienie, krótkie wahnięcie, niemal niewykrywalne trzęsienie świata. Detektory rejestrują je, lecz są zbyt mało precyzyjne, by podać dokładną lokalizację. W końcu jednak zostaje przekroczona wartość krytyczna. Pojawiają się skomplikowane, coraz silniejsze pływy: rozległe, splątane prądy o patologicznej strukturze, jakie może pomieścić jedynie przestrzeń o nieskończonej liczbie wymiarów. Takie prądy mają własności przyciągające. W ten właśnie sposób powstają wiry – im bliżej zmutowanego użytkownika N , tym szybciej następuje przeskok ze świata na świat.

A im więcej wersji użytkownika tworzy prąd, tym większa jest jego siła – a im większa siła, tym szerszy zasięg oddziaływania wiru.

Korporacja, rzecz jasna, ma to gdzieś, o ile poszarpana rzeczywistość obejmuje wyłącznie getto. Moim zadaniem jest zapobiegać rozprzestrzenianiu się pływu.

Uliczka zawiodła mnie na szczyt wzniesienia. Około czterystu metrów dalej na północ przecina ją główna arteria. Znajduję bezpieczną kryjówkę między śmietnikiem a na wpół rozebrany domem, wyjmuję lornetkę i przez parę minut obserwuję

przechodniów. Co dziesięć, piętnaście sekund dostrzegam drobne przeskoki: zmieniające się nagle elementy ubiorów, ludzi nieoczekiwanie zamieniających się miejscami, znikających zupełnie lub pojawiających się znikąd. Lornetka to sprytne urządzenie, nie tylko rejestruje takie przypadki na obszarze, w który została wycelowana, lecz także umieszcza je na mapie, określając pozycję i współrzędne zajścia.

Obracam się o sto osiemdziesiąt stopni i lustruję tłum, w którym wcześniej szedłem. Liczba przechodniów wyraźnie zmalała, ale zachodzą tu identyczne zjawiska. Oczywiście nikt nie zwraca uwagi na fenomeny – na razie gradient wiru jest jeszcze na tyle mały, że dwaj ludzie w tłumie mogą równocześnie przeskoczyć między światami i tego nie zauważyć. Takie zmiany widać tylko z dystansu.

Tak naprawdę, skoro jestem blisko środka wiru, większość zmian, jakie postrzegam, wynika z praktyki i doświadczenia. Dawno temu opuściłem świat, w którym zostałem zatrudniony – jednak nie mam wątpliwości, że moje miejsce zostało natychmiast zajęte i będzie zajmowane w nieskończoność.

Jeszcze trochę się rozejrzę, by zyskać dokładniejszy namiar – popatrzę dalej poza linię północ-południe. Z biegiem czasu wir dryfuje, przesuwa się, ale niezbyt szybko; pływy rozchodzą się między światami, w których ośrodki powstawania wiru są blisko siebie, dlatego pozycja wiru nie zmienia się aż tak bardzo.

Schodząc ze wzgórza, kieruję się na zachód.



Znowu światła i tłum. Kiedy szukam dogodnego miejsca, by

przecisnąć się między ludźmi, ktoś szarpie mnie za łokieć. Odwracam się i widzę tę samą kobietę, która zaczepiła mnie wcześniej. Posyłam jej lekko poirytowane spojrzenie, ale milczę, nie wiedząc, czy to na pewno ta sama osoba, która wcześniej ze mną rozmawiała. Nie chcę mieszać jej w głowie. Zwłaszcza że daje się już wyraźnie zauważyć skutki działania wiru – wystarczy choćby posłuchać radia, gdzie mieszają się chaotycznie fragmenty różnych piosenek – jednak nie do mnie należy rozpowszechnianie takich informacji.

– Mogę ci pomóc ją znaleźć – mówi kobieta.

– Znaleźć kogo?

– Wiem dokładnie, gdzie ona jest. Nie trzeba namierzać ani kalku...

– Zamknij się. Chodź ze mną.

Rusza za mną bez zwłoki, skręcamy w najbliższą alejkę. Może prowadzi mnie w zasadzkę. Kim jest, czcicielką wiru? Ale uliczka sprawia wrażenie opustoszałej. Kiedy upewniam się, że jesteśmy sami, popycham kobietę na ścianę i przystawiam jej pistolet do głowy. Nie krzyczy, nie próbuje stawiać oporu, jest wstrząśnięta, ale wątpię, by zaskoczyło ją takie traktowanie. Sprawdzam ją podręcznym magnetowizorem rezonansowym – nie ma broni, pułapek ani nadajników.

– Gadaj, o co ci chodzi – rzucam. Mógłbym przysiąc, że nikt nie powinien mnie zauważyć na wzgórzu, ale może kobieta widziała inną wersję mnie? Zwykle nie nawalam, ale cóż... wszystko może się zdarzyć.

Kobieta na chwilę zamyka oczy, a potem mówi, niemal spokojnie: – Chcę ci oszczędzić czasu i tyle. Wiem, gdzie jest

mutantka. Chcę pomóc ci znaleźć ją jak najszybciej.

– Dlaczego?

– Dlaczego? Prowadzę tu interes i nie chcę go stracić. Masz pojęcie, jak trudno jest ponownie nawiązać odpowiednie kontakty, kiedy wir już przejdzie? Myślisz, że mam ubezpieczenie na taką okoliczność?

Nie wierzę w ani jedno słowo, ale nie mam powodu, by nie udawać, że przyjmuję wyjaśnienie; to pewnie najprostszy sposób, by poradzić sobie z niechcianą współpracownicą – zmylić ją. Chowam broń i wyciągam mapę.

– Pokaż.

Wskazuje budynek około dwóch kilometrów na północny wschód od miejsca, gdzie się znajdujemy.

– Piąte piętro. Apartament 522.

– Skąd wiesz?

– Mój znajomy mieszka w tym domu. Zauważył efekty wiru tuż przed północą i skontaktował się ze mną. – Niebieskowłosa śmieje się nerwowo. – Tak naprawdę nie znam faceta aż tak dobrze... ale zdaje się, że wersja, która do mnie dzwoniła, jest ze mną związana na innym ze światów.

– Dlaczego po prostu nie uciekłaś, kiedy się dowiedziałaś? Dlaczego nie odeszłaś na bezpieczną odległość?

Gwałtownie potrząsa głową.

– Ucieczka to najgorsze wyjście, mogłabym stracić kontakty biznesowe. Świat na zewnątrz się nie liczy. Myślisz, że obchodzi mnie, czy rząd się zmieni albo gwiazdy rocka będą się inaczej nazywać? Tu jest mój dom. Jeżeli Leightown się zmieni, lepiej, żebym zmieniła się razem z nim. Albo z jego częścią.

– Jak mnie znalazłaś?

Wzrusza ramionami.

– Wiedziałam, że się pojawisz. Każdy to wie. Oczywiście nie miałam pojęcia, jak wyglądasz, ale znam dobrze okolicę, więc szukałam nieznajomych. I chyba miałam szczęście.

Shczęście. Właśnie. Niektóre z moich *alter ego* będą prowadzić podobną rozmowę, ale inne w ogóle nie będą rozmawiać. Jeszcze jedno przypadkowe opóźnienie.

Chowam mapę.

– Dzięki za informacje.

Kobieta kiwa głową.

– Drobiazg, chętnie pomagam.

A kiedy odchodzę, rzuca za mną: – W każdej chwili, gdy zachodzi potrzeba.



Przyspieszam kroku, zapewne pozostałe wersje mnie robią to samo w innych światach, starając się nadrobić zwłokę. Nie mogę wymagać doskonałej synchronizacji naszych działań, ale rozproszenie bywa zdradliwe – gdybym nie starał się go choć trochę zminimalizować, skończyłbym na dochodzeniu do ośrodka wiru każdą dostępną trasą, co zapewne zajęłoby dni, jeśli nie tygodnie.

A chociaż zwykle nadrabiam stracony czas, nigdy nie udaje się całkowicie uniknąć skutków opóźnień. Ja i moi *alter ego* pojawiajemy się w światach równoległych w różnym czasie i w różnych odległościach od wiru, a nasze odpowiedniki zamieniają się miejscami bez zapowiedzi. Istnieją teorie naukowe, które

dowodzą, że w określonych warunkach może powstać luka, a wtedy fala wiru porwie mnie i oderwie od moich *alter ego*. To trochę tak, jak dzielić na pół wszystkie liczby między 0 a 1, zostawiając lukę od 0,5 do 1... jak wciskanie jednej nieskończoności w drugą, przy czym obie nieskończoności są u podstaw takie same, ale geometrycznie jedna od drugiej jest o połowę mniejsza. Żadna wersja mnie nie została jak dotąd zabita i nawet nie żyłem jednocześnie z inną wersją w tym samym świecie, ale mimo wszystko luka może się pojawić.

Niezbyt mam ochotę iść prosto do domu, który wskazała „informatorka”, choć podobno tam właśnie śni zmutowana użytkowniczka N. Wcale mi się to nie podoba, nawet jeżeli informacja jest prawdziwa, w co szczerze wątpię. Niemożliwe, abym otrzymał dokładne wskazanie punktu zero na znaczącej liczbie światów objętych wirem. A działania podjęte na nieznaczącej liczbie światów będą zupełnie nieskuteczne i nie uda się powstrzymać nurtu.

Jeżeli mam rację, wtedy oczywiście moje działania nie zrobią żadnej różnicy. Nawet jeżeli wszystkie wersje mnie, które otrzymały namiary, odejdą od wiru, nie wpłynie to na ogólny wynik misji. Odjęcie zera nie zmienia wyniku działania. W takim ujęciu to, co robię indywidualnie, jako jednostka, zawsze będzie bez znaczenia – jeżeli ja i tylko ja sam zaginę, strata będzie nieskończenie mała. Rzecz w tym, że wiem o istnieniu innych.

Szczerze mówiąc, niektóre wersje mnie prawdopodobnie zginęły. Chociaż moja osobowość jest stabilna i niezmienna, trudno oczekiwać, że nie pojawi się określona liczba zdarzeń o takiej kombinacji czynników, które mnie eliminują. Jednak jeżeli

istnieje wybór innej możliwości, ja – i każdy z moich *alter ego* – będę się starał przeżyć. Moja stabilność polega na rozpowszechnieniu i względnej bliskości wszystkich rozgałęzień linii zdarzeń w światach równoległych – podobieństwie kształtu, statycznym, wcześniej ustanowionym układzie struktur. Wolna wola podlega racjonalizacji, nie mogę się powstrzymać od podejmowania prawidłowych decyzji. Ani też tych błędnych.

Jednak „wolę” (bardzo znaczące słowo) o tym za dużo nie myśleć. Zdrowy rozsądek podpowiada, że lepiej, abym uważał się za jednego z wielu niezależnych agentów – i dążył do synchronizacji z działaniami innych niezależnych agentów, nadrabiając drobne opóźnienia, trzymając się procedur i „najlepiej jak potrafię” skupiając na tym, co jest do zrobienia tu i teraz.

A jeżeli chodzi o te wersje mnie, które zdezerterowały, poniosły porażkę lub zginęły, mam proste rozwiązanie: wyrzekam się ich. Tylko ode mnie zależy, jak się postrzegam i jak określam swoją tożsamość. Jestem zmuszony do zaakceptowania mojej wielokrotności, ale to ja wyznaczam granice dla siebie. I to „ja” jestem tym, który przeżyje i odniesie sukces. Inni to inni, niech odpowiadają za siebie tak samo jak ja za siebie.

Odpowiedni punkt obserwacyjny trafia się po krótkim marszu. Mogę zrobić trzeci pomiar. Widok przypomina półgodzinne nagranie wideo puszczane tak, by zmieściło się w pięciu minutach – choć zmiany nie zachodzą z jednakową szybkością, poza parami osób, które są dość do siebie podobne, ludzie znikają i pojawiają się w różnych odstępach czasu, próbując uporać się ze skutkami przeskoku. Oczywiście wszyscy

przechodzą ze świata na świat mniej więcej razem, ale to nie znaczy, że znikają i pojawiają się w tej samej chwili lub w tych samych miejscach – proces jest tak skomplikowany, że równie dobrze może być przypadkowy. Nieliczni nie znikają wcale, jakiś mężczyzna co rusz wychodzi z za rogu, choć za każdym razem ma zupełnie inną fryzurę.

Kiedy namierzanie jest skończone, komputer w lornetce wyświetla koordynaty miejsca, gdzie najprawdopodobniej powstał wir. Punkt znajduje się około sześćdziesięciu metrów od domu, który wskazała niebieskowłosa kobieta. Biorąc pod uwagę margines błędu... Może mówiła prawdę – choć to nic nie zmienia. Nadal muszę ją ignorować.

Kiedy ruszam do celu, pogrążam się w myślach. Może kobieta próbowała zwabić mnie wcześniej w pułapkę? Może wskazała mi miejsce pobytu mutantki, by odwrócić moją uwagę, by mnie zmylić i zdekoncentrować? A może kobieta rzuciła monetą: orzeł – wskazać lokalizację mutanty, reszka – wręcz przeciwnie. Albo to były kości i wybór z większej liczby posunięć taktycznych.

To tylko teoria... ale budująca: jeżeli tak wygląda wszystko, co potrafią zrobić czciciele wiru, żeby ocalić obiekt ich kultu, nie mam się czego obawiać.



Unikam głównych dróg, jednak nawet w bocznych uliczkach widać oznaki paniki. Ludzie biegają, niektórzy krzyczą histerycznie, inni mijają mnie z ponurą zaciętością, jedni mają puste ręce, inni dźwigają dobytek, jakiś mężczyzna wali pięściami w drzwi i rzuca kamieniami w okna, by obudzić

domowników i przekazać wieści o zagrożeniu. Nie wszyscy zmierzają w tym samym kierunku, choć większość próbuje po prostu opuścić getto, uciec przed wirem, są jednak i tacy, którzy starają się odnaleźć przyjaciół, rodziny i bliskich, zanim zmieniają się w obcych ludzi. Życzę im powodzenia.

Poza tymi, którzy są w centrum oddziaływania wiru. Kilku upartych śniących zapewne nawet nie ruszyło się z miejsca. Przenikanie światów dla nich się nie liczy, mogą śnić swoje alternatywne życie w dowolnym czasie i miejscu – a przynajmniej tak im się wydaje. Pewnie przeżyją szok, kiedy się okaże, że wir może objąć światy, w których nie istnieje N – gdzie zmutowana użytkowniczka ma *alter ego*, które nigdy nawet nie słyszało o narkotyku.

Kiedy skręcam w długą, szerokopasmową ulicę, można gołym okiem dostrzec przeskok, jakie kwadrans temu rejestrowała tylko specjalna lornetka. Ludzie pojawiają się, zamieniają miejscami, znikają. Nikt nie pozostaje długo w polu widzenia, niektórzy przesuwiają się o kilkanaście metrów, zanim znikną na dobre. Wielu kuli się i potyka w biegu, omijając równie często pustą przestrzeń, jak i prawdziwe przeszkody – opuściła ich pewność, że świat wokół jest stabilny i niezmienny. Niektórzy pędzą na oślep, z opuszczonymi głowami i wyciągniętymi ramionami. Większość ludzi jest na tyle mądra, by przemieszczać się pieszo, ale na jezdni pojawiają się i znikają także rozbite samochody. Jeden jedzie, a przynajmniej tak mi się wydaje, bo widzę go zbyt krótko.

Nigdzie natomiast nie dostrzegam siebie. I wcześniej też nie widziałem. Przypadkowe przeskoki powinny mnie przerzucić do

tęgo samego świata dwukrotnie, przynajmniej w niektórych światach – ale to odsetek miejsc bliski zeru. Jak prawdopodobieństwo, że dwiema identycznymi strzałkami trafi się w dokładnie ten sam punkt na tarczy – ten sam zerowymiarowy punkt – i to dwa razy. Wystarczy powtórzyć ten eksperyment na nieskończenie wielkiej liczbie światów i uda się – ale tylko w bardzo nielicznych przypadkach.

Zmiany następują coraz gwałtowniej, gdy idę, uciekający ludzie rozmywają się – po części jest to rezultat przenikania i rozdzielania się światów równoległych – a to znaczy, że zbliżam się do wiru, ponieważ aktywność przemian jest coraz większa. Powoli, bardzo powoli przeciskam się przez zniszczenia. Utrzymuję stałe tempo, wypatrując zarówno przeszkód ludzkich, jak i zmian w otoczeniu.

Przechodniów jest coraz mniej. Ulica przede mną nadal się trzyma, ale budynki wokół zaczynają się przemieniać, tworząc hybrydy niepasujących do siebie elementów architektonicznych, składanki zupełnie różnych konstrukcji i wzorów, transmutujące nieustannie w kolejne dziwaczne twory. To jak fragmenty rysunków, które służą do tworzenia portretów pamięciowych, tylko tym razem są to kawałki budynków, i to w trójwymiarze, a maszyna do ich składania jest wyraźnie przeciążona. Wkrótce większość tych składanek zawali się na skutek utraty równowagi i niedopasowanych fundamentów. Spadające odłamki mogą się okazać niebezpieczne dla pieszego, dlatego lawiruję między samochodami, starając się trzymać środka jezdni. Ruchu ulicznego co prawda nie ma, ale i tak trudno precyzyjnie przesuwać się przez ten „nieruchomy” złom. Przeszkody pojawiają się i znikają –

zwykle szybciej jest poczekać, aż znikną, niż je omijać. Mogę uwięzić między karosieriami, ale nie na długo.

W końcu większość budynków wali się na większości światów, a ja znajduję łatwe przejście na poboczu jezdni. Wokół rozciąga się panorama zniwelowanego getta – widok jak po trzęsieniu ziemi. We wnętrzu wiru nie widać nic oprócz szarej mgły i majaczących w niej kształtów budowli, jednak tuż przy granicy konstrukcje nadal się poruszają i nieustannie zmieniają – może ruch jest na tyle szybki, że nie ma czasu na zawalenie się ścian – na szczęście ja przenoszę się szybciej niż budynki, niebo nade mną zmieniło się już w amorficzną wieloaspektową panoramę milionów potencjalnych nieboskłonów.

Ludzka sylwetka rozcięta ukośnie od głowy po krocze materializuje się przede mną, opada i znika. Wstrząsa mną dreszcz, ale idę dalej. Wiem, że to samo przydarzyło się innym wersjom mnie – ale to ja stwierdzam, ja oceniam, że były to zwłoki nieznanego. Intensywność przeskoków jest tak duża, że części ciała mogą być przerzucone w inne światy i niekoniecznie trafić w miejsce, gdzie znajduje się reszta człowieka. Zdarzają się takie przypadki, jednak rzadziej, niż przewidują statystyki – ludzkie ciało broni swojej integralności i przeskakuje między światami o wiele częściej w całości niż w częściach. Fizyka nie odkryła jak dotąd przyczyn tej anomalii – ale też fizyce nadal wymyka się wyjaśnienie fenomenu ludzkiego mózgu, który może kreować iluzje i urojenia czy zdumiewające opowieści, wyczuwać czas, tworzyć własną tożsamość; zagadka multiwymiarowej, rozgałęzionej nadprzestrzeni również okazała się dla nauki – jak do tej pory – nierozwiązywalna.



Niebo się rozjaśnia, przybiera dziwną szarosiłą barwę, jaka nie występuje na nieboskłonie żadnego ze światów. Ulica również ulega nieustannym przemianom, w każdej sekundzie lub przy co trzecim kroku ukazuje się co innego – a to asfalt, a to nierówny bruk, beton, piasek – wszystko na różnej wysokości. Na chwilę pojawia się nawet pasmo wyschniętej trawy. Tylko implant nawigacyjny w czaszce prowadzi mnie teraz przez ten chaos. Wokół wirują kłęby pyłu i dymu, aż nagle...

Widzę skupisko bloków z migoczącymi fasadami, jednak nieprzejawiające żadnej tendencji do zmian. Szybkość przeskoków jest tu wyższa niż gdzie indziej, ale właśnie dzięki temu utrzymuje się równowaga: im bliżej zmutowanego śniącego, tym bardziej przenikające się światy są do siebie podobne.

Blokowisko jest dość symetryczne i bez trudu można się zorientować, w której części znajduje się środek wiru. Żadna z moich wersji nie przeoczyłaby tak wyraźnych oznak, nie muszę więc kombinować i zastanawiać się, jak utrzymać synchronizację przy dochodzeniu do celu.

Frontowa brama domu oscyluje między trzema alternatywnymi wersjami architektonicznymi. Wybieram drzwi najdalej po lewej – standard, jaki Korporacja zdołała rozpowszechnić w swoich odpowiednikach, zanim jeszcze zostałem zwerbowany. (Bez wątpienia przeciwne instrukcje również się pojawiły, niemniej jedna procedura postępowania musiała zdominować pozostałe, ponieważ nigdy nie zostałem zapoznany z inną). Często chciałbym odejść (albo/i postępować

według uznania), spróbować czegoś innego, ale każde odstępianie, zróżnicowanie procedury, będzie bezużyteczne – rozplynie się szybciej niż ci, których miało prowadzić. Nie mam wyboru, muszę ufać narzuconym trybom postępowania, by zmniejszyć do minimum rozproszenie działań podejmowanych przeze mnie i moje odpowiedniki, wersje z innych światów.

W holu natykam się na schody prowadzące w cztery strony – wszystkie stopnie zmienione w migoczące ruiny. Wkraczam na te po lewej i zerkam w górę, przez zmieniające się warianty okna wpada światło poranka. Przestrzeń między betonowymi płytami a podłogą wydaje się niezmienna, tak duże konstrukcje są zwykle do siebie podobne na wszystkich światach i muszą spełnić normy wytrzymałości, co zapewnia im stabilność o wiele większą niż w przypadku schodów, mogących mieć różne kształty i rozmiary. Pęknięcia na pewno się pojawią i nawet ten budynek w końcu się zawali – zabijając śniącego na każdym kolejnym świecie równoległym, co zakończy istnienie prądu. Ale kto wie jak daleko rozprzestrzeni się do tego czasu wir?

Materiały wybuchowe, jakie mam przy sobie, są niewielkich gabarytów, ale zupełnie wystarczające. Ustawiam je przy schodach, wymawiam hasło uzbrajające i rzucam się do ucieczki. Zerkam jeszcze za siebie, gdy mijam hol, ale z dystansu szczegóły otoczenia rozmywają się w szarą mgłę. Bomba, którą podłożyłem, przeskoczyła do innego świata, ale to tylko kwestia wiary – i doświadczenia – że istnieje nieskończony łańcuch innych, które zajmą jej miejsce.

Uderzam w ścianę, gdzie wcześniej były drzwi, cofam się i próbuję ponownie – tym razem udaje mi się wydostać na

zewnątrz. Pędzę ulicą, rozbity samochód materializuje się tuż przede mną, odskakuję, kulę się w uniku, chroniąc głowę.

Osiemnaście. Dziewiętnaście. Dwadzieścia. Dwadzieścia jeden. Dwadzieścia dwa?

Żadnego dźwięku. Unoszę wzrok. Samochód zniknął. Blok nadal stoi. I nadal migocze.

Wstaję i rozglądam się w oszołomieniu. Część bomb mogła – musiała – zawieść... Ale inne powinny eksplodować i przerwać prąd.

Więc co się stało? Może zmutowana śniąca przeżyła na małej, lecz znaczącej liczbie światów i zaraz wypadnie z wiru – a ja mam zezowate szczęście i trafiłem na jeden z takich światów? Przeżyła? Liczba światów, na których nastąpił wybuch, powinna rosnać, nieustannie, choć przypadkowo. I powinno ich być wystarczająco dużo, by zadanie zostało wykonane... Chyba że pojawił się nagle jakiś dziwny efekt zbiorczy i powstała luka.

Albo może porwał mnie prąd. Teoretycznie w pobliżu wiru może powstać obszar, gdzie zbyt szybko zmieniające się warunki rzeczywistości uniemożliwią mi istnienie... A co, jeżeli tak właśnie się stało? Luka w łańcuchu światów za mną może być duża, może nigdy nie podłożyłem żadnej bomby – a może zostałem porwany przez wir, kiedy opuszczałem budynek, a wówczas szybkość moich przeskoków spadła i stąd opóźnienie.

„Wracam” na schody. Nie ma tu żadnej bomby, ani śladu, że była tu którakolwiek z moich wersji. Podkładam zapasowy ładunek i uciekam. Tym razem nie znajduję żadnej osłony na ulicy, więc po prostu padam na ziemię.

I znowu – nic.

Opanowuję się z trudem, zastanawiam, jakie mam możliwości. Jeżeli nawet luka ze światami bez bomb nie jest większa niż luka ze światami, na których bomba zawiodła, to i tak praktycznie nie ma mnie na światach, które znalazły się w zasięgu prądu, a to znaczy, że wszystko się powtórzy i nie wykonam zadania. Spoglądam z niedowierzaniem na nietknięty blok. Ja jestem tym, który odniesie sukces. To mnie wyróżnia. Ale kto w takim razie poniesie klęskę? Jeżeli nie ma mnie na światach objętych prądem, to nie ma wersji mnie, które zawiodą. Kogo obarczyć winą? Kogo mam się wyrzec? Tych, którzy z powodzeniem podłożyli bombę, ale „powinni byli” zrobić to w innych światach? Czy należę do tej właśnie grupy? Nie mam pojęcia.

I co teraz? Jak duża jest luka? Jak blisko niej jestem? Ile razy jeszcze zawiodę?

Muszę próbować zabić śniącą – do skutku.



Wracam na schody. Piętra rozlokowane są mniej więcej co trzy metry. By się na nie wspiąć, korzystam z krótkiej liny i haka – strzelam, a zakończony małym ładunkiem wybuchowym szpikulec wbija się w beton. Kiedy lina jest rozwinięta, rośnie prawdopodobieństwo, że jej kawałki znajdą się w różnych światach – dlatego trzeba się ruszać naprawdę szybko.

Przeszukuję pierwszą kondygnację, systematycznie i dokładnie, jak nakazuje procedura i jakbym nigdy nie słyszał o pokoju 522. Rozmyte w różnych wersjach ściany, ledwie widoczne wśród zmian spartańskie meble, ulotne migawki żalostnego mieszkania. Kiedy kończę, zatrzymuję się i czekam, aż

mój wewnętrzny zegar wskaże, że minęło dokładnie dziesięć minut. To niezbyt dobra strategia – jacyś maruderzy mogli zostać dłużej niż dziesięć minut za mną – ale tak będzie zawsze, nieważne, ile bym czekał.

Następne piętro również jest opuszczone. Ale trochę bardziej stabilne niż pierwsze – bez wątpienia zbliżam się do środka wiru.

Na trzeciej kondygnacji architektura jest niemal nienaruszona. Czwarte piętro, gdyby nie przelotne migotanie w kątach pomieszczeń, można by uznać za całkiem normalne.

Piąte piętro...

Otwieram kolejne drzwi, idąc wzdłuż korytarza. 502. 504. 506. Powinno mnie kusić, by przełamać rutynę i skrócić sobie drogę, ale lepiej trzymać się procedury – w razie czego będzie szansa, by zmienić taktykę. 516. 518. 520.

W pokoju 522 na łóżku pod ścianą leży kobieta. Jej włosy wyglądają jak przezroczysta aureola potencjalnych fryzur, ubranie zmieniło się w prześwitującą mgłę zmiennych fasonów, ale ciało jest solidne i trwałe, jedyny niezmienny element w chaosie zmian, jakie zaczęły się tej nocy.

Wchodzę do mieszkania, wymierzam broń w skroń kobiety i strzelam. Kula przeskakuje do innego świata, zanim sięga śniącej, ale to nieważne – trafi inną wersję mutantki. Strzelam raz po raz, czekając na kulę, którą mój bliźniak–zabójca wystrzeli w innym świecie, lub na zniknięcie prądu – kiedy żywych śniących będzie za mało, by utrzymać wir.

Nic się nie dzieje.

– Nie przeszkadzaj sobie.

Obracam się gwałtownie. Niebieskowłosa stoi w progu

mieszkania. Unoszę broń w jej kierunku – kobieta nie próbuje mnie powstrzymać. Dłonie mi drżą. Odwracam się do śniącej i zabijam ją kolejny raz i jeszcze raz, i jeszcze... Wersja mnie w następnym świecie nie reaguje, wir nie znika.

Ponownie się odwracam, celując pistoletem w niebieskowłosą.

– Co mi zrobiłaś, kurwa? Zostałem sam? Zabiłaś wszystkich pozostałych?

Ale to absurd. Gdyby zabiła moje wersje, jak mogłaby teraz ze mną rozmawiać? Byłbym tylko chwilowym błyskiem dla kolejnych *alter ego* tej kobiety, nieprzewidywalnym i pojawiającym się w przypadkowych przeskokach ze świata na świat – nie wiedziałyby nawet, że to ja.

Kobieta potrząsa głową.

– Nikogo nie zabiłyśmy. Ustawiliśmy cię tylko w odpowiednim położeniu dzięki obliczeniom „kurzu” w zbiorze Cantora [*zbiór Cantora to podzbiór przedziału domkniętego skonstruowany w następujący sposób: w pierwszym kroku przedział dzielimy na trzy równe części i wyrzucamy część środkową (domkniętą); w drugim kroku tę samą operację (dzielenia i wyrzucania) wykonujemy na dwóch pozostałych częściach, w kroku tym operację wykonujemy na wszystkich otrzymanych do tej pory częściach; po wykonaniu nieskończonej liczby kroków otrzymamy klasyczny zbiór Geoga Cantora; zbiór Cantora jest najprostszym przykładem fraktala*], to wszystko. Twoje wersje są żywe, ale żadna nie może powstrzymać wiru.

Zbiór Cantora. Nieskończony, ale mający wymiar – zero. To nie jedna luka w łańcuchu wersji mnie, to nieskończona liczba, niepoliczalna seria malutkich luk wszędzie. Ale...

– Jak? Namierzyłaś mnie, zatrzymałaś rozmowę, ale jak mogłaś skoordynować opóźnienia? I obliczyć efekty tych opóźnień? To wymagałoby...

– Nieskończonej mocy obliczeniowej? Nieskończonej liczby ludzi? – Uśmiecha się lekko. – Ja jestem nieskończoną liczbą ludzi. Wszystkimi, którzy wędrują na N. Wszystkimi, którzy śnią wzajemnie o sobie. Możemy działać wspólnie, doskonale zsynchronizowani, jak jedna osoba – albo niezależnie. Albo i tak, i tak – jak to ma miejsce w tej chwili: wersje mnie, które mogą cię słyszeć i widzieć, dzielą się tą wiedzą z innymi moimi *alter ego*.

Ponownie spoglądam na śniącą.

– Dlaczego chronisz tę mutantkę? Ona nigdy nie dostanie tego, czego pragnie. Zniszczy miasto, a nigdy nawet nie zbliży się do celu.

– Zapewne nie tutaj.

– Nie tutaj? Ta kobieta przechodzi przez wszystkie światy równoległe, na jakich żyje, gdzie jeszcze jest to tutaj?

Niebieskowłosa potrząsa głową.

– A co tworzy te światy? Alternatywy, różne możliwości w ramach prostych procesów fizycznych. Ale na tym nie koniec. Możliwość przenoszenia się między światami daje te same rezultaty w większej skali. Nadprzestrzeń sama rozgałęzia się w różne wersje siebie, wersje zawierające wszystkie wiry między tymi wersjami nadprzestrzeni, gdzie wystąpił wir, i cały układ rozgałęzia się ponownie. I tak w nieskończoność.

Zamykam oczy, czując zawrót głowy. Jeżeli to prawda, że nadprzestrzeń rozgałęzia się w nowe wersje nadprzestrzeni nieskończoną ilość razy...

– Jest miejsce, gdzie śniący zawsze wygrywają? Nieważne, co zrobię?

– Tak.

– I jest miejsce, gdzie ja zawsze wygrywam? Miejsce, gdzie tobie nie udało się mnie powstrzymać?

– Tak.

Kim jestem? Jestem z tych, którym się udaje. A zatem kim jestem? Tak naprawdę – nikim. Odsetkiem równym zeru.

Opuszczam broń i robię trzy kroki w stronę śniącej. Moje ubranie, już wcześniej poszarpane przeskokami między światami, opada.

Robię kolejny krok, a potem przystaję, zaskoczony nagłym uderzeniem gorąca. Moje włosy i naskórek zniknęły, okrywa mnie tylko cienka warstewka krwi. Dopiero teraz zauważam uśmiech, który zamarł na wargach śniącej.

I zastanawiam się: w jak wielu z nieskończonej liczby światów zrobię kolejny krok? I jak wiele z nieskończonej liczby wersji mnie odwróci się i wyjdzie z pokoju 522? Kim właściwie jestem, pomijając poczucie winy i wstydu, jeżeli mogę przeżyć i umrzeć w każdy możliwy sposób?

Sobą.

Damon Knight (ur. 1911) jest jednym z architektów współczesnej fantastyki naukowej. Nie chodzi tylko o jego liczne antologie, szczególnie długotrwałą serię *Orbit* (1966–80) czy jego pracę współzałożyciela *Milford Science Fiction Writers Conference* lub zasługi przy tworzeniu *Science Fiction Writers of America*, ani też wkład w krytykę, w tym nagradzane *In Search of Wonder* (1956, ostatnia wersja z 1966). Chodzi również o twórczość *Damona Knighta*. Publikuje od 1940 roku, ale popularność zdobył w latach pięćdziesiątych takimi opowiadaniem, jak: *Babel II*, *To Serve Man*, *The Country of the Kind* czy *Special Delivery*. Najlepsze z jego wczesnych utworów zebrano w *Far Out* (1961), a potem nadeszły kolejne – warto zajrzeć do *One Side Laughing* (1991). Spośród powieści najciekawszy chyba jest cykl o obcych pasożytach, które próbują nauczyć ludzkość racjonalizmu: *CR* (1985), *The Observers* (1988) i *A Reasonable World* (1991). Prezentowane opowiadanie należy do wcześniejszych utworów *Damona Knighta* i opisuje jedno z moich ulubionych zagadnień – paradoks czasu.

PARADOKS

Ciało nie zostało nigdy znalezione. Z tego choćby powodu, że nie było ciała, które można by znaleźć. To stwierdzenie wydaje się odwrócone logicznie – i w pewnym sensie tak jest – ale nie chodzi o żaden paradoks. Zdarzenie to można dokładnie wyjaśnić, nie ma w nim nic nienaturalnego, nawet jeżeli przytrafić się mogło tylko Castellare’om.

Dziwni bracia Castellare. Synowie brytyjskiej Szkotki i urodzonego na wyspie, ale studiującego na kontynencie włoskiego emigranta. Wszędzie na świecie bracia Castellare czuli się jak w domu, ale domu nie mieli nigdzie.

Pomimo to usatkwowali się i osiedli, gdy wkroczyli w wiek średni. Emigranci, jak ich ojciec, zamieszkali na wyspie Ischia, nieopodal wybrzeży Neapolu. Mieli pałac – wczesnorenesansowy, solidny budynek z płaskorzeźbami kupidynów na ścianach i tysiącami szcurów oraz brakiem centralnego ogrzewania. I nie mieli żadnych sąsiadów.

Ani żadnych spraw – agenci lub prawnicy nie musieli nic dla nich załatwiać. Żaden z braci nawet się nie ożenił. Obaj, kiedy skończyli trzydziestkę, postanowili porzucić świat zewnętrzny na rzecz świata wewnętrznego, a dokładniej – na rzecz bardziej trwałych przyjemności. Obaj byli amatorami – fanatykami,

nałogowcami, ale amatorami.

Urodzili się w nieodpowiednich czasach.

Pasją Petera były dzieła sztuki, ich doskonałość i osobliwości. Kolekcjonował je niezmiernie, by nie powiedzieć: szaleńczo – kolekcjonerstwo było dla niego tym, czym dla innego mężczyzny polowanie. Gustował w dziełach sztuki katolickiej, jego zbiory wypełniały ogromne komnaty pałacu i połowę piwnic – obrazy, statuetki, szkło, porcelana, kryształy, metaloplastyka. Gdy dobił pięćdziesiątki, Peter Castellare był niskim, pulchnym mężczyzną z małymi, przymrużonymi oczami i niedbałą jasną kozią bródką.

Harold Castellare, utalentowany brat Petera, był natomiast naukowcem. Naukowcem amatorem. Tak naprawdę powinien się urodzić w dziewiętnastym wieku, podobnie jak Peter, któremu duchem bliżej było do jeszcze wcześniejszych epok. Współczesna nauka obejmuje ogromną liczbę zagadnień i najczęściej postęp jest rezultatem pracy zespołowej, nie mówiąc już o harówce poszczególnych członków zespołu badawczego – idee poza zasięgiem zrozumienia dla Harolda. Jednak nie znaczyło to, że Harold Castellare nie był inteligentny – na swój sposób był równie błyskotliwy i pomysłowy jak Newton lub Franklin. Miał niezłe osiągnięcia na polu fizyki i elektroniki i za namową prawnika zarejestrował nawet kilka patentów. Dochód, jaki przyniosły, spożytkował na instrumenty i wyposażenie pracowni, a wszystko, co pozostało, oddał bratu, który przyjął pieniądze bez podziękowań, a zarazem bez oporów.

Harold miał pięćdziesiąt trzy lata, był szczupły i przygarbiony, o włosach jak pieprz z solą i melancholijnie bladej, piegowanej

cerze. Nad górną wargą nosił eleganckie wąsy – uzupełnienie i przeciwieństwo koziej bródki młodszego brata.

Pewnego majowego ranka Haroldowi zdarzył się wypadek.

Goodyear upuścił kawałek gumy na gorącą płytę piekarnika, Archimedes brał kąpiel, Becquerel zostawił kawałek rudy uranu w szufladzie z kliszą fotograficzną.

Harold Castellare zaś, cierpliwie pracujący nad maszyną, która jak dotąd pochłaniała tylko olbrzymie ilości prądu, w zamian produkując niezbyt spektakularny efekt aureoli, potknął się i upuścił zwykły magnes między dwa włączone układy.

Ponad aparaturą pojawiła się duża zamglona sfera. Harold instynktownie zerwał się na równe nogi i zamrugał w kompletnym zdumieniu. Kiedy patrzył na zjawisko, mglistość nagle znikła i Harold ujrzał przez bańkę kawałek mozaiki podłogowej, która, jak się wydawało, znajdowała się około trzech stóp wyżej niż prawdziwa posadzka. Naukowiec mógł również dojrzeć fragment rzeźbionej drewnianej ławy i leżący na niej instrument strunowy o niezwyklej kształcie.

Naukowiec zaklął pod nosem z podniecenia, zanotował szybko swoje obserwacje i przystąpił do eksperymentowania. Zbadał kulę dokładnie elektroskopem, magnesem, licznikiem Geigera. Żadnych wskazań. Wrzucił zatem do bańki kartkę wyrwaną z notatnika. Skrawek papieru zniknął we wnętrzu, nie można było go dojrzeć.

Harold zaniemówił. A potem podniósł linijkę i ostrożnie przysunął jej koniec do bańki. Nie poczuł nic przy kontakcie, linijka weszła w kulę, jakby bańki w ogóle nie było. A potem dotknęła instrumentu i rozległo się wyraźne kliknięcie. Harold

pchnął. Instrument zsunął się z ławy i spadł na podłogę z głuchym tąpnięciem i brzękiem strun.

Po bliższych oględzinach naukowiec rozpoznał kształt, który już wcześniej wydał mu się znajomy.

W akcie brawury porzucił linijkę, sięgnął do bańki i wyciągnął delikatny przedmiot z jej wnętrza. Instrument był solidny, chłodny w dotyku. Politura nie miała rys, lśniła, podkreślając słoje drewna. Jak nowa.

Peter posiadał niemal identyczny eksponat, tyle że nie w tak dobrym stanie – była to viola d’amore z siedemnastego wieku.

Harold zajrzał do bańki z innej perspektywy. Rdzawozłote zasłony skrywały ścianę odległą o jakieś pięćdziesiąt stóp, w kącie znajdowały się ozdobne drzwi. Właśnie zaczęły się uchylać, naukowiec dostrzegł ruch i cień.

A potem kula znowu się zamglila. Ręce Harolda były puste, viola d’amore znikła, natomiast na podłodze leżała linijka, którą upuścił we wnętrzu bańki, gdy sięgał po instrument.



– Popatrz na to – nakazał krótko Harold.

Peter lekko uniósł brwi.

– Co to jest, nowy rodzaj telewizji?

– Nie, nie. Popatrz tutaj. – Viola d’amore leżała na ławce, dokładnie tam, gdzie znajdowała się wcześniej. Harold sięgnął do kuli i wyjął przedmiot.

Peter zamarł.

– Daj mi to.

Ujął instrument ostrożnie, pogłaskał lakierowane drewno. A

potem spojrział na brata.

– Jezu Chryste i wszyscy święci! – powiedział. – Wehikuł czasu.
Harold prychnął z irytacją.

– Mój drogi Peterze, czas jest słowem pozbawionym znaczenia,
podobnie jak przestrzeń.

– Ale biorąc pod uwagę to, co widzę, wychodzi mi, że to
wehikuł czasu.

– Jeżeli tak sobie życzysz.

– Będziesz sławny.

– Spodziewam się.

Peter spojrział na instrument spoczywający w jego dłoniach.

– Pozwolisz, że zatrzymam tę violę?

– Naprawdę chciałbym, ale to niemożliwe.

Kiedy Harold mówił, bańka się zamgliła i viola d'amore
rozwiąła się jak dym.

– O, właśnie...

– Co to za diabelska sztuczka?

– Przedmioty wracają... Sam zrozumiesz. Wcześniej również to
wyciągnąłem i także zniknęło. Kiedy kula stanie się znowu
przejrzysta, viola będzie wewnątrz, w miejscu, gdzie ją
znalazłem.

– I jakie jest na to wytłumaczenie?

Harold się zawahał.

– Żadne. Dopóki nie dokonam odpowiednich obliczeń...

– Co zapewne zabierze ci trochę czasu. Ale zanim skończysz,
możesz wyjaśnić to tak ogólnie, w języku zrozumiałym dla laika?

Harold zmarszczył brwi, zastanawiając się, jak przedstawić
naturę zjawiska za pomocą języka profanów.

– Bardzo zgrubnie zatem. Z tego, co widzieliśmy, wynika, że zdarzenia są utrwalone. Dwa lub trzy wieki temu...

– Trzy. Biorąc pod uwagę kształt otworów rezonansowych.

– Trzy wieki temu zatem, o określonej porze dnia, ktoś był w tym pomieszczeniu. Gdyby viola zniknęła, ten ktoś zauważyłby jej brak. A to mogłoby naruszyć ciągłość zdarzeń, które już miały miejsce. Jednak tak się nie stało. Z tego samego powodu, jak przypuszczam, nie możemy zajrzeć teraz do kuli. – Dotknął zamglonej powierzchni długopisem. – Tak jak sądziłem, nie możemy również sięgnąć do środka i dotknąć czegokolwiek, co mogłoby wywołać zmiany. A wszystko, co włożymy do kuli, gdy jest przezroczysta, wypadnie z niej, kiedy się znowu zamąci. Mówiąc bardzo prosto: nie możemy zmienić przeszłości.

– Ale zdawało mi się, że już ją zmieniliśmy. W chwili kiedy wyjąłeś violę z kuli, nawet jeżeli nikt z przeszłości tego nie widział.

– Na tym właśnie – rzekł Harold – polega trudność w posługiwaniu się zwyczajnym językiem do skutecznej komunikacji. Gdybyś pamiętał choć trochę matematyki... Nieważne. Możliwe, że (pamiętając jednak, że wszystko, co mówię, jest fałszem, bo używam słów) zdarzenia, które nie wpływają na pozostałe, nie są zdarzeniami. Innymi słowy...

– ...jeżeli nikt nie widzi, że bierzesz violę, nie ma znaczenia, czy ją bierzesz, czy nie. Dość niebezpieczna zasada, Haroldzie. Za coś takiego mógłbyś kiedyś spłonąć na stosie.

– Wysoce prawdopodobne. Ale tę hipotezę można opisać w inny sposób. Albo, w rzeczy samej, na nieskończoną liczbę pozornie odmiennych sposobów. Jeżeli ktoś, powiedzmy, Bóg, w

tej chwili usunąłby księżyc i dokładnie w tym samym momencie zastąpiłby go kopia z betonu i papieru o tej samej masie, albedo i reszcie identycznej jak prawdziwy satelita, nie wpłynęłoby to w żaden znaczący sposób na naszą percepcję wszechświata – i tym samym nie potrafilibyśmy stwierdzić na pewno, czy to w ogóle się stało. Ani, dodam, nie miałyby żadnego znaczenia, czy taka podmiana by zaszła, czy nie.

– I nikt nie trafi do pudła – stwierdził Peter.

– Właśnie. Podstawowa i naturalna kwestia konsekwencji. Nic nieznaczący problem filozoficzny. Z wyjątkiem – zaznaczył Harold – tego szczególnego przypadku.

Spojrzał na zamgloną kulę.

– Wybaczysz mi, Peter? Mam trochę pracy...

– Jak sądzisz, kiedy opublikujesz wyniki swoich badań?

– Natychmiast. Czyli mniej więcej za tydzień lub dwa.

– Wstrzymaj się, dopóki nie przedyskutujemy tego dokładniej, dobrze? Mam pewien pomysł w związku z twoim odkryciem.

Harold spojrzał na brata uważnie.

– Komercyjny?

– W pewnym sensie.

– Nie – sprzeciwił się naukowiec. – To nie jest wybór pomiędzy patentem a utrzymaniem odkrycia w sekrecie, Peterze.

– Oczywiście. Mam nadzieję, że spotkamy się na kolacji?

– Tak. Do wieczora.

– Do kolacji.



Przy kolacji Peter zadał tylko dwa pytania.

– Odkryłeś, jak zmienić zasięg twojej maszyny, żeby docierała na przykład do siedemnastego lub osiemnastego wieku, albo od poniedziałku do środy?

– Owszem. Zadziwiające. Na szczęście wmontowałem w aparaturę reostat, nie ośmieliłbym się odciąć zasilania. Zmiana napięcia prądu powoduje zmiany zasięgu. Udało mi się ustawić aparat na środę w zeszłym tygodniu, jak myślę, w każdym razie na stole narzędziowym leżał fartuch, a pamiętam, że zostawiłem go tam właśnie w zeszłą środę po południu. Podniosłem go. Dziwne doznanie, Peterze, ponieważ miałem na sobie ten sam fartuch. A wtedy kula się zamgliła i fartuch oczywiście zniknął. Musiałem właśnie wejść do pracowni.

– A przyszłość?

– Także. To kolejna zabawna kwestia. Zmieniałem zasięg aparatu, sięgając do niedalekiej przyszłości, i maszyna nadal tam była, jednak nic się nie zmieniła – żadnych najdrobniejszych zmian, które zamierzam wprowadzić. Może z powodu stałości zdarzeń, ale nie sądzę. A dalej w przyszłości pojawiają się zamglone obszary, puste – nie mogę zobaczyć niczego, co nie istnieje w tej chwili... Ale w ciągu najbliższych dni nic szczególnego się nie dzieje. Zupełnie jakbym odszedł i zostawił pracownię. Jak sądzisz, dokąd odejdę?



Nagle zniknięcie Harolda miało miejsce między północą a porankiem. Jak się zdawało, spakował rzeczy i opuścił niepostrzeżenie pracownię. Więcej go nie widziano. Oczywiście taki nagły wyjazd zaskoczył wszystkich, trudno było sobie

wyobrazić, że naukowiec musiał wyjechać, choć przecież nie było to podejrzane. Harold pogardzał tym, co nazywał „tyranią portfela”. Był, jak wszyscy wiedzieli, człowiekiem bardzo niezależnym.

Następnego dnia Peter przeprowadził kilka prostych doświadczeń z chronosferą. Z szesnastego wieku wyciągnął flakonik na perfumy z weneckiego szkła, z osiemnastego – krucyfiks wyrzeźbiony w różanym drewnie, z dziewiętnastego – kiedy pałac był siedzibą austriackiego księcia i jego włoskiej kochanki – ręcznie ilustrowane wydanie *La nouvelle Justine* de Sade’a, misternie oprawione w ludzką skórę.

Wszystkie te przedmioty zniknęły naturalnie po paru minutach lub godzinach – poza flakonikiem. To skłoniło Petera do przemyśleń. Kula mętniała wielokrotnie po tym, jak flakon został z niej wyjęty, zatem powinien zniknąć, jednak tak się nie stało. Może dlatego, że Peter znalazł go na podłodze pod ścianą, tuż przy wielkiej szczurzej norze.

Czy kiedy jakiś przedmiot znika niezauważenie – zadawał sobie pytanie Peter – dzieje się tak dlatego, że na przykład wpadł do mysiej nory, czy też dlatego, że czasami zbieracz może go podnieść, ponieważ znalazł się w odpowiednim miejscu, by można było ów przedmiot zabrać?

Peter nie podjął żadnej próby, by badać przyszłość. Tego samego popołudnia zadzwonił do prawników w Neapolu i podał im warunki swojego nowego testamentu. Majątek, włączając prawo własności połowy rezydencji na wyspie Ischia, miał zostać przekazany rządowi Włoch pod dwoma warunkami: 1. Harold Castellare podejmie podobne zobowiązanie w kwestii drugiej

połowy pałacu, do której miał prawo własności; 2. rząd włoski zmieni pałac w muzeum, gdzie będą przechowywane zbiory Petera, a dochód z majątku przeznaczony zostanie na zarządzanie kolekcją i jej powiększanie.

Dwóm krewnym mieszkającym w Szkocji Peter nie zostawił nawet złamanego szylinga.

Nie eksperymentował więcej z chronosferą, dopóki nie dostarczono mu dokumentu, który podpisał w obecności świadków. Dopiero wtedy młodszy Castellare podjął próbę spojrzenia we własną przyszłość.

Wydarzenia są ustalone, jak powiedział Harold – a Peter doskonale wiedział, że oznacza to zarówno wydarzenia w przeszłości, jak i teraźniejsze oraz przyszłe. Ale czy istnieje tylko jeden wzór, w jaki się układają, by stworzyć przyszłość? Czy skutek może zaistnieć, zanim pojawiła się jego przyczyna?

Mottem Castellare'ów było: *Audentes fortuna iuvat*, do którego Peter, kiedy miał lat czternaście, wstawił słowo *prudentesque*: „Los sprzyja odważnym – i roztropnym”.

Jutro: żadnych zmian, pokój wyglądał tak samo jak obecnie, chronosferą zmętniała.

Następny dzień: tylko niewyraźna mgła. I kolejny dzień, i następny...

Zmętnienie kuli obejmowało około dziesięciu lat, jak ocenił Peter na podstawie obrotów pokręta reostatu. A po tym czasie w chronosferze ukazało się pomieszczenie wyłożone marmurem i wypełnione eksponatami.

Peter uśmiechnął się drwiąco. Gdyby to był Harold, oczywiście nie mógłby spojrzeć w przyszłość i zobaczyć brata przy

aparaturze w pracowni. A gdyby w przyszłość patrzył Peter, równie oczywiste było, że nie można będzie określić, czy pomieszczenie, które widzi, wygląda tak na skutek remontu, jaki przeprowadzi w pałacu Peter z przyszłości, czy jest to część muzeum, które powstanie za osiem, dziewięć lat, po śmierci Petera, czy też...

Nie. Osiem lat wystarczyłoby całkowicie, ale Peter nie był wcale pewien, ile dokładnie – przecież musi upłynąć rok, zanim Harold zostanie uznany oficjalnie za zmarłego. Równie dobrze może to być siedem lat...

Peter powoli obrócił potencjometr do przodu. Mignięcie, potem kolejne i długa seria przebłyskujących obrazów. Szybciej naprzód. Teraz migotanie zlało się w szarość; przedmioty zaczęły pojawiać się i znikać, zastępowane przez inne w szafkach wystawowych – marmur pociemniał, a potem pojaśniał znowu, pociemniał i pojaśniał, pociemniał i tak pozostał. Peter ocenił w przybliżeniu, że obraz przedstawia przyszłość za pięćset lat. W pomieszczeniu leżała cienka warstwa kurzu, śmieci i szczątki jakiegoś małego zwierzęcia zmiecione niedbale w kąt.

Kula zmętniała.

Kiedy się rozjaśniła, ukazała splątane ślady na pokrytej kurzem podłodze, a dwie z szafek na eksponaty były puste.

Ślady były trójpalczaste, miały trzydzieści cali długości.

Po chwili namysłu Peter obszedł aparaturę, by popatrzeć w sferę z drugiej strony. W najbliższym z czterech wysokich okien ujrzał widok słodki i banalny jak na pocztówce: igrające na falach zatoki promienie słońca i ciągnące się łukiem nad brzegiem miasto, a za nim dymiący masyw Wezuwiusza. Jednak

coś było nie tak z kolorami, zbyt poszarzałymi i wyblakłymi, czego nie usprawiedliwiała odległość.

Peter cofnął się i poszedł po lornetkę.

Problem w tym, że miasto było zielone. W miejscu, gdzie powinien być Neapol, bujnie rosła roślinność. Między zielenią przebijały biało-szare bryły, prawdopodobnie pozostałości po zrujnowanych budynkach. Nie było żadnego ruchu. Ani jeden statek nie cumował na przystani.

Ale na zboczu wulkanu widać było dziwne stworzenie. Przypominało ogromną rdzawopomarańczową stonogę – rurowaty korpus zawieszony na cienkich prętach, który kończył się nagle, jak ucięty tasakiem.

Kiedy Peter się przyglądał, stworzenie powoli zmieniło kolor na niebieski.



Jeszcze jeden dzień dalej w przyszłość: wszystkie gabloty zostały splądrowane, a muzeum – jak się zdawało – było puste.

Wyglądało, że w ciągu pięciu stuleci świat – albo przynajmniej tę część wybrzeża – opanowała rasa Cosiów, a ludzkość została wymordowana lub zmuszona do ucieczki, natomiast najeźdźcy zainteresowali się zawartością muzeum i zabrali eksponaty.

Ale dokąd zabrali? I dlaczego?

Na te pytania mogło być tysiąc odpowiedzi – jak uznał Peter – z czego dziewięćset dziewięćdziesiąt dziewięć wskazywało, że przegrał swój gambit. Jedna natomiast stwierdzała: do skrytek, dla bezpieczeństwa.

Własnoręcznie Peter skonstruował pokrowiec, pod którym

ukrył aparaturę i kulę. Nie przywykł do takiego wysiłku, zajęło mu to ponad dwa dni. Potem wezwał robotników, by wybili otwór w podłodze pracowni, zamontowali podnośnik i uporządkowali kable zasilające wehikuł czasu, pozostawiając pojedynczy splot przewodów mający prawie sto stóp długości i skrzynkę z bezpiecznikami oraz zasilacz. Ekipa podniosła stół wraz z zasłoniętą aparaturą, zamontowała kółka w nogach i umieściła w podziemiach pałacu. A potem odeszła.

Peter zdjął pokrowiec. Spojrzał do wnętrza kuli.

Skarb.

Skrzynie, małe i duże, rzędami wypełniały piwnicę.

Pulchnymi palcami, które nawet nie zadrżały, kolekcjoner przekręcił reostat. Mgliste migotanie, kolejne, a potem pulsujące rozmycie, kiedy mężczyzna szybciej przekręcał potencjometr. Wreszcie nic więcej – granica zasięgu wehikułu czasu.

Dwieście lat, jak przypuszczał Peter. Wehikuł dotarł mniej więcej do roku 2700 lub 2900. I nikt do tej pory nie otworzył piwnicy. Dwieście lat „nienaruszonego czasu”.

Mężczyzna wyregulował reostat, by wrócić do początku tego okresu. Wyciągnął z kuli jedno z niewielkich pudełek i otworzył.

Szachy. Figury z kości słoniowej, inkrustowane złotem, Florencja, czternasty wiek. Przepiękne.

Jeszcze jedna skrzynka, z innego rzędu.

Figurki z okresu dynastii Tang, konie i ludzie, dziesięć do piętnastu cali. Bezcenne.



Skrzynie są niepalne, jak powiedział Tomaso. Peter poszedł do

kuchni, by sprawdzić, i rzeczywiście – nie można ich było podpalić. Po wyjęciu opakowania z pieca wewnątrz pozostało nienaruszone. Peter przesunął na skrzynię kilka polan, ale nawet wtedy się nie zapaliła.

To wszystko musiało mieć głęboki sens. Kiedy skrzynia wróci do swojego czasu, fizyczne uszkodzenia lub ślady ingerencji znikną – części złożą się w pierwotny kształt. Jednak palenie to chyba zupełnie coś innego, spalanie uwalniało energię, która nie mogła być zastąpiona.

Co tworzyło paradoks. Jak również kolejny – przemknęło Peterowi przez głowę. Jeżeli eksponaty zostały wyjęte z piwnicy w przyszłości za siedemset lat, by stały się częścią kolekcji muzealnej w chwili obecnej, a potem znalazły się pod ochroną i w końcu zostały schowane w piwnicy – to skąd tak naprawdę wzięły się te przedmioty?

Martwiło go to. Życie i prawa fizyki, o których mówił Harold, nauczyły Petera, że nie ma nic za darmo.

Zagadka była jedną z wielu, jakie go niepokoiły, a i wcale nie najważniejszą. Choćby to zmętnienie chronosfery za każdym razem, gdy Peter próbował zbadać najbliższą przyszłość. Nieważne, jak często ustawiał reostat, rezultat był zawsze ten sam: zamglona pustka, a potem nagłe pojawienie się marmurowej galerii.

Rozsądek podpowiadał, że należało się tego spodziewać. Chronosfera nie pokazywała czasu, kiedy Peter przebywał w piwnicy, ale to powinno dotyczyć tylko pięciu lub sześciu godzin na dobę. Należało jednak się spodziewać, że kula nie pokaże również zmian, jakich dokonał, ponieważ gdyby wiedział

wcześniej, mógłby zmienić postępowanie. Dlatego Peter z niemałym trudem oczyścił jeden z kątów pomieszczenia, ustawił parawan, by ukryć tę część piwnicy, a potem obiecał sobie, że przez tydzień tam nie zajrzy ani nie dotknie zasłony. A potem spróbował jeszcze raz – nic się nie zmieniło.

Jedynym wytłumaczeniem tego zjawiska był fakt, że w ciągu około dziesięciu lat stanie się coś, czemu Peter może zapobiec, a wskazówka, co to za zdarzenie, musi znajdować się tu, gdzie maszyna czasu. Odpowiedź ukryła się za niewyraźną mgłą w chronosferze.

Logicznie rozumując, jest to coś, czemu Peter może zapobiec, o ile się dowie, co to jest... albo kiedy ma nastąpić.

Z wszelkim prawdopodobieństwem zagadkowe zdarzenie było po prostu śmiercią Petera. Dlatego zatrudnił dziewięciu ochroniarzy, którzy mieli nad nim czuwać na trzy zmiany – dzień i noc. Nie można było ufać jednemu człowiekowi, dwóch mogło spiskować przeciw pracodawcy, ale trzech łatwo można było utrzymać w stanie wzajemnej podejrzliwości. Peter poddał się również badaniom lekarskim, wymienił zamki w drzwiach i oknach, a także podjął inne środki bezpieczeństwa, jakie dyktowały rozsądek i wyobraźnia. Jednak po wprowadzeniu tych zmian widok w chronosferze na dziesięć lat w przyszłość nadal pozostał zamglony i rozmyty, jak wcześniej.

Peter w zasadzie się tego spodziewał. Sprawdził raz jeszcze listę zabezpieczeń, uznał, że są w porządku, i zostawił wszystko, jak jest. Zrobił, co mógł – albo przeżyje kryzys, albo nie. Zdarzenia są ustalone i chronosfera ich nie pokaże.

Innemu człowiekowi strach i poczucie winy zwałyby

przyjemność, jednak Peter miał inną naturę. Wcześniej był odludkiem, teraz stał się eremitą. Nienawidził każdej godziny, której nie poświęcał pracy. Poranki spędzał w piwnicy, rozpakowując eksponaty, popołudniami i wieczorami katalogował, segregował i sprawdzał, i – trzeba powiedzieć to wprost – rozkoszował się zbiorem. Tak minęły trzy tygodnie – gabloty i szafy były puste na tyle, na ile pozwalała długość kabla zasilającego wehikuł czasu, poza skrzyniami, których zawartość była zbyt duża, by można je było przepchnąć przez kulę.

Udało mu się zaledwie uszczknąć drobiny ze skarbu, jaki spoczywał w tym nadzwyczajnym budynku. Za pomocą bosaków mógłby sięgnąć zapewne jeszcze kilka jardów dalej, ale ryzykowałyby zniszczenie trofeów, a poza tym było to jedynie odkładanie problemu. Nie pozostawało nic innego, jak tylko wejść do chronosfery, a kiedy znajdzie się po drugiej „stronie”, samodzielnie rozpakować skrzynie.



Peter rozważał problem w najwyższym skupieniu przez resztę dnia. Nie miał wątpliwości, że ryzyko się opłaci i zdobycze będą warte wysiłku. Kwestię bardziej istotną stanowiło skalkulowanie owego ryzyka oraz, jeżeli to możliwe, zmniejszenie go do minimum.

Item: Peter czuł głęboką niechęć na myśl o wejściu w niematerialny bąbel. Intuicję wspomagała logika, a przynajmniej poczucie dramatycznej konieczności. Teraz albo nigdy – nadeszła pora.

Item: Zdrowy rozsądek nie zdał się na nic. Niechęć i niepokój

więzały się z dwoma symbolami. Pierwszym była biała twarz Harolda tuż przy powierzchni wody w pobliskiej przystani. Drugi stanowiły fantazje zrodzone z tych gigantycznych śladów na zakurzonej posadzce galerii. Wbrew sobie Peter często próbował odgadnąć, jak mogłyby wyglądać stworzenia, które je zostawiły. I często te wyobrażenia stawały się tak szczegółowe, jakby widział wymyślone istoty na własne oczy.

Ogromne monstra, tym właśnie były, z łbami w kształcie półkuli i wielkimi oczami bez powiek, poruszające się kołyszącym chodem, jak przerośnięte kaczki.

Jednak branie pod uwagę wymysłów było przecież nielogiczne. Po pierwsze: Peter nigdy nie zostanie skazany za zabójstwo brata. Na pewno nikt nie widział, jak uderzył Harolda kamieniem, poza tym kamienie, które przywiązał do ciała, były wystarczająco ciężkie, by utrzymać trupa na dnie. Po drugie: trójpalczaste ślady. Na świecie istniały stworzenia wyglądające równie okropnie jak potwory z bajek, którymi straszono dzieci – jednak w czym problem? Peter nigdy nie spotkał żadnej bestii.

Pomimo to niechęć i poczucie zagrożenia nie ustępowały. Dlatego Peter uznał, że będzie mu potrzebne zabezpieczenie. Zadziwiające, że od razu o tym nie pomyślał.

Mógłby przecież ustawić chronosferę na porę tuż przed okresem zamglenia. To powinno uchronić śmiałka przed potencjalnym wypadkiem, nagłym atakiem choroby czy innymi nieprzewidzianymi okolicznościami. Jak również rozwieje nie tak całkiem irracjonalną obawę przed tym, że mechanizm wytwarzający czasowy bąbel nagle się zepsuje, pozostawiając Petera po drugiej stronie. To, że zdarzenia są ustalone, nie

wynikało z istnienia chronosfery, jednak ograniczało jej działania. Nieważne, co się stanie, Peter nie mógł się znaleźć w tym samym miejscu i czasie, które w przyszłości lub przeszłości obserwował. Zatem: kiedy potwór otworzy piwnicę, Petera już dawno tam nie będzie.

Rzecz jasna, nie należało również zapominać o flakonie na perfumy. Podobno od każdej zasady jest wyjątek, choć w tym wypadku raczej trudno go znaleźć. Flakon może się przypadkiem wtoczyć do mysiej dziury, człowiek natomiast – nie.

Peter ustawił dokładnie pokrętko reostatu na ostatni przebłysk szarości, a potem na wcześniejszy, jeszcze bardziej ostrożnie. Przerwa między okresami mglistej szarości wynosiła około godziny. Doskonale.

Puls mu przyspieszył i stał się nieregularny, ale umysł pracował na pełnych obrotach. Peter wsunął głowę w kulę i czujnie wciągnął powietrze. Było zastępe i unosił się w nim niezbyt przyjemny zapach, ale można było oddychać.

Używając skrzyni jak stopnia, Peter wspiął się na stół z aparaturą. Przysunął sobie jeszcze jedną skrzynię, by znaleźć się wyżej. Trzecia skrzynia znajdowała się na podłodze siedem i pół stulecia w przyszłości, dokładnie pod kulą.

Opuścił się do wnętrza chronosfery i wylądował bez trudu na ugiętych nogach. Kiedy się wyprostował, okazało się, że stoi w okrągłym otworze w stole laboratoryjnym dźwigającym aparaturę, a głowę ma w czasoprzestrzennej bańce.

Ukucnął i odchylił się, by wydostać się z kuli, a potem zeskoczył ze skrzyni.

Znajdował się w przyszłości. Chronosfera jaśniała, wisząc w

powietrzu, nieco nad głową Petera. Blask rozpraszał ciemność, tworzył długie cienie płaszczące się we wszystkich kierunkach.

Serce Petera załomotało spazmatycznie. Miał idiotyczne wrażenie, że sztywnieją mu kończyny i powinien był założyć hermetyczny kombinezon oraz hełm. Wokół panowała cisza jak przed burzą.

Ale pod ścianami piwnicy stały skrzynie pełne nieprzeliczonych skarbów.

Peter zabrał się do pracy. Nie będzie to łatwe – wyciągnąć i otworzyć kolejne skrzynie, wyjąć zawartość, odstawić pudło na miejsce, nie strącając przy tym pozostałych, jednak za trud jest nagroda. Każda ze skrzyń to mikrokosmos, jak i piwnica – kapsuła zatrzymanego czasu. Ale ten czas skończy się za jakieś pięćdziesiąt minut, a potem, kołysząc się jak kaczki, nadejdą potwory i to, co znajduje się w zamkniętych opakowaniach, przepadnie na zawsze, przynajmniej dla Petera.

Pierwsza ze skrzyń zawierała finezyjną porcelanę, następna japońskie miecze, trzecia nadzwyczajne ozdoby z brązu, pochodzące z Grecji z czwartego wieku, równie piękne jak te z Persji.

Peterowi trudno było wypuścić je z rąk, lecz przecież musiał. Stojąc na podnóżku ze skrzyni z przyszłości, z głową w chronosferze ukazującej jego teraźniejszość – niczym (kolejna absurdalna myśl) nurek wynurzający się z oceanu – położył ozdoby na stole, obok innych zdobyczy.

A potem znowu zejście w kruchą ciszę i półmrok. Kolejne skrzynie były za duże, by je ruszyć. Peter podązał za swoim cieniem przejściem między pudłami. Miał jeszcze prawie

trzydzieści minut. Dość, by starannie wybrać kolejną skrzynię i zapewnić sobie bezpieczny margines czasu.

Zerkając na prawo, przy końcu rzędu pudeł dostrzegł drzwi. Były to ciężkie, kute drzwi w metalowej futrynie. W teraźniejszości Petera nie istniały, a zatem pałac musiał zostać przebudowany. Oczywiście! – zrozumiał natychmiast. Gdyby tak nie było, gdyby pozostała choć jedna mozaika podłogi lub nadproże z tych, które znał, chronosfera nie pokazałaby Peterowi tego określonego „tu i teraz”, tego – jak to nazwał Harold? – węzła czasoprzestrzeni.

Ponieważ jeżeli ujrzy się jakąś rzecz z teraźniejszości w formie, jaką przybierze w przyszłości, można by zmienić teraźniejszość – choćby wydrapać inicjały na przedmiocie, połamać go, posiekać – co było absolutnie niemożliwe, a zatem...

A zatem pierwsze dziesięć lat musiały być niewidoczne i rozmyte, kiedy Peter zaglądał do chronosfery. Nie dlatego, by miało mu się przydarzyć coś nieprzyjemnego, lecz ponieważ podczas tego okresu musiały zniknąć wszelkie ślady obecnego pałacu.

Nie ma żadnego kryzysu.

Ale zaraz! Przecież Harold mógł spojrzeć w najbliższą przyszłość.

No, ale Harold był już praktycznie martwy.

W półmroku przy drzwiach Peter dostrzegł kilka mniejszych skrzyń. Wyglądały obiecująco. Przejście było niepewne, a na domiar złego za jednym z okien w suficie chyba czaiło się Coś, może któreś z dziwnych stworzeń. Peter ruszył naprzód bardzo ostrożnie.

Ale nie dość ostrożnie.



Harold Castellare miał kolejny wypadek – i o ile można tak powiedzieć – był to szczęśliwy wypadek. Uderzenie pozbawiło go na chwilę przytomności, stara lina ześlizgnęła się z kamieni, bezwładny opadł w wodę. Gdyby się szarpał, mógłby się udusić i utonąć. Jednak nieopodal przepływała łódź i rybacy wciągnęli go na pokład. Harold był nieprzytomny, we wstrząsie, przemarznięty i przyduszony – o włos od śmierci... Jednak żył nadal, gdy godzinę później znalazł się w neapolitańskim szpitalu.

Oczywiście nie miał żadnych dokumentów czy choćby monogramów na ubraniu – Peter o to zadbał – i przez pierwszy tydzień od ocalenia naprawdę nie był w stanie powiedzieć, kim jest. Podczas kolejnego tygodnia dochodził do siebie, ale nadal był niekomunikatywny, a w trzecim – przekonawszy się, że chociaż fizycznie jest zdrowy, są problemy z wypisem ze szpitala, ponieważ wypadek mógł uszkodzić mu pamięć, podał fałszywą tożsamość, by wydostać się spod opieki białej służby.

Aby zrozumieć to postępowanie, jak i dalsze czynki Harolda, należy pamiętać, że był on Castellarem. W Neapolu, aby nie wzbudzić podejrzeń u Petera, Harold ominął bank i poprosił o realizację czeku jednego ze znajomych, który nie zadawał zbędnych pytań. W czeku wpisał datę wystawienia sprzed czterech tygodni. Uzyskanymi w ten sposób pieniędzmi zapłacił za leczenie oraz nagroził tych, którzy uratowali mu życie. Za resztę kupił nowe ubranie i zapłacił za cztery dni pobytu w nierzucającym się w oczy hotelu – przez ten czas przyzwyczajął

się do nowego ubrania i swobody ruchów. Ostatniego dnia nabył dyskretnie mały rewolwer i pudełko naboii.

Złapał ostatni rejs na Ischię. Pojawił się pod drzwiami swojego pałacu kilka minut przed jedenastą. Wieczór był zimny, w salonie na parterze wesoło trzaskał ogień w kominku.

– Signor Peter ma się dobrze, jak przypuszczam? – rzucił, zdejmując płaszcz.

– Tak, signor Harold. Ma się doskonale i jest bardzo zajęty swoimi dziełami sztuki.

– Gdzie go znajdę? Muszę z nim porozmawiać.

– W piwnicy, signor Harold, ale...

– Tak?

– Signor Peter nie życzy sobie nikogo widzieć, kiedy jest w piwnicach. Rozkazał bardzo wyraźnie, żeby nikt mu nie przeszkadzał, kiedy pracuje w piwnicy, signor Harold.

– Och, no tak – odrzekł Harold. – Ośmielę się jednak twierdzić, że ze mną zechce się widzieć.



Pułapka przypominała sidła na niedźwiedzia, tyle że zamiast półkolistych, uzębionych szczęk miała cztery segmenty z pojedynczym tępym zębem. Urządzenie zacisnęło się na nodze Petera z głuchym trzaskiem. Ból był niewyobrażalny.

Każdy segment poruszał się na cienkim, ukrytym sprytnie ramieniu, dlatego na którąkolwiek część się nadepnęło, pułapka zamykała się natychmiast. Segmenty były zbyt mocno zaciśnięte, by Peter mógł je rozsunąć ręcznie. Na dodatek wszystko kończyło się łańcuchem zamocowanym w obręczy wystającej z betonowej

podłogi, co pozwalało oddalić się najwyżej na dziesięć cali w dowolnym kierunku. Peter szybko się zorientował, że niewiele może zdziałać, by się uwolnić, co najwyżej odgryźć sobie nogę.

Zagadkę stanowiło, co właściwie robiła tutaj pułapka? W piwnicach żyły szczury, to na pewno, zarówno teraz, jak i w teraźniejszości Petera, ale na pewno nic większego. Czy to możliwe, by kaczkowate Cosie podłożyły takie pułapki na szczury?

Peterowi wyczerpała się inwencja. Bez przekonania zastanawiał się, czy istnieje sposób, by ktoś go znalazł. Nawet gdyby wyłączył aparaturę tworzącą chronosferę w swojej teraźniejszości, i tak nie ocaliłoby mu to życia. Ale może znaleźli się inni skoczki w czasie, poławiacze skarbów, nie tutaj i niekoniecznie teraz, ale w innych budynkach na świecie na przestrzeni wieków? To wyjaśniałoby obecność tych koszmarnych sideł. W rzeczy samej, to mogłoby oznaczać, że piwnica jest skarbcem – i są w niej pułapki na ludzi – ale to przecież kompletny nonsens. Sidła mogą przecież kogoś uwięzić, myśliwy powinien zatem przyjść i sprawdzić. Zdarzenia i życie rozważnych podróżników w czasie są przecież ustalone i niezmiennie.

A Peter przebywał w piwnicy prawie od czterdziestu minut. Dwadzieścia minut na dojście, pozostało więc dwadzieścia pięć, może trzydzieści do zamglenia chronosfery. A potem przyjdą Cosie i ich nadejście uwolni Petera. Miał teraz zabezpieczenie, świadomość umożliwiającą mu przetrwanie, pomimo bólu wypełniającego osobisty wszechświat. Przypominało to czekanie u dentysty w tych złych czasach, gdy nie wynaleziono jeszcze

nowokainy – bywało źle, ale wiadomo, że ból się skończy.

Peter uniósł głowę i spojrzał w stronę drzwi, wstrzymując oddech. Odległy łomot, potem kolejny, wreszcie wyjątkowo nieprzyjemny skrzek – i cisza.

Ale Peter ich słyszał. Wiedział, że są niedaleko. To już nie potrwa długo...



Trzech mężczyzn, jeden szczupły, dwóch umięśnionych, grało w karty, blokując przejście do piwnic. Podnieśli się powoli.

– Kto to jest? – zapytał najniższy.

Tomaso zaczął gniewnie terkotać po sycylijsku, twarz ochroniarza pociemniała, ale spojrzał na Harolda z respektem.

– Zamierzam natychmiast – stwierdził Harold – spotkać się z moim bratem.

– Nie, signor – zaproponował stanowczo niski ochroniarz.

– Jesteś impertynencki – rzucił Harold.

– Tak, signor.

Castellare zmarszczył brwi.

– Nie przepuścisz mnie?

– Nie, signor.

– Więc idź i powiedz mojemu bratu, że tu jestem.

Ochroniarz wyjaśnił przepaszająco, że dostał wyraźne rozkazy również na taką okoliczność – nikt nie może wejść do piwnicy, kiedy jest tam Peter. Harold byłby zaskoczony, gdyby usłyszał coś innego.

– Cóż, ale przynajmniej możesz mi powiedzieć, ile potrwa, zanim Peter skończy?

– Niedługo, signor. Najwyżej godzinę.

– Och, cóż, znakomicie. – Harold wzruszył ramionami, odwracając się, by odejść, jednak zatrzymał się w pół ruchu. – Jeszcze jedna sprawa – rzucił, wyjmując z kieszeni broń. – Ręce do góry i pod ścianę, jeśli mogę prosić.

Dwóch strażników powoli wykonało polecenie. Trzeci, ten szczupły, wystrzelił, trzymając pistolet w kieszeni marynarki, zupełnie jak gangsterzy z amerykańskich filmów.

Harold nie poczuł ostrego bólu, jak można by się spodziewać. To było jak uderzenie biczem w bok. Wydawało się, że wystrzał odbija się niekończącym echem od ścian. Rewolwer podskoczył mu w dłoni, gdy wystrzelił w odpowiedzi, nie wiedział jednak, czy kogoś trafił. Zdarzenia toczyły się w zwolnionym tempie, ale i tak Haroldowi zaskakująco trudno było utrzymać równowagę. Chwiejąc się, ujrzał obu umięśnionych ochroniarzy sięgających pod marynarki, szczupłego strażnika z otwartymi ustami i Tomaso wytrzeszczającego oczy. A potem na Harolda najechała ściana i musiał bardzo się starać, by nie upuścić broni.

Kiedy zatoczył się za załom korytarza, ponownie rozległ się huk. Fontanna rozprysniętego tynku wystrzeliła mu w twarz i Harold niezdarnie zaczął biec, słysząc za plecami kolejne wystrzały.

Nie zastanawiając się, odruchowo skierował się do swojego laboratorium, był to wybór instynktowny raczej niż logiczny. Dopiero gdy znalazł się na środku salonu, zrozumiał, że nigdy nie dotrze do pracowni.

Odwrócił się zatem i ruszył do wyjścia. Kątem oka dostrzegł ruch – wystrzelił w tamtą stronę. Sylwetka zniknęła. Naukowiec

sztynno postąpił do najbliższego fotela, za którym mógł się ukryć, jednak wtedy poczuł uderzenie między łopatkami. Jeszcze krok i kolana ugięły się pod ciężarem bezwładnego tułowia, a ściana uderzyła po raz drugi, tym razem bardziej miękko i delikatnie. Harold zachwiał się, chwytając draperię wiszącą tuż obok kominka.

Kiedy trzech ochroniarze, noszący imiona Enrico, Alberto i Luca, wychylili się ostrożnie zza załomu korytarza i odważyli podejść, ciało Harolda płonęło jak zwłoki wodza wikingów: wyblakłe konie, ludzie i sokoły wymalowane na tkaninie marszczyły się i znikwały w ogniu. Chwilę później chybotliwe płomienie zaczęły krążyć po dywanie.

Chociaż służący chwycili za gaśnice oraz wiadra wody przyniesione z kuchni i zaraz też wezwali straż pożarną, na nic się to zdało. W pięć minut pożar ogarnął cały salon, w dziesięć – gdy eksplodowały okna i popękały ściany – rozprzestrzenił się na wyższe kondygnacje. W dwadzieścia minut żarłoczne płomienie opadły do piwnicy przez otwór, który Peter kazał wybić w podłodze laboratorium, całkowicie niszcząc aparaturę wytwarzającą chronosferę i zamierając niedługo potem. O wiele później badający sprawę śledczy zgodzili się, że temperatura była bardzo wysoka, stąd brak śladów. I choćby z tego powodu ciało Petera nie zostało nigdy znalezione.



Odgłosy rozległy się ponownie. Peter ujrzał, jak światło z chronosfery zmienia się na rdzawoczerwone, a potem nagle kula znika, niczym zdmuchnięty płomień świecy.

W ciemności Peter usłyszał skrzypnięcie otwierających się drzwi.

Connie Willis Przenieśmy się z jednego zagadnienia związanego z podróżami w czasie do innego. Trudno uwierzyć, że Connie Willis (ur. 1945) pisze fantasy i science fiction od ponad trzydziestu lat, ponieważ jej utwory zachowują aktualność po dziś dzień. Dzięki temu zapewne autorka zdobyła więcej nagród Nebula i Hugo niż jakikolwiek inny pisarz zajmujący się fantastyką. Między innymi nagrody te otrzymała powieść *Doomsday Book (1991)*, *mająca ten sam świat przedstawiony jak prezentowane opowiadanie – utwór, którym Connie Willis zdobyła swoją pierwszą nagrodę Hugo. Tytuł tego opowiadania stał się również tytułem pierwszej książki autorki: Fire Watch (1982).*

PRAKTYKA STUDENCKA

Historia zwycięża czas, a czas ulega tylko wieczności.

Sir Walter Raleigh

20 września

Szukałem tablicy pamiątkowej, chociaż, rzecz jasna, jeszcze jej tam nie było. Jest przecież rok 1940, a – jak wiedziałem – płytę wmurowano dopiero w 1951; podczas uroczystości przemawiał dziekan, wielbny Walter Mathews. Wczoraj poszedłem szukać tej tablicy z niewyjaśnionym przeświadczeniem, że obejrzenie jej jakoś mi pomoże. Nie pomogło.

Jedyne, co mogłoby pomóc, to trochę więcej czasu i kurs obrony cywilnej dla Londynu podczas drugiej wojny światowej. Nie miałem jednak szans na nic podobnego.

– Podróż w czasie, panie Bartholomew, to nie przejażdżka metrem – oznajmił szacowny Dunworthy, patrząc na mnie zmrużonymi oczami zza staromodnych okularów. – Albo dostanę sprawozdanie z dwudziestego wieku, albo w ogóle nigdzie pana nie wyślę.

– Ależ ja nie jestem przygotowany – zaprotestowałem. – Panie profesorze, cztery lata szykowałem się do podróży w czasie

świętego Pawła. Katedra pod jego wezwaniem? Nie, tylko nie to. Nie sądzi pan chyba, że w dwa dni przygotuję się do pobytu w bombardowanym Londynie?

– Owszem, tak sędzę – rzekł Dunworthy.

Na tym rozmowa się skończyła.

– Dwa dni! – wykrzyknąłem do Kivrin, mojej współlokatorce. – Tylko dlatego, że komputer pomylił świętego Pawła z katedrą pod jego wezwaniem. A Dunworthy nawet nie mrugnął, kiedy zwróciłem mu na to uwagę. „Podróż w czasie, młodzieńcze, to nie przejażdżka metrem”, oświadczył. „Proponuję się spakować. Wysyłamy pana pojutrze”. Ten człowiek jest po prostu niekompetentny.

– Nic podobnego. Jest najlepszy. Napisał książkę o katedrze św. Pawła. Może trzeba go posłuchać.

Spodziewałem się od Kivrin odrobiny współczucia. Sama prawie wpadła w histerię, kiedy zmieniono jej termin praktyki w Anglii z XV wieku na XIV. A którą kategorię ma taka praktyka? Najwyżej piątą, biorąc pod uwagę, że występuje zagrożenie chorobami zakaźnymi. Bombardowania to ósma. Przy moim szczęściu sama katedra św. Pawła będzie miała dziesiątą.

– Sądzisz, że powinienem jeszcze raz porozmawiać z Dunworthym? – spytałem.

– Tak.

– I co potem? Zostały mi tylko dwa dni, a nie znam języka, waluty ani historii. Zupełnie nic nie wiem.

– To przyzwoity człowiek – odpowiedziała. – Wypada go posłuchać.

Poczciwa dusza z tej Kivrin. Zawsze wszystko rozumie.

Dzięki owemu przyzwoitemu człowiekowi stałem teraz przed otwartym na oścież wejściem do katedry, gapiąc się jak wieśniak – a w takiej roli występowałem – i szukając płyty, która jeszcze nie istniała. Dzięki temu właśnie przyzwoitemu człowiekowi okazałem się tak słabo przygotowany do praktyki studenckiej.

Mój wzrok sięgał do wnętrza kościoła zaledwie na kilka metrów. Daleko w głębi migotała świeca, a trochę bliżej sunęła w moją stronę biała plama. Pewnie kościelny albo nawet sam dziekan. Wyciągnąłem list od „stryja”, pastora z Walii, którego rekomendacja miała mi umożliwić dostęp do dziekana, i poklepałem się po tylnej kieszeni, by się upewnić, że nie zgubiłem mikrofilmu *Oksfordzkiego słownika języka angielskiego z aneksem historycznym*. Nie mogłem z niego korzystać podczas rozmowy, lecz przy odrobinie szczęścia jakoś przebrnę przez pierwsze spotkanie, domyślając się z kontekstu, o co chodzi, a nieznane słowa sprawdzę później.

– Jesteś z oce? – zapytał człowiek.

Okazał się moim rówieśnikiem, tylko że o głowę niższym i znacznie szczuplejszym. Wyglądał niemal jak asceta. Przypominał mi Kivrin. Nie był ubrany na białło, ale coś białego przyciskał do piersi. W innych okolicznościach zorientowałbym się, że to poduszka, i zrozumiałbym, o co mu chodziło, nie miałem jednak czasu na oduczenie się łaciny i żydowskiego prawa, a następnie opanowanie londyńskiego żargonu oraz zasad postępowania w przypadku nalotu. Przez dwa dni szacowny Dunworthy przypominał mi o świętych obowiązkach historyka, zapominał jednak powiedzieć, co znaczy oce.

– No? Jesteś? – natarczywie dopytywał się przybysz.

Zastanawiałem się, czy jednak nie zajrzeć do słownika. Ostatecznie mógłbym się wytłumaczyć – Walia to obcy kraj przecież – ale nie miałem pewności, czy w 1940 mikrofilmy były już znane. Oce mogło oznaczać wszystko, choćby ochotniczą służbę przeciwpożarową, a wówczas udzielenie przeczącej odpowiedzi byłoby raczej niebezpieczne.

– Nie – powiedziałem.

Minął mnie wówczas, wypadł przez otwarte drzwi i rozejrzał się.

– Cholera – mruknął, wracając. – To gdzie one są? Banda leniwych drobnomieszczańskich rur!

Czy z takiego kontekstu można się czegoś domyślić?

Zmierzył mnie baczным spojrzeniem, jakby podejrzewał, że skłamałem, nie przyznając się do związków z oce.

– Kościół jest zamknięty – oznajmił w końcu.

Pokazałem mu kopertę i powiedziałem: – Nazywam się Bartholomew. Czy zastałem wielebnego dziekana?

Ponownie wyjrzał za drzwi. Tym razem rozglądał się dłużej, jakby mimo wszystko oczekiwał nadejścia owych leniwych drobnomieszczańskich rur i chciał je zaatakować białym tobołkiem. Wreszcie się odwrócił.

– Tędy, proszę – powiedział tonem przewodnika wycieczek i ruszył w mrok świątyni.

Skręciwszy w prawo, wprowadził mnie do południowej nawy.

Dzięki Bogu zapamiętałem plan katedry, bo inaczej pewnie zawróciłbym i uciekł do St. John's Wood. W końcu sytuacja nie była zwyczajna – szedłem w ciemnościach za wściekłym kościelnym – okoliczności raczej mało zachęcające. Ale

orientacja, gdzie jestem, pomogła mi trochę w zachowaniu spokoju. Chyba mijaliśmy numer 26 – obraz *Światłość*, namalowany przez Hunta i przedstawiający Jezusa z latarnią, jednak w mroku nie mogłem wiele dostrzec. Szkoda, że my też nie mieliśmy latarni.

Mój przewodnik gwałtownie przystanął. Wciąż był wściekły.

– Nie potrzebujemy żadnych cholernych luksusów, tylko kilku połowych łóżek. Nelson miał wygodniej niż my... przynajmniej dostał poduszkę. – W ciemnościach wymachiwał białym tłumoczkim niczym pochodnią. A zatem to była poduszka. – Już od dwóch tygodni nie możemy się ich doprosić i dalej śpimy jak ranni generałowie pod Trafalgarem, bo te głupie suki popijają herbatkę, zabawiają się z zupakami i po prostu mają nas w nosie!

Chyba nie oczekiwał, że zareaguję na ten wybuch, i bardzo dobrze, ponieważ nie zrozumiałem nawet połowy tyrazy. Kościelny kroczył przede mną zamasyście, poza zasięgiem blasku jedynej świecy na ołtarzu, co pewien czas przystając przed kolejną czarną dziurą. Numer 25 – schody na Galerię Szeptów pod kopułą, wejście do biblioteki (nieдоступnej dla publiczności). Potem kilka stopni i korytarz. Mój przewodnik znowu się zatrzymał. Zapukał w stare drzwi.

– Wracam, żeby dalej na nie czekać. Jeśli mnie tam nie będzie, zanosą łóżka do opactwa. Poproś dziekana, żeby jeszcze raz do nich zadzwonił, dobra? – powiedział jeszcze i zbiegł po kamiennych stopniach, trzymając przed sobą poduszkę niczym tarczę.

Drzwi z litego dębu miały przynajmniej kilkanaście centymetrów grubości i dziekan najwyraźniej nic nie usłyszał.

Stwierdziłem, że trzeba jeszcze raz zapukać, ale nie mogłem się na to zdobyć. Cóż, człowiek zrzucający bombę na cel też w końcu musi się zdecydować, lecz choćby wiedział, że za chwilę będzie po wszystkim, wcale nie jest mu łatwiej powiedzieć: „Już!”. Stałem więc, przeklinając wydział historii, szacownego Dunworthy’ego i omylny komputer oraz błąd, jaki przywiódł mnie pod te ciemne drzwi jedynie z listem od fikcyjnego stryja, na którym nie mogłem polegać, tak samo jak na nich wszystkich.

Zawiodła mnie nawet solidna stara biblioteka oksfordzka. W tej chwili stacja robocza i komplet zamówionych materiałów badawczych czekały w moim pokoju wiele stuleci stąd. Kivrin, która już odbyła praktykę i powinna służyć mi radą, milczała jak zaklęta, dopóki sam nie poprosiłem o pomoc.

– Widziałeś się z Dunworthym? – spytała.

– Owszem. Chcesz usłyszeć, jakich bezcennych rad mi udzielił? „Milczenie i pokora to święte obowiązki historyka”. Dodał jeszcze, że powinienem się zachwycać katedrą św. Pawła, bo to jeden z klejnotów Pana. Ja zaś, niestety, muszę wiedzieć, kiedy i gdzie spadną bomby, żeby mnie któraś nie trafiła. – Rzuciłem się na łóżko. – Masz jakieś propozycje?

– A jesteś dobry w posługiwaniu się pamięcią?

Usiadłem.

– Całkiem niezły. Sądysz, że powinienem się zasymilować?

– Nie ma na to czasu. Uważam, że powinieneś maksymalnie skoncentrować się tylko na pamięci długotrwałej.

– Chodzi ci o endorfiny?

Największy kłopot z użyciem środków wspomagających pamięć polega na tym, że informacje przechodzą wtedy

bezpośrednio do pamięci długotrwałej, z pominięciem krótkotrwałej, gdzie nie zatrzymują się nawet na ułamek sekundy, a to komplikuje ich odzyskiwanie, nie mówiąc już, że działa na nerwy. Miewa się wówczas bardzo deprymujące uczucie, bo nagle coś się przypomina, choć człowiek jest absolutnie pewien, że nigdy tego nie widział ani nie słyszał.

Właściwie jednak głównym problemem nie są niesamowite doznania, lecz samo wydobywanie informacji z pamięci. Nikt dobrze nie wie, w jaki sposób przebiega ten proces, ale na pewno uczestniczy w nim pamięć krótkotrwała. Ów ułamek sekundy, czasami wręcz nieuchwytny, kiedy informacje przebywają w pamięci krótkotrwałej, najwyraźniej decyduje o tym, że naprawdę można sobie coś przypomnieć, nie następuje wrażenie, że ma się wiedzę na końcu języka. Najprawdopodobniej w pamięci krótkotrwałej koncentrują się wszystkie złożone procesy związane z sortowaniem i przechowywaniem rozmaitych informacji w mózgu, bez tej pamięci zatem lub bez pomocy naturalnych czy sztucznych substancji, które sprawiają, że informacje do niej dochodzą, niczego nie można sobie przypomnieć. Sam przed egzaminami używałem endorfin i nigdy nie miałem kłopotów z pamięcią. Dzięki endorfinom korzystałem z danych, które doraźnie były mi potrzebne, ale później traciłem świadomość, że je znam. Nie miałem nawet wrażenia, że coś wiem, lecz zapomniałem. Po prostu nie zdawałem sobie sprawy, że określona wiedza w ogóle może się znajdować gdzieś w zakamarkach mojego umysłu.

– Potrafisz korzystać z pamięci bez używania syntetycznych środków? – zapytała Kivrin powątpiewająco.

– Chyba będę musiał.

– Nawet w stresie? Kiedy jesteś niewyspany? Przy niskim poziomie endorfin?

Właściwie z czego ona odbywała praktykę? Nigdy na ten temat nie mówiła, a studentom nie wolno o to pytać. Stresy w średniowieczu? Myślałem, że wszyscy ci, co tam byli, przespali ten okres.

– Mam nadzieję – odparłem. – Tak czy owak, chciałbym spróbować, skoro uważasz, że to mi pomoże.

Spojrzała na mnie z miną męczennicy.

– Nic ci nie pomoże.

Dziękuję, święta Kivrin z Balliolu.

W każdym razie spróbowałem. Uznałem, że lepsze to niż przebywanie z Dunworthym, znoszenie spojrzeń zza okularów odpowiednich dla historyka i wysłuchiwanie uwag, że powinienem zachwycać się katedrą św. Pawła. Kiedy biblioteka oksfordzka odmówiła spełnienia moich życzeń, nadużyłem zaufania, jakim mnie darzono, i potajemnie wyniosłem taśmy na temat drugiej wojny światowej. Była tam literatura celtycka, historia masowych transportów, przewodniki dla turystów i co tylko można sobie wyobrazić.

Następnie wypożyczyłem szybkoobrotowy magnetofon i wszystko przesłuchałem, starając się zapamiętać każdy szczegół.

Uporawszy się z tym zadaniem, wcale nie wiedziałem więcej niż przedtem. Wpadłem w taką panikę, że natychmiast udałem się metrem do Londynu i popędziłem na Wzgórze Ludgate, by sprawdzić, czy widok płyty upamiętniającej tych, co uratowali katedrę św. Pawła, nie wywoła jakichś skojarzeń.

Nie wywołał.

– Poziom endorfin jeszcze ci się nie wyrównał – mruknąłem do siebie.

Próbowałem zachować spokój, co jednak okazało się niemożliwe, albowiem posiadałem wiedzę o nieuchronnych wydarzeniach, jakie nastąpią. Przecież to prawdziwa wojna i fakt, że jestem studentem ostatniego roku historii odbywającym praktykę, nie oznacza wcale, bym nie mógł zginąć. Czytałem książki historyczne przez całą drogę powrotną metrem, a potem jeszcze w domu, aż do chwili, gdy rano przyszły pachołki Dunworthy’ego i zabrały mnie do St. John’s Wood.

Zanim wyszedłem, w tylnej kieszeni ukryłem mikrofilm ze słownikiem oksfordzkim i dopiero wtedy ruszyłem za nimi w przeświadczeniu, że wrodzony spryt umożliwi mi przeżycie, i z nadzieją, że w roku 1940 uda mi się zdobyć syntetyczne środki. Sądziłem, że pierwszy dzień zdołam przetrwać bez szczególnych kłopotów, a okazało się, że zgłupiałem już przy pierwszej rozmowie.

No, może nie całkiem. Pomimo rady Kivrin, że bym nie polegał na krótkotrwałej pamięci, wbiłem sobie do głowy angielski system monetarny, linie metra i plan miasta. Dzięki temu tu dotarłem. Chyba poradzę sobie z wielebnym dziekanem.

Już prawie zdobyłem się na odwagę, żeby zapukać, ale wówczas dziekan otworzył drzwi. Później poszło szybko i bezboleśnie. Wręczyłem mu list, a dziekan podał mi rękę i rzekł coś, czego nie zrozumiałem: – Cieszę się, że mam tu jeszcze jednego mężczyznę, Bartholomew.

Wyglądał na spiętego i wyczerpanego. Pewnie zemdlałby,

gdybym go uprzedził, że lada chwila zacznie się nalot. Wiem, wiem, muszę trzymać język za zębami, bo to nasz święty obowiązek *et cetera*.

– Każę Langby’emu oprowadzić cię po katedrze, dobrze?

Domyśliłem się, że chodziło mu o kościelnego z poduszką, i miałem rację. Spotkaliśmy go przy schodach. Był trochę zasapany, ale triumfował.

– Przyniosły te łóżka – poinformował dziekana. – Myślałby kto, że łaskę nam robią. Wszystkie na wysokich obcasach i takie nabzdyczone. „Wiesz, przez ciebie straciłyśmy podwieczorek”, mówi jedna, więc ja jej na to: „I bardzo dobrze, bo wyglądacie tak, że przydałoby się wam trochę schudnąć”.

Nawet dziekan zrobił minę, jakby niezupełnie go rozumiał.

– Rozstawiłeś łóżka w krypcie? – spytał, a potem mnie przedstawił: – Bartholomew właśnie przyjechał z Walii. Zgłosił się na ochotnika.

Na ochotnika?

Langby oprowadził mnie po katedrze, pokazał rozmaite przedmioty majaczące w mroku, a później zeszliśmy do krypty, gdzie między grobowcami rozstawił dziesięć polowych łóżek.

Po drodze widziałem sarkofag lorda Nelsona, wykonany z czarnego marmuru. Kościelny powiedział mi, że pierwszej nocy nie muszę dyżurować i powinienem się wyspać, bo sen w czasie nalotów jest najważniejszy. Jasne, że mu uwierzyłem – ścisnął tę głupią poduszkę jak ukochaną dziewczynę.

– Słyszać tu syreny alarmowe? – spytałem, zastanawiając się, czy Langby chowa głowę pod poduszką.

Zerknął na niski kamienny sufit.

– Niektórzy słyszą, inni nie. Brinton bierze coś na sen, a Bence–Jonesa nie obudziłby nawet wybuch bomby. Ja muszę mieć poduszkę. Najważniejsze to odespać swoje osiem godzin bez względu na to, co się dzieje. Inaczej człowiek zmienia się w chodzącego trupa i później łatwo daje się zabić.

Po tej optymistycznej uwadze poszedł rozstawić warty na noc, przykazawszy mi, żebym nikomu nie pozwolił dotknąć jego poduszki, którą rzucił na jedno z połowych łóżek. Usiadłem więc i w oczekiwaniu na mój pierwszy alarm lotniczy próbowałem cokolwiek zrozumieć, nim się stanę chodzącym albo nawet prawdziwym trupem.

Zajrzałem do skradzionego słownika, by przynajmniej częściowo rozszyfrować to, co mówił Langby. Okazało się, że „rura” to również prostytutka, przymiotnikiem „drobnomieszczański” powszechnie określano wszelkie wady klasy średniej, a „zupak” to podoficer. Nigdzie nie mogłem znaleźć „oce” i już prawie zrezygnowałem z szukania, gdy coś mi zaświtało w długotrwałej pamięci (niech cię Bóg błogosławi, nadobna Kivrin), że w czasie wojny używa się skrótów i akronimów. Oczywiście. OC – obrona cywilna. No, bo niby skąd te polowe łóżka?

21 września Dopiero gdy minął pierwszy szok, zdałem sobie sprawę, że wydział historii nie zatroszczył się, by mnie poinformować, co mam robić w ciągu ponadtrzymiesięcznej praktyki. Wręczono mi dziennik, list od rzekomego stryja i dziesięć przedwojennych funtów, a potem natychmiast wysłano w przeszłość. Suma ta, nieco już zmniejszona o koszty przejazdu

koleją i metrem, miała mi wystarczyć do końca grudnia i na powrót do St. John's Wood, skąd zostaną zabrane po otrzymaniu listu wzywającego mnie do rzekomego stryja, który miał być ciężko chory. Przez pozostały czas miałem mieszkać w tej krypcie z Nelsonem, który – mówił Langby – jest zakonserwowany w alkoholu. Jeśli dostaniemy bezpośrednio trafienie, ciekaw jestem, czy spłoniemy jak zapalka, czy też zostaniemy po prostu zmiażdżeni, zmienimy się w cuchnącą maź. Ciepłe jedzenie zapewni nam jednopalnikowa kuchenka na gaz. Gotujemy na niej podług herbatę i jakieś ryby, trudne do rozpoznania. W zamian za ten luksus mam stać na dachu katedry i gasić bomby zapalające.

Muszę też realizować cel mojej praktyki, cokolwiek to znaczy. W tej chwili jedyny cel, jaki mi przyświeca, to utrzymanie się przy życiu do chwili, gdy nadejdzie ten drugi list i będę mógł wrócić do domu.

Na razie wykonuję doraźne prace, póki Langby nie znajdzie czasu, by mi pokazać „co jest grane”. Oczyszczałem rondel do gotowania tych ohydnych małych ryb i ułożyłem składane krzesła w stos, jedno na drugim, bo kiedy stały pionowo, zwykły w środku nocy przewracać się z hukiem przypominającym wybuch bomby.

Najwidoczniej nie jestem jednym z tych szczęściarzy, którzy potrafią spać podczas nalotów. Nocami przeważnie się zastanawiam, do której kategorii ryzyka zaliczyć katedrę. Właściwie do szóstej, ale poprzedniej nocy miałem pewność, że do dziesiątej, przyjmując zerową dla krypty. Uznałem też, że na dobrą sprawę powinienem był się starać o praktykę w Denver.

Dotychczas najbardziej interesującą przygodą, jaka mi się przytrafiła, było spotkanie kota. Jestem zafascynowany, lecz udaję, że nie, bo te zwierzęta nie budzą tu żadnej sensacji.

22 września Wciąż w krypcie. Od czasu do czasu wpada Langby. Przeklina różne władze, zawsze używając skrótów, i obiecuje, że zabierze mnie na dach. Tymczasem zabrakło dla mnie doraźnych prac, więc pomyślałem, że się nauczę obsługiwać ręczną pompę. Kivrin niepotrzebnie się martwiła o moją pamięć, jak na razie nie miałem kłopotów. Wręcz przeciwnie. Poszedłem do straży pożarnej i otrzymałem ilustrowany podręcznik obrony cywilnej, łącznie z instrukcją obsługi ręcznej pompy. Jeśli w czasie smażenia ryb zaproszy się ogień, grożący spalaniem lorda Nelsona, zostanę bohaterem.

Wczoraj wieczorem mieliśmy trochę wrażeń. Wcześniej niż zwykle ogłoszono alarm i kilka kobiet, które sprzątają biura w City, schroniło się w naszej krypcie. Jedna z nich wyrwała mnie z głębokiego snu donośnym wrzaskiem – przypominał syrenę alarmową. Zdaje się, że zobaczyła mysz. Langby i ja musieliśmy walić gumiakami po grobach i pod łózkami, by przekonać kobietę, że mysz uciekła. Czyżby wydziałowi historii chodziło o zabijanie myszy?

24 września Langby zabrał mnie na obchód. Weszliśmy na chór, gdzie znowu musiałem się uczyć obsługi pompy. Rozdawaliśmy gumiaki i blaszane hełmy. Langby powiedział, że komendant Allen załatwi nam azbestowe płaszcze, ale jeszcze ich nie przysłał, więc włożyłem mój własny wełniany płaszcz i szalik, bo na dachu jest bardzo zimno, choć to jeszcze wrzesień.

Ponuro i pochmurno, zupełnie jak w listopadzie. Wdrapaliśmy się na kopułę i chodziliśmy po dachu, który powinien być gładki, ale w rzeczywistości pełno tam wież, wieżyczek, rzygaczy i rynien, a wszystko najwyraźniej zaprojektowano tak, żeby bomby zapalające miały się gdzie zatrzymać. Uczyłem się, jak gasić je piaskiem, nim przepalą dach i spowodują pożar katedry. U podstawy kopuły leżą zwoje lin, gdyby zaszła potrzeba, by dostać się na jej szczyt albo na wieżę. Wróciliśmy do środka i zeszliśmy na Galerię Szeptów.

Przez cały obchód Langby'emu nie zamykały się usta – udzielał mi praktycznych rad i mówił o historii katedry.

Przed wejściem na górę zaciągnął mnie do południowego wejścia, gdzie opowiedział, jak Christopher Wren [*angielski architekt (1632–1723), który zaprojektował m.in. katedrę Świętego Pawła w Londynie*] stał nad dymiącymi zgliszczami dawnego kościoła Świętego Pawła i poprosił jakiegoś robotnika, żeby z cmentarza przyniósł mu kamień do oznaczenia miejsca budowy przyszłej świątyni. Robotnik przydźwigał płytę z łacińskim napisem: *Znowu powstanę*. Wren ogromnie się wzruszył i później kazał umieścić taką sentencję nad wejściem do katedry. Langby był bardzo z siebie dumny, jakby mi nie opowiedział tego, co wie każdy student pierwszego roku historii, lecz moim zdaniem, choć napis ten nie ma takiej wymowy jak płyta upamiętniająca obronę cywilną, to jednak historyjka jest dość ciekawa.

Po kamiennych stopniach dostaliśmy się na wąski balkon, biegnący dokoła we wnętrzu kopuły, zwany Galerią Szeptów. Langby szedł na drugą stronę, krzycząc coś o wymiarach i akustyce. Wreszcie się zatrzymał, stanął tam naprzeciwko mnie

twarzą do ściany i rzekł: – Choć mówię szeptem, słyszysz wszystko dzięki kształtowi kopuły. Fale dźwiękowe ulegają wzmocnieniu, rozchodząc się po obwodzie. W czasie nalogów wałą tu grzmoty jak w sądny dzień. Kopuła ma trzydzieści dwa metry średnicy i dwadzieścia cztery wysokości.

Spojrzałem w dół. Wydawało mi się, że balkon ucieka mi spod stóp, a czarno-biała marmurowa posadzka mknie ku mnie z zawrotną szybkością. Zrobiło mi się słabo. Zachwiałem się i upadłem na kolana, mocno zaciskając ręce na barierce. W tym momencie wyjrzało słońce i złocista poświata zalała wnętrze katedry. Dosłownie wszystko zaczęło wyglądać jak ze złota – nawet rzeźbiony drewniany chór, białe kamienne kolumny i szare pizczalki organów.

Zobaczyłem Langby’ego, który próbował mnie podnieść.

– Bartholomew! – krzyknął. – Co z tobą?! Na miłość boską, człowieku!

Chciałem mu wyjaśnić, że na głowę zwała mi się katedra i przeszłość, lecz nie mogłem tego zrobić, bo przecież jestem historykiem. Powiedziałem coś, ale chyba bez sensu, Langby gwałtownie oderwał mnie od barierki, a potem zaciągnął na schody, gdzie upadłem bezwładnie. Patrzył na mnie, nic nie mówiąc.

– Nie wiem, co mi się stało – bąknąłem. – Dotychczas nigdy nie miałem lęku wysokości.

– Trzęsiesz się jak galareta – rzucił ostrym tonem. – Lepiej idź do łóżka.

I zaprowadził mnie do krypty.

25 września Przypomniałem sobie podręcznik OC. Zachowanie ofiar nalotów. Pierwsze stadium: szok, oszołomienie, brak świadomości odniesionych ran, wypowiedanie słów, których sens może rozumieć jedynie ofiara. Drugie stadium: drżenie, nudności, uświadomienie sobie ran, powrót do rzeczywistości. Trzecie stadium: nieopanowana gadatliwość, pragnienie wyjaśnienia ratownikom swojego zachowania.

Langby z pewnością rozpoznał symptomy, ale jak wytłumaczy fakt, że wówczas nie było nalotu? Nie mogę mu wyjaśnić swojego zachowania, i to nie tylko dlatego, że jako historyk powinienem milczeć.

On jednak nic nie powiedział, a tylko wyznaczył mi pierwszy dyżur na jutrzejszą noc, jakby nic się nie stało, i zdaje się, że się mną nie przejmuje, nie bardziej niż inni.

Wszyscy ludzie, których dotychczas poznałem, są nerwowi (choć spostrzegłem, że podczas nalotów zachowują się spokojnie), mimo że od chwili, gdy tu jestem, bomby blisko nas nie padały. Przeważnie zrzucono je na East End i port.

Dziś w nocy przebąkiwano o niewybuchach, a ja myślałem o decyzji dziekana, który kazał zamknąć katedrę – prawie na pewno czytałem gdzieś, że przez całą wojnę była otwarta.

Przy najbliższej okazji spróbuję sobie przypomnieć wydarzenia z września. Nie mam pojęcia, jak wydobędę z pamięci właściwe informacje, dopóki nie zrozumie, co mam robić na tej mojej praktyce, jeżeli w ogóle wyznaczono mi jakieś zadanie.

Dla historyków nie istnieją żadne wytyczne i nie podlegają oni żadnym ograniczeniom. W istocie mógłbym wszystkim mówić o

moim pochodzeniu z przyszłości, gdybym uznał, że ktoś mi uwierzy. Mógłbym też zabić Hitlera, gdyby jakoś udało mi się dostać do Niemiec. Ale, ale, czy rzeczywiście? Na wydziale historii wiele dyskutowano na temat paradoksu czasu, lecz studenci wracający z praktyk dyplomowych nie wspominali o tym ani słowem. Czy przeszłość jest niezmienna? Może codziennie powstaje nowa i to właśnie my, historycy, ją tworzymy? Ale w takim razie jakie są tego konsekwencje? Tylko że jak możemy zdobyć się na odwagę, by cokolwiek zmieniać, jeśli ich nie znamy? Czy mamy śmiało interweniować w nadziei, że nie sprowadzimy na nas wszystkich zguby? Może jednak, żeby nie zmienić przyszłości, do niczego nie powinniśmy się wtrącać, a tylko stać z boku i patrzeć, jak pożar doszczętnie niszczy katedrę św. Pawła?

Wszystkie te kwestie świetnie się nadają do dyskusji podczas długich wieczornych sesji naukowych, tu jednak są nieistotne. Właściwie nie mam wpływu na to, czy katedra spłonie, tak samo jak nie mogę zabić Hitlera. Nie, to nieprawda. Do takiego wniosku doszedłem wczoraj na Galerii Szeptów. Mógłbym zabić Hitlera, gdybym go przyłapał na podpalaniu katedry.

26 września Dziś poznałem pewną młodą kobietę. (Dziekan otworzył kościół, żebyśmy go posprząтали, i ludzie znowu zaczęli przychodzić). Przypomina mi Kivrin, choć jest od niej niższa i inaczej się czesze. Wyglądała na zapłakaną. Kivrin wygląda, jakby przed chwilą płakała, dopiero od czasu, gdy wróciła z praktyki. Chyba średniowiecze okazało się ponad jej siły. Ciekaw jestem, jak by sobie poradziła tutaj. Niewątpliwie udałaby się ze

swoimi rozterkami do miejscowego pastora, miałem jednak szczerą nadzieję, że tamta kobieta, tak do niej podobna, nie zamierza tego robić.

– Czy mogę w czymś pomóc? – spytałem, choć wcale nie chciało mi się jej pomagać. – Jestem ochotnikiem.

Wydawała się rozczarowana.

– To ci tu nie płacą? – odparła, wycierając chusteczką zaczerwieniony nos. – Czytałam o katedrze, o obronie cywilnej i tak dalej, więc pomyślałam sobie, że może znajdę tu jakąś posadę. Na przykład w kuchni albo coś w tym rodzaju. Oczywiście płatną posadę.

W jej oczach, zapuchniętych od płaczu, błyszczały łzy.

– Niestety, nie prowadzimy kuchni – powiedziałem najuprzejmiejszym tonem, na jaki mogłem się zdobyć, myśląc o tym, że Kivrin zawsze mnie irytuje. – Ani prawdziwego schronu. Niektórzy z nas śpią w krypcie. O ile wiem, wszyscy jesteśmy ochotnikami.

– W takim razie nic z tego – stwierdziła i wytarła oczy chusteczką. – Katedra bardzo mi się podoba, ale nie mogę pracować tu za darmo, bo mam na utrzymaniu małego braciszka. Tom właśnie wrócił ze wsi.

Niezbyt ją rozumiałem. Mimo wszystkich zewnętrznych objawów rozpaczy mówiła dość pogodnym tonem i nie była bliższa łez niż wówczas, gdy tu przyszła.

– Muszę znaleźć dla nas odpowiednie mieszkanie – ciągnęła. – Po jego powrocie nie możemy dłużej spać w metrze.

Nagle ogarnęło mnie przerażenie aż do bólu, jak to czasami bywa, kiedy człowiek mimowolnie coś sobie przypomni.

– W metrze? – spytałem, przetrząsając pamięć.

– Zwykle na stacji Marble Arch. Mój brat wcześniej zajmuje nam miejsce, a ja idę... – urwała, przyłożywszy chusteczkę do nosa, i znowu w nią kichnęła. – Przepraszam. Strasznie się przeziębiam.

Czerwony nos, załzawione oczy, kichanie... Aha, infekcja dróg oddechowych. Cud, że nie powiedziałem tej kobiecie, by przestała płakać. Na szczęście nie popełniłem niewybaczalnego błędu, choć o to nietrudno, i wcale nie dlatego tylko, że mam kłopoty z długotrwałą pamięcią, ale również z powodu braku potrzebnych mi informacji, na przykład o kotach, przeziębieniu i wyglądzie katedry św. Pawła w pełnym słońcu. To jedynie kwestia czasu, aby coś, o czym nie wiem, postawiło mnie w bardzo kłopotliwej sytuacji.

Ponownie ze dwa razy widziałem kota. Jest cały czarny jak węgiel, ale na szyi ma białą plamkę, która wygląda, jakby namalowano ją specjalnie ze względu na zaciemnienie.

27 września Właśnie wróciłem z dachu. Jeszcze się trzęsę. W pierwszej fazie nalotu bombardowano przeważnie East End. Niewiarygodny widok. Wszędzie reflektory; w Tamizie odbijało się niebo różowe od pożarów; eksplodujące bomby wyglądały niczym fajerwerki. Nieustanny ogłuszający huk, a tylko od czasu do czasu słychać było monotonny warkot silników samolotów wysoko w górze i rytmiczny ogień zenitówek.

Około północy bomby zaczęły spadać coraz bliżej ze straszliwym gwizdem, który przypominał odgłos zatrzymującego się pociągu. Musiałem użyć całej siły woli, żeby nie rzucić się

plackiem na dach, a Langby wszystko spokojnie obserwował. Nie chciałem, aby miał satysfakcję, oglądając powtórkę mojego zachowania w Galerii Szeptów. Z podniesionym czołem mocno trzymałem wiadro pełne piasku i byłem bardzo z siebie dumny.

Bomby przestały gwizdać niedaleko nas około trzeciej i mniej więcej przez pół godziny panował spokój, a później usłyszałem łoskot, jakby na dach posypał się grad. Wszyscy prócz Langby'ego rzucili się do łopat i ręcznych pomp. Obserwował mnie, a ja wypatrywałem bomb zapalających.

Jedna z nich spadła tuż obok wieży zegarowej, tylko kilka metrów ode mnie. Była dużo mniejsza, niż sądziłem – miała zaledwie około trzydziestu centymetrów długości. Głośno skwiercząc, gwałtownie rozpryskiwała zielonkawobiały ogień aż do miejsca, gdzie stałem. Za chwilę zmieni się w roztopioną masę, która zacznie przepalać dach. Później morze płomieni i gorączkowe okrzyki strażaków, a potem nic nie zostanie, dosłownie nic – nawet płyta ku czci obrony cywilnej.

Znowu stało się to, co na Galerii Szeptów. Coś powiedziałem i popatrzyłem na Langby'ego. Uśmiechał się krzywo.

– Katedra spłonie do cna – zauważyłem. – Nic po niej nie zostanie.

– No. Świetny pomysł, prawda? Całkowicie spalić katedrę. Czyż nie o to chodzi?

– Komu? – spytałem głupio.

– Hitlerowi, oczywiście. A ty myślałeś, że komu? – odrzekł i niemal obojętnie podniósł ręczną pompę.

Nagle przypomniałem sobie odpowiednią stronę z instrukcji zwalczania pożarów. Bombę, która wciąż pryskała ogniem,

obsypałem dookoła piaskiem z jednego wiadra, potem chwyciłem drugie i wywaliłem na nią jego zawartość. W kłębiącej się chmurze czarnego dymu ledwie odnalazłem moją łopatę. Jej końcem odszukałem bombę, którą następnie wrzuciłem do pustego wiadra i zasypałem piaskiem. Gryzący dym wyciskał mi z oczu łzy. Odwróciwszy głowę, otarłem je rękawem i spojrzałem na Langby'ego.

Nawet nie drgnął, żeby mi pomóc. Uśmiechał się.

– Właściwie jego plan jest całkiem niezły, ale my oczywiście do tego nie dopuścimy. Dlatego stoimy tu na straży, aby temu zapobiec. Zgadza się, Bartholomew?

Już wiem, co jest celem mojej praktyki. Muszę powstrzymać Langby'ego od spalenia katedry.

28 września Próbuję sobie wyperswadować, że ostatniej nocy pomyliłem się co do Langby'ego, że źle zrozumiałem jego słowa. Niby dlaczego miałyby dążyć do spalenia katedry? Chyba że jest hitlerowskim szpiegiem. Ale jak hitlerowski szpieg mógłby przeniknąć do obrony cywilnej? Zadrzałem, pomyślawszy o moim fałszywym liście polecającym.

Co mam zrobić? Gdybym poddał Langby'ego jakiemuś testowi, który w roku 1940 zdołałby pomyślnie przejść jedynie lojalny Anglik, obawiam się, że wówczas tylko sam bym wpadł. Muszę usprawnić korzystanie z pamięci.

Tymczasem zamierzam obserwować Langby'ego. To nie powinno nastęrczać trudności, bo właśnie wyznaczył dyżury na następne dwa tygodnie i wszystkie noce spędzimy razem.

30 września Wiem, co się stało we wrześniu. Langby mi

powiedział. Kiedy ostatniej nocy na chórze wkładaliśmy płaszcze i buty, oznajmił: – Wiesz, oni już raz próbowali.

Nie miałem pojęcia, o czym mówił. Czułem się tak bezradny jak pierwszego dnia, gdy mnie spytał, czy jestem z oce.

– Chodzi mi o katedrę. Już raz próbowali ją zniszczyć. Dziesiątego września. Bombą burzącą. No, ale ty nie możesz tego wiedzieć, bo wtedy byłeś w Walii.

Nawet nie słuchałem. Kiedy wypowiedział słowa „bombą burzącą”, od razu wszystko sobie przypomniałem. Przebiwszy jezdnię, utkwiała w fundamentach. Saperzy chcieli wykręcić zapalnik, ale z uszkodzonego rurociągu wydobywał się gaz. Postanowili najpierw ewakuować ludzi z kościoła, lecz dziekan Mathews nie zgodził się wyjść, więc mimo to ją wydobyli, a potem zdetonowali w Barking Marshes. Moja pamięć zadziałała natychmiast i skutecznie.

– Tym razem katedrę uratowali saperzy – odezwał się Langby.
– Dobrze, że zawsze ktoś jest w pobliżu.

– Owszem, jest – odparłem i zostawiłem go samego.

1 października Myślałem, że przypomnienie wydarzeń z dziesiątego września oznaczało jakiś przełom, a tymczasem niemal całą noc przeleżałem w łóżku, próbując wydobyć z pamięci coś o hitlerowskich szpiegach w katedrze św. Pawła, i nic z tego nie wyszło. Czy muszę dokładnie wiedzieć, czego szukam, żebym to sobie przypomniał? Jaki pożytek z takiej pamięci?

Być może Langby nie jest hitlerowskim szpiegiem. A wobec tego kim? Podpalaczem? Szaleńcem? Krypta raczej nie nastraja

do myślenia, bo wcale nie jest w niej cicho jak w grobie. I co. Nocami sprzątaczkі prawie cały czas rozmawiają i słychać stłumione wybuchy bomb, co jest straszne. Łapię się na tym, że nadstawiam ucha. Kiedy nad ranem wreszcie zasnąłem, przyśniło mi się, że bomba trafiła w stację metra, używaną jako schron, uszkodziła rurę wodociągową i wszyscy się potopili.

4 października Dziś próbowałem złapać kota. Wpadłem na pomysł, że go nakłonię, aby przegonił mysz, której bały się sprzątaczkі. Poza tym chciałem go obejrzeć z bliska. Wziąłem kubek na wodę do ręcznej pompy, do którego ostatniej nocy wrzucałem płonące odłamki pocisków przeciwlotniczych. Na dnie pozostało trochę wody, lecz za mało, żeby kot się w niej utopił. Mój plan polegał na tym, by nakryć go wiadrem, a potem wyjąć, zanieść do krypty i pokazać, gdzie jest mysz. Nawet nie udało mi się do niego zbliżyć.

Zamachnąłem się wiadrem i wtedy rozlałem tę resztkę wody. Miałem wrażenie, jakbym pamiętał, że kot jest zwierzęciem udomowionym, ale widocznie musiałem się pomylić, kot bowiem nastroszył się, wygiął grzbiet, wysunął ostre pazury z tego, co wziąłem za miękkie, nieszkodliwe poduszeczki. I wydał przeraźliwy dźwięk, którym poderwałby sprzątaczkі na równe nogi.

Zaskoczony puściłem wiadro, które potoczyło się pod jedną z kolumn. Kot uciekł i zniknął. Wówczas za plecami usłyszałem głos Langby'ego: – Nie złapiesz kota w ten sposób.

- Na to wygląda – odparłem, schylając się po wiadro.
- Koty nie znoszą wody – dodał obojętnym tonem.

– Aha. Nie wiedziałem – mruknąłem, przechodząc koło niego, by odnieść wiadro na chór.

– Każdy to wie. Nawet ci głupi Walińczycy.

8 października Od tygodnia mamy dwa dyżury na dobę z powodu intensywnych bombardowań. Langby nie pokazywał się na dachu, więc dziś poszedłem szukać go w katedrze, a kiedy znalazłem, stał przy zachodnim wejściu i rozmawiał z jakimś starcem. Człowiek ten trzymał pod pachą gazetę, którą w pewnej chwili podał Langby’emu, lecz on wkrótce ją zwrócił. Zobaczywszy mnie, starzec chyłkiem się oddalił.

– To pewnie jakiś turysta – powiedział Langby. – Chciał się dowiedzieć, gdzie jest Teatr Windmill. Przeczytał w gazecie, że występują tam nagie tancerki.

Chyba moja mina zdradziła, że mu nie wierzę, bo dodał: – Fatalnie wyglądasz, bracie. Nie wysypiasz się? Znajdę kogoś, żeby cię zastąpił na pierwszej nocnej zmianie.

– Nie. Wolę dyżurować. Lubię przebywać na dachu – odparłem chłodno i pomyślałem: „Tam mogę cię obserwować”.

Wzruszył ramionami.

– Lepsze to niż siedzenie w krypcie – mruknął. – Na dachu przynajmniej usłyszysz bombę, która cię załatwi.

10 października Sądziłem, że dodatkowe dyżury dobrze mi zrobią, odciągając moje myśli od trudności z pamięcią. To tak jak z obserwowaniem czajnika w oczekiwaniu, aż woda się zagotuje. Czasami to się rzeczywiście sprawdza. Wystarczy, że przez parę godzin śpię albo myślę o czymś innym, a już wszystko sobie przypominam bez żadnych sztucznych środków.

Dobry odpoczynek w nocy jest w ogóle niemożliwy. Nie dość, że sprzątaczkę ciągle gadają, to jeszcze kot wprowadził się do krypty, wszystkim ociera się o nogi i głośnym miauczeniem prosi o ryby. Zanim pójdę na dyżur, przeniosę swoje łóżko z transeptu i postawię je za sarkofagiem Nelsona. Dobrze, że admirał jest zakonserwowany, bo przynajmniej się nie odzywa.

11 października Śniła mi się bitwa pod Trafalgarem – salwy okrętowych dział, dym, sypiący się tynk i Langby, który mnie wołał. Obudziwszy się, zobaczyłem, że zniknęły składane krzesła. Nie widziałem ich z powodu dymu, który wypełniał kryptę.

– Idę, idę – powiedziałem.

Włożywszy buty, chwiejnym krokiem ruszyłem tam, skąd dochodził głos. W transepcie ujrzałem krzesła przysypane kupą gruzu. Langby ją rozgrzebywał.

– Bartholomew! – krzyczał, odrzucając kawałki tynku. – Bartholomew!

Wciąż mi się zdawało, że jest pełno dymu. Przyniosłem pompę, ukląknę koło Langby'ego i zacząłem wyciągać połamane krzesło, które stawiało pewien opór. Nagle przyszło mi do głowy, że pod gruzem leży jakiś trup i mogę się natknąć na jego rękę. Przysiadłem na piętach, walcząc z nudnościami. Potem znów zabrałem się do roboty.

Langby zachowywał się jak wariat – dźgał kupę gruzu odłamaną nogą krzesła. Chciałem go powstrzymać, lecz mnie odepchnął jak gruz, który trzeba odrzucić na bok. Wreszcie podniósł duży płaski kawał tynku, a dalej była już tylko podłoga.

Obejrzałem się za siebie. Obie sprzątaczkę stały w niszy przy ołtarzu. Chwyciłem Langby'ego za ramię.

– Kogo szukasz? – spytałem.

– Bartholomew – odparł.

Zobaczyłem, że pod warstwą szarego kurzu ma zakrwawione dłonie.

– Tu jestem. Nic mi się nie stało – powiedziałem, krztusząc się białym pyłem. – Przeniosłem moje łóżko gdzie indziej.

Langby gwałtownie się odwrócił, zobaczył sprzątaczkę, a potem spokojnie zapytał: – Co tu jest zasypane?

– Tylko kuchenka gazowa i torebka pani Galbraith – nieśmiało odpowiedziała jedna z kobiet.

Przekopawszy gruz, Langby znalazł oba te przedmioty. Z kuchenki w dalszym ciągu wydobywał się gaz, choć płomienia już nie było.

– A jednak uratowałeś katedrę i mnie – zauważyłem. Stałem w bieliźnie i butach, trzymając niepotrzebną pompę. – Wszyscy mogliśmy się udusić.

Langby się wyprostował.

– Ciebie nie powinienem ratować – warknął.

Pierwsze stadium: szok, oszołomienie, brak świadomości odniesionych ran, wypowiedanie słów, których sens może rozumieć jedynie ofiara. On jeszcze nie wie, że ma zakrwawione dłonie, i nie zdaje sobie sprawy z tego, co mówi, bo oświadczył, że nie powinien uratować mi życia.

– Ciebie nie powinienem ratować – powtórzył. – Mam swoje obowiązki.

– Krwawisz. Radzę ci iść do łóżka – powiedziałem ostrym

tonem, zupełnie jak on na galerii.

13 października To była bomba burząca. Przebiła chór i zniszczyła kilka marmurowych rzeźb, ale sklepienie krypty wytrzymało, choć początkowo myślałem, że się zawaliło. Tylko z sufitu odpadło trochę tynku.

Nie sądzę, żeby Langby miał świadomość tego, co wtedy powiedział. To w pewnym sensie daje mi przewagę, bo przecież już znam źródło niebezpieczeństwa. Jaki jednak z tego pożytek, skoro nie wiem, co on robi i kiedy?

Informacje o wczorajszej bombie na pewno gdzieś są w mojej długotrwałej pamięci, lecz nawet w takim momencie nie mogłem ich sobie przypomnieć i już nie próbuję do nich dotrzeć. Leżę w ciemnościach, czekając, aż zwali się na mnie strop, i wspominam, jak Langby uratował mi życie.

15 października Dziś znowu przyszła tamta kobieta. Jeszcze się nie wyleczyła z przeziębienia, ale już znalazła płatną posadę. Ładnie wyglądała. Była ubrana w elegancki mundur i pantofle bez nosków, miała wymyślną fryzurę. W dalszym ciągu usuwamy nieporządki po tamtej bombie. Langby poszedł z Allenem po deski do naprawy chóru, więc pozwoliłem sobie na rozmowę z gościem, nie przerywając sprzątaniam. Kobieta kichała z powodu kurzu, ale tym razem przynajmniej wiedziałem, co się z nią dzieje.

Powiedziała, że ma na imię Enola i pracuje w WVS [(ang.) *Ochotnicza Służba Kobieta*], gdzie prowadzi jedną z kuchni polowych dla bezdomnych ofiar bombardowań. Przyszła przede wszystkim po to, by wyrazić mi swoją wdzięczność, kiedy

bowiem w WVS oznajmiła, że w katedrze nie prowadzą kuchni, natychmiast wysłali ją z kuchnią polową do City.

– Jak będę w pobliżu, to wpadnę, żeby panu powiedzieć, jak mi leci, zgoda?

Enola nocuje z bratem w metrze – znowu. Zapytałem ją, czy tam jest bezpiecznie. Odparła, że chyba nie, ale przynajmniej nie usłyszy gwizdu bomby, która ją zabije, a to już coś.

18 października Jestem tak zmęczony, że ledwie mogę pisać. Dziś w nocy mieliśmy dziewięć bomb zapalających i jedną minę na spadochronie, która spadała prosto na kopułę, ale wiatr skierował ją w inną stronę. Sam unieszkodliwiłem dwie. Od chwili gdy się tu znalazłem, robiłem to przynajmniej ze dwadzieścia razy, a jeszcze pomagałem przy gaszeniu kilkudziesięciu innych. To jednak nie wystarcza. Przeoczenie jednej bomby zapalającej czy chwila nieuwagi Langby'ego mogą zniweczyć wszelkie wysiłki.

Wiem, że częściowo z tego powodu jestem tak wyczerpany. Co noc się morduję, żeby dobrze wykonać obowiązki: obserwować Langby'ego i nie przegapić żadnej bomby zapalającej, która spada na katedrę. Potem wracam do krypty i znowu się morduję, żeby wydobyć z pamięci jakieś informacje, choćby cokolwiek o szpiegach, pożarach i katedrze Św. Pawła jesienią 1940 roku. Prześladowuje mnie myśl, że powinienem zrobić jeszcze więcej, ale nie wiem co. Nie mogąc w pełni korzystać z pamięci, jestem jak ci tutejsi nieszczęśliwcy, którzy nie mają pojęcia, co ich czeka jutro.

Skoro muszę, dalej będę robił to, co dotychczas, aż mnie odwołają i wrócę do domu. Langby nie spali katedry, dopóki tu

jestem i gaszę bomby zapalające. W krypcie powiedział: „Mam swoje obowiązki”.

A ja mam swoje.

21 października Bomba wybuchła w katedrze prawie dwa tygodnie temu, a dopiero teraz uświadomiłem sobie, że od tamtego czasu nie widziałem kota. Pod kupą gruzu go nie było, bo z Langbym przeszukaliśmy ją dwa razy. Może kot ukrył się na chórze.

Stary Bence-Jones twierdzi, że niepotrzebnie się martwię.

– Na pewno nic mu się nie stało – powiedział. – Gdyby nawet szkopy doszczętnie zburzyli wszystkie domy w Londynie, to koty na powitanie wyszłyby z gruzów tanecznym krokiem. A wiesz dlaczego? Bo koty nikogo nie kochają. Ale rzesze ludzi przez nie giną, jak przedwczoraj ta staruszka w Stepney, która wróciła do domu, żeby uratować swojego zwierzaka. Tymczasem to bydlę siedziało w schronie.

– To gdzie on jest?

– Założę się, że w bezpiecznym miejscu. Jeśli go nie ma na terenie katedry, to znaczy, że koniec z nami. W tym starym powiedzeniu o szczurach uciekających z tonącego okrętu jest błąd. Tak naprawdę uciekają koty, nie szczury.

25 października Ponownie zjawił się ten turysta. To chyba niemożliwe, żeby wciąż szukał Teatru Windmill. Tak jak wtedy, pod pachą miał gazetę. Pytał o Langby’ego, który poszedł z Allenem na drugi koniec miasta po azbestowe płaszcze strażackie. Widziałem tytuł tej gazety. Nazywa się „The Worker”. Czyżby jakiś hitlerowski dziennik?

2 listopada Od tygodnia siedzę na dachu i pomagam jakimś nieudolnym robotnikom załatać dziurę, którą wybiła tamta bomba. Fatalnie pracują, bo zostawili szparę tak dużą, że zmieściłby się w niej człowiek. Oni wprowadzie się z tym zgadzają, ale twierdzą, że daleko by nie poleciał, bo w niewielkiej odległości pod dachem jest sklepienie. Wydają się całkiem nie rozumieć, że mogłaby tam wpaść jakaś bomba zapalająca i nikt by jej nie zauważył.

Langby'emu tylko o to chodzi – jeśli chce zniszczyć katedrę, wcale nie musi jej podpalać. Wystarczy, że przeoczy jedną bombę do chwili, gdy będzie już za późno.

Nie mogłem się dogadać z robotnikami. Zszedłem z dachu, żeby się na nich poskarżyć Mathewsowi, i wtedy zobaczyłem Langby'ego, jak rozmawiał z tym turystą za filarem blisko okna, trzymając w ręku jakąś gazetę.

Kiedy po godzinie wychodziłem z biblioteki, wciąż tam byli. Dziura w dachu również. Mathews powiedział, że należy przykryć ją deskami i być dobrej myśli.

5 listopada Zrezygnowałem z prób sondowania pamięci. Mam takie zaległości w spaniu, że nawet nie mogę sobie przypomnieć informacji o gazecie, której tytuł już znam. Dwa dyżury dziennie są teraz na stałe. Nasze sprzętaczkę wyprowadziły się, tak jak kot, a więc w krypcie jest spokój, lecz mimo to nie mogę spać.

Kiedy chwilami zapadam w drzemkę, od razu mam jakieś sny. Na przykład wczoraj przyśniło mi się, że na dachu katedry jest Kivrin ubrana jak święta. Zapytałem ją: – Co to za tajemnica z tą

twoją praktyką? Co właściwie miałaś ustalić?

Wytarła nos chusteczką.

– Dwie rzeczy: po pierwsze, że milczenie i pokora to święte obowiązki historyka, a po drugie... – przerwała i kichnęła w chusteczkę – że nie należy nocować w metrze.

Jedyna moja nadzieja, że zdobędę jakiś środek i wprowadzę się w trans. Mogą być z tym kłopoty. Jestem pewien, że oni jeszcze nie mają sztucznych endorfin. Przypuszczalnie również halucynogenów. Alkohol wprawdzie jest dostępny, lecz ja potrzebuję czegoś bardziej skoncentrowanego niż piwo, a znam tylko ten napój alkoholowy. Nie mam odwagi pytać o to kolegów. Langby i tak jest wobec mnie podejrzliwy. Muszę zajrzeć do słownika, żeby znaleźć odpowiednie słowo.

11 listopada Wrócił kot. Langby znowu wybrał się z Allenem na poszukiwanie azbestowych płaszczy, więc pomyślałem, że mogę bezpiecznie iść na miasto. Wyruszyłem po zakupy do sklepu spożywczego w nadziei, że zdobędę tam jakiś środek pobudzający. Było późno i nim dotarłem do Cheapside, zawyły syreny alarmowe, co mnie trochę zdziwiło, bo naloty zwykle rozpoczynały się po zmroku. Trochę czasu zmitrężyłem na zakupach i zbieraniu się na odwagę, by zapytać sprzedawcę o alkohol, a gość skierował mnie do pubu, więc kiedy wyszedłem, panowały już egipskie ciemności.

Nie miałem pojęcia, gdzie jest katedra, jezdnia, a nawet sklep, w którym przed chwilą robiłem zakupy. Stałem jak głupi na chodniku, trzymając w ręku papierową torbę z chlebem i rybami. Było tak ciemno, że nie dojrzałbym swojej dłoni, nawet

gdybym podsunął ją sobie pod nos. Postawiłem kołnierz i czekałem, aż wzrok przywyknie do mroku, ale do tego trzeba choć odrobiny światła. Modliłem się, by wyjrzał księżyc, mimo że wszyscy w katedrze go przeklinali, nazywając członkiem piątej kolumny. Wystarczyłyby autobus z przyciemnionymi reflektorami albo latarka, a nawet błysk wystrzału zenitówki, żebym odzyskał orientację. Po prostu cokolwiek.

I wtedy w oddali zobaczyłem autobus – dwie cienkie żółte kreseczki. Ruszyłem w jego stronę, ale po kilku krokach omal nie spadłem z krawężnika. Wynikałoby z tego, że autobus jedzie w poprzek ulicy, a więc to nie autobus. Gdzieś blisko usłyszałem miauknięcie. Po chwili coś zaczęło się ocierać o moją nogę. Spojrzałem w dół i zobaczyłem żółte ślepia, które wziąłem za reflektory autobusu. Oczy kota musiały odbijać jakieś światło, ale mógłbym przysiąc, że w promieniu wielu kilometrów panowały absolutne ciemności.

– Jak będziesz tak świecił oczami, kocurze, to załatwi cię policja – mruknąłem do niego, a usłyszawszy nadlatujące samoloty, dodałem: – Albo szkopy.

Nagle zrobiło się jasno – zapłonęły reflektory przeciwłotnicze i zaraz potem rozbłysła łuna nad Tamizą, oświetlając mi drogę do domu.

– Wyszedłeś po mnie, prawda, kotku? – powiedziałem wesoło. – Gdzieś się podziewał? Wiedziałeś, że ryby nam się skończyły, co? I to się nazywa wierność.

W drodze powrotnej cały czas do niego przemawiałem, częstując rybami za to, że uratował mi życie. Później Bence-Jones powiedział, że kota przyciągnął do sklepu zapach mleka.

13 listopada Przyśniło mi się, że zablądziłem w czasie zaciemnienia. Nie mogłem dostrzec nawet swoich dłoni, a wtedy zjawił się Dunworthy i poświecił mi latarką, lecz tak, że zobaczyłem jedynie drogę, którą przyszedłem, a nie tę, którą chciałem iść.

– Co im to da? – powiedziałem. – Oni potrzebują światła, żeby widzieć, dokąd idą.

– Choćby łuny znad Tamizy? Choćby blasku pożarów? Błysków strzelających zenitówek? – zapytał Dunworthy.

– Tak. Wszystko jest lepsze od tej strasznej ciemności.

Wtedy podszedł bliżej i dał mi kieszonkową latarkę, która okazała się latarnią Chrystusa z obrazu w katedrze. Chciałem oświetlić krawężnik przed sobą, żeby znaleźć drogę do domu, ale zamiast tego zobaczyłem płytę upamiętniającą obronę cywilną i natychmiast zgasłem latarnię.

20 listopada Dziś próbowałem rozmówić się z Langbym.

– Widziałem, jak gadałeś z tym starszym panem.

Moje słowa zabrzmiały niczym oskarżenie, ale o to mi chodziło. W ten sposób chciałem go zmusić do rezygnacji z niecnych planów.

– To nie była rozmowa. Po prostu mu czytałem – odparł, układając na chórze worki z piaskiem.

– W takim razie widziałem, jak mu czytałeś – stwierdziłem zaczepnym tonem.

Langby rzucił worek i się wyprostował.

– No i co z tego? To wolny kraj. Jeśli zechcę, mogę czytać każdemu staruszkowi. Tak samo jak ty możesz rozmawiać z tą

małą dziwką z WVS.

– Co mu czytasz?

– Wszystko, co sobie życzy. To starszy człowiek. Przyzwyczał się do tego, że po powrocie z pracy wypijał kieliszek koniaku i słuchał, jak żona czyta mu gazety. Zginęła podczas nalotu i teraz ja mu czytam. Uważam, że to nie twój interes.

Wydawał się mówić prawdę. Z natury nie jestem wyczulony na kłamstwo i prawie uwierzyłem jego słowom, ale przecież słyszałem, co przedtem powiedział w krypcie po wybuchu bomby.

– Myślałem, że on jest turystą szukającym Teatru Windmill – zauważyłem z przekąsem.

Langby zrobił zakłopotaną minę, lecz po chwili rzekł: – A, o to ci chodzi. Wtedy przyszedł z gazetą i poprosił mnie, żebym mu powiedział, gdzie jest Teatr Windmill. Szukałem w gazecie adresu. Sprytnie to załatwił. Nawet się nie domyśliłem, że on nie umie czytać.

To mi jednak wystarczyło. Już wiedziałem, że kłamię.

– Ty oczywiście nie rozumiesz, że to zwykła ludzka przysługa, co? – powiedział, ciskając worek z piaskiem niemal pod moje nogi.

– Nie – odparłem chłodno. – Nie rozumiem.

Nie miałem jednak żadnych dowodów. Z niczym się nie wygadał, oprócz nazwy środka pobudzającego. Przecież nie mogę iść do Mathewsa i oskarżyć Langby'ego o czytanie komuś gazety.

Odczekałem, aż skończył pracę na chórze i zszedł do krypty. Wówczas zataszczyłem jeden worek z piaskiem do dziury na

dachu. Deski na razie się trzymały, ale wszyscy ostrożnie je obchodzili, jakby to był grób. Rozciąłem worek i wysypałem piasek na dno dziury. Gdyby Langby'emu przyszło do głowy, że tam jest najlepsze miejsce dla bomby zapalającej, może piasek ją zdusi.

21 listopada Dziś dałem Enoli trochę pieniędzy otrzymanych od „stryja” i poprosiłem, by kupiła mi koniak. Choć się zgodziła, to jednak sprawiała wrażenie, że robi to bardzo niechętnie, nawet bardziej, niż sądziłem, a więc muszą istnieć pewne towarzyskie komplikacje, o których nie mam pojęcia.

Nie wiedziałem, po co przyszła. Zaczęła mówić o tym, że jej brat dopuścił się w metrze jakiegoś wybryku, wskutek czego miał kłopoty z policją, kiedy jednak wspomniałem o koniak, odeszła, nie dokończywszy tej historii.

25 listopada Dziś znowu przyszła Enola, ale bez koniak. Zamierza wziąć urlop i wyjechać do swojej ciotki w Bath. Przynajmniej trochę odpocznie od nalotów, a ja przez jakiś czas nie będę musiał się o nią martwić. Dokończyła mi historię o wybryku brata i powiedziała, że ma nadzieję przekonać ciotkę, by Tom u niej został, aż miną naloty, ale nie jest pewna, czy ona się zgodzi.

Najwyraźniej ten jej brat to nie zwyczajny urwis, lecz prawie kryminalista. Dwukrotnie go przyłapano, jak obrabiał ludziom kieszenie na stacji metra Bank i musieli wrócić na Marble Arch. Pocieszałem Enolę jak tylko mogłem, mówiąc, że czasami chłopcy bywają niegrzeczni, choć w istocie chciałem jej powiedzieć, że w ogóle nie powinna się nim przejmować, bo on mi wygląda na

cwaniaka w rodzaju tamtego kota czy Langby'ego, a taki typ zawsze troszczy się wyłącznie o siebie, więc na pewno przeżyje naloty i w przyszłości będzie mu się dobrze powodziło.

Później spytałem, czy dostała koniak.

Zakłopotana popatrzyła na czubki swoich pantofli bez nosków i bąknęła: – Myślałam, że już o tym zapomniałeś.

Na poczekaniu wymyśliłem i opowiedziałem jej historyjkę o tym, że każdy z nas po kolei kupuje butelkę. Usłyszawszy ją, Enola już nie była taka zmieszana, lecz wcale nie mam pewności, czy nie użyje wyjazdu do Bath jako wykrętu. Chyba sam będę musiał iść do sklepu, ale boję się zostawić Langby'ego w katedrze bez opieki. Ostatecznie zdołałem nakłonić Enolę, by mi obiecała przynieść butelkę wieczorem, przed wyjazdem. Jeszcze nie wróciła, choć syreny już ogłosiły alarm.

26 listopada Enola się nie pokazała, a mówiła, że ich pociąg odjeżdża w południe. Właściwie powinienem się cieszyć, że przynajmniej ona jest bezpieczna po opuszczeniu Londynu. Może w Bath pozbędzie się przeziębienia.

Dziś wieczorem wpadła jakaś dziewczyna z obrony cywilnej, żeby pożyczyć od nas palta i opowiedzieć, że bomba rozbiła płytki schron na East Endzie. Cztery osoby zginęły, dwanaście jest rannych.

– Dobrze, że nie trafiła w stację metra, bo dopiero byłaby jatka, prawda? – zauważyła na odchodnym.

30 listopada Przyśniło mi się, że zawiozłem kota do St. John's Wood.

– Akcja ratunkowa? – spytał Dunworthy.

– Nie, panie profesorze – odparłem z dumą. – Odgadłem cel mojej praktyki. Miałem znaleźć stworzenie najlepiej przystosowane do przetrwania. Zaradne i egoistyczne. Mogłem sprowadzić jedynie kota. Widzi pan, Langby’ego musiałem zabić, aby nie spalił katedry, brat Enoli wyjechał do Bath, a pozostali nigdy nie zdołają przetrwać. Enola zimą nosi pantofle bez nosków, nocuje w metrze i za pomocą metalowych spinek układa sobie włosy w loki. Wykluczone, żeby przeżyła naloty.

– A może właśnie ją trzeba było uratować? Mówi pan, że jak ona się nazywa?

– Kivrin – odpowiedziałem i natychmiast się obudziłem, zlany zimnym potem.

5 grudnia Śniło mi się, że Langby ma bombę punktową. Niósł ją pod pachą niczym paczkę, kiedy wyszedł ze stacji metra i ruszył wokół Wzgórza Ludgate w kierunku zachodniego wejścia do katedry.

– To nie *fair* – powiedziałem, zatrzymując go wyciągniętą ręką.
– Nikogo nie ma na dyżurze.

Przycisnął bombę do piersi jak poduszkę.

– To twoja wina – odparł i wrzucił ją do wnętrza katedry, nim zdążyłem skoczyć po ręczną pompę i wiadro z piaskiem.

Bombę punktową wynaleziono dopiero pod koniec dwudziestego wieku. Komuniści nie mieli jej przez dziesięć lat, kiedy jednak dostała się w ich ręce, tak ją przekonstruowali, że dała się nosić pod pachą jak paczka, a taka jedna paczka mogłaby unicestwić ponad dwa kilometry kwadratowe City.

Dzięki Bogu to był tylko sen.

W tym śnie świeciło słońce. Dziś rano, kiedy skończyłem dyżur, pokazało się pierwszy raz od wielu tygodni. Wróciłem do krypty, a potem znów wdrapałem się na górę i jeszcze dwukrotnie obszedłem dach, schody i wszystkie miejsca, gdzie można by przeoczyć bombę zapalającą. Poczułem się lepiej, ale później, gdy zasnąłem, znów coś mi się przyśniło – tym razem pożar i Langby, który z uśmiechem go obserwował.

15 grudnia Rano znalazłem kota. W nocy ciężkie bombardowania, lecz przeważnie bliżej Canning Town i na dachu nie działo się nic, o czym warto pisać. Niemniej kot był martwy. Leżał na schodach, kiedy rano robiłem swój prywatny obchód. Pewnie zginął od podmuchu, bo nie zauważyłem żadnej rany, a tylko białą plamkę na szyi. Przelewał mi się przez rękę, gdy go podniosłem.

Nie wiedziałem, co z nim zrobić. W pewnej chwili przyszedł mi do głowy szalony pomysł, by zapytać Mathewsa, czy nie mógłbym pochować kota w krypcie, uzasadniając to jego honorową śmiercią na posterunku. Skończyło się na tym, że zawiąłem martwe zwierzę w szalik i pochowałem w gruzach zburzonego domu. To nie najlepsze rozwiązanie, bo gruzy na pewno nie zabezpieczą go przed psami czy szczurami, ja zaś nigdy nie kupię sobie nowego szalika, ponieważ wydałem prawie wszystkie pieniądze od „stryja”.

Nie powinienem tu siedzieć. Jeszcze nie sprawdziłem przejść i schodów, a gdzieś tam może leżeć jakiś niewybuch, bomba zapalająca z opóźnionym zapłonem albo coś innego, czego wcześniej nie dostrzegłem.

Kiedy tu przybyłem, uważałem się za szlachetnego ratownika, zbawcę przeszłości, a tymczasem nie bardzo mi to wychodzi. Przynajmniej Enola jest teraz bezpieczna. Szkoda, że do Bath nie mogę wysłać katedry. Ostatniej nocy prawie nie mieliśmy nalotów. Bence-Jones mówił, że koty wszystko przeżyją. A może ten kot wyszedł po mnie, żeby mi wskazać drogę do domu?

Wszystkie bomby spadały na Canning Town.

16 grudnia Enola wróciła przed tygodniem. Zbaraniałem, kiedy ją zobaczyłem stojącą na schodach przed zachodnim wejściem, na których znalazłem martwego kota. Uświadomiłem sobie, że wcale nie jest bezpieczna i dalej nocuje na stacji Marble Arch.

– Sądziłem, że jesteś w Bath – odezwałem się głupio.

– Ciotka powiedziała, że Tom może u niej zostać, ale beze mnie. Jej dom jest pełen ewakuowanych dzieci, w dodatku bardzo hałaśliwych. Dlaczego nie włożyłeś szalika? Przecież jest okropnie zimno.

– Ja... – zająknąłem się, bo nie wiedziałem, co powiedzieć. – Zgubiłem go.

– Drugiego nie dostaniesz. Zaczynają racjonować ubrania. Wełnę również. Takiego jak tamten już nie będziesz miał.

– Wiem – odparłem, patrząc na nią.

– Nie wolno gubić takich rzeczy. To po prostu karygodne.

Chyba nic nie odpowiedziałem, tylko odwróciłem się i odszedłem z opuszczoną głową, by szukać bomb i martwych zwierząt.

20 grudnia Langby nie jest faszystą, lecz komunistą. Z

trudem piszę to słowo – komunista.

Jedna ze sprzątaczek znalazła za kolumną egzemplarz „Workera” i przyniosła go do krypty, kiedy schodziliśmy z pierwszego dyżuru.

– Cholera z tymi komunistami – mruknął Bence–Jones. – Tylko pomagają Hitlerowi. Agitują przeciwko królowi i wywołują zamieszanie w schronach. Według mnie to zdrajcy.

– Kochają Anglię tak samo jak pan – odezwała się sprzątaczką.

– Oni kochają wyłącznie siebie, cholerni egoiści. Wcale bym się nie zdziwił, gdyby telefonowali do Hitlera i mówili mu, gdzie ma rzucić bomby.

Zagwizdał czajnik stojący na kuchence gazowej. Sprzątaczką się podniosła, nalała gorącej wody do wyszczerbionego imbryczka, a potem znów usiadła i oświadczyła: – Fakt, że mówią to, co myślą, nie oznacza, że chcą spalić katedrę.

– Oczywiście – przytaknął Langby, który akurat zszedł do krypty. – Kto by chciał spalić katedrę?

– Komuniści – odparł Bence–Jones, patrząc mu prosto w oczy. Zastanawiałem się, czy on też go podejrzewa.

– Na waszym miejscu w ogóle nie zawracałbym sobie tym głowy – rzekł Langby, nawet nie mrugnawszy powieką. – To przecież szkopy robią wszystko, żeby ją spalić. Dziś mieliśmy sześć bomb zapalających, a jedna z nich omal nie wpadła do tej wielkiej dziury nad chórem.

Wyciągnął rękę z filiżanką, a sprzątaczką nalała mu herbaty. Miałem ochotę go zabić, roznieść w pył, wdeptać w ziemię, a tymczasem Bence–Jones i sprzątaczką patrzyli na niego bezradnie. Chciałem ich ostrzec i wykrzyknąć: „Czy wiecie, co

zrobili komuniści?! No, wiecie?!”. Nawet wstałem i ruszyłem w stronę Langby’ego. Siedział z wyciągniętymi nogami, wciąż jeszcze w azbestowym płaszczu na ramionach.

Wówczas przypomniałem sobie wnętrze katedry, zalane złotym słonecznym światłem i sen, w którym ten komunista wychodzi z metra, obojętnie niosąc pod pachą bombę. Zrobiło mi się słabo, poczułem zawrót głowy. Ogarnęła mnie taka niemoc, że z powrotem usiadłem na brzegu łóżka i zacząłem się zastanawiać, co powinienem zrobić.

Oni nie zdają sobie sprawy, jak groźni są komuniści. Nawet Bence-Jones uważa, że jedynie agituja przeciwko królowi, choć nazywa ich zdrajcami. Ci ludzie nie wiedzą, nie mogą wiedzieć, czym staną się komuniści. Dla nich Stalin jest sojusznikiem, a Rosja to przecież komunizm. Nigdy nie słyszeli o Karińskim, o Nowej Rosji ani o żadnej z tych rzeczy, które sprawią, że komunista będzie synonimem potwora. Nigdy się o tym nie dowiedzą. Kiedy komuniści staną się tym, czym się stali, nie będzie żadnej obrony cywilnej, która uchroni ludzkość przed pożogą. Tylko ja wiem, co naprawdę znaczy słowo „komunista”, wymawiane tutaj, w katedrze św. Pawła, tak niefrasobliwie.

Komunista. Ja wiem, co to znaczy. Oj, wiem.

22 grudnia Znowu dwa dyżury. W ogóle nie spałem i zaczynam się słać na nogach. Rano o mały włos zleciałbym z dachu, ale w ostatniej chwili padłem na kolana. Strasznie skacze mi poziom endorfin i wiem, że muszę się trochę przespać, bo inaczej stanę się jednym z chodzących trupów, o których wspominał Langby, ale boję się zostawić go samego na dachu

albo w katedrze, gdzie spotyka się z tym swoim szefem partii komunistycznej. Zacząłem go obserwować, nawet kiedy śpi.

Gdybym tylko zdobył jakiś środek pobudzający, to udałoby mi się wejść w trans, choć jestem w słabej formie. Jednakże nawet nie mogę iść do pubu, bo Langby stale siedzi na dachu i czeka na okazję. Kiedy znowu pokaże się Enola, spróbuję ją przekonać, żeby załatwiła ten koniak. Zostało mi już tylko kilka dni.

28 grudnia Enola przyszła dziś rano, kiedy w zachodniej kruchcie poprawiałem choinkę, którą podmuch przewracał przez trzy noce z rzędu. Ustawiłem drzewko i schylony zbierałem porozrzucane ozdoby, gdy nagle z mgły wyłoniła się Enola niczym jakaś święta. Zbliżyła się i pocałowała mnie w policzek. Miała nos czerwony od nieustannego zimna. Wyprostowawszy się, wręczyła mi pudełko zawinięte w kolorowy papier.

– Wesołych Świąt – rzekła. – No, otwórz. To prezent na gwiazdkę.

Zupełnie straciłem refleks, bo przecież tak płaskie pudełko nie mogło zawierać butelki koniaku. Niemniej sądziłem, że Enola pamiętała i przyniosła mi ratunek.

– Kochana jesteś – powiedziałem, rozdzierając papier.

W pudełku był szary wełniany szalik. Nim zdałem sobie z tego sprawę, gapiłem się na niego dobre pół minuty.

– A gdzie koniak? – spytałem.

To nią chyba wstrząsnęło. Jej nos jeszcze bardziej poczerwieniał.

Spojrzała na mnie nieprzytomnym wzrokiem.

– To ci się bardziej przyda. Nie masz kartek na ubranie, a cały czas przebywasz na dworze. Ostatnio jest strasznie zimno.

– Ale ja potrzebuję koniaku – burknąłem.

– Chciałam ci zrobić przyjemność...

– Przyjemność? Prosiłem cię o koniak. Nie przypominam sobie, żebym mówił o szaliku.

Ze złością oddałem jej szalik i zacząłem rozplątywać kabel z kolorowymi żaróweczkami, który spadł, kiedy choinka się przewróciła. Enola zrobiła minę świętej męczennicy, identyczną jak ta, która tak świetnie wychodziła Kivrin.

– Martwię się o ciebie przez cały czas, jak jesteś na dachu – odezwała się pospiesznie. – Wiesz, że oni celują w katedrę. I rzeka jest tak blisko. Uważam, że nie powinieneś pić. Ja... To po prostu zbrodnia, że tak nie dbasz o siebie, kiedy oni chcą nas wszystkich pozabijać. Boję się, że pewnego dnia przyjdę tutaj, a ciebie już nie będzie.

– Niby co mam robić z tym szalikiem? Trzymać go nad głową, kiedy lecą bomby?

Odwróciwszy się, Enola zbiegła po stopniach i zniknęła w szarej mgle. Ruszyłem za nią, ale potknąłem się o kabel, który wciąż trzymałem w ręku, i spadłem ze schodów prawie na sam dół.

– Zwalniam cię z dyżurów – oznajmił Langby, pomagając mi wstać.

– Nie możesz tego zrobić.

– Właśnie że mogę. Nie życzę sobie żadnych chodzących trupów na mojej zmianie.

Pozwoliłem się sprowadzić do krypty, poczęstować filiżanką

herbaty i zagonić do łóżka. Zachował się bardzo troskliwie. Nie dał poznać, że tylko na to czekał. Poleżę sobie tutaj do czasu, gdy syreny ogłoszą alarm, a jak już znajdę się na dachu, Langby nie będzie mógł odesłać mnie z powrotem, nie wzbudzając podejrzeń. A co powiedział przed wyjściem, ubrany w azbestowy płaszcz i gumowce? „Chcę, abys się trochę przespał”. Jak niby miałbym zasnąć, kiedy on jest na dachu? Spaliłbym się żywcem.

30 grudnia Obudziły mnie syreny.

– Chyba już ci lepiej – odezwał się stary Bence-Jones. – Przespałeś całą dobę.

– Który dzisiaj? – mruknąłem, sięgając po buty.

– Dwudziesty dziewiąty – odparł, a zobaczywszy, że idę do wyjścia, powiedział: – Nie musisz się tak spieszyć.

Dziś się spóźniają. Może w ogóle nie przylecą. To byłoby prawdziwe błogosławieństwo. Odwołali alarm.

Zatrzymałem się przy drzwiach prowadzących na schody i dotknąłem zimnego kamienia.

– Z katedrą wszystko w porządku? – spytałem.

– Jeszcze stoi – odpowiedział. – A co, miałeś zły sen?

– Tak.

Przypomniały mi się wszystkie złe sny z ostatnich tygodni – o martwym kocie, którego trzymałem na rękach w St. John's Wood, o Langbym z bombą i „Workerem” pod pachą, a także ten z płytą ku czci obrony cywilnej, oświetloną latarnią Jezusa. Wtedy uświadomiłem sobie, że dziś w ogóle nic mi się nie przyśniło, a właśnie o taki sen się modliłem w nadziei, że dzięki niemu coś mi się przypomni.

I rzeczywiście tak się stało. Przypomniałem sobie, ale nie katedrę Św. Pawła spaloną przez komunistów, lecz nagłówek z gazety: *BOMBA TRAFIŁA W STACJĘ MARBLE ARCH. ZGINĘŁO OSIEMNAŚCIE OSÓB*. Całej daty nie pamiętałem, jedynie rok – 1940 – a do końca tego roku zostały dokładnie dwa dni. Chwyciłem płaszcz, szalik i wbiegłem na schody. Kiedy pędziłem po marmurowej posadzce, usłyszałem wołanie Langby’ego: – A dokąd to, u licha, się wybierasz?!

Nie widziałem go.

– Muszę ratować Enolę! – odparłem, a mój głos odbił się echem w mrocznym sanktuarium. – Zbombardują stację Marble Arch!

– Nie idź tam! – krzyknął za mną. Stał w miejscu, gdzie znajdzie się płyta upamiętniająca obronę cywilną. – Alarm odwołano! Ty pieprzony...

Pozostałych słów nie słyszałem. Już zbiegłem po stopniach przed katedrą i wskakiwałem do taksówki. Przejazd kosztował mnie prawie wszystkie pieniądze, które tak skrzętnie odkładałem na powrót do St. John’s Wood. Bombardowanie się zaczęło, ledwie dotarliśmy do Oxford Street, i wówczas kierowca odmówił dalszej jazdy. Kiedy wysiadłem, było ciemno choć oko wykol. Zrozumiałem, że nie zdążę.

Wybuch. Enola w pantoflach bez nosków leży w nienaturalnej pozie na schodach prowadzących do metra. Na ciele nie ma żadnych śladów, ale kiedy próbuję ją podnieść, przelewa mi się przez ręce. Będę musiał przykryć ją szalikiem, który dała mi na gwiazdkę. Wszystko przez to moje spóźnienie. Cofnąłem się o sto lat i za późno przychodzę jej na ratunek.

Końcowy odcinek drogi pokonuję biegiem, orientując się

według zenitówek ustawionych w Hyde Parku. Wpadam do metra. Ostatniego szylinga wydaję na przejazd do stacji Katedra św. Pawła, wsadzam bilet do kieszeni i pędzę w stronę schodów.

– Powoli! – woła za mną kasjerka. – Prosimy na lewo!

Przed prawym wejściem stoi drewniana bariera – metalowe drzwi są zamknięte na łańcuch z kłódką. Tablicę z nazwami stacji zakleiono na krzyż taśmą, a do drewnianej barierki przybito gwoździami informację z napisem wszystkie stacje i strzałką zwróconą w lewo.

Nie znalazłem Enoli na wyłączonych ruchomych schodach, nie siedziała też pod ścianą w korytarzu. Wszedłem do pierwszej klatki schodowej, lecz nie mogłem iść tam, dokąd chciałem, bo na mojej drodze rozsiadła się jakaś rodzina przy wspólnym posiłku, złożonym z herbaty i chleba z masłem. Na obrusie, w rogach haftowanym w kwiaty, stał też niewielki słoik dżemu, przykryty pergaminem, oraz czajnik na kuchence podobnej do tej, którą odzyskaliśmy z Langbym, wyciągając ją spod gruzów. Przez chwilę gapiłem się na obrus leżący na schodach. Przypominał wodospad.

– Ja... chcę się dostać na peron – rzekłem i przypomniałem sobie, że następne dwadzieścia osób zabiły płyty odpadające ze ścian i sufitów. – Państwo powinni stąd odejść.

– Mamy takie same prawa jak wszyscy – odparł mężczyzna wojowniczo. – A niby kto pan jest, że każe się nam wynosić?

Kobieta, która wyjmowała talerzyki z kartonowego pudła, spojrzała na mnie przestraszonym wzrokiem. Czajnik zaczął gwizdać.

– To raczej pan powinien odejść – powiedział mężczyzna.

Wstał i trochę się odsunął, żeby móc przejść. Ze skruszoną miną prześlizgnąłem się obok obrusa.

– Przepraszam, ale na peronie muszę kogoś odszukać – wybąkałem.

– W tym piekle nigdy jej nie znajdziesz, kolego – mruknął mężczyzna, kciukiem wskazując w stronę peronów.

Pospiesznie go minąłem, omal nie nadepnąwszy na obrus, a potem skręciłem za róg i znalazłem się w owym piekle. To wcale nie wyglądało jak piekło. Dziewczyny pracujące w okolicznych sklepach podkładały sobie złożone płaszcze pod plecy, by się oprzeć o ścianę – jedne były wesołe, drugie smutne, a jeszcze inne niezadowolone, ale nie przypominały potępieńców. Dwaj chłopcy bili się o szylinga, który w końcu spadł im na tory. Pochyleni nad krawędzią peronu debatowali, jak odzyskać monetę, a wtedy strażnik kolejowy wrzasnął, żeby się cofnęli. Na stację z łoskotem wjechał pociąg pełen pasażerów. Jakiś komar usiadł na dłoni strażnika, który chciał go zabić, ale nie trafił. Chłopcy wybuchnęli śmiechem.

I wtedy zobaczyłem, że wszędzie, na każdym skrawku peronu i przejść, leżą ludzie niczym ranni. Setki, tysiące ludzi.

Niepewnie cofnąłem się na schody i wywróciłem filiżankę. Herbata zalała obrus.

– A nie mówiłem ci, kolego, że to piekło? – odezwał się mężczyzna triumfującym tonem. – Prawda, że miałem rację, no nie? Dalej jest jeszcze gorzej.

– Rzeczywiście piekło – przyznałem.

Nigdy nie znajdę Enoli i nie uda mi się jej uratować. Spojrzałem na kobietę, która wycierała rozlaną herbatę, i wtedy

przyszło mi do głowy, że jej też nie mogę uratować. Enola, kot i wszyscy ci ludzie znajdują się w zaułkach czasu, w zaułkach bez wyjścia. Nie żyją od stu lat i nie zdołam ich ocalić. Nie można ocalić przeszłości. Z pewnością wydział historii przysłał mnie tutaj, żebym to zrozumiał. No cóż, zrozumiałem. Czy teraz mogę wrócić do domu?

Oczywiście, że nie, mój drogi. Jak dureń wydałeś wszystkie pieniądze na taksówki i koniak, a dziś Niemcy spali City. (Choć za późno, to jednak wszystko sobie przypomniałem. Dwadzieścia osiem bomb zapalających spadnie na dach katedry). Langby musi mieć okazję, ty natomiast dostaniesz nauczkę i przekonasz się o tym, co powinieneś wiedzieć od samego początku – nie możesz uratować katedry.

Wróciłem na peron, stanąłem za żółtą linią i czekałem, aż przyjedzie następny pociąg. Wsiadłszy do niego, wyjąłem bilet, który trzymałem w ręku przez całą drogę do stacji przy katedrze. Kiedy tam dotarłem, zobaczyłem kłęby dymu sunące w moją stronę niczym fala przypływu.

– Zabrakło wody – powiedziała jakaś kobieta głosem pozbawionym nadziei.

Wpadłem do dziury, w której zbiegały się miękkie parciane węże. Ubrudziłem sobie ręce cuchnącym błotem i wtedy wreszcie zrozumiałem, również za późno, znaczenie słów tej kobiety. Po prostu nie było wody do gaszenia pożarów.

Drogę zagroził mi policjant. Bezradnie się zatrzymałem, nie wiedząc, co powiedzieć.

– Cywilów tu nie wpuszczamy – rzekł i dodał: – Płonie katedra. Kłęby dymu przypominały chmurę burzową, z której strzelały

iskry, a nad nią złościła się kopuła.

– Jestem z obrony cywilnej – oznajmiłem.

Policjant opuścił rękę. Wkrótce znalazłem się na dachu.

Mój poziom endorfin musiał wznosić się i opadać niczym wycie syren alarmowych, bo straciłem pamięć krótkotrwałą.

Przypominam sobie tylko jakieś pojedyncze sceny bez związku: ludzi grających w karty w kącie katedry, kiedy znosiliśmy Langby’ego, ognisty wir pod kopułą, kierowcę karetki pogotowia, który miał takie same buty bez nosków jak Enola i smarował maścią moje poparzone ręce. Wyraźnie pamiętam jedynie to, że spuściłem się na linie za Langbym i uratowałem mu życie.

Stałem na dachu przy kopule, mrużąc oczy od dymu. Całe City płonęło. Miałem wrażenie, że katedra zajmie się od sąsiednich budynków albo rozpadnie wskutek hałasu. Bence–Jones walił łopata w bombę zapalającą przy północno–zachodniej wieży. Langby stał przodem do mnie, trochę zbyt blisko dziury przykrytej deskami. Nagle tuż za nim spadła następna bomba. Odwróciłem się, żeby chwycić łopate, a kiedy znów spojrzałem w tamtą stronę, już go nie było.

– Langby! – zawołałem, lecz nie słyszałem własnego głosu.

Oprócz mnie nikt nie zauważył, że Langby wraz z bombą wpadł do dziury. Nie pamiętam, jak się przy niej znalazłem. Chyba krzyknąłem, żeby rzucono mi linę. Przewiązałem się nią w pasie, końce podałem kolegom i zajrzałem do dziury. Pożar oświetlał ją prawie do samego dna, gdzie zobaczyłem białawe rumowisko. Pomyślałem, że Langby’ego przysypało, i skoczyłem w dół. Było tak ciasno, że nie miałem gdzie odrzucać gruzu i

ledwo mogłem się obrócić. Zacząłem odwalać kawałki desek i tynku za siebie, by mimo woli nie ukamienować nieszczęśnika. W pewnej chwili przyszła mi do głowy straszna myśl, że jego w ogóle tam nie ma, że stanie się to, co w krypcie, gdy po usunięciu gruzu nikogośmy nie znaleźli.

Drętwiałem z obawy, że może depczę po nim jak cham. Gdyby zginął, chyba umarłbym ze wstydu. Wówczas na powierzchni ukazała się ręka Langby'ego, który niczym duch złapał mnie za kostkę, a po kilku sekundach uwolniłem mu głowę.

Był upiornie blady, lecz to już nie robiło na mnie wrażenia.

– Zgasilem bombę – powiedział.

Patrzyłem na niego z bezgraniczną ulgą, która odebrała mi mowę. W pewnym momencie pomyślałem, że zaraz wybuchnę histerycznym śmiechem, tak bardzo się cieszyłem, widząc go żywego. Wreszcie uświadomiłem sobie, co chciałem powiedzieć.

– Nic ci nie jest? – spytałem.

– Nie – odparł, z trudem unosząc się na łokciu. – Tym gorzej dla ciebie.

Nie mógł wstać. Stęknął z bólu, kiedy chciał się obrócić na prawy bok, i z powrotem opadł na plecy. Gruzowisko pod nim niepokojąco zachrząściło. Próbowałem delikatnie go podnieść, żeby zobaczyć, gdzie jest ranny. Pewnie na coś spadł.

– To nie ma sensu – wysapał. – Ale ją zgasilem.

Zerknąłem na niego z obawą, sądząc, że bredzi. Znów starałem się obrócić go na bok.

– Wiem, że na to liczyłeś – ciągnął bez słowa protestu. – To musiało się stać, wcześniej czy później. Tylko ja za nią skoczyłem. Co powiesz swoim przyjaciołom?

Płaszcz azbestowy miał rozdarty na plecach, które były szerniałe i dymiały. A więc Langby spadł na bombę zapalającą. Wykrzyknąłem: „O mój Boże!” i gorączkowo próbowałem ustalić, czy jest bardzo poparzony, uważając, by go nie urazić. W żaden sposób nie mogłem się zorientować, czy oparzenia są głębokie, ale zdawało mi się, że obejmują tylko wąski pas w miejscu rozdarcia płaszcza. Chciałem wyjąć spod niego bombę, ale okazała się zbyt gorąca, choć jeszcze się nie zapaliła, zduszona ciałem Langby’ego i moim piaskiem. Chyba zaczęłyby się palić, gdybym ją wyciągnął na powietrze. Nerwowo rozejrzałem się dookoła w poszukiwaniu kubła i pompy, które Langby musiał zgubić podczas upadku.

– Szukasz jakiejś broni? – zapytał tak wyraźnie, jakby w ogóle nie cierpiał. – Dlaczego mnie tu nie zostawisz? Jeszcze trochę bym tak poleżał i do rana byłoby po mnie. Nie wolałbyś spokojnie prowadzić dalej tej swojej brudnej roboty?

Podniosłem się i przywołałem ludzi stojących na dachu. Jeden z nich włączył latarkę, lecz jej światło do nas nie sięgało.

– Nie żyje?! – krzyknął któryś.

– Sprowadźcie karetkę – odpowiedziałem. – Jest poparzony.

Pomogłem Langby’emu wstać, starając się nie dotknąć rany. Zachwiał się i oparł o ścianę, kiedy obserwowałem, jak złamaną deską próbowałem zakopać bombę. Nie odezwał się do mnie od chwili, gdy pomogłem mu się podnieść. Spuszczono linę, do której go przywiązałem. Dał się owinąć nią w pasie, ciągle na mnie patrząc.

– Szkoda, że wtedy w krypcie nie pozwoliłem ci się udusić – mruknął.

Stał niemal swobodnie, choć zachowywał pionową pozycję tylko dzięki temu, że się podpierał rękami. Omotałem mu dłonie liną, wiedząc, że nie ma dość siły, by sam się jej trzymać.

– Obserwowałem cię od tego dnia na galerii. Wiem, że wtedy nie bałeś się wysokości. Dziś bez żadnego lęku tu się spuściłeś, bo myślałeś, że zniweczę twoje cenne plany. Co to wtedy było? Wyrzuty sumienia? Klęczałeś, jak dziecko jęcząc: „Cośmy narobili? Cośmy narobili?“, aż chciało mi się rzygać. Wiesz, czym pierwszy raz się zdradziłeś? Tą historią z kotem. Wszyscy wiedzą, że koty nie znoszą wody, wszyscy... oprócz parszywych faszystowskich szpiegów.

Poczułem szarpnięcie liny.

– Ciągnijcie! – zawołałem.

Lina się napięła.

– A ta dziwka z WVS też jest szpiegiem? Miałeś się z nią spotkać na stacji Marble Arch? Mówiłeś, że ta stacja będzie zbombardowana. Marny z ciebie szpieg, Bartholomew. Twój przyjaciele już raz ją rozwalili, we wrześniu, a znowu jest czynna.

Nagle lina drgnęła i Langby ruszył do góry. Prawym ramieniem ocierał się o ścianę, więc uniosłem ręce i delikatnie obróciłem go o sto osiemdziesiąt stopni.

– Robisz wielki błąd – rzekł. – Powinieneś mnie zabić. Wszystko powiem.

Stałem w ciemnościach, czekając na linę. Langby dotarł na dach nieprzytomny. Kiedy się tam znalazłem, zszedłem do krypty.

Dziś rano dostałem list od „stryja”. W kopercie znalazłem

banknot pięciofuntowy.

31 grudnia W St. John's Wood spotkałem się z dwoma pacholkami Dunworthy'ego, którzy mi powiedzieli, że spóźniłem się na egzaminy. Nie miałem siły protestować. Ledwo trzymając się na nogach, posłusznie ruszyłem za nimi, nawet nie pomyślawszy, że to nie *fair* zmuszać do zdawania egzaminów chodzącego trupa. Nie spałem od... Właściwie jak długo? Od wczoraj, kiedy poszedłem szukać Enoli. Wobec tego nie spałem sto lat.

Dunworthy spojrział na mnie, kiedy wszedłem do sali egzaminacyjnej. Jeden z jego pacholków wręczył mi test, drugi głośno podał czas. Odwracając kartkę, zostawiłem na niej tłustą smugę od maści, którą posmarowano oparzenia. Ze zdumieniem przyglądałem się swoim dłoniom. Uświadomiłem sobie, że już mnie piekły, zanim chwyciłem bombę, kiedy chciałem ją wyciągnąć spod Langby'ego. Nagle wszystko zrozumiałem. Wydawało mi się, że słyszę jego szorstki głos: „To od liny, baranie. Czyżby faszystowskich szpiegów nie uczyli prawidłowego zjeżdżania po linie?”.

Popatrzyłem na test.

Liczba bomb zapalających, które spadły na katedrę św. Pawła: _

Liczba min na spadochronach: _

Liczba bomb burzących: _

Najczęściej stosowane metody unieszkodliwiania: a. bomb zapalających: _

b. min na spadochronach: _

c. bomb burzących: _

Liczba ochotników: a. na pierwszej zmianie: _

b. na drugiej zmianie: _

Liczba rannych: _

Liczba zabitych: _

Te pytania były bez sensu. Na odpowiedzi pozostawiono za mało wolnego miejsca. Starczy go w wypadku liczb, ale nie na opis najczęściej stosowanych metod unieszkodliwiania bomb zapalających. Jak tu zmieścić wszystko to, co wiem? I gdzie są punkty dotyczące Enoli, Langby’ego i kota?

Podszedłem do biurka, przy którym siedział Dunworthy.

– Wczoraj katedra prawie doszczętnie spłonęła – oświadczyłem. – Co to za test?

– Powinien pan odpowiadać na pytania, a nie je zadawać.

– Tu nie ma żadnych pytań na temat ludzi.

Wzbierała we mnie złość. Przypominałem bombę, która zaraz wybuchnie.

– Ależ oczywiście, że są – odparł Dunworthy, machając drugą kartką testu. – Liczba rannych w roku tysiąc dziewięćset czterdziestym: a. od wybuchu; b. od szrapnela; c. inne przyczyny.

– Inne? – spytałem. Miałem wrażenie, że za chwilę na moją głowę runie sufit w lawinie tynku i chmurze pyłu. – Inne?

Langby zgasił bombę własnym ciałem, Enola coraz bardziej się przeziębiała, a kot... Wyrwawszy test z ręki Dunworthy’ego, na drugiej kartce, za słowami „od wybuchu” nabazgrałem „jeden kot”.

– Czy oni pana w ogóle nie obchodzą?

– Liczą się tylko ze statystycznego punktu widzenia, lecz trudno powiedzieć, żeby jako jednostki mieli znaczenie dla

historii.

Zareagowałem błyskawicznie. Ze zdumieniem stwierdziłem, że Dunworthy'emu brakuje refleksu. Strąciłem mu okulary i ugryzłem go w policzek.

– Właśnie że mają! – wrzasnąłem. – To oni tworzą historię, a nie te cholerne liczby!

Również pacholki zareagowały bardzo szybko. Uprzedzając mój powtórny atak, chwyciły mnie za ręce i ciągnęły do drzwi.

– Zostali w przeszłości bez żadnej pomocy, w ciemności lecą na nich bomby, a pan mi mówi, że oni nie mają znaczenia?! Czy tak może powiedzieć historyk?!

Pacholki wypchnęły mnie za drzwi i prowadziły korytarzem.

– Langby ocalił katedrę! Co jeszcze trzeba zrobić, żeby mieć znaczenie?! Z pana żaden historyk! Pan jest... – Chciałem mu strasznie nawymyślać, ale do głowy przychodziły mi jedynie obelgi Langby'ego. – Pan jest hitlerowskim szpiegiem! – ryknąłem. – Drobnomieszczańską rurą!

Wyrzucili mnie przez główne wejście z taką siłą, że znalazłem się na czworakach, a potem zatrzasnęli mi drzwi przed nosem.

– Za żadne pieniądze nie zostanę historykiem! – krzyknąłem i odszedłem, żeby popatrzeć na płytę ku czci obrony cywilnej.

31 grudnia Muszę pisać to po kawałku – moje ręce są w dość kiepskim stanie, bo przecież chłopcy Dunworthy'ego nie przyczynili się do poprawy sytuacji. Od czasu do czasu przychodzi Kivrin z miną świętej Joanny i tak grubo smaruje mi dłonie maścią, że nie mogę utrzymać ołówka.

Oczywiście stacji Św. Pawła już nie ma, więc wysiadłem na

Holborn, myśląc o moim ostatnim spotkaniu z dziekanem Mathewsem, które nastąpiło rano, nazajutrz po spaleniu City.

To znaczy dziś rano.

– Wiem, że uratował pan życie Langby’emu – powiedział. – Wiem również, że ostatniej nocy wspólnie ocaliliście katedrę.

Pokazałem mu list od „stryja”. Patrzył nań, jakby nie wiedział, co to jest.

– Niczego nie da się uratować na zawsze – rzekł.

Z przerażeniem pomyślałem, że chce mnie zawiadomić o śmierci Langby’ego, ale zaraz dodał: – Dalej musimy chronić katedrę, dopóki Hitler nie postanowi bombardować czegoś innego.

Miałem ochotę mu powiedzieć, że wkrótce naloty na Londyn się skończą, że za kilka tygodni Hitler rozpocznie bombardowania prowincji, Canterbury, Bath. I zawsze celem będą katedry. „Katedra św. Pawła przetrwa wojnę, a Wasza Wielbność dożyje chwili odsłonięcia płyty ku czci obrony cywilnej”.

– Mimo wszystko jestem pełen nadziei – rzekł. – Chyba najgorsze już za nami.

– Tak jest.

Myślałem o tej płycie i napisie, który wciąż był czytelny, choć minęło tyle lat. Nie, dziekanie, najgorsze jeszcze przed nami. Prawie do samego szczytu Wzgórza Ludgate udało mi się zachować orientację, ale później całkiem zgubiłem drogę i zacząłem się błąkać zupełnie jak na cmentarzu. Nie pamiętałem, że gruzy wyglądają bardzo podobnie do sterty białego tynku, z której Langby próbował mnie wykopać. Nigdzie nie mogłem

znaleźć płyty. W końcu się o nią potknąłem i odskoczyłem, jak gdybym nadepnął trupa.

Tylko ona przetrwała. W Hiroszynie w miejscu wybuchu zostało kilka nietkniętych drzew, w Denver – schody kapitolu. Tam jednak nie ma napisu: *Pamiętajcie o kobietach i mężczyznach, którzy z łaski Boga ocalili katedrę św. Pawła.*

Z łaski Boga.

Część płyty jest ukruszona. Historycy twierdzą, że były tam jeszcze słowa „po wsze czasy”, ale ja w to nie wierzę, jeśli dziekan Mathews miał z tym coś wspólnego. Ani przez moment nie wierzyłaby w to żadna z osób, którym ją poświęcono.

Unieszkodliwiając bombę, za każdym razem ocalaliśmy katedrę, ale tylko do czasu, gdy spadała następna. Chroniliśmy przed spaleniem tę wielką budowlę, dyżurując w miejscach najbardziej narażonych na niebezpieczeństwo, gasząc małe pożary wodą z ręcznych pomp i piaskiem, a duże własnymi ciałami. Dla mnie brzmi to jak opis przebiegu praktyki studenckiej numer 401 z historii. Jaka to satysfakcja odkryć, do czego potrzebni są historycy, gdy wyrzuciłem przez okno swoją szansę z taką samą łatwością, z jaką Niemcy zrzucali bombę! Nie, dziękuję, najgorsze jeszcze nie minęło.

Na płycie wyraźnie widać wypalony ślad, gdzie według legendy klęczał dziekan katedry św. Pawła w chwili wybuchu owej bomby, co oczywiście jest niemożliwe, bo miejsce tak blisko głównego wejścia nie nadaje się do modlitw. Bardziej prawdopodobne, że to cień jakiegoś turysty, który tam wstąpił, by zapytać, gdzie jest Teatr Windmill, czy dziewczyny niosące ochotnikowi szalik. Albo cień kota.

Niczego nie można ocalić na zawsze, Wasza Wielbność. Wiedziałem to od pierwszego dnia, od chwili, gdy wszedłem do katedry i popatrzyłem w jej mroczne wnętrze. Wielka szkoda, że nie można. Stałem po kolana w gruzach, spod których nie wydobędę składanych krzeseł ani przyjaciół. Miałem świadomość, że Langby zginął, uważając mnie za hitlerowskiego szpiega, że pewnego dnia przyszła Enola i już mnie nie zastała. Wielka szkoda.

Jednak mogło być gorzej. Żadne z nich już nie żyje, tak samo jak dziekan Mathews, ale zginęli, nie zdając sobie sprawy z tego, co ja wiedziałem przez cały czas, co na Galerii Szeptów zważyło mnie na kolana, zasmuciło i napełniło poczuciem winy – że w końcu nikt z nas nie ocalił katedry św. Pawła. Langby już nie może przyjść do mnie i zapytać ze złością: „Kto to zrobił? Twój przyjaciele hitlerowcy?”. Musiałbym mu odpowiedzieć: „Nie, komuniści”. To byłoby najgorsze.

Wróciłem do swojego pokoju i Kivrin znowu nasmarowała mi dłonie. Chce, żebym się trochę przespał. Chyba powinienem się spakować i wyjechać. Jeśli oni tu przyjdą i mnie wyrzucą, będzie to bardzo upokarzające, ale nie mam siły się z nią kłócić. Jest tak podobna do Enoli.

1 stycznia Widocznie przespałem nie tylko całą noc, ale również nadejście porannej poczty. Kiedy się obudziłem, Kivrin siedziała przy mnie na łóżku, trzymając kopertę.

– Przyszły twoje wyniki – rzekła.

Potarłem twarz ze znużeniem.

– Oni potrafią być fantastycznie sprawni, jeśli chcą,

nieprawdą?

– Tak – odparła.

– No, trzeba zobaczyć, co przysłali – oznajmiłem, siadając. – Jak myślisz, kiedy przyjdą mnie wyrzucić?

Podawała mi cienką kopertę z komputerowym wydrukiem. Rozdarłem ją wzdłuż perforacji.

– Zaczekaj. Nim otworzysz, chciałabym ci coś powiedzieć. – Ostrożnie dotknęła mojej poparzonej dłoni. – Mylisz się co do wydziału historii. Oni są bardzo dobrzy.

Szczerze mówiąc, nie tego oczekiwałem.

– Mówiąc o Dunworthym, nigdy bym nie użył takiego określenia – oświadczyłem i wyjąłem kartkę z wydrukiem.

Kivrin nie zmieniła wyrazu twarzy nawet wówczas, gdy zapewne mogła odczytać wynik z arkusza leżącego na moich kolanach.

– No cóż – bąknąłem.

Czcigodny Dunworthy własnoręcznie podpisał powiadomienie. Zdałem z wyróżnieniem.

2 stycznia Z dzisiejszą pocztą nadeszły dwa listy. W jednym było zadanie dla Kivrin. Wydział historii myśli o wszystkim – nawet o tym, że dostatecznie długo mnie pielęgnowała, czy o poddawaniu studentów ostatniego roku sfabrykowanej próbie ognia.

Chyba chciałem wierzyć, że wszystko, co przeżyłem, zostało sfabrykowane, że Enola i Langby to tylko wynajęci aktorzy, a kot to robot, z którego dla uzyskania finałowego efektu wyjęto mechanizm. Pragnąłem w to wierzyć wcale nie dlatego, że

Dunworthy mi się nie podobał, ale by mnie nie męczyło dokuczliwe przeświadczenie, że nie wiem, co się stało z Langbym, Enolą i kotem.

– Ty miałaś praktykę w Anglii w roku tysiąc czterechsetnym? – spytałem, patrząc na nią podejrzliwie, zupełnie jak przedtem na Langby’ego.

– W tysiąc trzysta czterdziestym dziewiątym – odparła. Na moment się zamyśliła. – Szalała wtedy dżuma.

– Mój Boże, jak oni mogli? Dżuma to przecież dziesiąta kategoria.

– Mam wrodzoną odporność – oświadczyła skromnie i opuściła wzrok na swoje dłonie.

Nie wiedziałem, co na to powiedzieć, więc otworzyłem drugi list. Zawierał wydruk komputerowy ze szczegółowymi informacjami na temat Enoli: fakty, daty i dane statystyczne, a wszystko ujęte w liczby, tak uwielbiane przez wydział historii. Znalazłem tam jednak wiadomość, której – jak sądziłem – nigdy nie zdobędę. Okazało się mianowicie, że Enola wyleczyła się z przeziębienia i przeżyła bombardowania. Jej brat zginął w Bath podczas nalotu, ale ona umarła dopiero w 2006, na rok przed zniszczeniem katedry św. Pawła.

Nie wiem, czy mam wierzyć tym informacjom, czy nie, ale mniejsza z tym. Dla mnie są one tym, czym dla pewnego staruszka było czytanie na głos – zwykłą ludzką przysługą, jak powiedział Langby. Wydział historii pomyślał o wszystkim.

Niezupełnie. Nie powiedziano mi, co się stało z Langbym, lecz pisząc te słowa, stwierdziłem, że już wiem: uratowałem mu życie, choć następnego dnia mógł umrzeć w szpitalu. Teraz wydaje się

to nieważne. Pomimo trudnej lekcji, której próbowałem mi udzielić wydział historyczny, nie bardzo wierzę w jedno – że niczego nie da się ocalić na zawsze. Langby chyba został uratowany.

Robert Reed (ur. 1956) jest kolejnym, jak Greg Egan i Peter Hamilton, z pisarzy, których wyobraźnia pracuje na wielką skalę. Jego dziewiąta powieść, *Marrow (2000)*, *ukazuje z rozmachem świat w świecie*. *The Dragons of Spring Place (1999)* jest doskonałym popisem poszerzających perspektywę krótkich form. Nie należy jednak do nich prezentowane opowiadanie, jedno z mniej znanych. W pewien sposób utwór ten pokazuje dalsze aspekty podróży w czasie. A chociaż, jak na standardy tego autora, jest to dość wyważona opowieść, jednak ukazuje nieograniczone możliwości jego wyobraźni.

W SKLEPIE „JA”

Pierwszy klient był drobnym starym mężczyzną, chudym, żyłastym i czerstwym. Nosił odblaskowe szorty i termokoszulę, żelowe skarpety oraz jasnoczerwone buty. Przesząpił próg z uśmiechem – jak ktoś znający dobrze pomieszczenie, choć po raz pierwszy widzący chłopaka za ladą. Im bliżej podchodził do kontuaru, tym szerzej się uśmiechał.

– Dzień dobry panu – przywitał staruszka chłopak. – Piękny poranek, prawda?

– Przyjemny.

– Założę się. – Chłopak oparł dłonie o szklany blat. – Jest pan biegaczem?

– Czasami. Zgaduję, że jesteś tu nowy?

– To mój pierwszy dzień. Przyszedłem wcześniej, żeby zapoznać się z...

– ...ze szczegółowymi danymi.

Chłopak zamrugał.

– Tak, z danymi.

– Pierwszy dzień w pracy. Gratuluję. – Klient skinął z powagą głową, zafalowały srebrzyste włosy pod białą opaską, jasne oczy zabłysły. Z zaplecza rozległo się mokre kasznięcie i mężczyzna uniósł głowę.

– Jestem już umówiony. To moje urodziny. Bennett.

Chłopak dotknął klawiatury optycznej starego terminala i przeczytał, co pojawiło się na żółtym ekranie.

– Pan Willard Bennett?

– We własnej osobie.

Jak wspomniał właściciel, klienci byli umówieni na dzisiaj i na dwadzieścia najbliższych lat. Pan Bennett? Chłopak pomyślał, że musiał słyszeć to nazwisko. Wydawało się znajome – imię, nazwisko, okoliczności. A jednak nie potrafił sobie przypomnieć szczegółów.

– Jak ci idzie pierwszego dnia? Zdarzyło się coś ciekawego?

Ciekawego? Nieszczególnie. Ale pierwsze godziny były przyjemne, chłopak siedział sam w klitce obok warsztatu, ucząc się od starych urządzeń cyfrowych swoich obowiązków. Właściciel odezwał się do nowego pracownika może dwa razy. Milczek, do tego szorstki, oszacował w duchu chłopak. Ale zasługujący na szacunek. Ciekawy pierwszy dzień w pracy? Dopiero od teraz! Mój pierwszy klient...!

– Przychodzę od trzydziestu sześciu lat – powiedział pan Bennett. – W każde swoje urodziny.

– Moje gratulacje, proszę pana.

– Bardzo dziękuję.

Chłopak już polubił starszego mężczyznę. Ale taki miał charakter: był szczery i radosny, łatwo obdarzał ludzi sympatią. Z natury optymistą, miał poczucie dumy, że w każdej sytuacji potrafi zachować dobry nastrój.

– Och, i wszystkiego najlepszego – dodał.

– Dzięki. – Klient mrugnął porozumiewawczo. – Byłem tu tyle

razy, że może darujemy sobie wstępy i od razu pójdę na tyły...

– Oczywiście, proszę pana. Tędy, proszę.

Staruszek ruszył zwawo, praktycznie przeskoczył przez uchylone drzwi i zawołał dziarsko: – Yates, już jestem. Chociaż mogłem zamarznąć na śmierć. Tak się jednak nie stało, prawda? Dlatego jestem.

Pan Yates, właściciel, warknął w odpowiedzi. A potem drzwi się zatrzasnęły i chłopak nie mógł usłyszeć nic więcej poza stłumionymi odgłosami rozmowy. Czym by tu się zająć? Rozejrzał się po jasnym pomieszczeniu z plastikowymi krzesłami, a potem zerknął na zewnątrz. Na podjeździe parkował jeden pojazd – właściciela – a ruch w starej alei był niewielki. „Przygotuj się na nudę”, powiedział chłopakowi pan Yates, gdy go oprowadzał. „Sąsiedztwo jest tu równie beznadziejne jak gospodarka”.

Wiecznie niezadowolony człowiek – jak uznał chłopak, nie mogąc powstrzymać się, by nie współczuć panu Yatesowi. Interesy szły słabo, stąd te kwaśne słowa. Dobrze, że zatrudnił kogoś, kto wniesie trochę optymizmu i świeże spojrzenie. Chłopak wyobrażał sobie, jak w najbliższych tygodniach i miesiącach przyciągnie nowych klientów i zasłuży na pochwałę właściciela... służąc pomocą, gdy tylko będzie potrzebny, sprawiając, że sklep rozkwitnie...

I wtedy ujrzał zatrzymujący się na podjeździe pojazd. Kolejny klient, a raczej klientka – a sklep był otwarty zaledwie od dziesięciu minut!

Kobieta w średnim wieku, z zaciśniętymi dłońmi i wypraktykowanym zapewne wyrazem spokoju na twarzy.

Chwilę stała pod drzwiami, zanim je otworzyła.

– Dzień dobry?

– Dzień dobry pani. Czym mogę służyć?

Zesztywniała, długo przyglądając się chłopakowi za szklanym kontuarem.

– Czy mam... Czy powinnam rozmawiać z tobą?

– Tak, proszę pani.

– Cóż... – zaczęła. – Chodzi o zakup waszych usług. Korzystałam z nich wcześniej u innych sprzedawców, ale to było dawno temu. Chciałabym dowiedzieć się dokładniej...

– Proces jest całkowicie bezpieczny – zapewnił chłopak.

– Czy mogę płacić na raty? Jakie są koszty?

Klientka miała około pięćdziesięciu lat i nie była zbyt dobrze sytuowana. Chłopak ocenił to na podstawie jej pojazdu, ciemnego, z wgnieceniem na przednim zderzaku, oraz po ubraniu – wyblakłym i pasującym raczej na szczuplejszą kobietę.

– Czy rozumie pani, co się dzieje podczas procesu?

– Nie znam szczegółów naukowych, rzecz jasna.

– Mogę wytłumaczyć podstawy, jeżeli pani sobie życzy.

Wzruszyła ramionami, najwyraźniej niewiele ją to obchodziło. Chłopak przypomniał sobie, czego nauczył się rano.

– Umysł – wyjaśnił – jest jak gąbka, która wchłania każdy sygnał zmysłowy i każde doznanie siebie.

Opowiedział, jak w zeszłym stuleciu, gdy chirurgia była prymitywna, odkryto, że słaba stymulacja kory mózgowej pozwala przywołać i wyostrzyć wspomnienia. Mózg jest gąbką, z której jednak nic nie wycieka, a dzięki technologii można teraz wyekstrahować dowolne wspomnienia. Sprzed tygodnia lub

sprzed czterdziestu lat. Robi się to za pomocą przymocowanych do głowy elektrod i przemysłnych chipów ukrytych w opasce. Wygodnie i estetycznie. Kobieta przyglądała się młodemu sprzedawcy z nieruchomą twarzą.

W warsztacie coś upadło. Baam.

– Przenośne holoprojektory tworzą obraz człowieka na podstawie wyekstrahowanych wspomnień – tłumaczył chłopak. – Jakość produktu może zostać polepszona dzięki starym fotografiom lub zapisom cyfrowym. A gdyby – dodał, myśląc o panu Bennecie – była pani stałą klientką, pani mapa neuronowa zostałaby zapisana w naszych zbiorach.

– Chcę siebie, gdy miałam dziesięć lat – przerwała kobieta.

– To częste życzenie. Ludzie lubią spotykać siebie, gdy... – Ile? Chłopak dotknął klawiatury.

– Biorąc pod uwagę wstępne prace... dwieście nowych dolarów. Oraz pięćdziesiąt za każdą godzinę projekcji plus depozyt za urządzenie, całkowicie zwrotny. – Znał na pamięć koszty, ale uważał, że czytanie ich z ekranu nadaje sprawie większego znaczenia. – Jeżeli nie chce pani depozytu, można otworzyć kredyt. Po trzech godzinach raty spadają, a noc jest bez odsetek. Do negocjacji, rzecz jasna.

Kobieta wydawała się zniechęcona.

– Czy moja dziesięcioletnia wersja może coś trzymać? Na przykład lodu?

– Niestety nie. Przykro mi. Projekcje nie są materialne. Jednak możemy wykonać obraz lodu...

– W „Swoim Świecie” – przerwała – używa się robotów, nie hologramów. Roboty mogą robić wszystko.

– Nie znam innych sklepów, proszę pani.

Kobieta zamrugła i westchnęła.

Była wcześniej w „Swoim Świecie”, cokolwiek to jest, uświadomił sobie chłopak. Ale roboty – to wyglądało na drogą ofertę, skomplikowaną i wymagającą dłuższych sesji. Poczuli się pewnie, gdy ponownie odezwał się do klientki: – U nas dostanie pani więcej na raty.

Nie odpowiedziała.

– Pani i pani dziecięca wersja będziecie na siebie reagować, będziecie mogły rozmawiać – zapewnił. – Młodsza wersja będzie wyglądać całkiem normalnie. Głośnik w projektorze wyemituje głos, który zabrzmie autentycznie, postać będzie dostrzegać swoje otoczenie. I będzie miała pani wspomnienia z tamtego okresu.

Proces przypominał hipnozę, część informacji była uzyskiwana z podświadomości.

– Może pani zadawać pytania swojej wersji. I pani wersja na pewno również będzie pytać. Potrafi się nawet uczyć – procesory, jakie pani założy, mają funkcję samoedukacji – dzięki czemu kiedy zechce pani ponownie skorzystać z naszych usług, będzie pani mogła rozpocząć spotkanie w miejscu, gdzie wcześniej się skończyło.

– Kiedy miałam dziesięć lat – odezwała się kobieta – matka zabrała mnie do parku i kupiła mi lody waniliowe.

Nie bardzo wiedząc, co powiedzieć, chłopak tylko się uśmiechnął.

– Wyjątkowy dzień – stwierdziła władczo i dodała: – Zasługuję na przyjemny dzień. Właśnie tego chcę.

– Oczywiście – zapewnił młody sprzedawca.

– Znam dokładną datę.

– To bardzo ułatwi proces.

Kobieta zamyśliła się.

– Nie chcę, aby moja wersja wiedziała, kim jestem. Można to zrobić, prawda? Można sprawić, żeby myślała, że jestem jej ciotką?

– Podobnie jak w hipnozie – odpowiedział chłopak – możemy podsuwać sugestie. Cokolwiek pani sobie życzy.

Podeszła do lady, pytając: – Co teraz?

– Otworzę pani rachunek.

– Dziękuję. – Przyglądała się swoim dłoniom.

– Imię i nazwisko?

– Susan Markle.

– Wiek?

Nie odpowiedziała, podniosła tylko na chłopaka wzrok.

– Ile masz lat?

– Osiemnaście. Skinęła obojętnie głową.

– Lubisz swoją pracę?

– Bardzo. Chociaż to mój pierwszy dzień...

– Naprawdę?

– Ale bardzo interesuje mnie ten biznes. Staram się oszczędzać. Chcę otworzyć swój własny sklep...

– Pięćdziesiąt trzy? – przerwała mu.

– Proszę?

– Tyle mam lat.



Właściciel wyszedł z zaplecza i zmierzył Susan Markle

taksującym spojrzeniem. Na jego twarzy odmalowało się najpierw zaskoczenie, by zaraz zamienić się w podejrzliwość. Był mężczyzną przeciętnego wzrostu, ale z szerokimi ramionami. Po wypadku z chemikaliami dawno temu zostały mu tylko resztki włosów. Twarz miał czerstwą, lecz oczy zaczerwienione i nos spuchnięty. Na skroniach znaczyły się sine żyły. Czoło opinała mu wąska srebrzysta obręcz.

– Noszę ją w celach demonstracyjnych – wyjaśnił, a jego niski, schrypnięty głos zdawał się wypełniać pomieszczenie. – W czym problem? – dodał zaraz, nie zerknąwszy nawet na młodego sprzedawcę.

Chłopak wyjaśnił, czego chce klientka, podał numer jej akt i czas, za jaki chciała zapłacić. Pani Markle obserwowała rozmowę, spoglądając to na właściciela sklepu, to na sprzedawcę. Temu ostatniemu robiło się nieswojo za każdym razem, gdy czuł na sobie wzrok kobiety.

Nagle pojawili się Bennettowie. Pierwszy wyszedł autentyczny pan Bennett i przytrzymał drzwi dla pozostałych. Mężczyźni ubrani byli w identyczne dresy w jaskrawych barwach. Najmłodszy, może trzydziestopięcioletni, był też najbardziej postawny. Pięć projekcji jednocześnie. Prawdziwy pan Bennett zachichotał.

– Szanowni państwo, zaczynamy! – oznajmił. – Coroczny zjazd urodzinowy Bennettów!

Pani Markle potrząsnęła głową, spoglądając na dziwną grupę.

– Na tyły, kobieto – rzucił właściciel. – Musimy zacząć.

Chłopak zjeżył się, słysząc ten ton. Nieuprzejmość stanowiła

niemal proszenie się o kłopoty, szczególnie w przypadku nowych klientów, dlatego młody sprzedawca starał się złagodzić złe wrażenie.

– Tędy, pszepani – wskazał. – Proszę iść za szefem i dobrze się bawić.

Skinęła głową i ruszyła do drzwi.

Wersje pana Bennetta odskoczyły jej z drogi. Wydawały się równie prawdziwe jak ich oryginał, o ile nie zbliżyły się za bardzo do okna, ponieważ wówczas nieco blakły w promieniach słońca. Autentyczny Bennett podszedł do kontuaru.

– Domyślasz się, co to za tradycja?

– Urodzinowy bieg?

– Wyścig. Dziesięć mil. – Starszy pan uśmiechnął się radośnie.

– Przychodziłem tu trzydzieści sześć razy w urodziny i ścigałem się ze sobą. Widzisz tego grubasa? Robię dookoła niego kółka i świetnie się bawię. Dlatego załatwiłem sobie rezerwację do końca wieku.

Właściciel wrócił i sięgnął za klawiaturę po narzędzia, których potrzebował.

– Jesteś kretynem, Bennett – stwierdził. – Na zewnątrz jest patelnia.

Starszy pan wyszczerzył się niewzruszony.

– Damy sobie radę. Prawda, kochani?

Projekcje odpowiedziały natychmiast: – Jasne!

– Pewnie!

Oraz:

– To ma być patelnia?

Głos najgrubszego z Bennettów załamał się na zakłóceniach,

jego audio nie działało dobrze. Młody sprzedawca postanowił zapamiętać, żeby wspomnieć o tym właścicielowi.

– Tylko nie miej do mnie pretensji, jak umrzesz w tym upale!

Starszy pan wzruszył ramionami i mrugnął do chłopaka.

– Jak zawsze pesymista. To część tradycji.

Właściciel roześmiał się z przymusem, po czym zniknął na zapleczu.

– Ruszajmy – rozkazał jeden z młodszych Bennettów. Był najszczuplejszy z całej grupy, o silnych nogach i opalonej skórze. Jego zachowanie pasowało do ciała – twardego i umięśnionego – oraz nastroju. To była szybsza, bardziej niecierpliwa wersja mężczyzny, który zapłacił za usługę. – Dziesięć mil. Mój życiowy rekord wynosi godzinę i dwie sekundy. Zamierzam go dzisiaj pobić.

– Wątpię – roześmiał się prawdziwy pan Bennett. – Ale możesz próbować.

Chłopak życzył im powodzenia. Ściganie się z samym sobą pochodzącym z różnych okresów życia wydawało się świetnym pomysłem... Autentyczny pan Bennett otworzył drzwi dla swoich projekcji. Przeszli na parking, wykonali kilka ćwiczeń rozgrzewających, rozmawiając wesoło. Wyglądało to jak przygotowanie do prawdziwego wyścigu, szczególnie kiedy zawodnicy wcisnęli guziki na identycznych krokomierzach i stoperach. Projekcje nie mogły odczuwać jednak tego, co dzieje się w otoczeniu. Pogody. Ukształtowania terenu. Braku wody. Ustawiły się w szereg na chodniku, a ten najbardziej niecierpliwy z Bennettów wysunął się na początek. A potem, po krótkiej pauzie, rozległo się chóralne: – Start!

W plątaniu nóg i kolorowych dresów rozpoczął się coroczny bieg. Zawodnicy pomknęli pustą ulicą i zniknęli za zakrętem.



– Najpierw kupię ci lody...

– Nie chcę! – projekcja małej dziewczynki wyszła z zaplecza. Twarz miała wykrzywioną, głos piskliwy. – Kim jesteś? Nie znam cię!

Pani Markle wymamrotała: – Jestem twoją ciotką... kochanie.

– Gdzie mama? Chcę do mamy!

Pan Yates stanął w drzwiach na zaplecze i obserwował zdarzenie obojętnie, bez śladu rozbawienia lub niepokoju. Kiedy klientka na niego spojrzała, wzruszył ramionami.

– Co niby mam zrobić?

– Naprawić to. – Pani Markle wskazała na swoją młodszą dziecięcą wersję.

– Chcę do domu! Już!

Dziewczynka była całkiem ładna, a obraz bardzo wyraźny. Wydawała się rzeczywista, z twarzą pobrudzoną krwią i rękami zaciśniętymi tak mocno, że pobielaly kłykcie. Nosila kolorową sukienkę z koronką, co tylko podkreślało jej dziecinny wdzięk. Młody sprzedawca poczuł się nieswojo – na własne oczy przekonał się właśnie, że dzieci bywają kłopotliwe. Zdawało się, że nie ma różnicy, czy takie dziecko jest projekcją, czy nie.

– Chcę do mamy!

Właściciel z niechęcią przycisnął kilka guzików na podręcznym panelu przenośnym i unieruchomił obraz. Dziewczynka zamarła z otwartymi ustami, wysuniętym językiem

i odsłoniętymi zębami.

– No dobrze. Mała ma myśleć, że jest pani jej ciotką?

– O to prosiłam, prawda?

– Przyjaciółka rodziny byłaby łatwiejsza... – ostrzegł właściciel.

Łatwiejsza. Do zaakceptowania przez umysł – dopowiedział sobie w duchu młody sprzedawca.

– Szczególnie jeśli obiekt nie przepada za ciotkami...

– W porządku. Niech pan po prostu zrobi, żeby była miła...

Trochę...

Właściciel zerknął na klientkę uważniej, bardziej podejrzliwie. Co było nie tak? Wziął głęboki wdech i odpowiedział spokojnie: – Mogę zrobić wszystko, co pani sobie życzy. Ale nie mogę zmienić przeszłości.

Jego słowa miały zranić i udało się.

Biedna kobieta cofnęła się, zamrugowała gwałtownie, po czym wyprostowała się i popatrzyła na sprzedawcę. Jej spojrzenie sprawiło, że chłopak znowu poczuł się nieswojo. Wtedy pani Markle uspokoiła się i stwierdziła rozsądnie: – Dobrze. Tylko proszę się naprawdę postarać.

– Zawsze się staram.

Kobieta nie odpowiedziała.

– Wydaje mi się – wtrącił sprzedawca – że dziewczynka jest po prostu bardzo wrażliwa i tyle.

Pani Markle odwróciła się do niego natychmiast.

– Co to znaczy?

– Wrażliwa – powtórzył chłopak z uśmiechem. – Jak jej oryginał. Osoby o artystycznej naturze zawsze mają problem z przyzwyczajaniem się do projekcji. Widząc swoje wersje, mają

wrażenie, że znalazły się w złym miejscu i czasie, a ponieważ są bardziej wrażliwe... cóż, zwykle kończy się to podobnie. Prawda, szefie? – poprosił właściciela, by potwierdził, że to kłamstwo jest prawdą. Starszy mężczyzna niemal się uśmiechnął, a potem przytaknął głową z udawaną pewnością siebie.

– Tak się zdarza.

Kobieta obserwowała tę wymianę zdań, aż wreszcie pan Yates wcisnął guzik.

– Spróbujmy teraz.

Dziewczynka rozejrzała się tym razem ciekawie, zaskoczona, ale nie przestraszona. Kiedy zauważyła panią Markle, zapytała mniej piskliwym tonem: – Gdzie jesteśmy, pszepani?

– Musiałam coś załatwić, kochanie.

Dziewczynka skinęła głową z powagą na znak, że rozumie doskonale.

– Masz ochotę na loda, maleńka? Dziś jest tak gorąco...

– A o jakim smaku?

– O jakim zechcesz.

– Dobra – zgodziła się.

– Wyjdźmy stąd. – Klientka wskazała frontowe drzwi i mała ruszyła w ich kierunku. Zatrzymała się jednak instynktownie, nie próbując ich otworzyć.

– Proszę. – Pani Markle nacisnęła klamkę i skierowała dziecko na podjazd.

– Nie mają kół – zauważyła dziewczynka, spoglądając na zaparkowane pojazdy.

– Ślizgacze ich nie potrzebują.

– Który jest twój?

– Ten.

– Masz brzydki ślizgacz.

Kobieta zatrzymała się za drzwiami, spoglądając na dziecko, a potem na pusty chodnik. Wreszcie ruszyła za małą, spocona, wyraźnie znużona i smutna tym rodzajem smutku, który musiał być jej długotrwałym towarzyszem. Chłopakowi za kontuarem pani Markle wydała się bardziej przejrzysta niż dziewczynka, jakby zaraz miała wyparować w upalnych promieniach słońca.

Właściciel chrząknął, zmrużył oczy i prawie spojrzął na swojego pracownika. Wyglądał, jakby chciał coś powiedzieć, ale się powstrzymał. Odwrócił się i zniknął na zapleczu bez słowa.

Co za dzień! Tylko dwoje klientów i sześć projekcji! Może lokalizacja sklepu nie była najlepsza, ale chyba nie miało to znaczenia. Pani Markle odjechała, a chłopak zapatrzył się w pustą ulicę i budynki po drugiej stronie – odrapane, niektóre opuszczone. Jednak dla młodego sprzedawcy świat wydawał się nadal niewymuszenie i nieprawdopodobnie piękny. To piękno musiało pochodzić ze światła, które sprawiało, że młodemu sprzedawcy chciało się śpiewać... śpiewać piosenkę, którą słyszał kiedyś, radosną i lekką...

– Przestań! – rozległ się okrzyk właściciela zza drzwi na zapleczu. – Żadnych śpiewów!

Ledwie zdołał zanucić pierwszy wers, a już kazano mu zamilknąć. Chłopak jednak nie był zaskoczony... i to go zaskoczyło. Chyba wiedział w głębi duszy, że właściciel ponurak zabroni mu śpiewać. Nie pozwolił jednak, by to polecenie zepsuło mu dobry humor – zanucił przerwana melodię cichutko i uśmiechnął się pod nosem.



Kolejni klienci mieli otwarty wcześniej rachunek. Zapewne oboje byli już po czterdziestce i od dawna po ślubie. Mężczyzna mówił przekonany, że wie, czego chce, w jego głosie brzmiało lekkie rozbawienie. Młody sprzedawca starał się zachowywać uprzejmie i z szacunkiem, powtarzał w odpowiednich momentach „tak, proszę pana” lub „oczywiście, rozumiem, proszę pana”. Żona klienta nie odezwała się słowem, spoglądała tylko w okno ze splecionymi na piersi ramionami.

Pan Yates wyszedł z zaplecza, gdy warunki usługi zostały ustalone.

– Duży tu ruch – zauważył chłopak. – Sklep jest otwarty dopiero przez godzinę, a już...

– Przypadek – stwierdził właściciel. – Do popołudnia jeszcze daleko.

Klient wymienił z nim kilka uprzejmych uwag o pogodzie, od czasu do czasu puszczając porozumiewawcze mrugnięcie do żony. Pan Yates starał się odpowiadać uprzejmie, bardziej przyjaźnie. W pewnej chwili zwrócił się nawet do chłopaka: – Będę potrzebował pomocy – rzekł. – Chodźmy na zaplecze.

A potem przytrzymał drzwi dla pary klientów i sprzedawcy.

Chłopak wszedł na zaplecze za kobietą. Uznał, że jest piękna. Wcale nie wyglądała staro, jak niektóre kobiety po czterdziestce. Nosila obcisłe ubranie podkreślające duży biust. Młody sprzedawca przyłapał się, że patrzy na jej pośladki, gdy szła korytarzem.

Jej mąż zauważył to spojrzenie i uśmiechnął się do chłopaka porozumiewawczo.

Para знаła procedurę. Małżonkowie od razu zajęli wytarte krzesła, za którymi znajdował się sprzęt. Właściciel włożył im na czoła srebrzyste obręcze i przyniósł dwa holoprojektory, które ustawił na statywach tak, by znajdowały się mniej więcej na wysokości głowy człowieka. Projektory miały rozmiary i kształt podobny do ludzkiego serca. Lśniły pomimo wielokrotnego użycia, a włączone brzęczały cicho w różnej tonacji. Na obudowach miały klawisze numeryczne. Chłopak wprowadził dane kobiety. Było to podniecające, ale czuł też zdenerwowanie – oto po raz pierwszy wykonywał prawdziwą pracę – ale przyszło mu to bez problemu. Chyba to zajęcie mu odpowiadało, nie musiał nawet zerkać do instrukcji.

Potem pan Yates i młody sprzedawca usiedli pod ścianą, obserwując wiązki światła z urządzeń projekcyjnych. Para na środku pracowni pozostawała nieruchoma, jakby czekała w jakimś przedpotopowym studiu fotograficznym na zrobienie staroświeckiego zdjęcia. Młodsze wersje małżonków powstawały z ich wspomnień i światła.

I wreszcie zamiast dwóch postaci w pracowni były cztery.

Kiedy urządzenia zakończyły pracę, pan Yates rzucił: – Cholera, pora na lunch.

Po czym wyjął z szuflady biurka butelkę i napełnił kubek.

– No, prawie.

Nie wypadało pić przy klientach, ale chłopak był na tyle mądry, by nie mówić tego głośno.

Kobieta nie czuła się dobrze w obecności swojej młodszej wersji. Projekcja pojawiła się przed statywem i odsunęła od niego po skończeniu procesu. Młodsza kobieta ubrana była tak

samo jak oryginał, a pod obcisłym strojem rysowały się wyraźnie kształty jej iluzorycznego ciała. Chłopak wiedział, że pod ubraniem stworzona została iluzja ciała – sutki, pępek, nawet ciemne włosy łonowe. Im więcej detali, tym wyższa cena, rzecz jasna. Projekcje tego typu należały do kategorii „Tylko dla dorosłych”.

Młodsza para obejmowała się i tuliła, lekceważąc otoczenie.

– Który pokój? – zapytał mąż, wstając.

– Nie obchodzi mnie który – mruknął pan Yates, popijając alkohol z kubka do kawy.

Klientka również wstała i oznajmiła: – Muszę do łazienki.

– Jasne – mruknął jej mąż. – Idź.

Chłopak obserwował, jak kobieta znika w niewielkim pomieszczeniu i zamyka drzwi. Mężczyzna zwrócił się do projekcji: – Idźcie na tyły, pierwszy pokój po prawej.

Projekcje zachichotały i ruszyły we wskazanym kierunku, nadal się obejmując.

– I nie czekajcie na nas!

Klient parsknął ochryłym śmiechem. Sprzedawca poczuł skrępowanie. Tylko pan Yates nie poruszył się za swoim biurkiem, wpatrywał się tylko w swój kubek i nie podniósł wzroku nawet wtedy, gdy klient zapytał: – Duży macie ruch?

Chłopak odpowiedział szybko: – Raczej tak.

Ale cały czas myślał o kobiecie. Wyobrażał sobie ją i jej męża nagich i podświadomie wstrzymał oddech na myśl, co muszą czuć i co wyprawiają teraz ich młodsze kopie. Drzwi do pokoju na końcu korytarza pozostały otwarte i młody sprzedawca żałował, że nie może widzieć, co dzieje się za załomem ściany.

Wydawało mu się, że słyszy ciche westchnienia i jęki, a przez chwilę, zaledwie okamgnienie, mignęła mu podniecająco kusząca kobieca noga, gładka i lśniąca we fluorescencyjnym świetle.

Klient popatrzył na chłopaka i roześmiał się, a potem zapytał: – Hej, co powiesz, żeby się do nas przyłączyć? Nie wydaje mi się, żebyś w tej chwili był bardzo zajęty.

Sprzedawca wzdrygnął się, a mężczyzna odwrócił się do właściciela.

– Co myślisz, Yates? Niech chłopak ma dla odmiany trochę zabawy...

Pan Yates zmrużył oczy, zmieszany i zaskoczony propozycją. A potem cichym, ochrypłym głosem odpowiedział: – Przymknij się pan.

Kobieta wyszła z łazienki, sprzedawca usłyszał szum wody, gdy zamykała za sobą drzwi.

– Hej, to tylko taki żart, na Boga. – Klient potrząsnął głową. – Tylko żart.

– Co powiedziałeś? – zapytała go żona.

– Nieważne – warknął pan Yates. – Czas państwu mija.

Kobieta spojrzała na chłopaka, potem na męża i chyba domyśliła się, o co chodzi, bo rzuciła: – Ty chory...

– Głupi żart!

Chłopak nie odezwał się słowem.

– Jak długo nie miałeś kobiety, chłopcze? – zapytał nagle klient.

– Zamknij się!

Okrzyk zaskoczył wszystkich, nawet pana Yatesa, choć to on wrzasnął. Stał teraz z twarzą poczerwieniałą od gniewu i

zaciśniętymi w pięści dużymi rękami, a w jego ciemnych oczach kotłowały się emocje.

– Dobra, w porządku – odparł klient. – Przepraszam.

Pan Yates nie odpowiedział.

Chłopak poczuł wstyd i skrępowanie. Posmutniał.

– No, chodź – rozległ się jeszcze głos żony klienta. – Miejmy to już z głowy...

A mąż, idąc za nią do prowizorycznej sypialni, zdenerwował się: – Miejmy to z głowy? Co to za podejście? Na Boga, co z tobą nie tak?



W kubku pojawiła się kolejna porcja alkoholu, a pan Yates schował butelkę do szuflady.

– Powinieneś wrócić za kontuar – głos miał zduszony.

– Tak jest, szefie.

Właściciel sklepu wstał, podpierając się rękami o blat biurka, by zachować równowagę. Sprzedawca wciągnął głęboko powietrze, starając się wyczuć dobrze znany zapach alkoholu, ale nie był pewien, co czuje. I czy w ogóle wyczuwa jakiś zapach. Dziwne...

Pan Yates otworzył drzwi do sklepu.

– Mam nadzieję, że interesom to nie zaszkodzi – rzucił chłopak na odchodnym. Drzwi zatrzasnęły się cicho, po czym dobiegła zza nich pełna goryczy odpowiedź: – Jasne.

Głos był znużony i pozbawiony śladu emocji.

Chłopak przeszedł przez rozświetlone słońcem pomieszczenie i zatrzymał się przy oknie. Na zewnątrz, czekając cierpliwie na

chodniku, stał pierwszy pan Bennett. Chyba minęła więcej niż godzina, uświadomił sobie młody sprzedawca. Dostrzegł lśnienie potu na skórze projekcji i szybki, płytki oddech po wysiłku. Chłopak podziwiał prężną sylwetkę z dnia, który musiał być chyba mniej upalny niż obecny... i zaraz poczuł współczucie dla prawdziwego pana Bennetta, który musiał zmagać się z upałem.

Kolejna postać nadbiegła kilka minut później i zaczęła rozmawiać z pierwszą, dysząc ciężko. O czym rozmawiali dwaj panowie Bennett? Obaj sprawdzili swoje stopery i uścisnęli sobie dłonie, składając gratulacje.

Trzecia projekcja pojawiła się trochę później. Najstarszy z wizerunków – gdy pan Bennett miał ponad sześćdziesiątkę – niedogolony, pomarszczony i zataczający się trochę, ale silny. Ściągnął koszulkę i wytarł twarz, choć nadal się pocił. Ponownie postaci pogratulowały sobie biegu uściskiem dłoni i poklepaniem starszego mężczyzny po plecach.

Otyły pan Bennett przeszedł ostatnie metry, niemal mdlejąc z wysiłku. Dwaj młodszy i szczuplejszy podeszli do niego pospiesznie, wzięli go pod ramiona – światło unoszące światło – i chłopak ze sklepu zobaczył niezdrową bladość na twarzy oraz rozdygotane nogi tej projekcji pana Bennetta.

Ale gdzie był prawdziwy pan Bennett?

Chłopak zaczął się martwić, ponieważ czuł się trochę odpowiedzialny za klienta. A jeżeli coś się stało? Machnięciem dłoni uruchomił intercom i powiedział: – Chyba jest problem. Proszę pana?

Nie nadeszła żadna odpowiedź. Nawet niechętnie mruknięcie.

Młody sprzedawca ruszył do drzwi na zaplecze, lecz zdążył

jedynie unieść ręce, gdy na progu stanął pan Yates. Twarz miał poczerwieniałą.

– Jaki problem? Co się stało? – zapytał.

Chłopak odwrócił się, ale na ulicy nie było nikogo.

– Byli tam... – zaczął. – Ale dokąd poszli?

– Wyłączyli się!

Mogli się wyłączyć? Chłopak spojrział raz jeszcze na pustą ulicę i przypomniał sobie, że „wyłączenie” oznacza dwie możliwości: albo elektroniczna obręcz zsunęła się z czoła pana Bennetta, albo pan Bennett był martwy. Utrata przytomności nie wygaszała projekcji. Ale skoro wizerunki wygasły, to czy projektory nie powinny unosić się w powietrzu?

Pan Yates po raz pierwszy od lat rzucił się do biegu. Otworzył drzwi frontowe. Chłopak za późno pomyślał, że powinien pobiec za nim – drzwi się zatrzasnęły. Zresztą ktoś powinien zostać w sklepie... Na wypadek gdyby ktoś zadzwonił choćby.

Pan Yates tymczasem wyszedł na ulicę i osłonił oczy od słońca. Rozejrzał się, a potem przyłożył dłonie do ust i krzyknął. Młody sprzedawca nie zrozumiał słów.

Tłumek panów Bennettów nagle pojawił się nieopodal. Pan Yates nadal do nich krzyczał. Nawet kiedy byli już blisko. W jego głosie strach mieszał się z gniewem.

– Co ty sobie myślałeś? W twoim wieku? Przecież tu jest gorąco jak w piekle! Mogłeś umrzeć, a twoja rodzina oskubałaby mnie do cna na procesie... Niech cię szlag, draniu!

Projekcje otaczały prawdziwego pana Bennetta. Pan Yates otworzył im drzwi i wpuścił wszystkich do sklepu.

– Ty kretynie! Próbowalesz się zabić...?

– Zmęczyłem się, więc szedłem, nie biegłem – powiedział starszy pan. W jego głosie brzmiała pewność siebie i nutki gniewu. Wytarł twarz w koszulkę i dodał z godnością: – Przepraszam, jeśli cię zaniepokoiłem...

– Jak cholera, ty wariacie!

– Nie – sprzeciwił się starszy pan. – To nie ja tu jestem wariatem.

Na długą chwilę zapadło milczenie.

Przerwał je młody sprzedawca.

– To ładnie z waszej strony, że wróciliście po pana Bennetta. – Uśmiechnął się do grupy projekcji. W odpowiedzi skinęły mu głowami w identyczny sposób, a wizerunek, który przybiegł pierwszy, wyjaśnił: – To był mój pomysł.

Dwaj starsi mężczyźni ledwie zauważyli tę wymianę zdań. Spoglądali na swoje stopy, krzywiąc się i starając opanować pomieszane emocje oraz raczej wybuchowe temperamenty.

Wreszcie pan Bennett sięgnął po przeupoconą opaskę i wyjął spod niej srebrzystą obręcz.

– Wybacz, że cię przestraszyłem – powiedział do właściciela sklepu. Projekcje rozmyły się i rozplynęły w ciszy. – Nie chciałem nikogo martwić – zapewnił.

– Ale zmartwiłeś. – Pan Yates przestąpił z nogi na nogę, niepewny, czy zdoła utrzymać dłużej równowagę. Wyglądał dokładnie jak pijany, który przyzwyczał się do stanu upojenia alkoholem. Chłopak znał dobrze oznaki, widywał je często u swojego ojca.

– Wracaj do domu – warknął pan Yates. Holoprojektory unosiły się na wysokości jego głowy, brzęcząc cicho. Pan Bennett

skinął głową.

– Dobrze.

Odłożył metaliczną obręcz na szklany kontuar, a potem popatrzył jeszcze na chłopaka. Wreszcie potrząsnął głową, jakby chciał coś jeszcze powiedzieć, lecz powstrzymał się w ostatniej chwili i wyszedł. Machnął ramionami, jakby chciał się uwolnić od napięcia i wspomnień ostatnich paru minut, a potem zniknął za rogiem.



Pan Yates wyszedł na zaplecze, a chłopak wślizgnął się za nim, nim zatrzasnęły się drzwi. Właściciel odwrócił się zaskoczony i wściekły. Lecz nie zdążył się odezwać, młody sprzedawca go uprzedził: – Pan Bennett to ważny klient. Stały klient. Nie może pan sobie pozwolić na jego utratę. Bardzo przepraszam, ale muszę panu zwrócić uwagę, że popełnia pan poważny błąd.

– Zamknij się. – Pan Yates uniósł dłoń, zwinął ją w pięść, po czym rozluźnił, wreszcie opuścił. – Po prostu się zamknij.

– Proszę pana – chłopak nie zamilkł jednak – wiem, że nie powinienem nic mówić, ale czy nie byłoby lepiej, gdyby pan...

– ...zachowywał się uprzejmiej? Postarał się uśmiechać i okazywać więcej życzliwości? – Właściciel zmierzył podwładnego przenikliwym spojrzeniem pełnym zmieszanych, trudnych do odszyfrowania emocji. Uniósł dłonie do twarzy i przycisnął mocno, wydając przy tym długi, ponury ni to szloch, ni to jęk. – Nie znasz mnie. Co o mnie wiesz?

Miał rację. Ten mężczyzna był dla chłopaka zupełnie obcy.

– Dzielnica podupadała, ale czekałem. Myślałem, że jeszcze

wszystko się zmieni, aż wreszcie było za późno i nie stać mnie było na zlikwidowanie sklepu, by zacząć od nowa w innym miejscu. Interes zaczął iść coraz gorzej. Z każdym rokiem gorzej.

Chłopak nie poruszył się ani nie odezwał.

– Pojawiła się konkurencja. „Dom Siebie”. Spółka „Odbicia”... Luksusowe firmy z tymi luksusowymi manekinami... które kosztują fortunę, ale zdobywają rynek. Te firmy zagarnęły całe zyski i sławę...

Yates wrócił za biurko i otworzył kolejną butelkę. Napełnił kubek, nawet nie próbując zachować pozorów przed chłopakiem. Młody sprzedawca przyglądał się, jak jego zwierzchnik opróżnia naczynie, jak po policzkach spływają mu dwa bliźniacze strumyczki alkoholu. Starszy mężczyzna wytarł je w rękaw.

– Gównu wiesz – stwierdził Yates, nie patrząc na sprzedawcę. – Traciłem większych klientów niż Bennett. O wiele większych. Więc nie mów mi, nigdy mi nie mów, co jest ważne.

Chłopak mruknął tylko cicho potwierdzenie.

– Zresztą Bennett wróci. W przyszłym roku, jak w zegarku. – Yates zaśmiał się z przymusem. – O ile wcześniej nie dostanie wylewu...

– Może to nie jest najlepsza lokalizacja – zgodził się chłopak. – Ale gdyby trochę posprzątać okolicę...

– I mnie, tak? I jeszcze żebym się zachowywał bardziej optymistycznie? Jak ty?

Właściciel nie patrzył na podwładnego, wbijał wzrok w ścianę za nim.

– To właśnie chciałeś powiedzieć?

Zdawało się, że czyta chłopakowi w myślach, i młodzieniec poczuł się jak głupiec. Naiwny głupiec. Młody. Ledwie osiemnaście lat...

Z pokoju na tyłach dobiegł hałas. Obaj mężczyźni zapomnieli o parze klientów...

Pan Yates dokończył drinka.

– Sukces – rzekł chłopak – wymaga poświęceń i dyscypliny.

Właściciel sklepu roześmiał się, potrząsając głową. Srebrzysta obręcz na jego czole lśniła w blasku fluorescencyjnych lamp.

– Więc na tym polega sekret, tak?

Chłopak nie odpowiedział.

– Nigdy nie będę miał ciebie dość, dzieciaku.

Co to miało znaczyć?

– Jesteś bystry i daleko zajdziesz. Wierz mi.

Dlaczego te słowa tak bardzo go zaniepokoiły?

– Na pewno znajdziesz swoje miejsce w świecie. – Pan Yates skinął głową, po czym odwrócił się i opróżnił kubek do dna. Odstawił go z trzaskiem na biurko. – Mądry i lubiany w szkole dzieciak. Założę się, że oszczędzasz na studia. Przygotowujesz się, by podbić ten świat i takie tam...

– Proszę pana...?

Mężczyzna przyglądał się zwojom w urządzeniach.

– Proszę pana? Cieszę się, że dał mi pan szansę. I życzę panu jak najlepiej. Naprawdę. – Przerwał na moment, nim podjął: – Ale myślę, że lepiej będzie, jeśli odejdę. Rezygnuję. Mam nadzieję, że dla pana będzie to tylko drobna niedogodność...

Właściciel śmiał się, lecz nagle śmiech zmienił się w bolesny kaszel.

– Bardzo mi przykro. – Chłopak odwrócił się i ruszył korytarzem do wyjścia. Zatrzymał się przy drzwiach.

Podniósł rękę, by je pchnąć, ale choć użył całej siły, skrzydło ani drgnęło. Młodzieńcowi zdawało się, że wyczuwa pod palcami twarde, gładkie drewno. Drzwi były zamknięte na zamek. Ale kto je zamknął? Chłopak odwrócił się znowu i zaczął uprzejmie: – Mógłby pan...

Yates dotykał obręczy na czole.

– A kto, u diabła, chciałby tu pracować? – rzucił ochryple.

– Proszę pana?

– Ale, ale – mówił dalej właściciel. – Jeżeli chcesz zrezygnować...

Chłopak zadrżał, choć nie rozumiał dlaczego. Poczuł pot na skroniach, zimny i słony, i jak pan Yates otarł czoło grzbietem dłoni, po czym wytarł ją o spodnie... Patrzył, jak właściciel sklepu zdejmuje obręcz... pomyślał, że... że...?



Właściciel, ponury mężczyzna o ochryłym głosie, nazywał się pan Yates. Zabrał młodzieńca do pokoiku na tyłach i kazał mu usiąść na łóżku. Młodzieniec był pewien, że czuje pod sobą materac. Był pewien, że jest nowym pracownikiem. Pan Yates podłączył odtwarzacz do niewielkiego telewizora.

– A teraz patrz – mruknął.

Na ekranie pojawił się pan Yates, a raczej jego młodsza wersja. Mówił do kamery. Był szczuplejszy, miał włosy i zachowywał się inaczej. Nie tak mrukliwie, co tu kryć. A jego głos nie brzmiał chrapliwie, lecz łagodnie i radośnie.

Młodzieniec miał przepracować popołudnie i wieczór. „Po zmierzchu może pojawić się paru klientów”, zapewnił właściciel sklepu. „Klientów, którzy będą chcieli użyć tego pokoju”. Mężczyzna z krwi i kości oznajmił: – Przypomnij mi, że mam zmienić pościel. Śmierdzi tu jak w burdelu.

– Nic nie czuję – zdziwił się młodzieniec. Młodszy pan Yates spoglądał na niego z ekranu. – Mógłbym sam zmienić pościel.

– Wątpię. – Starszy pan Yates potrząsnął głową. – Nie, po prostu zostań przy ladzie. Witaj ludzi i spisuj zamówienia, a kiedy zajdzie potrzeba, pomóż mi. Szybko załapiesz, o co w tym chodzi.

Słowa wydały się chłopakowi znajome.

Pan Yates wyszedł z pokoiku, a kiedy ekran zgasł, chłopak wrócił do warsztatu na zapleczu. Właściciel siedział za biurkiem i pił coś, zapewne kawę.

– Jestem gotów do pracy, proszę pana.

Mężczyzna skinął głową i wstał. Przez okamgnienie wydawało się, że straci równowagę. Co robić? – zastanawiał się świeżo zatrudniony pomocnik. Złapać go, jeśli upadnie? Czy pan Yates jest chory?

Jednak pan Yates nie upadł, a nawet odprowadził chłopaka do drzwi zaplecza i otworzył je przed nim uprzejmie. Po czym zostawił młodego człowieka przy kontuarze, jakby ufał, że nowy pracownik poradzi sobie bez pomocy. Młodzieniec usiadł za kontuarem, czujny i chętny do pracy. Zerkał za okno od czasu do czasu. Na ulicy panował niewielki ruch, słońce chyliło się ku zachodowi.

Jaki dziś dzień? Zabawne, ale nie potrafił sobie przypomnieć.

Na szczęście kalendarz stał na kontuarze. Wiosna, zdziwił się młodzieniec. Upalnie, jak na tę porę roku... Usiłował sobie przypomnieć, jak się tu znalazł. Przyjechał samochodem? Młody pracownik nie przypominał sobie, żeby wchodził do sklepu. A jednak musiał wejść, bo przecież był w środku... Pewnie to nerwy z powodu nowej pracy... Zresztą kwestia dotarcia do sklepu rozplynęła się nagle, pozostawiając jedynie uczucie lekkiego zagubienia.

Na podjeździe zaparkował stary ślizgacz, wysiadły z niego dwie osoby. Kobieta i mała dziewczynka, dziewczynka w letniej sukience. Dziecko stanowiło projekcję, zorientował się natychmiast młodzieniec. Bardzo dobry obraz, ostry i kolorowy. Kobieta przytrzymała drzwi, by jej młodsza wersja mogła wejść do sklepu. Dziewczynka przeskoczyła próg, chichocząc.

– Dzień dobry! Właśnie wróciliśmy z parku! – oznajmiła kobieta.

– Naprawdę?

– I spędziłam tam naprawdę przyjemne chwile – zapewniła.

– Tak, tak! Bawiłyśmy się świetnie!

– Trzymałam dla niej loda – opowiadała klientka. – Mała twierdzi, że smakował jak waniliowy...

– Był dobry.

– ...ale, rzecz jasna, nie lizała go tak naprawdę...

– Lizałam – zaprotestowała dziewczynka.

– Oczywiście – zapewniła kobieta. – Tylko sobie żartuję, kochanie.

– Cieszę się, że spędziła pani przyjemnie czas. – Młodzieniec uśmiechnął się do klientki. Szybko zaczął szukać zamówienia i

rachunku przybyłej. Klawiatura optyczna starego terminala posłusznie poddała się jego palcom. – Zawsze staramy się, by nasi klienci byli zadowoleni.

– Dziękuję. – Kobieta uśmiechnęła się. – Dziękuję, że mnie przekonałeś...

– Przepraszam, ale o czym pani mówi?

– Wiesz, miły z ciebie chłopak. Przez cały dzień zastanawiałam się, co... Ale jesteś naprawdę miły. I przystojny, muszę przyznać.

– Proszę pani?

Kobieta zamrugnęła, nagle uświadamiając sobie, że coś jest nie w porządku.

– Dopiero co zacząłem pracę – wyjaśnił młodzieniec. – Chyba myli mnie pani z innym sprzedawcą?

– Zapewne. – Skinęła głową, a na jej twarzy odmalowało się rozbawienie i zaciekawienie. – Gdzie pan Yates?

– Na zapleczu. Mam go wezwać?

– Nie, sama go znajdę. – Zerknęła na dziewczynkę i zapytała: – Zostaniesz na chwilę z tym miłym młodzieńcem, kochanie? To nie potrwa długo.

– Wracaj szybko – zażądało dziecko.

– Oczywiście.

Chłopak i dziewczynka rozmawiali przez kilka minut. Dziecko opisało mu park – staw z zabawkowymi łódkami, rabaty z kwiatami – „największymi”, jakie w życiu widziała. A potem kobieta, Susan Markle, wróciła i przez długą chwilę wpatrywała się w sprzedawcę.

– Możesz pójść ze mną? Coś jest nie w porządku.

Właściciel zasnął z twarzą wciśniętą w blat biurka.

Rozlał kawę, na dokumentach widniały wilgotne, ciemne plamy. Chrapał rytmicznie i głośno.

– Biedny człowiek – w głosie kobiety zabrzmiał smutek i chyba gniew.

Młody pomocnik poczuł zażenowanie z powodu pracodawcy.

Pani Markle westchnęła i zapytała: – Rozpoznajesz mnie?

– Nie, proszę pani.

– Nigdy mnie nie widziałeś?

– Tak mi się zdaje.

– Pan Yates jest moim dobrym przyjacielem – zapewniła. – Bliskim przyjacielem. Wiesz, jak użyć jego sprzętu?

– Właśnie się nauczyłem – przyznał młodzieniec. Ale czuł, że da sobie radę.

– Zatem do dzieła. – Uśmiechnęła się i poprawiła obręcz, którą nosiła. Identyczna opasywała czoło pana Yatesa. – Wiem, jak to jest, gdy się ma zły dzień.

A potem spojrzała na właściciela sklepu.

– Nie jest pan taki zły – zapewniła go. – Mnie pan nie nabierze.



Mała dziewczynka bawiła się ze swoim nowym przyjacielem, dziewięcioletnią wersją właściciela sklepu – grali w berka, biegając po warsztacie i pokojach na zapleczu. Pani Markle obróciła wywieszkę na drzwiach frontowych tak, by z zewnątrz widać było napis: zamknięte, po czym przekręciła klucz w zamku. Zapewniła młodego pracownika, że wszystko w porządku, pan Yates tylko to pochwali. Zresztą jak mogłby pracować w stanie, w jakim obecnie się znajdował?

Chłopak samodzielnie wykonał większość przygotowań. Pani Markle na ochotnika zgłosiła się do ustawiania projektorów, ale wprowadzenie parametrów należało do obowiązków młodzieńca. Dziewięciolatek był łatwy. (I dobrze, że pan Yates od początku miał na głowie elektroniczną obręcz). Następną była nastoletnia wersja pani Markle. Szczupła dziewczyna, niemal piękna. Do czego potrzebowała chłopaka, trudno powiedzieć, ale kazała młodemu pracownikowi dotrzymać towarzystwa projekcji, porozmawiać z nią. Szybko się dogadali, wymieniając historyjkami ze szkoły i podobnymi opowieściami. Młodzieniec przyznał, że chce otworzyć własny sklep – ta nowa technologia kryła tyle możliwości... Chłopak uważał, że jego osobowość, optymizm i pasja pomogą mu w osiągnięciu sukcesu. A młoda pani Markle ani razu go nie wyśmiała. Nie próbowała się nawet z nim droczyć. Kiwała tylko głową i wydawała się szczerze zainteresowana tym, co opowiadał. Chwilami młodzieńcowi wydawało się, że dziewczyna nie jest projekcją, lecz żywą dziewczyną. Zapomniał, skąd się wzięła, i zaczął traktować ją jak nową przyjaciółkę.

Pan Yates obudził się zaraz po zmierzchu.

Dziewczynka i jej towarzysz zabaw zmęczeni zasnęli w jednym z pokoi, przytuleni do siebie na starym łóżku z nieświeżą pościelą.

Pan Yates wyprostował się z jękiem. Za szybko, głowa nadal mu się kiwała. Odchrząknął i zakasłał, po czym splunął do kosza na śmieci i nieprzytomnie popatrzył na trzy osoby w pracowni.

– Co, do cholery?

Sięgnął do obręczy na czole, ale pani Markle powstrzymała

jego dłoń.

– Nie, nic z tego.

– Kobieto – mruknął właściciel sklepu – co tu robisz?

– Imprezę – wyjaśniła. W jej głosie brzmiała radość, ale też skryte ostrzeżenie. Ponura groźba. – Reszta spi...

– Jaka reszta? Czego tu chcesz?

Pani Markle wytłumaczyła, w jakim stanie znalazła pana Yatesa i jak jego nowy pracownik pomógł jej i jak go okłamała, że ona i właściciel są starymi przyjaciółmi, po czym zakończyła, wskazując dwoje nastolatków: – Ale popatrz na nich. Już się zaprzyjaźnili.

– Chcesz mnie powstrzymać, kobieto? I używasz mojego sprzętu, nie przejmując się, że może się zużyć lub zepsuć? Czego, do diabła, chcesz?

Pani Markle wyprostowała się z godnością.

– Impreza dobrze ci robi.

– Jak diabli. – Pan Yates uniósł obie dłonie do obręczy.

– A jeżeli zapłacę? – powstrzymała go kobieta.

– Hę?

– Impreza na mój koszt. Czemu nie?

– Bo już siedzisz po uszy w kłopotach, kobieto. – Ale opuścił dłonie. – Na twoim miejscu jednak nie szastałbym pieniędzmi...

Młodzieniec chrząknął i uwaga skupiła się na nim.

– Ja mogę zapłacić. Zaoszczędziłem całkiem sporo i jeżeli pan chce...

– Zamknij się – mruknął pan Yates.

Chłopak przełknął ślinę i spojrzał na panią Markle.

– Proszę, chciałbym pomóc...

Wyglądała, jakby zaraz miała parsknąć śmiechem.

– Proszę... – powtórzył chłopak.

Pan Yates pokręcił głową.

– Kurwa – zaklął cicho, po czym wbił wzrok w ścianę. Spojrzenie miał puste, znużone. Po długiej chwili zapytał jednak:

– Skoro to impreza, mogę się napić?

– Nie za dużo – ostrzegła pani Markle.

– No, to w porządku.

Nastoletnia pani Markle pochyliła się do młodego pomocnika i szepnęła: – Możemy iść gdzie indziej? Gdzieś, gdzie można porozmawiać?

– Do sklepu?

Wzruszyła tylko ramionami, jakby chciała powiedzieć: „Może być”.

Wstali oboje i ruszyli do drzwi zaplecza. Naparli na nie dłońmi, ale ani drgnęły. Nagle przyłączyła się do nich jeszcze jedna ręka i tym razem skrzydło się uchyliło.

– Zachowuj się przyzwoicie – ostrzegła chłopaka starsza pani Markle. Przytrzymała drzwi, przepuszczając parę przodem, roześmiała się głośno.

Młodzieniec obejrzał się jeszcze. Pan Yates siedział przy biurku sztywno, popijając z kubka do kawy i obserwując kobietę. Czuł się chory. Chory i uwięziony. Ale chłopak wyczuł też ostrożną, poturbowaną nadzieję w spojrzeniu właściciela sklepu. A potem drzwi się zatrzasnęły. Młody pomocnik i dziewczyna podjęli rozmowę, próbowali też tańczyć do nuconej melodii. Wirowali trochę niepewnie na brudnej podłodze. W jego ramionach dziewczyna wydawała się ciepła, żywa i namacalna –

niewymuszenie i zwyczajnie żywa. To oczywiście było niemożliwe, ale młodzieniec cieszył się tym doznaniem. Uśmiechnął się, kiedy zerknął za okno. Ulica zmierzała w stronę linii nowych budynków – dziwne, wcale ich nie pamiętam – a na podjeździe pojawiła się pani Markle i właściciel sklepu. Trzymali się za ręce, a potem zaczęli tańczyć. Pastelowa luna po zachodzie słońca rzucała barwne refleksy na świat. Chłopak zamknął oczy i w duchu wypowiedział najszczęśliwsze słowa podziękowań.

Kim Stanley Robinson (ur. 1952) jest najlepiej znany ze swoich marsjańskich powieści: *Red Mars* (1991), *Green Mars* (1993) i *Blue Mars* (1996) oraz ich kontynuacji *The Martians* (1999). Pisarz ten został odkryty przez *Damona Knighta*. Dwa pierwsze opowiadania Robinsona ukazały się w „*Orbit*” nr 18, w 1975 roku. Pierwsza powieść, *The Wild Shore* (1985), zapoczątkowała trylogię *Orange Country*, opisującą losy tych, którzy przetrwali globalną epidemię i schronili się w enklawie w Kalifornii. Inne powieści to: *Icehenge* (1984), *The Memory of Whiteness* (1985) i bardzo zabawna *Escape from Katmandu* (1989). Niektóre z wczesnych utworów Robinsona zostały wydane w zbiorze *Remaking History* (1991). To właśnie jeden z takich utworów.

SEN O WINLANDII

Wprowadzenie

Nad L'Anse aux Meadows zachodziło słońce. Wody zatoki nieruchomiały, podmokłe plaże spowiły mroczne cienie. Płaskie, wyciągnięte ramiona lądu wskazywały na przybrzeżne wysepki; za nimi wyłaniała się z morza nieco wyższa wyspa – stercząc nad powierzchnią wody jak wielki kamienny bochen, chwytając ostatnie okruchy dnia. Strumień, torujący sobie drogę przez podmokłą plażę, mruczał łagodnie. Ponad błotami, na wąskim, trawiastym tarasie, ledwie widoczne wznosiły się regularne zarysy niedużych kopczyków – tyle tylko pozostało po ścianach z darni. Tuż obok stały trzy lub cztery zbudowane z niej chałupy, a za nimi liczne namioty.

Grupka ludzi – archeolodzy, studenci ostatnich lat, ochotnicy do prac ziemnych, goście – przesunęła się na skalistą skarpe, skąd widać było całe osiedle. Kilkoro zajęło się przygotowywaniem ogniska w kręgu z poczerniałych kamieni, pozostali wzięli się do rozpakowywania toreb z prowiantem i kartonów z piwem. W oddali odcinał się od wody potężny grzbiet Labradoru. Gałązki zajęły się szybko i wkrótce ognisko płonęło jak żółta iskierka na tle ponurego mroku.

Kiełbaski i piwo przy ognisku nad morzem – a mimo to wśród zebranych panował zadziwiający spokój. Rozmawiano ściszonymi głosami. Ludzie zerkali często w kierunku osiedla, gdzie szef zespołu badawczego, wychudzony mężczyzna po pięćdziesiątce, oprowadzał właśnie swego szacownego gościa. Szacowny gość zaś nie wyglądał na uszczęśliwionego.

Wstęp

Szef wyprawy badawczej, profesor archeologii z Uniwersytetu McGilla, przyglądał się swemu szacownemu gościowi z tym samym wyrazem twarzy, jaki przybierał zwykle w obliczu napastliwego studenta pierwszego roku. Szacowny gość, kanadyjski minister kultury, zadawał pytanie za pytaniem. Dlatego profesor postanowił zaprowadzić panią minister na miejsce, żeby osobiście obejrzała sobie kuźnię, dół pełen żużlu i nieduże śmietnisko przy budynku oznaczonym literą E. Kopce i dolinki pocięto równą siecią nowych rowów; doskonale prostokątne bruzdy w torfie nie mogły powiedzieć pani minister niczego o tym, co ujawniły. A mimo to uparła się, by je zobaczyć, a teraz nie przestawała zadawać kompetentnych pytań, na które odpowiedzi równie dobrze mógłby udzielić jej w Ottawie.

– Owszem – wyjaśniał profesor – w kuźni palono węglem drzewnym, uzyskiwano temperaturę rzędu tysiąca dwustu stopni Celsjusza, sam proces był prostą redukcją bagiennej rudy żelaza, a otrzymywano w jego wyniku około kilograma żelaza z każdego pięciu kilogramów żużlu. Wszystko było tu tak samo jak

w innych staronorweskich kuźniach – tylko że limonity zawarte w bagiennej rudzie, poddane analizie spektroskopowej, ujawniły, że wytapiana tutaj ruda pochodzi z północnego Quebecu, z okolic Chicoutimi. Nordyccy poszukiwacze przygód, którzy mieliby tutaj wytapiać żelazo, w żaden sposób nie mogli jej uzyskać. Podobnie ze śmietniskiem: znany jest nam współczynnik szybkości postępowania procesu rdzewienia w środowisku torfowym i stąd wiadomo, że wiele znalezionych żelaznych nitów leżało tu co najwyżej od stu czterdziestu lat. Prawdopodobieństwo błędu wynosi pięćdziesiąt lat – w obie strony.

– Zatem – wtrąciła pani minister z charakterystyczną dla francuskiego języka śpiewnością – zdaje się, że dowiódł pan tego ponad wszelką wątpliwość.

Profesor bez słowa skinął głową. Pani minister przyglądała mu się bacznie i nie mógł się oprzeć wrażeniu, że mimo charakteru wieści, jakie jej przekazał, wyglądała na lekko rozbawioną. Czy to on był powodem? Albo naukowa terminologia, której używał? A może jego aż nazbyt widoczne (i wciąż narastające) przygnębienie? Nie miał pojęcia.

Pani minister uniosła brwi.

– L'Anse aux Meadows podróbką. Kanadyjskim parkom narodowym to się nie spodoba.

– Nikomu to się nie spodoba – rzucił ponuro profesor.

– Rzeczywiście – potwierdziła pani minister, spoglądając na niego – chyba ma pan rację. Zwłaszcza że to była integralna część większej teorii, prawda?

Profesor nie odpowiedział.

– Cała koncepcja Winlandii – mówiła dalej – fałszywa.

Profesor posepnie pokiwał głową.

– To nie do uwierzenia.

– Tak – odezwał się wreszcie naukowiec – ale... – Machnął ręką w kierunku otaczających ich niewysokich kopców. – Cała ta historia opierała się na bardzo niewielu dowodach. Trzy sagi, to osiedle, kilka wzmianek w staroskandynawskich przekazach, parę monet, kilka kopców... – Potrząsnął głową. – To niewiele.

Podniósł z ziemi grudkę wyschłego torfu i skruszył ją w palcach.

Nagle pani minister wybuchła śmiechem i wsunęła mu rękę pod ramię. Miała ciepłe palce.

– Musi pan pamiętać, że to nie pańska wina!

Uśmiechnął się blado.

– Chyba tak.

Spodobał mu się wyraz jej twarzy – rozbawiony, a zarazem pełen współczucia. Była mniej więcej w tym samym wieku co on, może odrobinę starsza. Atrakcyjna i światowa mieszkanka Quebecu.

– Muszę się napić – wyznał.

– Tam na wzgórzu mają piwo.

– Czegoś mocniejszego. Mam u siebie butelkę koniaku...

– Więc pójdźmy po nią i zabierzmy ją na wzgórze.

Zagadnienie

Starsi studenci i ochotnicy zgromadzili się przy ognisku;

dookoła rozchodził się zapach przypiekanych kiełbasek. Dochodziła jedenasta, słońce zaszło przed półgodziną, a z nieba sączyły się ostatnie poblaski letniego zmierzchu. Ognisko płonęło jak światło boi. Piwo lało się bez ograniczeń, a w konsekwencji impreza zaczęła nabierać nieco bardziej hałaśliwego charakteru.

Pani minister z profesorem stali w pobliżu ognia, sącząc koniak z plastikowych kubków.

– Jak to się stało, że uznał pan opowieść o Winlandii za podejrzaną? – zapytała pani minister, kiedy przyglądali się studentom przygotowującym jedzenie.

Kilku ochotników, którzy słono zapłacili za to, by spędzić wakacje na kopaniu rowów wśród mokradeł, na to pytanie przysunęło się bliżej. Profesor wzruszył ramionami.

– Nie pamiętam dokładnie. – Próbował się uśmiechnąć. – To śmieszne: jestem archeologiem, a nie pamiętam własnej przeszłości.

Pani minister pokiwała głową, jakby to zdanie miało dla niej sens.

– Podejrzewam, że było to dość dawno temu?

– Tak. – Próbował się skupić. – Od czego się właściwie zaczęło? Zbadano mapę Winlandii, żeby się dowiedzieć, kto mógł być jej autorem. Mapa pojawiła się nagle w jednym z antykwariatów w New Heaven w latach pięćdziesiątych – pewnie pani o tym słyszała?

– Nie – odparła. – Niewiele mi wiadomo na temat Winlandii. Tylko kilka podstawowych faktów, których osobie na moim stanowisku nie wypada nie znać.

– Jak już mówiłem, w latach pięćdziesiątych znaleziono mapę

zwaną mapą Winlandii, a wkrótce po owym odkryciu udowodniono, że to podróbka. Ale później pewna badaczka zaczęła tropić szczegóły tej historii. Okazało się, że książka, w której znaleziono mapę, pochodzi z lat dwudziestych dziewiętnastego wieku, co mogłoby oznaczać, że fałszerz żył o wiele wcześniej, niż podejrzewałem. – Dolał koniaku sobie, a następnie pani minister. – W dziewiętnastym wieku dokonano bardzo wielu fałszerstw związanych z wikingami, ale zwykle o wiele później. Przypadek z mapą bardzo mnie zaskoczył. Dotąd panowało powszechne przekonanie, że fałszerstwa inspirowane były wydaną w tysiąc osiemset trzydziestym siódmym roku książką duńskiego uczonego, zawierającą przekłady sag o Winlandii oraz pokrewne materiały. Książka ta cieszyła się ogromną popularnością wśród skandynawskich osadników w Ameryce, a potem, wie pani... źle pojęty patriotyzm albo odwet grupy etnicznej, z której zbyt często się naigrawano... Stąd właśnie mamy kamień z Kensington, halabardy, doły na torfowiskach, monety. Ale jeśli fałszerstwo poprzedza *Antiquitates Americanae*... to dało mi do myślenia.

– Czy sama książka nie była jakoś w nie wplątana?

– Właśnie – odparł profesor, z wyraźną przyjemnością spoglądając na panią minister. – Zastanawiałem się, czy książka nie mogłaby zawierać albo powstać na podstawie sfałszowanych materiałów. A potem, któregoś dnia, kiedy czytałem sprawozdanie z prowadzonych tutaj prac, przyszło mi do głowy, że to osiedle jest dziwnie nieskazitelne. Tak jakby je wybudowano, a nikt w nim nie zamieszkał. Szacowano, że mieszkańcy mogli przebywać tu najwyżej przez jedno lato,

ponieważ nigdzie nie znaleziono składowiska odpadków ani grobów.

– Mogło być zamieszkane przez bardzo krótki czas – wtrąciła pani minister.

– Tak, wiem. Wtedy też tak sądziłem. Ale potem usłyszałem od kolegi z Bergen, że Gronlendinga Saga wygląda na dzieło fałszerza, w każdym razie w tych partiach, które mówią o odkryciu Winlandii. Zawiera całe strony interpolacji datowanych na lata dwudzieste dziewiętnastego wieku. Od tego czasu wątpliwości nie dawały mi spokoju.

– Ale istnieje więcej opowieści o Winlandii, nie tylko ta jedna, prawda?

– Tak. Istnieją trzy główne źródła: Gronlendinga Saga, Saga o Eryku Czerwonym i ta część Hauksbok, która opowiada o wyprawie Thorfinna Karlsefniego. Ale kiedy zakwestionowano prawdziwość jednej z nich, zacząłem wątpić w prawdziwość wszystkich. I w całą tę historię. We wszystko, co dotyczy koncepcji Winlandii.

– Czy to wtedy pojechał pan do Bergen? – zapytał któryś ze studentów.

Profesor skinął głową. Opróżnił plastikowy kubek i poczuł, jak alkohol rozlewa mu się we wnętrznościach.

– Przyłączyłem się tam do Nielsena i razem przebadaliśmy Eryka Czerwonego i Hauksbok. I niech mnie, jeśli i tam strony poświęcone Winlandii nie są oszustwem! Zdradził je atrament – nie jego skład, który był niemal idealny, a to, jak długo znajdował się na tym papierze. Na papierze z trzynastego wieku, należałoby dodać. Fałszerz dokonał niezwykłego wprost dzieła. Na początku

dziewiętnastego wieku zdarzało się czasem, że ktoś próbował manipulować przy sagach.

– Ale przecież to są arcydzieła literatury światowej! – wykrzyknął któryś z wolontariuszy, wytrzeszczając ze zdumienia oczy; ogłoszenia dla ochotników nie wspominały nic o tym, jaka jest główna hipoteza badacza prowadzącego wykopaliska.

– Wiem – rzucił z irytacją profesor i wzruszył ramionami.

Dojrzał na ziemi grudkę torfu, podniósł ją i wrzucił do ogniska. Po chwili spłonęła.

– To tak jakby obserwować palenie śmieci – rzucił z roztargnieniem, zapatrzonego w płomienie.

Zarys problematyki

Zapach płonącego torfu niczym zapach palonych śmieci niesiony wiatrem spłynął na dół, ku wodzie, którą marszczyła ta sama lekka bryza. Pani minister przez chwilę grzała dłonie przy płomieniach, potem machnęła ręką w stronę zatoki.

– Trudno uwierzyć, że nigdy ich tu nie było.

– Wiem – potwierdził profesor. – To miejsce wygląda jak stworzone na osiedle wikingów, muszę mu to przyznać.

– Mu? – powtórzyła pani minister.

– Wiem, wiem. Cała ta sprawa wprost zmusza człowieka, żeby wyobrażał sobie kogoś, kto w dwudziestych i trzydziestych latach zeszłego stulecia przewędrował całą Norwegię, Islandię, Nową Anglię, Rzym, Sztokholm, Danię, Grenlandię... Który krążył tam i z powrotem po Północnym Atlantyku, żeby zagrzebać wszystkie

te ślady. – Potrząsnął głową. – To niewiarygodne.

Odszukał butelkę i nalał. Zdawał sobie sprawę, że zaczyna czuć się lekko pijany.

– A w dodatku tyle elementów było doskonale ukrytych! Nie można nawet założyć, że natrafiliśmy już na wszystkie. Tutaj znaleźliśmy zagrzebane dwa nasiona oleistego orzecha, który rośnie nieco niżej, w okolicach St. Lawrence. Czy mogą to być kolejne wskazówki, że znajdziemy tam następne osiedle? Przecież tam właśnie rosną winogrona, więc wytłumaczyłyby nazwę Winlandia. Mówię pani, im więcej mi wiadomo o tym oszuście, tym bardziej jestem pewien, że znajdziemy inne osiedla. Na przykład ta wieża w New Port, na Rhode Island. Oszust jej nie wybudował, to pewne – istnieje od siedemnastego wieku – ale odrobina starań którejs nocy w wieku dziewiętnastym... Założę się, że gdyby poprowadzić pod nią szeroko zakrojone wykopaliska, udałoby się znaleźć kilka wyrobów staronorweskiego rękodzielnictwa.

– A wszystkie zakopane w najodpowiedniejszych miejscach – dorzuciła pani minister.

– No właśnie – pokiwał głową profesor. – I wyżej, na wybrzeżu Labradoru na Cape Porcupine, gdzie według przekazu z sag naprawiali statek. Tam też. Wszędzie ich pełno, czy je odnajdziemy czy nie.

Pani minister zakołysała swym plastikowym kubkiem.

– Ale to osiedle musiało być jego największym dziełem. Przecież nie mógł przeprowadzić więcej tak szeroko zakrojonych prac.

– Nie byłbym tego taki pewien. – Profesor pociągnął spory łyk,

cmoknął zdrętwiałymi wargami. – Może istnieje jeszcze jedno, podobne, gdzieś w Nowym Brunzwicku. To tylko moje przypuszczenia. Ale ten był z pewnością największym z jego projektów.

– Takie były czasy – jakiś ochotnik wtrącił swoje trzy grosze. – Atlantyda, kraina Mu, Lemuria...

Pani minister pokiwała głową.

– Takie były wtedy tęsknoty.

– W większości teozoficzne – mruknął profesor. – Tu mamy do czynienia z czymś całkowicie odmiennym.

Ochotnik oddalił się. Profesor i pani minister przez chwilę siedzieli wpatrzeni w ogień.

– Jest pan pewien? – spytała w końcu.

Profesor skinął głową.

– Pierwiastki śladowe mówią wyraźnie, że ruda została sprowadzona z górnej części Quebecu. Procesy chemiczne, które zachodziły w torfie, też nie są właściwe. Badania rozpadu pierwiastków promieniotwórczych wykazują, że szpilki z brązu, które tu znaleziono, nie spoczywały w ziemi zbyt długo. Wszystko to drobiazgi. Nic, co zdradziłoby prawdę na pierwszy rzut oka. Był niesłychanie wprost skrupulatny, wszystko sobie naprawdę dobrze przemyślał. To sama natura rzeczy złapała go na błędzie. Nic poza tym.

– Ale ten wysiłek! – zdumiała się pani minister. – W to właśnie najtrudniej mi uwierzyć. To z pewnością nie mógł być tylko jeden człowiek! Zakopywał tu przedmioty, stawiał budowle – z pewnością ktoś musiałby coś zauważyć!

Profesor przerwał w pół następnego łyka koniaku, skinął jej

głową, zakrztusił się, zatoczył szeroki łuk ręką i wysapał, odzyskując oddech: – Wioska rybacka, o kilometr na północ stąd. Dom z pokojami do wynajęcia. W tysiąc osiemset czterdziestym drugim roku zatrzymała się tam załoga złożona z dziesięciu ludzi. Rachunki płacił niejaki pan Carlsson.

Pani minister uniosła wysoko brwi.

– Aha.

Jedna ze studentek sięgnęła po gitarę i zaczęła grać. Wokół niej zebrali się pozostali studenci i ochotnicy.

– Tak więc – mówiła pani minister – to pan Carlsson. Czy jeszcze gdzieś się pokazał?

– W Bergen był niejaki profesor Ohman. W Reykjavíku – doktor Bergen. W odpowiednim wieku, studiował sagi. Przypuszczam, że wszyscy oni to jedna i ta sama osoba, ale pewności mieć nie mogę.

– Co pan o nim wie?

– Niewiele. Nikt nie zwracał na niego uwagi. Wydaje mi się, że odkryłem kilka z jego transatlantyckich przepraw, ale zawsze podróżował pod przybranymi nazwiskami, więc większość mi pewnie umknęła. Amerykanin skandynawskiego pochodzenia, z urodzenia prawdopodobnie Norweg. Ktoś z pieniędzmi – ktoś przepełniony swego rodzaju patriotyzmem – ktoś z urazą do uniwersytetów – któż to może wiedzieć? Mamy ledwie kilka podpisów – a i to fałszywymi nazwiskami. Bardzo ozdobnym pismem. Nic więcej. I to właśnie jest w nim najwspanialsze! Widzi pani, tego rodzaju oszuści zwykle pozostawiają jakieś wskazówki co do swojej tożsamości, ponieważ podświadomie pragną zostać złapani. Tak aby ich spryt został należycie

doceniony, a ci, którzy dali się nabrać, czuli się zakłopotani. Ale ten facet nie chciał, by go odkryto. A w tamtych czasach, jeśli chciało się zachować *incognito*...

Potrząsnął głową.

– Człowiek zagadka.

– Tak. Nie mam pojęcia, w jaki sposób mógłbym się dowiedzieć o nim czegoś więcej.

Oświetlona blaskiem ogniska twarz profesora przybrała nieco posępny wyraz, kiedy zaczął rozmyślać o całej tej sprawie. Wychylił kolejny kubeczek koniaku. Pani minister przyglądała mu się, kiedy pił, a potem powiedziała miękko: – Nic już nie da się zrobić, naprawdę. Taka właśnie jest natura przeszłości.

– Wiem.

Wnioski

Wrzucono do ogniska ostatnie duże kłody; płomień rozgorzał na nowo, żółte języki wydostawały się na wolność i strzelały ku gwiazdom. Profesor czuł się teraz odrętwiały, w sercu miał chłód, a oświetlone blaskiem ognia twarze wydały mu się tańczącymi w kręgu światła prymitywnymi maskami. Piosenki brzmiały teraz ostro i ochryple, nie rozumiał słów.

Pod wpływem podmuchów przenikliwego wiatru rozgrzana skóra na szyi i ramionach pokryła się nieprzyjemną gęsią skórką. Czuł się struty alkoholem i miał świadomość, że upłynie sporo czasu, zanim organizm zdoła przezwyciężyć słabość.

Pani minister odprowadziła go od ogniska na skalistą skarpe.

Bez wątplenia chciała zatrzymać profesora z dala od studentów i pracowników, żeby się nie skompromitował. Gwiazdy oświeślały wrzosa i pokruszone bryłki granitu pod ich stopami. Profesor potknął się. Próbował jej wyjaśnić, jak to jest być archeologiem, którego największe dokonanie polega na tym, iż odkrył, że istotna część dziedzictwa przeszłości to oszustwo.

– To tak jak w mozaice – mówił, z pijackim uporem ścigając umykającą myśl. – Jak w układance, w której poginęła większa część elementów. Jak w gobelinie. Kiedy wyciągnie się choć jedną nitkę – będzie zniszczony. Tak niewiele pozostało! Potrzeba nam każdego fragmentu, który znajdziemy!

Wyglądało na to, że kobieta rozumie.

– Za studenckich czasów – powiedziała – kelnerowałam w kawiarni w Montrealu. Wiele lat później w przypływie nostalgii powędrowałam raz na tamtą ulicę. Kawiarni już nie było. Ulica wyglądała zupełnie inaczej. A ja nie mogłam sobie przypomnieć żadnego z imion ludzi, z którymi wtedy pracowałam. A to przecież była moja własna przeszłość, nie ta sprzed wieków!

Profesor pokiwał głową. W jego żyłach buzował koniak, a on przyglądał się pani minister, tak pięknej w świetle gwiazd, że wydała mu się jakąś muzą, duchem zesłanym, by go ukoić, a może przestraszyć – sam już nie wiedział.

Klio, pomyślał. Muza historii. Ktoś, z kim mógł sobie pogadać. Pani minister zaśmiała się miękko.

– Czasem wygląda tak, jakby nasze życie trwało o wiele dłużej, niż nam się wydaje. Jakbyśmy żyli w różnych wcieleniach, a oglądając się za siebie, nie znajdowali nic oprócz... – Zatoczyła ręką szeroki łuk.

– Szpilek z brązu – dopowiedział profesor. – I żelaznych nitów.
– Tak. – Spojrzała na niego. Jej oczy błyszczały w świetle gwiazd. – Do własnego życia też potrzeba nam archeologii.

Podziękowania

Później odprowadził ją z powrotem w stronę ogniska, które teraz było już tylko kupką czerwonych węgielków. Kiedy szli, wsunęła mu rękę pod ramię, a on wyczuł w tym dotknięciu rodzaj ostrzeżenia, którego znaczenia jednak nie potrafił zgłębić. Ileż on wypił! Dlaczego właściwie jest taki przygnębiony? Przecież odkrywanie prawdy to jego zawód – powinien być szczęśliwy! Dlaczego nikt go nie ostrzegł, jak naprawdę będzie się wtedy czuł?

Pani minister życzyła mu dobrej nocy. Szła się położyć, jemu radziła zrobić to samo. Jej głos brzmiał stanowczo, a w spojrzeniu kryło się wiele współczucia.

Kiedy odeszła, profesor wytropił porzuconą przedtem butelkę koniaku i osuszył ją do dna. Ogień dogasał, studenci i pracownicy rozproszyli się – niektórzy poszli do namiotów, niektórzy, parami, w noc.

Zszedł samotnie do osiedla.

Niskie wzniesienia ścian, których nigdy nie było. Za osiedlem postawiono okrągłe zabudowania, modele skonstruowane przez pracowników parku narodowego, żeby pokazać turystom, jak wyglądały „prawdziwe” chaty. Wtedy, kiedy wikingowie obozowali na krawędzi nowego świata. Naprawiali swoje statki.

Znajdowali pożywienie. Walczyli między sobą, wiedzeni epickim duchem rywalizacji. Walczyli z niebezpiecznymi Indianami. Ginęli, a pozostałych przy życiu wygnano w końcu z tej ziemi, o ileż żyźniejszej niż Grenlandia.

Jakiś trzask w zaroślach – podskoczył przerażony. Pewnie tak by to mogło wyglądać: śmierć skradająca się ku tobie w ciemności – odwrócił się gwałtownie, a każdy oświetlony gwiazdnym blaskiem zarys zdawał mu się ukrytym skraelingiem, napiętym łukiem, wycelowaną wprost w jego serce strzałą. Zatrząsł się, zgarbił.

Ależ nie. Przecież to nie tak wyglądało. Zamiast nich zjawił się tu mężczyzna w okularach, z workiem pełnym staroci, udzielający wskazówek kopiącym bezrobotnym marynarzom.

Człowiek nieokreślonego wyglądu, małomówny, bezimienny, może powędrował pewnej nocy gdzieś w głąb lasu, tam przewrócił się albo dostał ataku serca, po latach zamienił się w odziany w skóry szkielet z pasem od miecza i okularami na oczodołach i ten oto anachronizm mógłby go wreszcie wydać...

Profesor powlókł się między niewysokimi kopcami w kierunku drzew, zdecydowany znaleźć ten przypadkowy grób...

Ależ nie. Przecież go tu nie będzie. Nic podobnego nie mogłoby się przydarzyć tej małomównej postaci. Pewnie umarł daleko stąd, nie pozostawiwszy nic, co mogłoby zdradzić, czym zajmował się przez całe życie. Człowiek w przytułku dla ubogich – doktor zauważa, że ma w kieszeni szpilkę z brązu, później kradnie ją pomocnik grabarza. Anonimowa postać, aż do samego grobu i jeszcze dalej. Twórca Winlandii. Nigdy nieujawniony.

Profesor rozejrzał się wokół siebie, oszołomiony i chory.

Zobaczył metrowej wysokości kamień, pozostałość po lodowcu. Usiadł na nim. Ukrył twarz w dłoniach. Zachowanie doprawdy niegodne zawodowca. Te wszystkie książki, których naczytał się w dzieciństwie. Co by sobie pomyślała pani minister! Stypendium. Nie ma powodu, żeby czuć się tak podle!

Na tej szerokości geograficznej letnie noce nie trwają zbyt długo, a zabawa skończyła się późno. Niebo na wschodzie zaczęło szarzeć. W dole w osiedlu widział długie darniowe dachy. Na plaży spoczywało trio długich, wąskich statków o wysoko wzniesionych dziobach. Z długich baraków wysypały się małe sylwetki w futrach i zeszły do wody, a on chodził między nimi i słuchał ich mowy, jakiegoś norweskiego dialektu, który prawie rozumiał. Tego dnia odpływają, czas załadować statki. Zabierają ze sobą wszystko, nie mają zamiaru wracać. Zbyt wielu skraelingów w zaroślach, zbyt dużo szybkich, śmiercionośnych strzał. Chodził pomiędzy nimi, pomagał ładować. Potem zobaczył, jak jakiś niewysoki mężczyzna w czarnym płaszczu znika pospiesznie za kuźnią, ryknął więc potężnie i porwawszy z ziemi kamień, ruszył za nim w pościg, gotów potraktować intruza śmiercią tak samo jak skraelinga.

Pani minister obudziła go dotknięciem ręki. O mało co nie spadł ze skały. Potrząsnął głową; nadal był pijany. Kac zaczęło się dopiero za parę godzin, choć słońce stało już wysoko.

– Powinienem był od razu wiedzieć – rzucił ze złością. – Grenlandia była granicą ich możliwości, a przecież klimat się pogarszał. To i tak zdumiewające, że udało im się dotrzeć tak daleko. Winlandia... – Machnął ręką w kierunku osiedla. – To tylko sen jakiegoś marzyciela.

Patrząc na niego spokojnie, pani minister oświadczyła: – Nie jestem pewna, czy to ma jakieś znaczenie.

Podniósł na nią wzrok.

– Co pani przez to rozumie?

– Historię tworzą ludzkie opowieści. Również fikcje, sny, fałszerstwa – i te powstały na podstawie opowieści. Bez względu na to, czy prawdziwe czy nie, dla nas liczą się tylko opowieści.

Potrząsnął głową.

– Niektóre rzeczy naprawdę się wydarzyły. Inne – nie.

– Ale skąd mamy wiedzieć, jak je odróżnić? Nie można wrócić, żeby przekonać się na własne oczy. Może Winlandia to wymysł tego pańskiego nieznajomego, a może wikingowie jednak tu przybyli, tyle że wylądowali w innym miejscu? Tak czy inaczej, dla nas to tylko opowieść.

– Ależ... – Przełknął ślinę. – Przecież z pewnością ważne jest, czy historia mówi prawdę, czy nie!

Szła obok, stawiając drobne kroczki.

– Jeden z moich przyjaciół opowiadał mi kiedyś o czymś, co przeczytał w pewnej książce – powiedziała. – Napisana została przez człowieka, który żeglował po Morzu Czerwonym, dawno, dawno temu. Traktowała o spotkaniu na jakimś jednomasztowcu małym posługaczem, który nie pamiętał, aby kiedykolwiek się nim opiekowano. Chłopiec został marynarzem w wieku trzech lat, a przedtem żył z tego, co fale morza wyrzuciły na brzeg. – Zatrzymała się i spojrzała na znajdującą się pod nimi plażę. – Często wyobrażałam sobie życie tego chłopca. Zdołał przeżyć sam na plaży – to mnie zadziwiało. W pewnym sensie... uszczęśliwiało. – Odwróciła się, żeby zajrzeć mu w

twarz. – Ale później opowiedziałam tę historię specjalście od rozwoju dziecka, a on pokręcił głową. „Najpewniej to nie była prawda”, powiedział. Nie kłamstwo, a raczej...

– Naciągana historyjka – podpowiedział profesor.

– No właśnie, naciągana historyjka. Podejrzewał, że chłopak mógł być trochę starszy albo ktoś mu pomagał. Wie pan.

Profesor potwierdził skinieniem głowy.

– Ale w końcu – mówiła dalej pani minister – odkryłam, że jego opinia nie ma dla mnie najmniejszego znaczenia. Oczyma duszy nadal widziałam tego berbecia, jak grzebie rączkami w kałużach morskiej wody, żeby znaleźć coś do jedzenia. I dla mnie ta legenda żyje nadal. A tylko to naprawdę się liczy. W ten sam sposób oceniamy opowieści historyczne – w zależności od tego, na ile pobudzają naszą wyobraźnię.

Profesor nie spuszczał z niej wzroku. Potarł policzek, potem spojrział w dal. Świat miał ostrość konturów, jaką zwykle zyskuje w oczach człowieka po nieprzespanej nocy – jakby wszystko wokół świeciło wewnętrznym blaskiem.

– Ktoś o takich przekonaniach nie powinien chyba piastować pani stanowiska.

– Sama dotąd nie wiedziałam, że mam takie przekonania – odparła pani minister. – Dopiero co je odkryłam, kiedy rozmyślałam przez ostatnich kilka godzin.

Profesor spojrział na nią zaskoczony.

– Nie spała pani?

Potrząsnęła głową.

– Któż mógłby zasnąć w taką noc?

– Czulem dokładnie to samo! – Prawie się uśmiechnął. – No

tak. Zdaje się, że nazywacie to białe noce?

– Tak – odparła. – Białe noce dla dwojga. – I popatrzyła na niego tym swoim rozbawionym spojrzeniem, jak gdyby... jak gdyby go rozumiała.

Wyciągnęła do niego ręce, chwyciła jego dłonie i pomogła mu wstać. Zaczęli iść w stronę namiotów, przez osiedle L'Anse aux Meadows. Trawa była mokra od rosy i bardzo zielona.

– Nadal jednak sądzę – powiedział, kiedy tak razem szli – że od przeszłości oczekujemy czegoś więcej niż tylko historyjek. Chcemy czegoś, co niełatwo znaleźć – czegoś, czego przeszłość w istocie nie posiada. Czegoś tajemniczego, jakiegoś mistycznego sensu – czegoś, co nadałoby sens naszemu życiu.

Wsunęła mu dłoń pod ramię.

– Szukamy Atlantydy dzieciństwa. A ponieważ to nieosiągalne... – Zaśmiała się i kopnęła kępkę trawy; rozbłysnął przed nimi deszcz rosy, niosąc w sobie, na tę jedną chwilę, małą tęczę.

Robert Sheckley Jestem przekonany, że gdyby istniała lista „Top Ten” w literaturze SF, Robert Sheckley byłby tuż na samym jej szczycie. (Podejrzewam, że Philip K. Dick byłby pierwszy – jego utwór prezentowany jest po niniejszym). Sheckley (ur. 1928) był bardzo płodnym pisarzem w latach pięćdziesiątych. Był autorem ze szkoły pisarskiej Horacego Golda. Gold wydawał „Galaxy”, wiodące czasopismo w tamtych latach, które stworzyło złoty wiek science fiction. Gold nie szukał jak John W. Campbell w „Astounding” opowiadań o zaawansowanej technologii, wolał utwory o ludziach będących produktem społeczeństw dysponujących wynalazkami, jakie przepowiadali pisarze z „Astounding”. Często Gold publikował również satyry na przyszłe społeczeństwa. Prezentowane opowiadanie jest jedną z najlepszych.

BILET NA TRANAI

Pewnego pięknego czerwcowego dnia wysmukły, skromnie odziany młody człowiek wkroczył zdecydowanie do biur Agencji Podróży Transstellarnych. Przemaszerował obok jaskrawego plakatu reklamującego Dożynki na Marsie, nie rzuciwszy nań nawet okiem. Nie zwrócił uwagi na gigantyczny fotofresk z płaszącymi gajami Traganium. Zignorował dwuznaczne nieco malowidło obrazujące rytuały pierwotne na Opiuchusie II i podszedł do biurka urzędnika z działu rezerwacji.

– Chciałbym zabukować przelot na Tranai – oznajmił młodzian.

Urzędnik zamknął egzemplarz „Niezbędnych Wynalazków” i pogrążył się w zadumie.

– Tranai? Tranai?... Czy to nie jeden z księżyców Kenta IV?

– Nie – odparł młody człowiek. – Tranai to planeta krążąca wokół słońca o tej samej nazwie. Chciałbym zarezerwować tam przelot.

– Nigdy o takiej nie słyszałem. – Urzędnik zdjął z półki katalog gwiazd, uproszczoną mapę gwiazdną i egzemplarz *Tras Kosmicznych Drugiej Kategorii*. – No tak – oświadczył wreszcie. – Każdego dnia można się czegoś nauczyć. Chce pan zatem zarezerwować lot na Tranai, panie...

– Goodman. Marvin Goodman.

– ...panie Goodman. Cóż, wygląda na to, że ta Tranai jest najdalszym od Ziemi miejscem, jakie można osiągnąć, nie opuszczając Drogi Mlecznej. Nikt tam nie bywa.

– Wiem. Czy może mi pan załatwić przelot? – zapytał Goodman, a w jego głosie słychać było hamowane z trudem podniecenie.

Urzędnik pokręcił głową.

– Nie ma szans. Nawet nonskedy nie latają tak daleko.

– A dokąd może mnie pan dowieźć?

Urzędnik obdarzył go zwycięskim uśmiechem.

– Po cóż się przejmować? Mogę wysłać pana do świata, który ma to wszystko, co tamta planetka, a bije ją bliskością, niższymi kosztami, przyzwoitymi hotelami, wycieczkami krajoznawczymi...

– Chcę lecieć na Tranai – Goodman pozostał nieugięty.

– Ale nie ma sposobu, żeby tam dotrzeć – wyjaśniał urzędnik cierpliwie. – Cóż spodziewa się pan tam znaleźć? Może byłbym w stanie pomóc.

– Może mi pan pomóc, rezerwując bilety aż do...

– Czy chodzi o przygodę? – pytał urzędnik, wyciągając wnioski z nieatletycznej postury Goodmana i jego uczenie przygarbionych pleców. – Pozwoli więc pan, że zasugeruję Africanusa II, prymitywny glob rojący się od dzikich plemion, tygrysów szablatozębnych, ludożerczych paproci, grzęzawisk, aktywnych wulkanów, pterodaktyli i w ogóle wszystkiego. Ekspedycje wyruszające z Nowego Jorku co pięć dni łączą w sobie maksimum ryzyka i absolutne bezpieczeństwo.

Gwarantowany łeb dinozaura albo zwracamy pieniądze.

– Tranai – rzekł Goodman.

– Hmm. – Urzędnik obrzucił taksującym spojrzeniem zaciśnięte usta i bezkompromisowe oczy klienta. – A może jest pan znudzony purytańskimi ograniczeniami naszej Ziemi? W takim razie niech mi będzie wolno zaproponować wycieczkę na Almagordo III, Perłę Południowego Pasa Granicznego. Nasz dziesięciodniowy, uwzględniający wszelkie koszty program obejmuje zwiedzanie tajemniczej Kazby Almagordyjskiej, wizyty w ośmiu klubach nocnych (stawiamy pierwszą kolejkę!), odwiedziny w fabryce cyntalu, gdzie po fenomenalnie okazjnych cenach może pan nabyć oryginalne paski cyntalowe, buty i pantofle, oraz w dwóch gorzelniach. Dziewczęta z Almagordo są piękne, pełne werwy i odświeżająco naiwne. Uważają Turystę za najdoskonalszą i najbardziej pożądaną formę istoty ludzkiej. A więc...

– Tranai – powtórzył Goodman. – Jak daleko może mnie pan wyprawić?

Sposępniały urzędnik wydobył bloczek biletów.

– *Królową Konstelacji* dotrze pan na Legis II i tam przesiądzie się na *Chwałę Galaktyki*, która zabierze pana na Oume. Tam łapie pan miejscowy statek, który po międzylądowaniach na Machangu, Inchangu, Pankangu, Lekungu i Ostrydze wysadzi pana na Tung–Bradar IV, o ile, rzecz jasna, nie rozleci się po drodze. Nonskedem dotrze pan za Wir Galaktyczny (jeśli zdoła się przebić) na Aloonsridgię, skąd pocztowcem polecą pan na Bellismoranti. Sądzę, że ten pocztowiec wciąż jeszcze kursuje. I w ten sposób będzie pan mniej więcej w połowie drogi. Później

może pan liczyć tylko na siebie.

– Znakomicie – rzekł Goodman. – Czy zdoła mi pan przygotować dokumenty na dzisiejsze popołudnie?

Urzędnik przytaknął.

– Panie Goodman – zapytał z rozpaczą – jakiego rodzaju miejscem ma być ta Tranai?

Goodman uśmiechnął się anielsko.

– Utopią – powiedział.



Większą część swojego życia Marvin Goodman przeżył w stanie New Jersey, mieście Seakirk przez blisko pięćdziesiąt lat kontrolowanym to przez jednego politycznego bossa, to przez drugiego.

Większość mieszkańców tego miasta obojętna była na korupcję we wszelkich sferach; na wojny gangów, hazard, alkoholizm nieletnich i przyzwyczajona do widoku niszczących ulic, trzaskających ze starości zbiorników wodnych, psujących się elektrowni i rozpadających się wiekowych domów, podczas gdy bossowie budowali coraz okazalsze rezydencje, dłuższe baseny i cieplejsze stajnie. Ludzie do tego przywykli. Ale nie Goodman.

Urodzony krzyżowiec, pisał artykuły programowe, których nie drukowano, i listy do Kongresu, których nie czytano, agitował za uczciwymi kandydatami, których nie wybierano, organizował Ligę Uzdrawienia Społecznego Obywateli przeciw Gangsteryzmowi, Unię Obywatelską na rzecz Uczciwych Sił Policyjnych, Stowarzyszenie przeciw Hazardowi, Komitet

Równych Szans Zawodowych dla Kobiet i dziesiątki innych.

Nic nie wynikało z jego wysiłków. Ludzie byli zbyt apatyczni, żeby się przejmować. Skorumpowani politycy po prostu wyśmiewali go, a czegoś takiego Goodman znieść nie potrafił. A potem, jakby tego było mało, narzeczona porzuciła go dla hałaśliwego młodzieńca w sportowej kurtce, którego jedyną pozytywną cechą było posiadanie pakietu kontrolnego w Seakirk Construction Corporation.

Był to cios dobijający. Dziewczyna zdawała się nieporuszona faktem, że SCC używała do produkcji cementu nieproporcjonalnie dużych ilości piasku i zaniżała jakość swych stalowych dźwigarów. Tak to ujęła: – Wielkie mecyje, Marvie, no i co z tego? Takie jest życie. Musisz być realistą...

Goodman nie miał zamiaru być realistą. Niezwłocznie udał się do Eddie's Moonlight Bar, gdzie między jednym a drugim drinkiem jął kontemplować powab szalasu z trawy w zielonym piekle Wenus.

Do baru wkroczył wyprostowany mężczyzna o orlim obliczu. Jego krępowany grawitacją krok, jego bladość, blizny radiacyjne i przenikliwe szare oczy powiedziały Goodmanowi, że jest kosmolem.

– Pospieszny na Tranai, Sam – rzekł barmanowi stary podróżnik.

– Ahoj, już leci, kapitanie Savage – odparł barman.

– Tranai? – wyszeptał Goodman mimowolnie.

– Tranai – potwierdził kapitan. – Nigdyś o niej nie słyszał, synku, co?

– Nie, panie kapitanie – wyznał Goodman.

– Ano, synku – rzekł kapitan Savage – zbiera mi się dziś na gadanie, więc ci opowiem o Tranai Błogosławionej, hen za Wirem Galaktycznym.

Zamgliły się oczy kapitana, a uśmiech złagodził ostry zarys jego ust.

– Żelaznymi ludźmi w stalowych statkach byliśmy w owe dni. Ja, Johnny Cavanaugh i Żaba Larsen do samego piekła byśmy poleciali po nieduży ładunek terganium i jeszcze Belzebuba porwali na jungę, gdyby nam ludzi brakowało. To były dni, gdy kosmiczny skorbut zabierał co trzeciego człowieka, a duch Wielkiego Dana McClintocka straszył na szlakach. Moll Gann wciąż prowadziła Tawernę pod Czerwonym Kogutem na Asteroidzie 342–aa, żądając pięciuset dolców za kufelek piwa i dostając je, jako że w promieniu dziesięciu miliardów mil innej knajpy nie było. W owych dniach Gnojniki wciąż rznąły na Gwiezdnej Grani i statki na Prodignum musiały przechodzić przez Szpaler Łamigrzbietów. Więc możesz sobie wyobrazić, synku, jakem się czuł, gdy pewnego pięknego dnia trafiłem na Tranai.



Goodman słuchał, a stary kapitan kreślił obraz wielkich dni, wątych statków podążających przeciwko żelaznemu niebu, statków mknących w dal, zawsze w dal, ku najodleglejszym granicom Galaktyki.

I tam, na skraju Wielkiej Nicości, była Tranai.

Tranai, gdzie znaleziono Sposób, a ludzie nie byli już wprzężeni w Kierat. Tranai Przeobfita, spokojna, twórcza,

szczęśliwa społeczność – nie świętych, nie ascetów, ani też intelektualistów, ale zwykłych ludzi, którzy osiągnęli utopię.

Przez godzinę mówił kapitan Savage o wielokształtnych cudach Tranai, skończywszy zaś opowieść, pożałił się, że w gardle mu wyszło. Próżniowe gardło, tak to nazwał, i Goodman zamówił dlań następnego Pospieszego na Tranai i jednego dla siebie. Pociągając egzotyczną szarozieloną miksturę, Goodman również zatonął w marzeniach.

W końcu, bardzo delikatnie, zapytał: – Dlaczego pan tam nie wraca, kapitanie?

Stary potrząsnął głową.

– Kosmischias. Jestem uziemiony na dobre. W tamtych czasach nie wiedzieliśmy zbyt wiele o nowoczesnej medycynie. Nadaję się tylko do ziemskiej roboty.

– Czym się pan zajmuje?

– Jestem brygadzystą w Seakirk Construction Company – westchnął kapitan. – Ja, którym dowodził pięćdziesięciodyszowym kliprem! Sposób, w jaki ci faceci robią cement... Cóż, przelecimy jeszcze po maluchu na cześć pięknej Tranai?

Przelecieli po kilka. Gdy Goodman opuszczał bar, decyzja była powzięta. Gdzieś we wszechświecie znaleziono *modus vivendi*, praktyczne rozwiązanie odwiecznego marzenia człowieka o doskonałości.

Nie zadowolili się niczym mniejszym.

Następnego dnia rzucił swą pracę projektanta w East Coast Robot Works i podjął z banku oszczędności całego życia.

Wyruszał na Tranai.



Królową Konstelacji poleciał na Legis II, gdzie złapał *Chwałę Galaktyki* na Oume. Po międzylądowaniach na Machangu, Inchangu, Pankangu, Lekungu i Ostrydze – posępnych planetkach – osiągnął Tung–Bradar IV. Bez przygód minął Wir Galaktyczny i dotarł w końcu do Bellismoranti, gdzie kończyły się wpływy Ziemi.

Za niebotyczne wynagrodzenie lokalna linia kosmiczna przewiozła go na Dvasta II, stąd zaś frachtowiec zabrał aż za Seves, Olgo i Mi, na podwójną planetę Mvanti. Tu ugrzązł na trzy miesiące, wykorzystując czas na hipnopedyczny kurs języka tranajskiego. Wynajął w końcu nielicencjonowanego pilota i ten dostarczył go na Dingu.

Na Dingu aresztowano go jako higastomerytrejskiego szpiega, zdołał jednak zbiec i w ładowni rakiety przewożącej rudę dotrzeć na g'Moree, gdzie poddawszy się kuracji w związku z odmrożeniami, porażeniem termicznym i powierzchownymi poparzeniami radiacyjnymi, załatwił wreszcie przelot na Tranai.

Nie wierzył własnemu szczęściu, gdy przemknąwszy obok księżyców Doe i Ri, statek wylądował w Port Tranai.

Kiedy otworzyły się śluzy, Goodman znajdował się w stanie całkowitej depresji. Było to po części poczucie zawodu, nieuniknione po takiej podróży, jaką przeżył, co więcej jednak, Goodman przeraził się nagle, że Tranai może okazać się humbugiem.

Przemierzył Galaktykę, zawierzywszy gawędzie starego kosmola, która teraz nie brzmiała aż tak prawdopodobnie.

Wysiadł. Port Tranai wydawał się miastem nader

przyjemnym. Ulice były ludne, a w sklepach piętrzyły się stosy towarów. Tubylcy, których mijał, wyglądali tak samo jak zwykli ludzie w jakimkolwiek świecie, a niewiasty były wręcz atrakcyjne.

Było tu jednak coś dziwnego, coś subtelnie, a przecież zdecydowanie złego, coś innego. Potrzebował chwili, by to określić.

Zdał sobie sprawę, że na każdych dziesięciu mężczyzn w polu widzenia przypada tylko jedna kobieta. I, co jeszcze dziwniejsze, każda z nich miała albo mniej niż osiemnaście, albo więcej niż trzydzieści pięć lat.

Cóż stało się z niewiastami w grupie wiekowej osiemnaście – trzydzieści pięć lat? Czy jakieś tabu broni im pokazywania się w miejscach publicznych? Czy może wytrzebiła je epidemia?

Musi tylko poczekać, a wszystkiego się dowie.

Podążył do Gmachu Idriga, gdzie skupiały się wszystkie tranajskie agendy rządowe, i zaanonsował się w biurze Ministra do spraw Obywateli Innych Planet. Poproszono go natychmiast.

Biuro było małe i zagracone, a na tapetach widniały osobliwe niebieskie plamy. Goodmana uderzył fakt, że na ścianie złowieszczo wisiała wielkokalibrowa strzelba wyposażona w tłumik i lunetę. Nie miał czasu zastanowić się nad tą kwestią, minister bowiem porwał się z krzesła i jął dziarsko potrząsać jego dłonią.

Minister był tłustym, wesołym panem w wieku jakichś pięćdziesięciu lat. Na szyi miał mały medalion ozdobiony herbem Tranai – błyskawicą przecinającą ziarnko zboża. Goodman wysunął poprawny wniosek, że to insygnium jego

urzędu.

– Witamy na Tranai – oświadczył minister serdecznie. Zrzucił z krzesła stos papierów i gestem poprosił Goodmana, by usiadł.

– Panie ministrze – zaczął Goodman w formalnej tranajszczyźnie.

– Den Melith się nazywam. Mów mi Den. Jesteśmy tu dość nieoficjalni. Połóż stopy na biurku i czuj się jak u siebie. Cygaro?

– Nie, dziękuję – odparł nieco stropiony Goodman. – Panie... aaa... Den, przybyłem z Terry, planety, o której musiałeś słyszeć.

– Jasne, słyszałem – rzekł Melith. – Nerwowe, zatłoczone miejsce, prawda? Bez urazy, rzecz jasna.

– Rzecz jasna. Takie właśnie jest i moje zdanie. Powód, dla którego tu przybyłem... – Goodman zawahał się, mając nadzieję, że jego słowa nie zabrzmiały humorystycznie. – Cóż, słyszałem o Tranai pewne historie. Wydają się niedorzeczne, gdy o nich teraz myślę. Ale jeśli nie masz nic przeciwko temu, chciałbym zapytać...

– Pytaj, o co chcesz – wtrącił Melith wylewnie. – Otrzymasz uczciwą odpowiedź.

– Dzięki. Słyszałem, że na Tranai od czterystu lat nie było konfliktów zbrojnych.

– Od sześciuset – poprawił go Melith. – I na nic podobnego się nie zanoszą.

– Ktoś mi mówił, że na Tranai nie ma przestępczości.

– Absolutnie żadnej.

– A w związku z tym nie ma policji, sądów, sędziów, szeryfów, katów, kuratorów, agentów rządowych. Ani też więzień, domów poprawczych czy innych miejsc odosobnienia.

– Nie potrzebujemy ich – wyjaśnił Melith – nie ma bowiem przestępstw.

– Mówiono mi – rzekł Goodman – że na Tranai nie ma ubóstwa.

– Ja przynajmniej o nim nie słyszałem – odparł Melith radośnie. – Czy jesteś pewien, że nie masz ochoty na cygaro?

– Nie, dziękuję. – Podniecony Goodman pochylił się bardziej. – Rozumiem więc, że osiągnęliście stabilną ekonomię, nie uciekając się do praktyk socjalistycznych, komunistycznych, faszystowskich czy biurokratycznych?

– Oczywiście – zapewnił Melith.

– Że obowiązuje u was wolna interakcja sił społecznych, rozkwitają inicjatywy indywidualne, a funkcje rządowe sprowadzone zostały do absolutnego minimum?

Melith przytaknął.

– Ogólnie rzecz biorąc, rząd zajmuje się drobnymi kwestiami porządkowymi, opieką nad ludźmi w podeszłym wieku i upiększaniem krajobrazu.

– Czy to prawda, że odkryliście sposób rozdziału dóbr bez uciekania się do interwencji administracyjnej, a nawet bez systemu podatkowego, sposób oparty w całości na wyborze indywidualnym? – rzucił Goodman wyzywająco.

– Och, tak, absolutnie.

– A czy jest także prawdą, że korupcja nie dotknęła tranajskich instytucji rządowych żadnego szczebla?

– W istocie – rzekł Melith. – I przypuszczam, że właśnie z tego powodu mamy takie kłopoty w znajdowaniu ludzi, którzy chcieliby sprawować urzędy publiczne.

– A więc kapitan Savage mówił prawdę?! – wrzasnął Goodman, przestając nad sobą panować. – To jest utopia!

– Nam się tu podoba – powiedział Melith.

Goodman głęboko zaczerpnął powietrza i spytał: – Czy mogę u was zostać?

– Czemu nie? – Melith wyciągnął formularz. – Nie mamy ograniczeń imigracyjnych. Powiedz, jaki jest twój zawód.

– Na Ziemi byłem projektantem robotów.

– Mnóstwo możliwości w tej branży. – Melith zaczął wypełniać formularz. Jego pióro zrobiło kleksa. Minister rzucił nim obojętnie o ścianę; pióro roztrzaskało się, zdobiąc tapetę kolejną plamą.

– Wypełnimy ten dokument jakimś innym razem – rzekł. – Teraz nie jestem w nastroju.

Opadł na oparcie krzesła.

– Pozwól, że dam ci jedną radę. Czujemy tu, na Tranai, żeśmy się bardzo przybliżyli do tej, jak ją nazywasz, utopii. Ale nasza państwowość nie jest wysoce zorganizowana. Nie mamy skomplikowanego kodeksu praw. Żyjemy, przestrzegając kilku niepisanych praw czy, jak by to powiedzieć, zwyczajów. Poznasz je szybko. I oto moja jedyna rada – choć z całą pewnością nie rozkaz – przestrzegaj ich.

– Będę to robił! – wykrzyknął Goodman. – Mogę pana zapewnić, sir, że nie mam zamiaru zagrozić naruszeniem zasad waszego raję.

– Och, nie martwiłem się o nas – odparł Melith z pełnym zaskoczenia uśmiechem. – Miałem na względzie twoje bezpieczeństwo. Być może moja żona będzie mieć dla ciebie inne

radę.

Wcisnął wielki guzik na biurku. Natychmiast ukazała się niebieskawa mgła, która poczęła się skupiać, i po chwili Goodman dostrzegł przed sobą przystojną młodą kobietę.

– Dzień dobry, mój drogi – powiedziała do Melitha.

– Zbliża się wieczór – poinformował ją Melith. – Moja droga, ten młody człowiek przybył aż z Ziemi, żeby zamieszkać na Tranai. Udzieliłem mu zwykłej rady. Czy moglibyśmy uczynić dla niego coś jeszcze?

Pani Melith rozmyślała przez moment, po czym spytała Goodmana: – Czy jesteś żonaty?

– Nie, pszepani – odparł Goodman.

– W takim razie powinien poznać miłą dziewczynę – powiedziała pani Melith do męża. – Starokawalerstwo, choć oczywiście nie wzbronione, nie jest na Tranai mile widziane. Niech pomyślę... Co powiesz o tej ładniutkiej dziewczynie Drigantich?

– Zaręczona – rzekł Melith.

– Naprawdę? Czyżbym aż tak długo była w stazie? Mój drogi, to nieładnie z twojej strony.

– Byłem zapracowany – powiedział Melith przepaszająco.

– A Mihna Vensis?

– Nie w jego typie.

– Janna Vley?

– Doskonała! – Melith puścił do Goodmana oko. – Niezmiernie atrakcyjna młoda dama. – Znalazł na biurku inne pióro, zapisał adres i wręczył go Goodmanowi. – Moja żona powiadomi ją telefonicznie, by jutro spodziewała się twojej wizyty.

- I wpadnij któregoś wieczoru na kolację – dodała pani Melith.
- Z rozkoszą – odparł kompletnie otumaniony Goodman.
- Miło było cię poznać – rzekła pani Melith.

Jej mąż wcisnął czerwony guzik. Uformowała się niebieska mgła i pani Melith zniknęła.

– Muszę już zamykać – powiedział Melith, zerknąwszy na zegarek. – Ludzie mogą zacząć gadać, jeśli będę pracować po godzinach. Wpadnij któregoś dnia, to wypełnimy te formularze. I powinieneś odwiedzić też Najwyższego Prezydenta Borga w Dworzyszczu Narodowym. A może on do ciebie wpadnie. Tylko nie pozwól, żeby ten stary lis coś na ciebie zwał. I nie zapomnij o Jannie.

Mrugnął szelmowsko i odprowadził Goodmana do drzwi.

Po chwili samotny Goodman znalazł się na chodniku. Dotarł do utopii, powiedział sobie, prawdziwej, oryginalnej, namacalnej utopii.

Ale były w niej sprawy bardzo zagadkowe.



Goodman zjadł obiad w małej restauracyjce i zameldował się w pobliskim hotelu. Dziarski boy zaprowadził go do pokoju, gdzie Goodman bezzwłocznie rozciągnął się na łóżku. Tarł z wysiłkiem oczy, próbując uporządkować wrażenia. Tak wiele przeżył i to wszystko w ciągu jednego dnia! I tak wiele spraw zbijało go z tropu. Proporcja mężczyzn do kobiet na przykład. Zamierzał spytać o to Melitha.

Ale Melith mógł nie być najwłaściwszym człowiekiem, miał bowiem kilka osobliwych cech. Jak rzucanie o ścianę piórem. Czy

był to postępek godny dojrzałego, odpowiedzialnego urzędnika?
A żona Melitha...

Goodman wiedział, że pani Melith przybyła z derrsiniowego pola stazy; rozpoznał charakterystyczną błękitną mgłę. Derrsinu używano również na Ziemi. Bywały niekiedy uzasadnione powody medyczne, by zawiesić wszelką aktywność, wszelki rozwój, wszelki rozkład. Wyobraźmy sobie, że pacjent rozpaczliwie potrzebuje jakiegoś serum, które można sprokurować tylko na Marsie. Cóż prostszego, jak pogrążyć go w stazie aż do chwili, gdy lek będzie mógł przybyć?

Ale na Ziemi polem mógł operować tylko licencjonowany lekarz. Za nieuzasadnione użycie groziły kary.

Goodman nigdy nie słyszał o trzymaniu w tym polu żony.

A przecież gdyby wszystkie tranajskie żony przetrzymywano w stazie, jasny stałby się powód nieobecności grupy wiekowej osiemnaście – trzydzieści pięć, a także proporcji mężczyzn do kobiet.

Ale jakie było źródło owego technologicznego czarczafu?

I coś jeszcze leżało Goodmanowi na sercu, coś mało istotnego, lecz mimo to niepokojącego.

Strzelba na ścianie Melitha.

Czy polował nią na zwierzynę łowną? Musiałaby to być w takim razie nader wielka zwierzyna. Strzelectwo sportowe? Nie z lunetką. I po co tłumik? Dlaczego trzymał broń w swoim biurze?

Były to wszakże kwestie drobne, uznał Goodman; małe lokalne idiosynkrazje, które staną się dlań jasne, gdy pożyje na Tranai dłużej. Nie może przecież oczekiwać, że pojmie natychmiast i całkowicie świat, który jest w końcu dlań obcy.



Zapadał właśnie w drzemkę, gdy usłyszał stukanie.

– Proszę wejść! – zawołał.

Mały człowieczek o szarej twarzy wślizgnął się pospiesznie do środka i zamknął za sobą drzwi.

– Jesteś tym człowiekiem z Ziemi, nieprawdaż?

– Istotnie.

– Wykombinowałem sobie, że tu będziesz – rzekł mały człowieczek z uśmiechem zadowolenia. – Trafiłem w dziesiątkę za pierwszym razem. Chcesz zostać na Tranai?

– Jestem tu na dobre.

– Znakomicie – powiedział przybysz. – Nie miałbyś ochoty zostać Najwyższym Prezydentem?

– Hę?

– Dobra pensja, wygodne godziny, kadencja tylko jednoroczna. Wyglądasz na społecznika – oznajmił człowieczek pogodnie. – No i co powiesz?

Goodman nie miał pojęcia.

– Chcesz mi powiedzieć – zapytał z niedowierzaniem – że tak zwyczajnie proponujesz mi najwyższy urząd w kraju?

– Co masz na myśli, mówiąc „zwyczajnie”? – podniecił się człowieczek. – Czy sądzisz, że proponujemy Najwyższą Prezydenturę każdemu? Taka oferta to wielki zaszczyt.

– Nie zamierzałem...

– A ty, jako Ziemianin, posiadasz wyjątkowe predyspozycje.

– Czemu?

– Cóż, ogólnie wiadomo, że Ziemianie czerpią z władzy przyjemność. A my, Tranajanie, nie, ot i wszystko. Za dużo

kłopotów.

Tak po prostu. Reformatorska krew Goodmana poczęła wrzeć. Mimo całej doskonałości Tranai było tu jednak miejsce na ulepszenia. Zobaczył nagle siebie jako rządcę utopii, który dokonuje wielkiego dzieła czynienia ideału jeszcze doskonalszym. Ostrożność jednak powstrzymała go przed natychmiastowym wyrażeniem zgody. Może ten facet jest szajbusem?

– Dzięki za propozycję – rzekł Goodman. – Muszę to przemyśleć. Może powinienem porozmawiać z aktualnym beneficjentem i dowiedzieć się czegoś o naturze pracy.

– A jak sądzisz, skąd się tu wziąłem? – zapytał człowieczek. – Jestem Najwyższy Prezydent Borg.

Dopiero teraz Goodman dostrzegł oficjalny medalion na szyi gościa.

– Daj mi znać, gdy podejmiesz decyzję. Będę w Dworzyszczu Narodowym. – Uścisnął dłoń rozmówcy i wyszedł.

Goodman odczekał pięć minut, a potem zadzwonił na boya.

– Kim był ten człowiek?

– To Najwyższy Prezydent Borg – odparł boy. – Wziąłeś robotę?

Goodman powoli pokręcił głową. Nagle pojął, że o Tranai musi się jeszcze dowiedzieć bardzo wiele.



Następnego ranka Goodman sporządził alfabetyczną listę rozmaitych fabryk produkujących roboty i ruszył w poszukiwaniu pracy. Ku swemu zdumieniu dostał ją bez

najmniejszych problemów w pierwszym miejscu. W Wielkiej Wytwórni Robotów Domowych Abbaga zatrudniono go, ledwie zerknąwszy na referencje.

Jego nowy pracodawca, pan Abbag, był niski, miał groźny wygląd, wielką siwą grzywę i roztaczał aurę ogromnej energii.

– Cieszę się, że mamy Ziemiańcina na pokładzie – rzekł Abbag. – O ile wiem, jesteście ludźmi pomysłowymi, a potrzebujemy tu bez wątplenia pomysłowości... Będę z tobą szczery, Goodman – mam nadzieję, że twój innoplanetarny punkt widzenia przyniesie mi korzyści. Znaleźliśmy się w impasie.

– Czy to problem produkcyjny? – spytał Goodman.

– Pokażę ci. – Abbag powiódł Goodmana przez fabrykę: Tłocznię, Obróbkę Ciepłą, Laboratorium Analiz Rentgenologicznych, Montażownię – do Sali Testów, którą urządzono jak połączenie kuchni z bawialnią. Pod jedną ze ścian stał w szeregu tuzin robotów. – Wypróbuj jednego – polecił Abbag.

Goodman zbliżył się do najbliższego i spojrzał na jego urządzenia sterujące. Były dość proste. Poddał maszynę standardowemu testowi, jak podnoszenie przedmiotów, zmywanie garnków i patelni, nakrywanie do stołu. Reakcje robota były zupełnie poprawne, choć wściekle powolne. Na Ziemi podobną niezdarność wypleniono sto lat temu. Widać tu, na Tranai, byli trochę zacofani.

– Wygląda na dość wolnego – zauważył Goodman ostrożnie.

– Masz rację – rzekł Abbag. – Cholernie wolny. Osobiście myślę, że mniej więcej akurat. Ale badania rynku wykazują, że klienci chcą, żeby były jeszcze wolniejsze.

– He?

– Zabawne, co? – spytał Abbag smętnie. – Zaczniemy tracić pieniądze, jeśli spowolnimy je bardziej. Popatrz na jego flaki.

Goodman otworzył tylną pokrywę i zatrzepotał powiekami na widok płataniny kabli. Po chwili zdołał się w nich rozeznaczyć. Robot zbudowany był tak jak każda nowoczesna ziemська maszyna na niedrogich układach scalonych. Ale zainstalowano w nim specjalne przekaźniki spowalniające sygnał, moduły wygłaszające impuls i mechanizmy obniżające napięcie.

– Tylko mi powiedz – gniewnie zapytał Abbag – jak możemy spowolnić go jeszcze bardziej, nie zwiększając jego rozmiaru o jedną trzecią, a ceny po dwakroć? Nie mam pojęcia, o jaki rodzaj oddoskonalenia będą się dopominać w najbliższej kolejności.

Goodman próbował przystosować się mentalnie do koncepcji oddoskonalenia maszyny.

Ziemskie fabryki starały się zawsze budować roboty o reakcjach szybszych, sprawniejszych, dokładniejszych. Nigdy nie miał powodu, by kwestionować sensowność tej zasady. I nie znajdował go teraz.

– A jakby tego było mało – skarżył się Abbag – plastik, który zsyntetyzowaliśmy dla tego właśnie modelu, akatalizował albo diabli wiedzą co. Popatrz.

Kopnął robota w część brzuszną. Plastik wgiął się jak arkusz cyny. Kopnął ponownie. Plastik wgiął się głębiej, a robot zaczął terkotać i migać patetycznie. Trzeci kopniak roztrzaskał powłokę. Wnętrznosci robota eksplodowały, zaścielając podłogę.

– Dość tandetny – rzekł Goodman.

– Niewystarczająco tandetny. Powinien się rozpaść od

pierwszego kopniaka. Nasi klienci nie będą mieli żadnej satysfakcji z wsadzania im stopy w brzuch przez cały dzień. Ale powiedz, jak niby mam wyprodukować plastik, który zniesie normalną eksploatację – bo nie chcemy, żeby te rzeczy rozpadały się przypadkowo – a jednak rozleci się na kawałki, kiedy klient tego zapragnie?

– Jedną chwileczkę – zaprotestował Goodman. – Ustalmy to sobie. Celowo spowalnicie te roboty, by tak irytowały ludzi, że ci je zniszczą?

Abbag uniósł brwi.

– Oczywiście!

– Dlaczego?

– Ty jesteś tu nowy – rzekł Abbag. – Wie o tym każde dziecko. To rzecz fundamentalna.

– Będę wdzięczny, jeśli mi wyjaśnisz.

Abbag westchnął.

– Cóż, przede wszystkim, jak wiesz, każdy wynalazek mechaniczny jest źródłem irytacji. Ludzkość charakteryzuje się głęboką i odwieczną nieufnością wobec maszyn. Psychologowie nazywają to instynktowną reakcją życia na pseudożycie. Zgodzisz się ze mną w tej kwestii?

Marvin Goodman przypomniał sobie całą tę niepokojącą literaturę, jaką czytał – o buntach maszyn, mózgach cybernetycznych przejmujących władzę nad światem, androidach w natarciu i tak dalej. Pomyślał o humorystycznych artykułach i facetach strzelających do swych telewizorów, roztrzaskujących tostery o ścianę albo „wyrównujących rachunki” z samochodami. Przypomniał sobie też wszystkie

kawały o robotach podminowane głęboką wrogością.

– Myślę, że mogę się z tym zgodzić – powiedział.

– Więc pozwól, że moją tezę ujmę inaczej – rzekł Abbag pedantycznie. – Każda maszyna jest źródłem irytacji. Im lepiej działa, tym bardziej irytuje. Stąd w konsekwencji wniosok, że maszyna działająca doskonale jest ogniskiem frustracji, utraty szacunku do siebie, resentymentów bez adresu...

– Chwileczkę! – zaproponował Goodman. – Tak daleko bym się nie posunął!

– ...i schizofrenicznych fantazji – ciągnął nieubłagane Abbag. – Ale maszyny są nieodzowne w zaawansowanej gospodarce. Najlepszym tedy rozwiązaniem z ludzkiego punktu widzenia jest posiadanie maszyn zawodnych.

– Zupełnie tego nie chwytam.

– To oczywiste. Na Ziemi wasze gadzety pracują na granicy optimum, wywołując uczucie niższości w ludziach, którzy je obsługują. Niestety, macie masochistyczne tabu plemienne, które chroni je przed zniszczeniem. Rezultat? Ogólny niepokój w obecności uświęconej i nieludzko sprawnej Maszyny i poszukiwanie obiektu agresji, którym zwykle staje się żona lub przyjaciel. Bardzo żałosny stan rzeczy. Och, wszystko, jak sądzę, gra w kategoriach produkcji mierzonej w robotogodzinach, ale wcale nie gra w kategoriach perspektywicznie ocenianego zdrowia i samopoczucia.

– Nie jestem pewien...

– Człowiek to istota niespokojna. U nas, na Tranai, kierujemy niepokój ku temu właśnie punktowi, pozwalając mu służyć jako kanał ujścia także innych frustracji. Facet ma czegoś po uszy –

bum! Bierze i kopie swojego robota. Następuje natychmiastowe i terapeutyczne rozładowanie emocji, zyskanie cennego – i niepodważalnego – poczucia wyższości nad zwykłą maszyną, zmniejszenie ogólnych napięć, życiodajny zastrzyk adrenaliny do krwiobiegu, a zarazem impuls dla rozwoju industrializacji Tranai, bo gość niezwłocznie idzie kupić następnego robota. I co on w końcu takiego zrobił? Nie stłukł żony, nie popełnił samobójstwa, nie wypowiedział wojny, nie wynalazł nowej broni, ani też nie uciekł się do jakiegokolwiek z innych co pospolitszych sposobów rozładowania agresji. Po prostu rozwalił taniego robota, którego natychmiast może zastąpić nowym.

– Sądzę, że trochę potrwa, zanim to zrozumie – przyznał Goodman.

– Jasne, że potrwa. Jestem pewien, że okażesz się wartościowym nabytkiem, Goodman. Przemyśl to, co ci powiedziałem, i pomyśl o jakimś niedrogim sposobie oddoskonalenia tego robota.

Goodman borykał się z tym problemem całą resztę dnia, ale nie mógł tak od ręki przypasować swego myślenia do idei produkowania maszyn coraz gorszych. Była dlań z lekka bluźniercza. Wyszedł z pracy o siedemnastej trzydzieści niezadowolony z siebie, ale zdecydowany spisywać się lepiej, czy też raczej „gorzej” – zależy od punktu widzenia i uwarunkowań.



Po szybkiej i samotnej kolacji Goodman postanowił odwiedzić Jannę Vley. Nie chciał spędzać wieczoru sam na sam ze swymi myślami i czuł rozpaczliwą potrzebę znalezienia w tej

skomplikowanej utopii czegoś przyjemnego, prostego i nieskomplikowanego. Może czymś podobnym okaże się ta Janna.

Dom Vleyów znajdował się ledwie o tuzin przecznic dalej i Goodman postanowił iść na piechotę.

Kłopot zasadniczy polegał na tym, że miał własne wyobrażenie na temat tego, jaka ma być utopia, i trudno mu było tak skorygować własne myślenie, by pasowało do konkretnej sytuacji. Wyobrażał sobie sielankową scenografię, planetę ludzi żyjących w małych niezwykłych wioskach, spacerujących w powiewnych szatach, mądrych, łagodnych i rozumiejących. Dzieci igrające w złocistym blasku słońca, młódź tańczącą na wioskowym placyku...

Śmieszne! Kreślił raczej żywy obraz niż sytuację, serię stylizowanych póz zamiast nieustannego ruchu życia. Ludzie nigdy nie mogliby tak egzystować, nawet przyjąwszy, że tego by pragnęli. Bo gdyby mogli to robić, przestaliby być ludźmi.

Dotarł do domu Vleyów i stanął przed nim niezdecydowany. W co się teraz pakuje? Na jakie obce – choć zdecydowanie utopijne – zwyczaje wnet się natknie?

Nieomal zawrócił. Ale perspektywa długiej samotnej nocy w pokoju hotelowym była wyjątkowo niezachęcająca. Zacisnął zęby i zadzwonił.

Drzwi otworzył rudy mężczyzna średniego wzrostu i w średnim wieku.

– Ach, musisz być tym facetem z Ziemi. Janna się szykuje... Wejdz i poznaj moją żonę.

Powiódł Goodmana do przyjemnie urządzonej bawialni i wcisnął czerwony guziczek w ścianie. Niebieskawa mgła

derrsinowa nie zaskoczyła tym razem Goodmana. W końcu sposób, w jaki Tranajanie traktowali swoje kobiety, był ich sprawą.

Z mgły wyłoniła się przystojna, mniej więcej dwudziestoosmioletnia kobieta.

– Moja droga – rzekł Vley – to jest Ziemianin, pan Goodman.

– Jakże miło pana poznać – powiedziała pani Vley. – Zrobić panu drinka?

Goodman skinął głową. Vley wskazał mu wygodne krzesło. Po chwili pani Vley przyniosła tacę oszronionych napitków i usiadła.

– Więc jest pan z Ziemi – rzekł gospodarz. – Nerwowe, zatłoczone miejsce, prawda? Ludzie bez przerwy w galopie?

– Tak, chyba tak jest – odparł Goodman.

Ze schodów dobiegł szelest spódnicy. Goodman poderwał się na nogi.

– Panie Goodman, to nasza córka Janna – powiedziała pani Vley.

Goodman dostrzegł z miejsca, że włosy Janny są dokładnie tego samego koloru co supernowa w Circe, oczy mają ten sam głęboki, niewiarygodny błękit jesiennego nieba nad Algo II, że łagodny róż jej ust przypomina smugę odrzutu Scarslotta-Turnera, że jej nos...

Ale tu mu się skończyły porównania astronomiczne, które tak czy owak nie były najodpowiedniejsze. Janna była smukłą i zdumiewająco ładną, jasnowłosą dziewczyną i Goodman doznał nagle poczucia wielkiego zadowolenia, że przemierzywszy Galaktykę, dotarł na Tranai.

– Bawcie się dobrze, dzieci – rzekła pani Vley.

– Nie wracaj zbyt późno – powiedział do Janny pan Vley.

Dokładnie tak, jak ziemscy rodzice mówią do swoich dzieci.

W randce nie było nic egzotycznego. Poszli do niedrogiemu klubu nocnego, tańczyli, trochę pili i wiele rozmawiali.

Goodman był zaskoczony ich natychmiastowym porozumieniem. Janna zgadzała się ze wszystkim, co mówił. Odkrycie inteligencji w tak ładnej dziewczynie było doznaniem ożywym.

Wywarły na niej wielkie wrażenie, może nawet ją zafascynowały, niebezpieczeństwa, które przeżył, przemierzając Galaktykę. Wiedziała zawsze, że Ziemianie to typy awanturnicze (choć nerwowe), ale ryzyko, jakie podjął Goodman, nie mieściło jej się w głowie.

Drżała, gdy mówił o śmiertelnie niebezpiecznym Wirze Galaktycznym, słuchała z szeroko rozwartymi oczami, gdy relacjonował przeprawę przez słynny Szpaler Łamigrzbietów obok krwiożerczych Gnojników, które wciąż wyrzynały się wzdłuż Gwiezdnej Grani i roily w szatańskich norach Prodigium. Jak to Goodman ujął, Ziemianie byli żelaznymi ludźmi w stalowych statkach, prowadzącymi zwiad na krańcach Wielkiej Nicości.

Janna nawet się nie odezwała, dopóki Goodman nie powiedział o zapłaceniu pięciuset ziemskich dolarów za szklanekę piwa w Czerwonym Kogucie Moll Gann na Asteroidzie 342-aa.

– Musiałeś być bardzo spragniony – rzekła z troską.

– Niespecjalnie – odparł Goodman. – Forsa po prostu nie jest tam tak ważna.

– ...ale czy nie byłoby lepiej ją zaoszczędzić? To znaczy

któregoś dnia możesz mieć żonę i dzieci... – Oblała się rumieńcem.

Goodman oznajmił chłodno:

– Cóż, ta część mojego życia jest już skończona. Zamierzam się ożenić i osiąść tu, na Tranai.

– Jak miło! – wykrzyknęła. To był niezwykle udany wieczór.

Goodman odprowadził Jannę do domu o przyzwoitej godzinie i ustalił randkę na jutrzejszy wieczór. Ośmielony swymi opowieściami, pocałował ją w policzek. Nie wyglądało, by miała coś przeciwko temu, ale nie posunął się dalej.

– Więc do jutra – powiedziała i uśmiechnąwszy się, zamknęła drzwi.

Odszedł, czując zawroty głowy. Janna! Janna! Czy to możliwe, że już jest zakochany? Czemu nie? Miłość od pierwszego wejrzenia była dowiedzioną możliwością i jako taka jest instytucją w zupełności szacowną. Miłość w utopii! Jakże cudownie, że tu, na doskonałej planecie, znalazł doskonałą dziewczynę!

Z cienia wyszedł mężczyzna i zagroził mu drogę. Goodman dostrzegł, że ma na twarzy czarną jedwabną maskę, spoza której nie widać było nic prócz oczu. Dzierżył wielki blaster, którym mierzył w brzuch Goodmana.

– W porządziu, brachu – rzekł mężczyzna. – Dawaj całą forszę.

– Co? – sapnął Goodman.

– Słyszałeś. Całą forszę. Wręczaj, ale już!

– Nie możesz tego zrobić – rzekł Goodman, za bardzo zbity z tropu, by logicznie myśleć. – Na Tranai nie ma przestępstw!

– A kto mówi, że są? – zapytał spokojnie mężczyzna. – Po

prostu proszę o twoje pieniądze. Dasz mi je grzecznie czy mam je z ciebie wytrząsnąć?

– Nie unikniesz odpowiedzialności! Zbrodnia nie popłaca!

– Nie bądź śmieszny – rzekł mężczyzna. Ważył w dłoni masywny blaster.

– W porządku. Nie denerwuj się. – Goodman wyjął portfel zawierający cały jego majątek i wręczył gotówkę zamaskowanemu.

Mężczyzna przeliczył ją, wyglądając na mile zaskoczonego.

– Lepiej, niż się spodziewałem. Dzięki, brachu. Teraz spokojnie.

Pospiesznie zniknął w mrocznej ulicy.

Goodman dziko rozglądał się za policjantem, aż sobie przypomniał, że na Tranai nie ma policji. Zobaczył na rogu niewielki cocktail bar z neonowym napisem Kici Koci Bar. Pognał ku niemu.

Wewnątrz był tylko barman posępnie wycierający szklanki.

– Zostałem obrabowany! – wrzasnął doń Goodman.

– Więc? – rzekł barman, nie podnosząc nawet wzroku.

– Ale myślałem, że na Tranai nie ma przestępstw.

– Bo nie ma.

– Ależ zostałem obrabowany!

– Musisz być tu nowy – rzekł barman, spojrzawszy w końcu na Goodmana.

– Dopiero co przybyłem z Ziemi.

– Ziemia? Nerwowe, zatłoczone mie...

– Tak, tak – zgodził się Goodman. Ten stereotyp poczynał go z lekka nużyć. – Ale jak na Tranai może nie być przestępstw, skoro

zostałem obrabowany?

– Przecież to jasne. Na Tranai rabunek nie jest przestępstwem.

– Ale rabunek zawsze jest przestępstwem.

– Jakiego koloru była jego maska?

Goodman zastanawiał się przez chwilę.

– Czarna. Czarny jedwab.

Barman skinął głową.

– Więc był rządowym poborcą podatków.

– To śmieszny sposób pobierania podatków – warknął Goodman.

Barman postawił przed Ziemianinem Pospieszego na Tranai.

– Spróbuj na to spojrzeć w kategoriach dobra ogólnego. Rząd musi mieć jakieś pieniądze. Pozyskując je w ten sposób, możemy uniknąć podatku dochodowego z całym jego skomplikowanym aparatem prawnym i ustawodawczym, a znów w kategoriach zdrowia psychicznego jest czymś o wiele lepszym wyciągnięcie pieniędzy w krótkiej, szybkiej i bezlitosnej operacji niż pozwalanie obywatelowi na całoroczną troskę wynikłą z konieczności płacenia w jakimś określonym terminie.

Goodman pochłonął swojego drinka i barman postawił przed nim następnego.

– Ale – powiedział Ziemianin – sądziłem, że podstawą tego społeczeństwa są koncepcje wolnej woli i inicjatywy indywidualnej.

– Bo tak jest – odrzekł barman. – I wobec tego rząd, jakkolwiek skromnie się przedstawia, ma takie samo prawo do wolnej woli jak każdy prywatny obywatel, nieprawdaż?

Goodman niezupełnie mógł to wszystko pojąć, skończył więc

swojego drugiego drinka.

– Mógłbym dostać jeszcze jednego? Zapłacę, jak tylko będę mógł.

– Jasne, jasne – zgodził się barman jowialnie, nalewając po szklaneczce dla siebie i dla Goodmana.

Goodman powiedział:

– Pytałeś mnie, jakiego koloru miał maskę. Dlaczego?

– Czarny to kolor masek rządowych. Prywatni obywatele zakładają białe.

– Twierdzisz, że prywatni obywatele również dopuszczają się rabunków?

– No, oczywiście! To nasza metoda rozdziału dóbr. Egalitaryzacja dochodu dokonuje się bez interwencji rządu, nawet bez systemu podatkowego, wyłącznie środkami inicjatywy indywidualnej. – Barman z emfazą skinął głową. – I to też sprawdza się doskonale. Wiesz, rabunek to potężne narzędzie wyrównywania.

– Sądzę, że masz rację – przyznał Goodman, kończąc trzeciego drinka. – Jeśli więc pojmuję cię prawidłowo: każdy obywatel może wsadzić w kieszeń blaster, założyć maskę, wyjść na ulice i rabować.

– Dokładnie tak – odparł barman. – W pewnych granicach, oczywiście.

Goodman parsknął.

– Mogę zagrać według tych reguł. Mógłbyś pożyczyć mi maskę? I broń?

Barman sięgnął pod ladę.

– Tylko zwróć na pewno. Pamiątki rodzinne.

– Oddam – obiecał Goodman. – A jak wrócę, zapłacę za swoje drinki.

Wsunął blaster za pasek, zakrył twarz maską i wyszedł z baru. Jeśli tak stoją sprawy na Tranai, to on się dostosuje. Obrabowali go, nie? To teraz on im zrabuje co jego, a nawet z nawiązką.

Znalazł odpowiedni róg ulicy, skulił się w cieniu i czekał. W końcu usłyszał odgłos kroków i wyjrzawszy zza rogu, dostrzegł tęgiego, dobrze ubranego Tranajczyka spieszącego ulicą.

Goodman zastąpił mu drogę i warknął: – Stój no, brachu!

Tranajczyk zatrzymał się i spojrzał na blaster Goodmana.

– Hmmm. Używamy szerokolufowego Droga 3, co? Raczej staromodna broń. Jak ci się sprawdza?

– W porządku – odparł Goodman. – Dawaj swoją...

– A jednak mechanizm spustowy jest zbyt powolny – dumął Tranajczyk. – Osobiście doradzałbym igłowca Milsa-Sleevena. Tak się składa, że jestem komiwojażerem Rusznikarni Sleeveana. Mógłbym zaproponować ci bardzo korzystny zakup lub zamianę z dopłatą...

Tęgi Tranajczyk uśmiechnął się.

– Zasadniczym defektem twojego Droga 3 jest to, że nie wystrzeli, dopóki nie odwiedzisz kurka. – Wyciągnął rękę i wytrącił broń z dłoni Goodmana. – Widzisz? I nic w tej sprawie nie mogłeś zrobić. – Zaczął się oddalać.

Goodman podniósł blaster, znalazł kurek, odwiódł go i pogonił za Tranajczykiem.

– Ręce do góry – rozkazał, zaczynając odczuwać lekką desperację.

– Nie, nie, mój dobry człowieku – rzekł Tranajczyk, nawet się

nie obejrząwszy – Tylko jedna próba na klienta. Nie można łamać niepisanych praw, kapujesz.

Goodman stał i gapił się, aż mężczyzna skręcił za róg i zniknął. Uważnie sprawdził swego Droga 3 i upewniwszy się, że wszelkie zabezpieczenia są uwolnione, zajął ponownie stanowisko.

Po godzinnym oczekiwaniu znów usłyszał kroki. Mocniej ścisnął blaster. Tym razem zamierzał dokonać rabunku i nic nie mogło go powstrzymać.

– W porządziu, brachu – rzekł. – Łapy do góry!

Tym razem ofiarą był niski, krępy Tranajczyk, ubrany w stare ciuchy robocze. Zagapił się na broń w dłoni Goodmana.

– Panie, niech pan nie strzela! – błagał Tranajczyk.

To już lepiej! Goodman doznał przyływu głębokiej satysfakcji.

– Tylko się nie ruszać – ostrzegł. – Wszystkie zabezpieczenia odwiedzione.

– Widzę to – rzekł, kuląc się, krępy. – Niech pan uważa z tą armatą, proszę pana. Nawet włoskiem nie ruszam.

– Lepiej, żebyś nie ruszał. Dawaj pieniądze.

– Pieniądze?

– Tak, twoje pieniądze, i pospiesz się.

– Nie mam żadnych pieniędzy – zaskomlił mężczyzna. – Panie, jestem biedakiem. Nędzarzem.

– Nie ma nędzy na Tranai – rzekł Goodman sentencjonalnie.

– Wiem, ale można się o nią otrzeć tak blisko, że nie widać różnicy. Niech mi pan da szansę, panie.

– Nie masz żadnej inicjatywy? – zapytał Goodman. – Jeśli jesteś biedny, to dlaczego nie wyjdiesz rabować jak wszyscy inni?

– Po prostu nie miałem możliwości. Najpierw córeczka dostała kokluszę i czuwałem przy niej długo w noc. Potem nawalił derrsin, więc przez cały dzień miałem na karku paplającą żonę. Powiadają, że w każdym domu powinien być zapasowy derrsin! Więc kiedy naprawiono generator, postanowiła posprzątać mieszkanie i wetknęła gdzieś mój blaster, a potem zapomniała gdzie. Więc już się szykowałem, żeby pożyczyć blaster od przyjaciela, gdy...

– Dość – powiedział Goodman. – To jest rabunek i zamierzam coś ci zrabować. Podaj swój portfel.

Mężczyzna żałośnie pociągnął nosem i wręczył Goodmanowi podniszczony portfel. W środku Goodman znalazł jednego diglo, odpowiednik ziemskiego dolara.

– To wszystko, co mam – znów żałośnie pociągnął nosem mężczyzna – ale bierz, daję z serca. Wiem, jak to jest, gdy się stoi całą noc na wietrznym rogu...

– Zatrzymaj to – rzekł Goodman i oddawszy mężczyźnie portfel, począł się oddalać.

– Buu, dzięki, proszę pana!

Goodman nie odpowiedział. Strapiony wrócił do Kici Koci Baru i oddał barmanowi blaster i maskę. Gdy wyjaśnił, co zaszło, barman wybuchnął szorstkim śmiechem.

– Nie miał pieniędzy! Człowieku, to najstarszy trik w podręcznikach. Każdy nosi fałszywy portfel na wypadek rabunku – czasem nawet dwa lub trzy. Przeszukałeś go?

– Nie – przyznał się Goodman.

– Bracie, ależ z ciebie żółtodziób!

– Chyba masz rację. Posłuchaj, naprawdę zapłacę ci za te

drinki, gdy tylko dojdę do jakiejś forsy.

– Jasne, jasne – odrzekł barman. – Lepiej idź teraz do domu i prześpij się trochę. Miałeś pracowitą noc.

Goodman zgodził się z tym. Znużony wrócił do swego pokoju hotelowego i zasnął, ledwie przyłożył głowę do poduszki.



Stawiwszy się w Wytwórni Robotów Domowych Abbaga, jął się mężnie borykać z problemem oddoskonalania automatów. Ziemska wynalazczość wnet dała o sobie znać.

Goodman począł syntetyzować nowy plastik na powłokę robota. Był to silikon, pochodny silikitu, który pojawił się na Ziemi ładny kawał czasu temu. Miał wszystkie przymioty, jeśli chodzi o twardość, sprężystość, odporność na długą eksploatację, mógł również znieść masę urazów. Ale powłoka rozpadała się natychmiast, i to bardzo spektakularnie, jeśli została potraktowana kopniakiem o sile trzydziestu funtów lub więcej.

Pracodawca pochwalił Goodmana za to odkrycie, dał gratyfikację (której Goodman rozpaczliwie potrzebował) i polecił nadal pracować nad pomysłem, by jeśli to możliwe, obniżyć pożądaną siłę do dwudziestu trzech funtów. Tak bowiem, zdaniem działu badań, przedstawiały się parametry przeciętnego kopniaka frustracyjnego.

Goodman zajęty był tak bardzo, że praktycznie nie miał czasu, by prowadzić dalsze studia nad tranajskimi obyczajami i nawykami. Zdołał jednak odwiedzić Lokal Obywatelski. Ta jedyna w swoim rodzaju tranajska instytucja mieściła się w małym budynku przy cichej bocznej uliczce.

Wszedłszy, stanął przed wielkim pulpitem, na którym znajdowały się plakietki z nazwiskami i tytułami wszystkich urzędników państwowych Tranai. Obok każdego nazwiska był guzik. Facet z obsługi pouczył Goodmana, że przez naciśnięcie guzika obywatel wyraża dezaprobatę wobec posunięć tego czy innego urzędnika. Naciśnięcie jest natychmiast rejestrowane w Sali Historycznej i stanowi niewymazywalny minus na koncie funkcjonariusza.

Nieletnim oczywiście naciskać guzików nie pozwalano.

Goodman uznał ten system za niezbyt efektywny, ale być może, powiedział sobie, oficjele Tranai są motywowani inaczej niż ich ziemscy koledzy.

Spotykał się z Janną niemal każdego wieczoru i pospołu eksploatowali rozmaite kulturalne „aspekty” Tranai: cocktail bary, filharmonie, wystawy sztuki, muzea nauki, targi i festiwale. Goodman nosił blaster i po kilku nieudanych próbach zdołał obrabować kupca z pięciuset diglo.

Janna, jak przystało rozsądnej tranajskiej dziewczynie, wpadła po tym sukcesie w ekstazę i urządzili fetę w Kici Koci Barze. Rodzice Janny zgadzali się, że Goodman sprawia wrażenie człowieka umiejącego zatroszczyć się o środki utrzymania.

Następnej nocy owe pięćset diglo – plus trochę pieniędzy z gratyfikacji Goodmana – zrabował z kolei mężczyzna w przybliżeniu wzrostu i budowy barmana z Kici Koci, posługujący się prehistorycznym Drogiem 3.

Goodman pocieszał się myślą, że pieniądź krąży swobodnie, tak jak zakłada system.

Potem przeżył kolejny triumf. Pewnego dnia w Wytwórni

Robotów Domowych Abbaga wymyślił kompletnie nowy proces produkowania powłoki robota. Rzecz polegała na specjalnym plastiku, odpornym na poważne nawet stuknięcia i upadki. Właściciel robota musiał nosić specjalne buty z wtopionym w obcasz katalizatorem. Gdy kopał robota, katalizator wchodził w reakcję z plastikową powłoką; efekt był natychmiastowy i bardzo przyjemny.

Zrazu Abbag nie był szczególnie przekonany – pomysł wydawał się zbyt karkołomny. Ale okazało się, że chwycił, i Wytwórnia Robotów Domowych zaangażowała się marginalnie w branżę obuwniczą, sprzedając przynajmniej jedną parę butów do każdego robota.

Owa horyzontalna ekspansja przemysłowa okazała się wielce satysfakcjonująca dla akcjonariuszy fabryki i była nawet ważniejsza niż oryginalny wynalazek plastiku i katalizatora. Goodman otrzymał znaczną podwyżkę pensji i hojną premię.

Żeglując na grzbiecie swej triumfalnej fali, oświadczył się Jannie i z miejsca został przyjęty. Jej rodzice sprzyjali związkowi i pozostawało tylko zdobyć oficjalne błogosławieństwo rządu, z technicznego bowiem punktu widzenia Goodman wciąż był innoplanetalem.

Wziął przeto wolny dzień i powędrował do Gmachu Idriga, by się zobaczyć z Melithem. Był przepyszny wiosenny dzionek, jeden z tych, jakie Tranai ma przez dziesięć miesięcy w roku, i Goodman kroczył lekko i sprężysto. Kochał, robił karierę i rychło miał się stać obywatelem utopii.

Oczywiście utopii przydadzą się pewne zmiany, nawet bowiem Tranai nie jest zupełnie doskonała. Może przyjmie

Najwyższą Prezydenturę, by przeprowadzić niezbędne reformy. Ale bez pośpiechu...

– Hej, panie – rozległ się głos. – Nie zbywa panu digło?

Goodman spojrział w dół i dostrzegł przycupniętego na chodniku brudnego starca w łachmanach, który trzymał cynowy kubek.

– Co? – zapytał Goodman.

– Nie zbywa ci digło, bracie? – powtórzył staruch przy pochlebnie. – Nie dałbyś pan biedakowi na kubek ogło? Od dwóch dni nic nie jadłem, panie.

– To haniebne! Czemu nie weźmiesz Mastera i nie obrabujesz kogoś na ulicy?

– Jestem zbyt stary – zaskomlał tamten. – Ofiary tylko się ze mnie śmieją.

– Czy masz pewność, że nie jesteś po prostu leniwy? – zapytał Goodman surowo.

– Nie jestem, sir! – upewnił go żebrak. – Niech pan tylko spojrzy, jak mi drżą ręce!

Wyciągnął obie brudne łapy: trzęsły się.

Goodman wyjął portfel i wręczył starcowi digło.

– Myślałem, że na Tranai nie ma ubóstwa. Rozumiałem, że rząd zajmuje się ludźmi w podeszłym wieku.

– Bo też się zajmuje – powiedział starzec. – Niech pan spojrzy. – Wyciągnął swój kubek – na jego ścianie wygrawerowany był napis: *AUTORYZOWANY ŻEBRAK RZĄDOWY. NUMER DR-43241-3.*

– Masz na myśli, że rząd skłania cię do tej roboty?

– Rząd pozwala mi wykonywać tę robotę – wyjaśnił stary. –

Zebranie jest zajęciem rządowym zarezerwowanym dla wiekowych i upośledzonych.

– Ale to haniebne!

– Musisz być tu obcy.

– Jestem Ziemianinem.

– Aha! Nerwowi, zaganiani ludzie, tacy jesteście, co?

– Nasz rząd nie pozwala obywatelom zebrać – oświadczył Goodman.

– Nie? No to co robią starzy? Żyją na łasce dzieci? Czy może siedzą w jakimś domu starców, czekając na śmierć z nudów? Ale nie tu, młodzieńcze. Na Tranai każdemu staremu człowiekowi zapewnia się posadę rządową, która nie wymaga specjalnych umiejętności, choć umiejętności są pomocne. Jedni proszą o pracę pod dachem, w kościołach i teatrach. Inni lubią podniecenie targów i karnawałów. Osobiście wolę robotę na świeżym powietrzu, w słończku. Zmusza mnie do umiarkowanego wysiłku, pozwala spotykać wielu dziwnych i interesujących ludzi, takich jak ty.

– Ale zebranie?

– A do jakiej innej pracy jestem predysponowany?

– Nie wiem. Ale... ale popatrz na siebie! Brudny, niemyty, w plugawych szmatach...

– To moje ciuchy robocze – wyjaśnił zebrak rządowy. – Powinieneś zobaczyć mnie w niedzielę.

– Masz i inne ubrania?

– Jasne, że mam! A do tego przyjemne mieszkanie, łożę w operze, dwa roboty domowe i prawdopodobnie więcej forsy na koncie, niż widziałeś w życiu. Miło było z tobą pogadać,

młodzieńcze, i dzięki za wsparcie. Ale muszę wracać do pracy, i tobie też bym to radził.

Goodman oddalił się, a zerknąwszy przez ramię, zaobserwował, że interes żebraka rządowego kwitnie. Ale – żebranie?!

Zaiste coś takiego powinno się ukrócić. Jeśli przyjmie kiedykolwiek Prezydenturę – a jest nader oczywiste, że powinien – zbada tę kwestię dokładnie.

Miał wrażenie, iż musi być rozwiązanie bardziej godne niż to.



W Gmachu Idriga Goodman opowiedział Melithowi o swych planach matrymonialnych.

Minister imigracyjny był pełen entuzjazmu.

– Cudownie, absolutnie cudownie – rzekł. – Rodzinę Vleyów znam od dawna. To wspaniali ludzie. A Janna jest dziewczyną, z której byłby dumny każdy mężczyzna.

– Czy nie ma jakichś formalności, które powinienem był dopełnić? – zapytał Goodman. – Jestem innoplanetalem i w ogóle...

– Żadnych, ale to żadnych. Postanowiłem odpuścić wszelkie formalności. Możesz zostać obywatelem Tranai, jeśli tego chcesz, przez prosty akt ustnej deklaracji. Albo możesz zatrzymać obywatelstwo ziemskie i nikt się nie pogniewa. Albo możesz uczynić obie rzeczy naraz – być obywatelem i Ziemi, i Tranai. Jeśli Ziemia nie będzie miała nic przeciwko temu, to my też nie.

– Sądzę, że wolałbym zostać obywatelem Tranai – powiedział Goodman.

– To w zupełności zależy od ciebie. Ale jeśli myślisz o Prezydenturze, to przecież możesz zachować status Ziemianina i mimo to objąć urząd. Nie jesteśmy wcale sztywni w tych kwestiach. Jednym z naszych najbardziej udanych Najwyższych Prezydentów był pochodzący od płazów facet z Aquarelli XI.

– Jakże światłe podejście!

– Jasne, dać każdemu szansę to nasze motto. A teraz co do ślubu – ceremonii może dokonać każdy urzędnik państwowy. Najwyższy Prezydent Borg byłby szczęśliwy, mogąc to zrobić dziś po południu, jeśli masz ochotę. – Melith puścił oko. – Stary pierdoła lubi całować panny młode. Ale myślę, że ciebie naprawdę ceni.

– Dziś po południu? – zastanowił się Goodman. – Tak, chciałbym wziąć ślub dziś po południu, jeśli Janna się zgodzi.

– Prawdopodobnie się zgodzi – upewnił go Melith. – Sprawa kolejna: gdzie będziecie mieszkać, jak wrócicie z miodowego miesiąca? Pokój hotelowy byłby raczej nieodpowiedni. – Rozmyślał przez chwilę. – Wiesz, co ci powiem? Mamy mały domek na skraju miasta. Czemu nie mielibyście się tam wprowadzić, nim znajdziecie coś lepszego? Albo zostać na stałe, jeśli się wam spodoba?

– Słowo daję – zaprotestował Goodman – jesteś zbyt hojny.

– Daj sobie spokój. Myślałeś może o tym, żeby zostać następnym ministrem imigracyjnym? Żadnej biurokracji, krótkie godziny pracy, dobra pensja. Nie? Masz na oku Najwyższą Prezydenturę, co? Chyba nie mogę mieć ci tego za złe.

Pogrzebawszy w kieszeniach, Melith znalazł dwa klucze.

– Ten od drzwi frontowych, a ten od kuchennych. Adres jest

wygrawerowany. Dom ma pełne wyposażenie, w tym fabrycznie nowy generator pola derrsinowego.

– Derrsin?

– Jasne. Dom na Tranai nie jest całkowicie wyposażony, dopóki nie ma generatora derrsinowego pola stazy.

Chrzękając, Goodman powiedział ostrożnie: – Miałem zamiar spytać cię o to – dokładnie do czego używa się pola stazy?

– No, żeby trzymać tam swoją żonę – odparł Melith. – Sądziłem, że wiesz.

– Wiem, ale dlaczego?

– Dlaczego? – Melith zmarszczył brwi. Najoczywiej kwestia taka nigdy nie przyszła mu do głowy. – Dlaczego robi się to czy owo? Zwyczaj, ot i wszystko. A poza tym bardzo logiczny zwyczaj. Nie chciałbyś chyba słuchać na okrągło babskiego paplania, dzień i noc?

Goodman oblał się rumieńcem, odkąd bowiem poznał Janę, rozmyślał tylko o tym, jakże miło by było mieć ją u boku dzień i noc.

– Nie wygląda to na zbyt uczciwe wobec kobiet – stwierdził.

Melith roześmiał się.

– Mój drogi przyjacielu, czyżbyś głosił doktrynę równości płciowej? To naprawdę skompromitowana teoria. Mężczyźni i kobiety są po prostu różni. Nie są tacy sami, bez względu na to, co mówiono ci na Ziemi. Co dobre dla mężczyzny, nie jest konieczne, a nawet – zazwyczaj – dobre dla kobiety.

– Traktujecie je tedy jako istoty niższe – rzekł Goodman, w którym poczęła kipieć reformatorska krew.

– Wcale nie. Traktujemy je w inny sposób niż mężczyzn, ale

nie w sposób dowodzący ich niższości. Tak czy owak, one nie mają zastrzeżeń.

– A to dlatego, że nie miały okazji pokosztować lepszego losu. Czy jest jakieś prawo nakazujące mi przetrzymywanie żony w polu derrsinowym?

– Oczywiście nie ma. Zwyczaj sugeruje po prostu, byś przywoływał ją ze stazy na określony tygodniowo czas. Nie jest w porządku pudłować kobietkę całkowicie, rozumiesz.

– Oczywiście, że nie jest – stwierdził Goodman sarkastycznie. – Trzeba jej dać czasem pożyć.

– I o to chodzi – rzekł Melith, nie dostrzegłszy sarkazmu w słowach Goodmana. – Zaczynasz kapować.

Goodman wstał.

– Czy to wszystko?

– Myślę, że mniej więcej. Dużo szczęścia i w ogóle.

– Dziękuję – odparł Goodman sztywno i odwróciwszy się gwałtownie, wyszedł.



Tego popołudnia w Dworzyszczu Narodowym Najwyższy Prezydent Borg dokonał prostych tranajskich obrzędów ślubnych, a potem z zapalem ucałował pannę młodą... Była to piękna ceremonia i tylko jedna rzecz rzuciła na nią cień.

Na ścianie Borga wisiała strzelba wyposażona w tłumik i lunetkę. Była bliźniaczo podobna do broni Melitha i równie niepojęta.

Borg odprowadził Goodmana na bok i zapytał: – Czy rozważałeś poważniej sprawę Prezydentury?

– Wciąż mam ją na uwadze – odrzekł Goodman. – Tak naprawdę to wcale bym nie chciał sprawować urzędów publicznych...

– Nikt nie chce.

– ...ale są pewne reformy, których Tranai na gwałt potrzebuje. Myślę, że zwrócenie na nie uwagi ludu może być moim obowiązkiem.

– To się nazywa duch! – powiedział Borg z aprobatą w głosie. – Od jakiegoś już czasu nie mieliśmy naprawdę przedsiębiorczego prezydenta. A czemu nie miałbyś przejąć urzędu od razu? Moglibyście wówczas spędzić miesiąc miodowy tylko we dwoje w Dworzyszczu Narodowym.

Goodman odczuwał pokusę, ale nie chciał, by sprawy państwowe zakłócały mu miesiąc miodowy, który tak czy owak był już zaplanowany. Skoro Tranai wytrzymała tak długo w swym prawie utopijnym stanie, może niewątpliwie poczekać jeszcze kilka tygodni.

– Rozważę to sobie, gdy wrócimy – oznajmił w końcu.

Borg wzruszył ramionami.

– Cóż, myślę, że zdołam unieść to brzemie jeszcze jakiś czas. Och, i to. – Wręczył Goodmanowi zaklejoną kopertę.

– Co to jest?

– Po prostu standardowa porada – rzekł Borg. – Pospiesz się, panna młoda czeka.

– Chodź już, Marvin! – zawołała Janna. – Nie chcesz chyba, żebyśmy spóźnili się na statek!

Goodman popędził za nią, by wsiąść do limuzyny z portu kosmicznego.

- Powodzenia! – zawołali rodzice.
- Powodzenia! – wrzasnął Borg.
- Powodzenia! – dorzucił Melith, jego żona i wszyscy pozostali goście.

W drodze do portu Goodman otworzył kopertę i przeczytał drukowany arkusz:

RADY DLA MŁODEGO MAŁŻONKA Zawarłeś właśnie związek małżeński i oczekujesz, co zupełnie naturalne, całego życia w małżeńskiej szczęśliwości. I jest to jak najbardziej właściwe, szczęśliwe małżeństwo bowiem jest ostoją dobrego rządu. Musisz jednak uczynić więcej, niż tylko żywić takie pragnienie. Szczęśliwe małżeństwo nie staje się twoim udziałem za sprawą łaski bożej. Na dobre małżeństwo trzeba zapracować.

Pamiętaj, że twoja żona jest istotą ludzką. Powinno się ją obdarzyć pewną dozą wolności, do której ma niezbywalne prawo. Sugerujemy, byś powoływał ją ze stazy przynajmniej raz w tygodniu. Zbyt długi w niej pobyt nie służy dobrej orientacji. Zbyt wiele stazy źle wpływa na cerę i nie tylko dla niej jest to niekorzystne, ale również i dla ciebie.

W przerwach takich jak weekendy czy wakacje pozwala się zwykle żonie funkcjonować poza stazą cały dzień bez przerwy, niekiedy nawet przez dwa albo trzy dni. Zaszkozić to nie może, a urozmaicenie zdarza cuda, jeśli chodzi o jej samopoczucie.

Miej w pamięci garść tych zdroworozsądkowych zasad, a możesz być pewien, że twoje małżeństwo będzie szczęśliwe.

Rządowa Rada Matrymonialna

Goodman powoli porwał kartkę na drobne strzępy: upuścił je

na podłogę limuzyny Jego duch reformatora był już całkowicie rozbudzony. Wiedział, że Tranai jest zbyt piękna, by mogła być prawdziwa. Ktoś musiał zapłacić za tę doskonałość. W tym przypadku – kobiety.

Znalazł pierwszą poważną skazę w raju.

– Co to było, kochanie? – zapytała Janna, spojrzawszy na strzępy papieru.

– To była pewna bardzo głupia rada – odparł Goodman. – Moja droga, czy myślałaś kiedykolwiek – tak naprawdę myślałaś – o ślubnych zwyczajach swojej planety?

– Nie sędzę. Czy nie są słuszne?

– Są złe, zupełnie złe. Traktuje się tu kobiety jak zabawki, jak lalki, które po skończeniu zabawy kładzie się na półkę. Czy tego nie dostrzegasz?

– Nigdy o tym nie myślałam.

– Cóż, teraz możesz pomyśleć – powiedział Goodman – bo dokonają się pewne zmiany, a damy im początek w naszym domu.

– Co tylko uznasz za najlepsze, ukochany – rzekła Janna z szacunkiem.

Uścisnęła jego ramię. On ją pocałował.

A potem limuzyna dotarła do portu i wsiedli na pokład statku kosmicznego.

Ich miesiąc miodowy na Doe był jak krótka podróż przez raj bez skazy. Cuda małego księżycy Tranai stworzono dla kochanków i tylko dla kochanków.

Żaden biznesmen nie wpadł na Doe na krótki odpoczynek; żaden drapieżny kawaler nie polował na jej ścieżkach. Strudzeni,

rozczarowani, pełni lubieżnych nadziei musieli sobie znaleźć inne łowiska. Jedyne srodze przestrzegane prawo Doe brzmiało: tylko we dwoje, szczęśliwi i zakochani, wstęp w innym stanie uczuć wzbroniony.

Był to jedyny z tranajskich obyczajów, który Goodman docenił bez zastrzeżeń.

Były na małym księżycu łąki z wysoką trawą i zielone lasy do spacerów, a w lasach chłodne czarne jeziora; były postrzępione malownicze szczyty, które aż się prosiły, by je zdobyć. Kochankowie ku swej wielkiej uciechu bez przerwy gubili się w lasach, ale nie gubili się na dobre, bo cały księżyc można było obejść w ciągu jednego dnia. Dzięki słabej grawitacji nikt nie zdołałby utonąć w jeziorach, a upadek ze szczytu góry napawał wprawdzie lękiem, ale prawie nie przynosił uszczerbku.

W punktach strategicznych rozrzucono małe hoteliki z dyskretnie oświetlonymi barami, w których królowali sympatyczni siwowłosi barmani.

Nie brakło posępnych podziemnych korytarzy, które głębiej (ale nie za głęboko) rozszerzały się w fosforyzujące, roziskrzone lodem jaskinie i biegły obok ospałych podziemnych rzek, w których pływały świetliste ryby o ognistych oczach.

Rządowa Rada Matrymonialna uznała te proste atrakcje za wystarczające i nie zatroszczyła się ani o tereny golfowe, ani o baseny, ani o szlaki do przejażdżek konnych, ani o pola do gry w gazdę. Wynikało to z przekonania, że jeśli małżeństwo potrzebuje tych rzeczy, miesiąc miodowy ma za sobą.

Goodman i jego małżonka spędzili na Doe magiczny tydzień, ale w końcu wrócili na Tranai.



Pierwszą rzeczą, jaką Goodman uczynił, przeniósłszy pannę młodą przez próg ich nowego domu, było rozłączenie generatora derrsinowego.

– Moja droga – rzekł – aż do tej chwili przestrzegałem wszystkich tranajskich obyczajów, nawet tych, które wydawały mi się groteskowe. Ale tej jednej rzeczy nie zaaprobuję. Na Ziemi byłem założycielem Komitetu Równych Szans Zawodowych dla Kobiet. Na Ziemi traktujemy nasze kobiety jak równych sobie towarzyszy, jak partnerów w przygodzie życia.

– Cóż za osobliwy koncept – powiedziała Janna i chmura przemknęła przez jej śliczną twarzyczkę.

– Pomyśl tylko – nie ustępował Goodman – nasze życie będzie znacznie bardziej satysfakcjonujące, jeśli zamiast zamykać cię w seraju pola derrsinowego, pozwolę ci trwać u mego boku. Czy się ze mną zgadzasz?

– Wiesz o wiele więcej niż ja, kochany. Podróżowałeś po całej Galaktyce, gdy ja nie ruszyłam się z Port Tranai. Jeśli mówisz, że tak będzie najlepiej – to będzie.

Ponad wszelką wątpliwość, pomyślał Goodman, jest najdoskonalszą z kobiet.

Wrócił do pracy w Wytwórni Robotów Domowych Abbaga i rychło zagłębił się w kolejny projekt oddoskonaleńowy. Tym razem wpadł na błyskotliwy pomysł uczynienia przegubów robota trzeszczącymi i skrzypiącymi. Dźwięki te powinny podnieść irytacyjne zalety robota, przez co jego unicestwienie, bardziej teraz wartościowe z psychologicznego punktu widzenia, stanie się również aktem przyjemniejszym. Pan Abbag nie

posiadał się z radości, dał Goodmanowi kolejną podwyżkę i kazał przygotować oddoskonalenie do rychłego wdrożenia.

Pierwszy plan Goodmana polegał na wyeliminowaniu części procesu smarowania, okazało się jednak, że tarcie uszkodzi zbyt szybko żywotne elementy maszyny. A do tego, naturalnie, nie można było dopuścić.

Począł więc szkicować zarys wbudowanego modułu skrzypiąco-trzeszczącego. Musiał brzmieć absolutnie realistycznie i nie powodować rzeczywistych uszkodzeń. Musiał być tani i mały, bo wewnątrz robota wypełnione już było po brzegi różnymi oddoskonaleniami.

Jednakowoż Goodman przekonał się, że taki mały produkujący trzaski moduł brzmi sztucznie, większe zaś są zbyt kosztowne i nie mieszczą się w powłoce robota. Zaczął pracować po kilka wieczorów w tygodniu, schudł i stał się drażliwy.



W Jannie miał żonę, na której można było polegać. Posiłki zawsze były gotowe na czas, wieczorami krzepiła go wesołym słowem i ze zrozumieniem słuchała o jego kłopotach. W ciągu dnia nadzorowała sprzątanie domu przez roboty domowe. Zajmowało to nie więcej niż godzinę, później więc czytała książki, wypiekała ciasta, robiła na drutach i niszczyła roboty.

Goodman był tym lekko zaniepokojony, czyniła to bowiem w tempie trzy – cztery sztuki tygodniowo. Ale przecież każdy musi mieć jakieś hobby. Stać go było na to, by jej pobłażać, gdyż kupował maszyny po kosztach własnych.

Goodman znalazł się w kompletnym impasie, gdy inny

projektant, człowiek o nazwisku Dath Hergo, wystąpił z projektem zmodernizowanego systemu sterowania. Oparty na zasadzie antyżyroskopowej, pozwalał robotowi wejść do pokoju z bocznym przechyłem wynoszącym dziesięć stopni. (Dziesięć stopni, zdaniem działu badań, to najbardziej irytujące odchylenie, jakie może przyjąć robot). Co więcej, wykorzystując zasadę selekcji przypadkowej, robot mógł słać się na nogach, po pijacku, irytująco, w nieregularnych odstępach – nigdy niczego nie upuszczając, ale będąc od upuszczenia o krok.

Wynalazek ten, co zrozumiałe, okrzyknięto wielkim postępem w inżynierii oddoskonaleń. A Goodman przekonał się, że może wbudować swój moduł trzeszcząco-skrzypiący wprost w ośrodek sterujący słańaniem się robota.

W czasopismach fachowych jego nazwisko wymieniano jednym tchem z nazwiskiem Datha Hergo.

Nowa generacja robotów domowych Abbaga była sensacją.

W owej chwili Goodman postanowił wziąć z pracy urlop bezpłatny i przyjąć Najwyższą Prezydenturę Tranai. Czuł, że winien jest to społeczeństwu. Jeśli ziemską wynalazczość i wiedza pozwoliły udoskonalić oddoskonaleń, zdołają niechybnie, z jeszcze większym powodzeniem, udoskonalić udoskonaleń. Tranai była bliska utopii. Gdy na cuglach spocznie jego dłoń, mogą przebyć ten ostatni odcinek ku ideałowi.

Udał się do biura Melitha, by to omówić.

– Sądzę, że zawsze jest pole do zmian – rzekł z zadumą Melith. Szef resortu imigracji siedział przy oknie, obserwując przechodniów. – Oczywiście nasz obecny system funkcjonuje już

od dawna, i to bardzo dobrze. Nie wiem, co mógłbyś udoskonalić. Nie ma choćby...

– Boście ją zalegalizowali – oświadczył Goodman. – Po prostu wykręciliście się od problemu.

– My postrzegamy to inaczej. Nie ma ubóstwa...

– Bo wszyscy kradną. I nie ma problemu ludzi starych, bo rząd przekształcił ich w żebraków. Naprawdę wiele jest miejsca na zmiany i udoskonalenia.

– Cóż, może – powiedział Melith. – Ale myślę... – przerwał raptownie, pognął ku ścianie i ściągnął strzelbę. – Tam jest!

Goodman wyjrzał przez okno. Niżej przechodził człowiek, z pozoru niczym nieróżniący się od innych. Ziemianin usłyszał trzask, a potem zobaczył, że człowiek ów chwieje się i osuwa na chodnik.

Melith zastrzelił go ze swej strzelby z tłumikiem.

– Po co to zrobiłeś? – spytał Goodman zdławionym głosem.

– Potencjalny morderca – odparł Melith.

– Co?

– Rzecz jasna, nie mamy tu rzeczywistej przestępczości, ale będąc ludźmi, musimy stawić czoła takiej możliwości.

– Co takiego zrobił, że stał się potencjalnym mordercą?

– Zabił pięciu ludzi – oznajmił Melith.

– Ale... cholera, człowieku, to nie w porządku! Nie aresztowałeś go, nie postawiłeś przed sądem, nie dałeś szansy skorzystania z adwokata...

– A jak to miałem zrobić? – zapytał lekko poirytowany Melith.

– Nie mamy żadnej policji, która by mogła aresztować ludzi, nie mamy systemu prawnego. Dobry Boże, chyba się nie

spodziewałeś, że po prostu pozwolę mu iść dalej, co? Nasza definicja mordercy: zabójca dziesięciu ludzi; i ten tam był nieźle zaawansowany. Po prostu nie mogłem siedzieć bezczynnie. Chronić ludzi to mój obowiązek. Mogę cię zapewnić, że starannie rozeznałem sprawę.

– To niesprawiedliwe! – wrzasnął Goodman.

– A kto mówi, że sprawiedliwe?! – odwrzasnął Melith. – Co ma sprawiedliwość do utopii?!

– Wszystko! – Goodman z trudem nakazał sobie spokój. – Sprawiedliwość jest podstawą godności ludzkiej, ludzkiego łaknienia...

– Teraz po prostu zapędzasz się w pustosłowie – rzekł Melith ze swym zwykłym jowialnym uśmiechem. – Spróbuj być realistą. Stworzyliśmy utopię dla istot ludzkich, nie dla świętych, którym ona na nic. Musimy akceptować ułomności ludzkiej natury, a nie udawać, że ich nie ma. Wedle naszego sposobu myślenia aparat policyjny i system prawno–egzekucyjny mają tę skłonność, że tworzą atmosferę zbrodni i akceptację zbrodni. Jest, uwierz mi, lepiej w ogóle nie akceptować możliwości zbrodni. Ogromna większość ludzi powie ci to samo.

– Ale kiedy dochodzi do zbrodni, co przecież nieuniknione...

– Dochodzi tylko do możliwości – upierał się Melith. – A i to rzadziej, niż sobie wyobrażasz. Kiedy więc dochodzi, załatwiamy to szybko i po prostu.

– A jeśli załatwiasz niewłaściwego człowieka?

– Nie możemy załatwić niewłaściwego człowieka. Nie ma na to najmniejszej szansy.

– Dlaczego nie?

– Bo każdy wyeliminowany przez funkcjonariusza rządowego jest z definicji i prawa zwyczajowego potencjalnym przestępcą.

Przez chwilę Marvin Goodman milczał. Potem rzekł: – Widzę, że rząd dysponuje większą władzą, niż zrazu sądziłem.

– Dysponuje – potwierdził Melith. – Ale nie taką, jaką mu w tej chwili przypisujesz.

Goodman uśmiechnął się ironicznie.

– A czy wciąż mogę prosić o Najwyższą Prezydenturę?

– Jasne. I bez żadnych warunków. Naprawdę tego chcesz?

Przez chwilę Goodman zastanawiał się głęboko. Czy naprawdę chce? Cóż, ktoś musi rządzić. Ktoś musi strzec ludzi. Ktoś musi przeprowadzić parę reform w tym utopijnym domu wariatów.

– Tak, chcę – oświadczył.

Rozwarły się drzwi i wpadł do środka Najwyższy Prezydent Borg.

– Cudownie, absolutnie cudownie! Już dziś możesz się przenieść do Dworzyszczka Narodowego. Od tygodnia byłem spakowany i czekałem, aż się zdecydujesz.

– Muszą być jakieś formalności, których trzeba dopełnić...

– Żadnych formalności – rzekł Borg, którego twarz połyskiwała od potu. – Absolutnie żadnych. Musimy tylko dokonać przekazania Pieczęci Prezydenckiej, a potem zejść na dół, wymażę w aktach swoje nazwisko i wstawię twoje.

Goodman popatrzył na Melitha. Twarz ministra imigracji była nieprzenikniona.

– W porządku – powiedział.

Borg sięgnął po Pieczęć Prezydencką i począł ją zdejmować z szyi...

Eksplodowała nagle i gwałtownie.

I oto Goodman przekonał się, że ogarnięty grozą patrzy na czerwoną, roztrzaskaną głowę Borgia. Najwyższy Prezydent chwiał się przez chwilę, a potem spłynął na podłogę.

Melith zdjął marynarkę i zarzucił ją na głowę Borgia. Goodman cofnął się ku krzesłu i opadł na nie. Otworzył usta, ale nie wydobył z siebie ani słowa.

– Doprawdy głupia sprawa – rzekł Melith. – Był tak bliski końca kadencji. Ostrzegałem go w sprawie zaakceptowania budowy tego nowego portu kosmicznego. Ludziom to się nie spodoba, mówiłem. Ale był pewien, że zechcą mieć dwa porty zamiast jednego. Cóż, mylił się.

– Chcesz powiedzieć... rozumiem... jak... co...

– Wszyscy funkcjonariusze rządowi noszą insygnium urzędu zawierające tradycyjną ilość teozjum, materiału wybuchowego, o którym mogłeś słyszeć – wyjaśnił Melith. – Zapalnik sterowany jest drogą radiową z Lokalu Obywatelskiego. Każdy obywatel ma dostęp do lokalu, by wyrazić dezaprobatę wobec rządu. – Melith westchnął. – I to był ostateczny minus na koncie biednego Borgia.

– Pozwalacie ludziom wyrażać dezaprobatę przez wysadzanie w powietrze urzędników państwowych? – zaskrzeczał przerażony Goodman.

– To jedyny sposób, który cokolwiek znaczy – odparł Melith. – Mechanizm kontrolny. Tak jak my mamy w garści obywateli, tak obywatele mają w garści nas.

– I to dlatego chciałem, żebym ja przejął urząd. Dlaczego nikt mi nie powiedział?

– Bo nie pytałeś – rzekł Melith z cieniem uśmiešku. – Nie bądź

taki przerażony. Skrytobójstwo jest zawsze możliwe, wiesz, na każdej planecie, pod każdymi rządami. Próbujemy zeń uczynić zjawisko konstruktywne. W naszym systemie ludzie nigdy nie tracą kontaktu z rządem, a rząd nigdy nie próbuje sięgać po władzę dyktatorską. A skoro każdy może się udać do Lokalu Obywatelskiego, to sam się zdziwisz, jak skąpo z tego prawa korzysta. Oczywiście zawsze są zapaleńcy...

Goodman podniósł się na nogi i nie patrząc na ciało Borga, ruszył ku drzwiom.

– Czyżbyś nie chciał już Prezydentury? – zapytał Melith.

– Nie.

– Tacy już wy, Ziemianie, jesteście – zauważył ze smutkiem Melith. – Pragniecie odpowiedzialności tylko wtedy, gdy nie wiąże się z ryzykiem. To złe podejście, gdy chce się kierować państwem.

– Może masz rację – rzekł Goodman. – Rad po prostu jestem, że się w porę zorientowałem.

Pospieszył do domu.

Gdy przekraczał próg, w jego duszy panował kompletny chaos. Czy Tranai jest utopią, czy domem wariatów rozmiarów planety? Jaka zresztą różnica? Po raz pierwszy w życiu Goodman zastanawiał się, czy utopia jest warta świeczki. Czyż nie lepiej dążyć ku doskonałości, niż ją osiągnąć? Raczej mieć ideały, niż żyć zgodnie z nimi... Jeśli sprawiedliwość jest ułudą, to czyż ułuda nie jest lepsza od prawdy?

A może nie? Goodman był smutny i pełen rozterek, gdy dowlóknął się do domu. Tam znalazł żonę w ramionach innego mężczyzny.



Ta scena miała w jego oczach przeraźliwie zwolnione tempo. Sądził, że trwało wieki, nim Janna podniosła się na nogi i poprawiwszy rozchełstaną odzież, spojrzała na męża z rozdziawionymi ustami. Mężczyzna – wysoki i przystojny, którego Goodman nigdy dotąd nie widział – sprawiał wrażenie zbyt zaskoczonego, by przemówić. Wykonywał drobne, nic nieznaczące gesty – strząsał pył z kłapy marynarki, obciągał mankiety.

Potem uśmiechnął się nienaturalnie.

– No, no! – rzekł Goodman.

W tych okolicznościach było to dość anemiczne, ale przyniosło efekt. Janna wybuchnęła płaczem.

– Okropnie mi przykro – wymamrotał mężczyzna. – Nie spodziewaliśmy się ciebie jeszcze przez parę godzin. Musisz być tym zaszokowany. Okropnie mi przykro.

Jedyną rzeczą, jakiej Goodman nie oczekiwał i nie pragnął, było współczucie ze strony kochanka żony. Zignorował mężczyznę i wlepił wzrok w łkającą Janę.

– A czegoś się spodziewałeś?! – wrzasnęła doń raptownie. – Musiałam. Nie kochałeś mnie!

– Nie kochałem cię! Jak możesz tak mówić?!

– A jak mnie traktowałeś?

– Bardzo cię kochałem, Janno – powiedział miękko.

– Wcale nie! – pisnęła, odrzucając głowę do tyłu. – Tylko popatrz, jak mnie traktowałeś! Trzymałeś mnie przy sobie całymi dniami, codziennie zmuszałeś do prac domowych, gotowania, wysiadywania. Marvin, czułam, jak się starzeję. Dzień po dniu

ten sam nudny, głupi rytuał. I przez większość czasu, kiedy wracałeś do domu, byłeś zbyt zmęczony, żeby mnie dostrzec. Jedyne, o czym potrafiłeś mówić, to twoje durne roboty! Marnowałam się, Marvin, marnowałam!

Nagle dotarło do Goodmana, że jego żona doznała rozstroju. Bardzo łagodnie powiedział: – Ależ, Janno, takie jest życie. Mąż i żona tworzą wspólnotę. Starzeją się pospołu, ramię przy ramieniu. Życie nie może się składać z samych radości...

– Oczywiście, że może! Spróbuj zrozumieć, Marvin. Może! Na Tranai – dla kobiety!

– To niemożliwe – rzekł Goodman.

– Na Tranai kobieta oczekuje życia pełnego uciech i przyjemności. To jej prawo, tak jak swoje prawa mają mężczyźni. Oczekuje, że przywołana ze stazy weźmie udział w przygotowanym przyjętku, pójdzie na spacer w blasku księżyca albo popływać, albo do kina. – Znow zaczęła płakać. – Ale ty byłeś mądrzejszy. Musiałeś to zmienić. Powinnam być na tyle rozsądna, by nie ufać Ziemiainowi.

Tamten mężczyzna westchnął i zapalił papierosa.

– Wiem, nic nie możesz na to poradzić, Marvin, że jesteś innoplanetałem – powiedziała Janna. – Ale naprawdę chcę, żebyś zrozumiał. Miłość to nie wszystko. Kobieta powinna być też praktyczna. Gdyby szło tak dalej, byłabym starą kobietą, podczas gdy moje przyjaciółki wciąż byłyby młode.

– Wciąż młode? – powtórzył głucho Goodman.

– Oczywiście – wtrącił mężczyzna. – Kobieta nie starzeje się w polu derrsinowym.

– Ależ ta cała historia jest upiorna – rzekł Goodman. – Moja

żona ma być młoda, gdy ja się zestarzeję?

– I dopiero wtedy doceniłbyś młodą kobietę – powiedziała Janna.

– A co z tobą? – zapytał Goodman. – Czy też byś doceniła starca?

– On wciąż nie rozumie – stwierdził mężczyzna.

– Marvin, spróbuj. Czy to jeszcze nie jest jasne? Przez całe życie miałbyś młodą i piękną kobietę, której jedynym pragnieniem byłoby sprawiać ci przyjemność. A kiedy byś umarł – nie miej takiej zszokowanej miny, kochanie, wszyscy umierają – więc kiedy byś umarł, ja, wciąż młoda, odziedziczyłabym zgodnie z prawem wszystkie twoje pieniądze.

– Zaczynam rozumieć – rzekł Goodman. – Wnioskuje, że to kolejna powszechnie akceptowana faza tranajskiego żywota – bogata młoda wdowa, która może czynić zadość swoim zachciankom.

– Naturalnie. I tym sposobem wszystko idzie ku wspólnemu dobru. Mężczyzna ma młodą żonę, którą widuje tylko wtedy, gdy ma na to ochotę. Dana mu jest zupełna wolność, a także miły dom. A kobieta, wyzwolona z nudy szarego życia, ma dostateczne środki, by się zabawić, póki jeszcze może.

– Powinnaś mi to była powiedzieć – poskarżył się Goodman.

– Myślałam, że wiesz – powiedziała Janna – skoro sądziłeś, że masz lepszy sposób. Ale teraz widzę, że nigdy byś nie zrozumiał, bo jesteś tak naiwny – co, przyznam, stanowi o części twojego uroku. – Uśmiechnęła się z zadumą. – A poza tym, gdybym ci powiedziała, nie poznałabym Ronda.

Mężczyzna skłonił się lekko.

– Roznosiłem próbki Konfekcji Greaha. Możesz sobie wyobrazić moje zdumienie, gdym znalazł tę piękną młodą kobietę nie w stazie. Rozumiesz, to było jak bajka, która staje się życiem. Nigdy się nie spodziewamy, że stare legendy przerodzą się w prawdę, więc sam przyznasz, że wrażenie jest silne, gdy jednak do tego dochodzi.

– Kochasz go? – zapytał Goodman ciężko.

– Tak – odparła Janna. – Rondo przejmuje się mną. Ma zamiar trzymać mnie w stazie tak długo, aż nadrobię stracony czas. To z jego strony poświęcenie, ale Rondo ma szczodłą naturę...

– Jeśli tak to wygląda – rzekł Goodman posepnie – to na pewno nie stanę wam na drodze. Jestem w końcu istotą cywilizowaną. Możesz dostać rozwód.

Splótł ramiona na piersi, czując się nader szlachetnie. Czuł wszakże niejasno, że decyzja jego wyrosła nie tyle ze szlachetności, co z nagłego ostrego wstrętu do wszystkiego, co tranajskie.

– Nie mamy na Tranai rozwodów – rzekł Rondo.

– Nie? – Chłodny dreszcz przebiegł po plecach Goodmana.

W dłoni Ronda pojawił się blaster.

– Byłoby to, rozumiesz, zbyt anarchiczne, gdyby ludzie wymieniali się sobą. Jest tylko jeden sposób odmienienia swojego stanu.

– Ależ to ohydne! – wyjąkał Goodman, wycofując się. – Przeciwno wszelkiej przyzwoitości.

– Nie, jeśli żona tego pragnie. A nawiasem mówiąc, oto i kolejny znakomity powód, by przetrzymać połowicę w stazie. Czy mam twoje zezwolenie, moja droga?

– Wybacz mi, Marvin – powiedziała Janna i zamknęła oczy. – Tak!

Rondo wymierzył blaster. Bez chwili wahania Goodman dał nurka przez najbliższe okno. Tuż za nim świsnął strzał.

– Słuchaj no! – zawołał Rondo. – Pokaż styl, człowieku. Przyjmij to godnie!

Goodman wylądował ciężko na ramieniu. Zerwał się z miejsca i ruszył sprintem, a drugi strzał Ronda osmalił mu bark. Potem skrył się za domem i był chwilowo bezpieczny. Nawet nie stanął, by się nad tym zastanowić. Ze wszystkich sił pomknął do portu kosmicznego.

Szczęśliwie trafił na statek, który zabrał go na g'Moree. Stąd zatelegrafował na Tranai po swoje pieniądze i opłacił przelot na Higastomerytreję, gdzie władze oskarżyły go o to, że jest szpiegiem Dingu. Oskarżenie nie trzymało się kupy, Dingingowie bowiem byli rasą amfibii i Goodman omal nie utonął, dowodząc ku ogólnemu zadowoleniu, że potrafi oddychać tylko powietrzem.

Bezzałogowcem dostał się na podwójną planetę Mvanti, za Seves, Olgo i Mi. Najął nielicencjonowanego pilota, który dostarczył go na Bellismoranti, gdzie zaczynały się wpływy Ziemi. Stąd lokalna linia kosmiczna przewiozła go za Wir Galaktyczny i – po międzylądowaniach na Ostrydze, Lekungu, Pankangu, Inchangu i Machangu – przybył wreszcie na Tung-Bradar IV.

Pieniądze już mu się skończyły, ale był praktycznie o krok od Ziemi, przynajmniej w skali dystansów kosmicznych. Zdołał zapracować na przelot do Oume, a z Oume na Legis II. Tu

Towarzystwo Pomocy Podróżnikom Gwiezdnym załatwiło mu miejscówkę i dotarł w końcu na Ziemię.

Goodman osiadł w Seakirk w stanie New Jersey, gdzie człowiek jest zupełnie bezpieczny tak długo, jak długo płaci podatki. Piastuje stanowisko Naczelnego Technika–Robotyka w Seakirk Construction Corporation i poślubił drobną, ciemnowłosą, cichą dziewczynę, która, rzecz jasna, go uwielbia, choć mąż rzadko wypuszcza ją z domu.

Chadza często z kapitanem Savage'em do baru „Moonlight” Eddiego i popijając Pospieszne na Tranai, gwarzą o Tranai Błogosławionej, gdzie znaleziono Sposób, a Człowiek nie jest już zaprzężony w Kierat. Przy tych okazjach Goodman narzeka na kosmalarię – za której sprawą nie może ruszyć w kosmos i wrócić na Tranai.

Ostatnio z pomocą kapitana Savage'a Goodman zorganizował Ligę Seakirk na rzecz Odebrania Kobietom Praw Wyborczych. Są jej jedynymi członkami, ale czyż – jak to ujmuje Goodman – takie drobiazgi mogą powstrzymać krzyżowca?

Philip K. Dick Pamiętam całkiem nieźle czasy, a było to w połowie lat sześćdziesiątych, gdy prace Philipa K. Dicka (1928–1982), doceniane tylko przez wąskie grono miłośników SF, nagle stały się popularne. I to nie tylko w kręgu fantastyki. Popularność utworów Dicka stawała się coraz większa, by w latach siedemdziesiątych zmienić się w kult, który nasilił się w latach osiemdziesiątych, szczególnie po filmie *Blade Runner* (1981). *Po śmierci Philipa K. Dicka ogłoszono największym pisarzem swojego pokolenia. Oczywiście w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych pojawiło się wielu znakomitych pisarzy, Dick był tylko jednym z nich. Jednak unikalność jego utworom zapewniała kompletna paranoja – z niej zrodziły się neurotyczne opowiadania i powieści. Dick tworzył w latach, kiedy paranoja społeczna lat pięćdziesiątych zatoczyła pełne koło i nadszedł przełom, jakim była wojna w Wietnamie oraz afera Watergate, po której pojawiły się teorie spiskowe, szczególnie silne w latach siedemdziesiątych. Prezentowane opowiadanie jest jednym z ostatnich utworów Dicka. Cechujące je cudowne wyczucie absurdu i ironiczne spojrzenie na totalitaryzm sprawiają, że doskonale pasuje do opisanej przez Sheckleya utopii.*

DRZWI WYJŚCIOWE DO WEWNĄTRZ

Bob Bibleman odnosił wrażenie, że roboty nigdy nie patrzą człowiekowi prosto w oczy. A kiedy któryś znajdował się w pobliżu, znikwały drobne cenne przedmioty. Idea porządku według robota polegała na składaniu wszystkiego na jedną stertę. Tak czy inaczej, Bibleman musiał zamówić obiad u robota, ponieważ usługi drobne uważano za zajęcie uwłaczające godności człowieka i skandalicznie mało płatne, dlatego nikt się nimi nie trudził.

– Hamburger, frytki, koktajl truskawkowy i... – Bibleman urwał, odczytując wydruk. – Albo podwójny cheeseburger, frytki, napój czekoladowy...

– Chwileczkę – przerwał mu robot. – Już przygotowuję hamburgera. Czy tymczasem zechce pan wziąć udział w naszym konkursie?

– Przecież nie zamawiałem royal cheeseburgera – zauważył Bibleman.

– Tak jest.

Życie w dwudziestym pierwszym wieku to istne piekło. Przekaz informacji odbywa się z prędkością światła.

Starszy brat Biblemana umieścił kiedyś dziesięciowyrazowy

zarys akcji w fikcjodruku, następnie zmienił zdanie co do zakończenia i stwierdził, że już rozpoczęto cykl produkcyjny. Żeby wprowadzić poprawki musiał zaprogramować część drugą.

– Są nagrody? – zapytał Bibleman.

Natychmiast pojawił się odczyt z dokładnym wykazem nagród, od pierwszej do ostatniej. Oczywiście robot zasłonił tekst, nim Bibleman zdążył rzucić nań okiem.

– Jaka jest pierwsza nagroda? – chciał wiedzieć Bibleman.

– Tego nie mogę panu powiedzieć – odparł robot. Podsunął Biblemanowi hamburgera, frytki i koktajl truskawkowy. – Należy się tysiąc dolarów w gotówce.

– To chociaż jakąś podpowiedź – nalegał Bibleman, wyciągając pieniądze.

– Jest wszędzie i nigdzie. Istnieje od siedemnastego wieku. Najpierw było niewidzialne. Potem stało się królewskie. Nie można go zdobyć, chyba że jest się sprytnym, choć i oszustwo pomaga, tak samo pieniądze. Co mówi panu słowo „ciężki”?

– Trudny.

– Nie, chodzi o znaczenie dosłowne.

– Masa. – Bibleman zamyślił się. – O co w tym chodzi, czy to konkurs polegający na odgadywaniu nagród? Poddaję się.

– Proszę zapłacić sześć dolarów – odrzekł robot – na pokrycie naszych kosztów, a otrzyma pan...

– Grawitacja – Bibleman wpadł mu w słowo. – Sir Izaak Newton. Królewska Akademia w Anglii. Mam rację?

– Tak jest – odrzekł robot. – Sześć dolarów daje panu szansę wstąpienia na akademię... statystyczną szansę, według ostatnich danych. Co to jest sześć dolarów? Tyle co nic.

Bibleman wręczył mu sześciodolarową monetę.

– Wygrał pan – oświadczył robot. – Został pan przyjęty na akademię, choć prawdopodobieństwo wynosiło dwa tryliony do jednego. Pozwoli pan, że pierwszy złożę mu gratulacje. Gdybym miał rękę, uścisnąłbym panu dłoń. To zmieni pańskie życie. Dziś jest pana szczęśliwy dzień.

– To było ukartowane – zauważył z dreszczem niepokoju Bibleman.

– Ma pan rację – odparł robot i zajrzał Biblemanowi prosto w oczy. – Przyjęcie nagrody jest obowiązkowe. Chodzi o akademię wojskową mieszczącą się w Buttfuck w Egipcie. To jednak żaden problem, dostanie pan transport. Proszę iść do domu i zacząć się pakować.

– Czy nie mógłbym najpierw zjeść mojego hamburgera i frytek...

– Sugeruję, aby niezwłocznie przystąpił pan do pakowania.

Za plecami Biblemana stanęło dwoje ludzi. Czując zamęt w głowie, instynktownie usunął im się z drogi, na szczęście nie upuścił tacy z jedzeniem.

– Kanapkę z pieczonym stekiem proszę – powiedział mężczyzna. – Z krążkami cebuli i piwem korzennym, to wszystko.

– Zechce pan wziąć udział w naszym konkursie? – zapytał robot. – Fenomenalne nagrody. – Błysnął wykazem nagród na tablicy informacyjnej.



Bob Bibleman otworzył drzwi swojego jednopokojowego

apartamentu. Telefon był włączony i czekał na niego.

– Jesteś wreszcie – powiedział.

– Nie zrobię tego – odrzekł Bibleman.

– Ależ tak – zapewnił go telefon. – Wiesz, kto mówi? Przeczytaj swoje oświadczenie i regulamin przyznawania pierwszej nagrody. Otrzymałeś rangę kota. Jestem major Casals, twój przełożony. Jeśli każę ci szczać na różowo, będziesz szczał na różowo. Ile czasu zajmie ci dojście do rakiety? Masz przyjaciół, z którymi chciałbyś się pożegnać? Dziewczynę? Matkę?

– Czy mogę w ogóle liczyć na powrót? – zapytał ze złością Bibleman. – O co w tym wszystkim chodzi? Co to za akademia? Kto jest na wydziale? Czy to akademia nauk humanistycznych, czy ścisłych? Czy jest sponsorowana przez rząd? Czy oferuje...

– Uspokój się – powiedział spokojnie major Casals.

Bibleman usiadł. Stwierdził, że trzęsą mu się ręce.

Urodziłem się w niewłaściwym stuleciu, pomyślał. Sto lat temu coś takiego nie mogło się zdarzyć, za sto lat natomiast zostanie uznane za nielegalne. Potrzebuję prawnika, ot co.

Prowadził spokojne życie. Przez lata osiągnął skromną pozycję komiwojażera. Wcale nie najgorzej, jak na dwudziestodwulatka. Jednopokojowy apartament prawie należał do niego – to znaczy Bob wynajmował go z prawem pierwokupu. Było to ciche życie, podobne do egzystencji innych ludzi; Bibleman nie żądał wiele i – na ogół – nie uskarżał się na swój los. Chociaż nie rozumiał maszyny podatkowej, która uszczuplała jego skromne dochody, akceptował ją; akceptował też swoją umiarkowaną nędzę, podobnie jak fakt, że dziewczyna odmówiła pójścia z nim do łóżka. W pewnym sensie określało go to, stanowiło jego cechę

wyróżniającą. Poddawał się temu, czego nie lubił, i traktował swoją postawę jako zaletę. Większość ludzi wyższych od niego rangą uważała go za dobrego człowieka. Co się tyczyło osób rangą niższych, była to grupa o zerowej liczbie członków. Jego szef w Siódmym Niebie mówił mu, co ma robić, to samo dotyczyło jego klientów. Rząd rozkazywał wszystkim, tak przynajmniej się wydawało. Bob Bibleman osobiście raczej nie miał do czynienia z rządem. Nie była to ani zaleta, ani wada, co najwyżej łut szczęścia.

Kiedyś przydarzyła mu się seria dziwnych snów. Dotyczyły one dawania jałmużny. W liceum czytał powieści Karola Dickensa i obraz ciemniejących na trwałe wrył mu się w pamięć: ci wszyscy ludzie byli pozbawieni jednopokojowego mieszkania, pracy i średniego wykształcenia. W umyśle Boba dryfowały niejasne nazwy miejsc takich jak Indie, gdzie umierających zgarniano z ulic specjalnymi maszynami. „Masz dobre serce”, powiedziała mu kiedyś maszyna edukacyjna. Zdumiało go to – nie dlatego, że usłyszał to od maszyny, lecz dlatego, że słowa skierowane były właśnie do niego. Powiedziała mu to również pewna dziewczyna, ponownie budząc w nim niemalże zdziwienie. Potężne siły sprzysięgły się, by oznajmić mu, że nie jest zły! Było to tajemnicze i zachwycające.

Lecz tamte czasy minęły. Bibleman przestał czytać powieści, a dziewczynę przeniesiono do Frankfurtu. Teraz zaś wrobiono go, by sprzątał kible na jakimś zadupiu pod komendą mechanicznych nadzorców. Zapewne werbowali ludzi z ulicy tysiącami. Bob nie szedł na żadną akademię, a jedyne, co wygrał, to pobyt w obozie przymusowej pracy. Drzwi wyjściowe

prowadzą do wewnątrz, pomyślał. Innymi słowy, jeśli chcą cię dorwać, to jakby już to zrobili, pozostaje jedynie dopełnić formalności. Komputer produkował formularze pod dotknięciem klawisza: P jak piekło, N jak niewolnik, dorzucił w myślach. Oraz T jak ty.

Byle nie zapomnieć szczoteczki do zębów, pomyślał Bob. Może się przydać.

Major Casals przyjrzał mu się z ekranu wideofonu, jak gdyby szacując, czy Bibleman czmychnie. Daję dwa tryliony do jednego, że tak, zapewnił go w duchu Bibleman. Ten jeden okaże się zwycięski, tak jak w konkursie, zrobię to, co mi każą.

– Proszę – odezwał się Bibleman. – Chciałbym uzyskać szczerą odpowiedź na pytanie.

– Oczywiście – odrzekł major Casals.

– Gdybym nie podszedł wtedy do tego robota...

– Trafilibyśmy do ciebie prędzej czy później – odpowiedział major Casals.

– Aha – odparł Bibleman, kiwając głową. – Dzięki. Już mi lepiej. Nie muszę wciskać sobie kitu. Gdybym nie miał ochoty na hamburgera i frytki. Gdybym tylko... – zamilkł. – Lepiej się spakuję.

– Analizowaliśmy cię od kilku miesięcy – powiedział major Casals. – Twoje zdolności wykraczają poza zakres wykonywanej przez ciebie pracy. Poza tym jesteś niedouczony. Potrzebujesz wykształcenia. Jesteś upoważniony do dalszego pobierania nauki.

– Mówi pan tak, jakby chodziło o prawdziwą akademię! – zdumiał się Bibleman.

– Bo tak jest. To najlepsza akademia w Układzie. Nie reklamuje się jej, to byłoby nierozważne. Nikt jej nie wybiera, to ona wybiera studentów. Dane, które widziałeś, to nie żart. Trudno sobie wyobrazić podobne przyjęcie na najlepszą akademię w Układzie, co, panie Bibleman? Musisz się wiele nauczyć.

– Jak długo pozostanę w akademii? – zapytał Bibleman.

– Dopóki się nie nauczysz – odparł major Casals.



Boba poddano gruntownym badaniom i testom psychologicznym, ostrzyżono mu włosy i dano mundur oraz miejsce do spania. Podejrzewał, że testy miały na celu wykrycie utajonego homoseksualizmu, potem doszedł do wniosku, że najprawdopodobniej tylko mu się zdawało, więc dał sobie spokój i uznał, że chodziło o sprytne ustalenie poziomu jego inteligencji i zdolności. Przypuszczalnie wypadł pomyślnie w obu kategoriach. Uznał również, że w mundurze prezentuje się nienagannie, choć strój w niczym nie odbiegał od strojów innych. Dlatego właśnie nazywa się to mundurem, napomniał się Bob, siedząc na brzegu pryczy i studiując ulotki informacyjne.

W pierwszej broszurze zaznaczono, że przyjęcie na Akademię stanowiło ogromne wyróżnienie. Tak brzmiała nazwa uczelni – po prostu Akademia. Dziwne, pomyślał Bob. To tak jak nazwać kota Kot, a psa Pies. To moja matka, pani Matka, i mój ojciec, pan Ojciec. Czy tym ludziom nie brakuje paru klepek? – zastanawiał się z niepokojem. Od lat nie mógł uwolnić się od lęku, że któregoś dnia wpadnie w szpony szaleńców – na domiar złego szaleńców, których obłąd ujawni się w ostatniej chwili. Dla Biblemana była

to kwintesencja grozy.

Gdy siedział pogrążony w lekturze, podeszła do niego rudowłosa dziewczyna w mundurze i usiadła obok. Wyglądała na nieco zagubioną.

– Może ty mi pomożesz – powiedziała. – Co to jest harmonogram? Tu jest napisane, że dostaniemy harmonogram. To miejsce przyprawia mnie o migrenę.

– Zostaliśmy ściągnięci z ulic, żeby sprzątać kible – odparł Bibleman.

– Tak myślisz?

– Nie myślę, tylko wiem.

– Nie możemy po prostu wyjść?

– Ty pierwsza – zaproponował Bibleman. – Ja poczekam i zobaczę, co się stanie.

Dziewczyna roześmiała się.

– Pewnie nie wiesz, co to jest harmonogram.

– Jasne, że wiem. To wykaz specjalizacji i czasu trwania poszczególnych zajęć w ogólnym planie pracy.

– Akurat.

Przyjrzał jej się uważnie. Dziewczyna odwzajemniła jego spojrzenie.

– Zostaniemy tu na zawsze – stwierdziła.

Powiedziała mu, że nazywa się Mary Lorne. Uznał, że jest ładna, zatroskana i robi dobrą minę do złej gry. Dołączyli do pozostałych studentów, aby obejrzeć ostatni, znany Biblemanowi odcinek *Herbiego Hieny*, w którym Herbie próbował zabić rosyjskiego mnicha Rasputina. Swoim zwyczajem Herbie otrul ofiarę, zastrzelił ją, sześciokrotnie wysadził w powietrze,

zasztyletował, zakuł w łańcuchy i utopił w Wołdze, następnie rozerwał koźmi i wreszcie przywiązaną do rakiety posłał na Księżyc. Bibleman znudził się śmiertelnie. Nie obchodził go ani Herbie Hiena, ani rosyjska historia. Zastanawiał się, czy pokaz stanowił próbkę specjalizacji pedagogicznej Akademii. Wyobraził sobie, że Herbie Hiena reprezentuje zasadę nieoznaczoności Heisenberga. Na próżno ściga mikrocząstkę, która wychyla się to tu, to tam... Herbie próbuje dobić ją młotem, następnie całe stado mikrocząstek szyderczo szczyrzy do niego zębami – jak zwykle zawalił sprawę.

– O czym myślisz? – zapytała go szeptem Mary.

Kreskówka dobiegła końca, zapalono światła. Na podwyższeniu stanął major Casals, znacznie większy niż na monitorze wideofonu. Koniec zabawy, westchnął w duchu Bibleman. Wizja majora Casalsa ścigającego z młotem mikrocząstki wykraczała poza wyobraźnię Boba. Poczuł, jak ogarnia go chłód i strach.

Wykład dotyczył tajnych informacji. Za plecami majora Casalsa rozjarzył się gigantyczny hologram przedstawiający schemat homeostatycznego wiertła. Model obracał się, dzięki czemu uczniowie mogli obejrzeć przyrząd ze wszystkich stron. Poszczególne części oznaczono różnymi kolorami.

– Pytałam, o czym myślisz – szepnęła Mary.

– Musimy słuchać – odparł ściszym głosem Bibleman.

– Służy do samodzielnego wydobywania rudy tytanu – odszepnęła Mary. – Wielka mi rzecz. Tytan to dziewiąty pod względem obfitości występowania pierwiastek w skorupie ziemskiej. Gdyby ten przyrząd umiał odszukać i wydobyć czysty

wurcyt, który znajduje się jedynie w boliwijskiej Potosi, w Butte w Montanie oraz w Goldfield w Nevadzie, zrobiłby na mnie wrażenie.

– Dlaczego? – zapytał Bibleman.

– Ponieważ wurcyt jest nietrwały w temperaturze poniżej tysiąca stopni Celsjusza – wyjaśniła Mary. – Poza tym... – umilkła.

Major Casals przerwał wykład i popatrzył prosto na nią.

– Czy mogłaby to pani powtórzyć, młoda damo? – zapytał.

– Wurcyt jest nietrwały w temperaturze poniżej tysiąca stopni Celsjusza – odpowiedziała pewnie Mary, wstając.

Hologram za plecami majora Casalsa natychmiast przedstawił dane na temat siarczków cynku.

– Wurcyt nie został wymieniony w tabeli – zauważył major Casals.

– Widnieje pod inną nazwą – odparła, splatając dłonie. – To sfaleryt, czyli ZNS z grupy siarczkowej typu AX.

– Proszę usiąść – polecił major Casals.

Hologram wyświetlił cechy grup siarczkowych.

– Nie myślę się – stwierdziła Mary, siadając. – Nie istnieją homeostatyczne urządzenia wiertnicze do wydobywania wurcytu, ponieważ...

– Pani nazwisko? – zainteresował się major Casals, unosząc notes i pióro.

– Mary Wurc. – Jej głos był całkowicie pozbawiony emocji. – Mój ojciec nazywał się Charles Adolf Wurc.

– Odkrywca wurcytu? – zapytał niepewnie major Casals, a pióro w jego dłoni zadrżało.

– Tak jest – potwierdziła Mary. A potem odwróciła się do

Biblemana i puściła do niego oczko.

– Dziękuję za informacje – odrzekł major Casals. Wykonał nieznaczny gest i na hologramie pojawiły się dwa rodzaje przypór. – Chodzi o to – podjął – że pewne informacje, takie jak architektoniczne zasady wytrzymałości...

– Architektura jest z założenia wytrzymała – wpadła mu w słowo Mary. Major Casals urwał. – Inaczej nie spełniałaby swojego zadania – dokończyła.

– Jak to? – zapytał major Casals i poczerwieniał.

Kilku umundurowanych studentów cicho się roześmiało.

– Informacja tego rodzaju nie jest tajna – powiedział major. – Lecz większość tego, czego będziecie się uczyć, owszem. Dlatego właśnie jest to akademia wojskowa. Ujawnienie lub przekazywanie tajnych informacji, z którymi zapoznacie się podczas szkolenia, podlega jurysdykcji wojskowej. Za złamanie zasad grozi postawienie przed trybunałem.

Studenci zaszemrali. To dopiero, pomyślał Bibleman. Nikt się nie odezwał. Milczała nawet siedząca obok niego dziewczyna. Na jej twarzy pojawił się niezgłębiony, tajemniczy i pełen powagi wyraz, który, zdaniem Biblemana, dodał jej lat. Utraciła dziewczęcy wdzięk. Bob zachodził w głowę, z którego może być rocznika. Gdy spoglądał na nią, rozmyślając nad słowami majora i wiszącym za jego plecami hologramem, odniósł wrażenie, że twarz kobiety skrywa tajemnice tysiącleci. O czym ona myśli? – zastanawiał się. Czy powie coś jeszcze? Jakim cudem nie boi się zabierać głosu? Przecież powiedziano nam, że obowiązuje tu prawo wojskowe.

– Podam wam przykład ściśle tajnych danych – podjął major

Casals. – Dotyczy on silnika „Pantera”. – Ku zdumieniu wszystkich hologram pozostał pusty.

– Panie majorze – odezwał się jeden ze studentów – nie ma obrazu.

– Nie chodzi o dziedzinę będącą przedmiotem waszych studiów – odrzekł major Casals. – Silnik „Pantera” to układ dwuwirnikowy, dwa przeciwne wirniki napędzają wałek rozrządu. Zasadniczy plus to brak odśrodkowego momentu obrotowego w obudowie. Łańcuch napędu przebiega pomiędzy dwoma przeciwnymi wirnikami, dzięki czemu praca wałka odbywa się bez histerezy.

Hologram pozostał pusty. Dziwne, pomyślał Bibleman. Informacja bez informacji, zupełnie jakby komputer stracił wzrok.

– Akademia nie może rozpowszechniać informacji na temat silnika „Pantera” – oznajmił major Casals. – Zaprogramowanie jej do tego celu nie wchodzi w grę. W rzeczywistości nie posiada na temat silnika żadnych informacji; ma za zadanie niszczyć wszelkie otrzymane w tej dziedzinie dane.

Jeden ze studentów podniósł rękę.

– Czyli gdyby ktoś wprowadził do komputera Akademii informacje na temat silnika „Pantera”...

– Komputer by je usunął – dokończył major Casals.

– Czy to przypadek odosobniony? – zapytał inny student.

– Nie – odrzekł major Casals.

– Wobec tego nie dostaniemy wydruków z informacjami dotyczącymi wielu dziedzin – mruknął student.

– Te informacje nie mają znaczenia – zapewnił go major

Casals. – Przynajmniej jeżeli chodzi o zakres waszych studiów.

Wśród studentów zapanowała cisza.

– Na podstawie waszych zdolności i predyspozycji – powiedział major Casals – zostaną wam przydzielone poszczególne zagadnienia. Wywołam po kolei nazwiska osób, które mają zgłosić się po przydział tematu. Ostateczna decyzja została podjęta przez samą Akademię, tak więc możecie być pewni, że pomyłka nie wchodzi w grę.

A jeśli dostanę badanie kieszki stolcowej, pomyślał w przypływie paniki Bibleman. Albo herpetologię? Albo, dajmy na to, Akademia w głębi swej komputerowej mądrości dojdzie do wniosku, że powinienem zająć się gromadzeniem wszelkich dostępnych danych na temat *herpes labialis*... lub czegoś znacznie gorszego. Jeśli coś gorszego w ogóle istnieje.

– Potrzeba programu, który umożliwi nam przyzwoite zarobki – powiedziała Mary, podczas gdy alfabetycznie wyczytywano nazwiska. – Trzeba myśleć praktycznie. Ja wiem, co dostanę, liczę na mój najsilniejszy punkt. Chemia.

Wywołano jego nazwisko. Bibleman wstał i podszedł do majora Casalsa. Wymienili spojrzenia, po czym Casals wręczył mu zapieczętowaną kopertę.

Bibleman sztywno powrócił na miejsce.

– Mam otworzyć? – zapytała Mary.

Bibleman bez słowa podał jej kopertę. Otworzyła ją i spojrzała na wydruk.

– Da się na tym przyzwoicie zarobić? – zapytał.

Uśmiechnęła się.

– Tak, to nieźle płatna dziedzina. Prawie tak dobra jak... no,

powiedzmy, że planety kolonialne rzeczywiście tego potrzebują. Wszędzie znajdziesz robotę.

Spojrzawszy jej przez ramię, przeczytał zapis.

*KOSMOLOGIA, KOSMOGONIA PIERWSZY OKRES FILOZOFII
STAROŻYTNEJ*

– Pierwszy okres filozofii starożytnej – powiedziała Mary. – To prawie tak dobre jak inżynieria strukturalna. – Podała mu kartkę. – Nie powinnam cię nabierać. Nie, to nic takiego, na czym można zarobić, chyba że pracuje się jako nauczyciel... lecz może właśnie to cię interesuje. Interesuje cię to?

– Nie – odparł krótko.

– Wobec tego ciekawe, skąd ten wybór – zastanowiła się Mary.

– Co to, do diabła, jest kosmogonia? – zapytał.

– Nauka o pochodzeniu Wszechświata. Nie ciekawi cię, w jaki sposób Wszechświat... – umilkła, mierząc go wzrokiem. – Nie będziesz musiał prosić o tajne materiały – powiedziała z namysłem. – Może właśnie o to chodzi – mruknęła do siebie. – I nikt nie będzie musiał cię pilnować.

– Można mi ufać – odparł.

– Czyżby? Tak dobrze siebie znasz? Ale, ale, do tego dojdiesz podczas studiowania wczesnej myśli greckiej. „Poznaj siebie”. Delfijskie motto Apollina. Podsumowuje połowę greckiej filozofii.

– Nie mam zamiaru stanąć przed trybunałem wojskowym za ujawnianie tajnych informacji – powiedział Bibleman. Następnie pomyślał o silniku „Pantera” i uświadomił sobie prawdziwe, ponure przesłanie wykładu majora Casalsa. – Jestem ciekaw, jak brzmi motto Herbego Hieny – dorzucił.

– „Jam jest zły” – powiedziała Mary. – „Gardzę czczymi rozrywkami współczesności. Uknulem intrygę”. – Dotknęła jego ramienia. – Pamiętasz? Rysunkowa wersja *Ryszarda III*.

– Mary Lorne – odczytał major Casals.

– Przepraszam. – Wstała z miejsca i za chwilę powróciła z uśmiechem, trzymając w ręku kopertę. – Badanie i leczenie trądu. Żartuję, to chemia.

– Będziesz mieć do czynienia z tajnymi materiałami – zauważył Bibleman.

– Tak – odparła. – Wiem.



Pierwszego dnia nauki Bob Bibleman nastawił swój terminal na funkcję audio i odpowiednim klawiszem uruchomił program nauczania.

– Tales z Miletu – oznajmił terminal – założyciel jońskiej szkoły filozofii przyrody.

– Czego nauczał? – zapytał Bibleman.

– Tego, że świat unosi się na wodzie, jest podtrzymywany przez wodę i z wody pochodzi.

– Co za głupota – uznał Bibleman.

– Tales opierał swoje teorie na odkryciu skamieniałych ryb w głębi lądu, nawet na dużych wysokościach – odrzekł terminal. – To wcale nie jest tak głupie, jak się wydaje. – Na monitorze ukazał się obszerny zapis, którego znaczna część nie wzbudziła zainteresowania Biblemana. – Powszechnie uznaje się, że Tales był pierwszym racjonalnie myślącym człowiekiem w historii.

– A Echnaton? – zapytał Bibleman.

- Był dziwny.
- Mojżesz?
- Tak samo.
- Hammurabi?
- Jak to się pisze?
- Nie jestem pewien. Tylko słyszałem to imię.
- Wobec tego przejdziemy do Anaksymandera – postanowił terminal. – Poprzedzimy to krótką analizą poglądów Anaksymenesa, Ksenofanesa, Parmenidesa, Melissosa... chwileczkę, zapomniałem o Heraklicie i Kratylosie. Poza tym omówimy Empedoklesa, Anaksagorasa, Zenona...
- Jezu – powiedział Bibleman.
- To inny program – oświadczył terminal.
- Mów dalej – poprosił Bibleman.
- Robisz notatki?
- Nie twoja sprawa.
- Wydajesz się rozdarty.
- Co się stanie, jeśli obleję? – zapytał Bibleman.
- Pójdiesz do więzienia.
- Będę notował.
- Skoro jesteś taki rozdarty...
- Jaki?
- Pełen niepokoju. Empedokles powinien cię zainteresować. Był pierwszym filozofem dialektycznym. Wierzył, że u podstaw rzeczywistości tkwią dwie przeciwstawne siły: Miłość i Nienawiść. Miłość prowadzi do harmonijnego stanu zwanego krasis. Krasis to bóstwo sferyczne, umysł doskonały, który niezmiennie...

– Czy mógłbyś przytoczyć praktyczne zastosowanie tej teorii? – przerwał mu Bibleman.

– Dwie przeciwstawne siły Miłość i Nienawiść przypominają taoistyczne pierwiastki yang i yin oraz ich wzajemne oddziaływanie stanowiące źródło wszelkiej zmiany.

– Praktyczne zastosowanie.

– Dwa bliźniacze, przeciwstawne składniki. – Na monitorze pojawił się skomplikowany diagram. – Dwuwirnikowy silnik „Pantera”.

– Co takiego? – Bibleman gwałtownie wyprostował się na krześle. Wielkie litery nad rysunkiem układały się w napis hydronapęd pantera ściśle tajne. Bez namysłu nacisnął klawisz drukuj; rozległ się szum urządzenia i z terminalu wypadły trzy kartki.

Przeoczenie, domyślił się Bibleman. W pamięci Akademii przeoczono hasło nawiązujące do silnika „Pantera”. Zgubiono je gdzieś po drodze. Nikomu nie przyszło do głowy, że w pierwszym okresie filozofii greckiej kryła się wzmianka na temat nowoczesnego silnika objętego ścisłą tajemnicą, i to na dodatek pod hasłem „Empedokles”.

Mam cię, pomyślał Bob. Wystarczyło kiwnąć palcem. Gdzie, do cholery, schować te wykresy? Przecież nie do swojej szafki. Czy prosząc o wydruk, już popełniłem przestępstwo? – zaniepokoił się.

– Empedokles – kontynuował terminal – wierzył w cztery przemieszczające się żywioły: ziemię, wodę, powietrze i ogień. Żywioły te podlegają ciągłym...

Klik. Bibleman wyłączył terminal. Monitor poszarzał.

Nadmiar nauki rozleniwia, pomyślał, wstając i wychodząc z kabiny. Człowiek zaczyna myśleć elastycznie, lecz idzie mu to powoli. Gdzie mam schować te wykresy? – zastanawiał się, idąc pospiesznie korytarzem do windy. Cóż, przynajmniej nikt nie wie, że je mam, nie muszę działać pochopnie. Należy schować wykresy w przypadkowym miejscu, doszedł do wniosku, jadąc na powierzchnię. Nawet jeśli je znajdą, nadzorcy z Akademii nie zorientują się, czyja to sprawka, chyba że się wysilą i zdejmą odciski palców.

To może być warte miliardy dolarów. Boba wypełniła radość, którą po chwili zastąpił strach. Bibleman zadrżał. Będzie draka, pomyślał. Kiedy się dowiedzą, nie ja będę szczał na różowo, tylko oni. Niech tylko Akademia dowie się, jaki błąd popełniła.

Nie miałem w tym żadnego udziału, uznał, wina leży wyłącznie po stronie Akademii. To ona zaważyła sprawę.



W akademiku znalazł pralnię, gdzie pracowały milczące roboty. Wykorzystując chwilę ich nieuwagi, schował trzy kartki z wykresami pod wielką stertą prześcieradeł. Sterta sięgała prawie do sufitu. Nie ma szans, aby w tym roku ktoś natrafił na wykresy. Mam mnóstwo czasu, by zastanowić się, co dalej.

Spojrząwszy na zegarek, stwierdził, że nadchodzi wieczór. O piątej w towarzystwie Mary zje kolację.

Przyszła kilka minut po piątej; na jej twarzy malowało się zmęczenie.

– I jak? – zapytała, gdy stali w kolejce, trzymając swoje tace.

– W porządku – odparł Bibleman.

– Doszedłeś do Zenona z Elei? Zawsze go lubiłam, wykazał, że ruch jest niemożliwy. Pewnie wciąż tkwię w łonie matki. Nie wyglądasz najlepiej. – Przyjrzała się Biblemanowi badawczo.

– Mam po prostu dosyć słuchania o tym, że Ziemia spoczywa na grzbiecie gigantycznego żółwia.

– Albo jest zawieszona na długiej linie – dodała Mary. Skierowali się do pustego stolika. – Niewiele dzisiaj jesz.

– Głód to pierwsza rzecz, która mnie tu zwabiła – odrzekł Bibleman, popijając kawę.

– Mógłbyś wylecieć.

– Albo pójść do więzienia.

– Akademia została zaprogramowana, aby tak mówić – odrzekła Mary. – To zapewne tylko czcze pogrożki. Widocznie stworzyli ją zwolennicy metody wrzasku i różgi.

– Mam to – powiedział Bibleman.

– Masz co? – Spojrzała na niego, przerywając posiłek.

– Silnik „Pantera” – odparł.

Dziewczyna milczała, nie odrywając od niego spojrzenia.

– Wykresy – dodał.

– Mów ciszej, do cholery.

– Przeoczono jedną wzmiankę w pamięci komputera. Sam nie wiem, co mam teraz zrobić. Chyba zachowywać się jak gdyby nigdy nic. I mieć nadzieję, że nikt nie zauważy.

– Sądzisz, że władze nie wiedzą? Że Akademia nie prowadzi stałego automonitoringu?

– Nie mam powodu, aby myśleć, że ktokolwiek wie, co się stało.

– Chryste – powiedziała cicho Mary. – I to pierwszego dnia.

Lepiej sobie dobrze wszystko przemyśl.

– Mogę ich zniszczyć.

– Albo sprzedać.

– Przejrzałem ich – odrzekł. – Na ostatniej stronie zamieszczono analizę. „Pantera”...

– Mów „to” – przerwała mu Mary.

– To może być używane jako hydroelektryczna turbina i o połowę zmniejszyć koszty eksploatacji. Wprawdzie nie rozumiałem tej technicznej terminologii, ale tyle zdołałem ustalić. Tanie źródło energii. Bardzo tanie.

– Każdy by na tym skorzystał.

Skinął głową.

– Rzeczywiście się nie popisali – skwitowała Mary. – Co mówił Casals? „Nawet jeśli ktoś wprowadzi hasło na temat... na ten temat, Akademia skasuje dane”. – Zamyślona zaczęła ponownie jeść. – Nie podano tego do wiadomości publicznej. Pewnie chodzi o nacisk ze strony innych producentów. Ładne rzeczy.

– Co mam robić? – zapytał Bibleman.

– Tego ci nie powiem.

– Myślałem, żeby przekazać wykresy na jedną z planet kolonialnych, gdzie tutejsza władza ma mniejsze wpływy. Tam znalazłbym jakąś niezależną firmę i zawarł z nią umowę. Rząd nie dowiedziałby się...

– Doszliby po nitce do kłębka – stwierdziła Mary. – Trafiliby prosto do ciebie.

– No to chyba lepiej je spalę.

– Musisz podjąć trudną decyzję. Z jednej strony posiadasz uzyskane bezprawnie tajne informacje. Z drugiej...

– Nie zostały uzyskane bezprawnie. To Akademia zaważyła sprawę.

– Prosząc o wydruk, złamałeś prawo, prawo wojskowe – podjęła spokojnie. – Powinieneś natychmiast zgłosić lukę w systemie ochronnym. Jeszcze dostałbyś za to nagrodę. I major Casals powiedziałby ci coś miłego.

– Boję się – odparł Bibleman, czując narastającą falę lęku; kubek z kawą zadrżał mu w dłoni i kilka kropel spadło na mundur.

Mary przyłożyła do plamy papierową serwetkę.

– Nie zejdzie – stwierdziła.

– To znak – odrzekł Bibleman. – Lady Makbet. Zawsze chciałem mieć psa o imieniu Plama, żeby móc zawołać: „Znikaj, Plamo”.

– Nie powiem ci, co masz robić – powiedziała Mary. – Decyzja należy do ciebie. Sama rozmowa ze mną jest nieetyczna, można by uznać ją za spisek i pod tym pretekstem wpakować nas oboje do więzienia.

– Do więzienia – powtórzył jak echo.

– W twojej mocy jest... Jezu, chciałam powiedzieć, że w twojej mocy jest ofiarowanie ludzkości taniego źródła energii. – Roześmiała się, potrząsając głową. – I budzi to we mnie strach. Zrób, co uważasz za słuszne. Skoro według ciebie opublikowanie wykresów...

– Nie przyszło mi to do głowy. Publikacja w jakimś czasopiśmie albo dzienniku. Wydruk i rozprowadzenie wykresów w całym Układzie Słonecznym potrwałoby zaledwie kwadrans. – Muszę jedynie uiścić opłatę i włożyć kartki do

maszyny, pomyślał. I to wszystko. A potem spędzić resztę życia w więzieniu lub na ławie oskarżonych. Może wyrok będzie dla mnie korzystny. W historii odnotowano przypadki, gdy tajne dokumenty – tajne dokumenty wojskowe – zostały skradzione i opublikowane, a domniemany winowajca uznany za niewinnego i obwołany bohaterem, który ryzykując życie, przysłużył się ludzkości.

Do stolika podeszło dwóch uzbrojonych wartowników i stanęło nad Bobem Biblemanem; patrzył na nich, nie wierząc w to, co widzi. Spójrz prawdzie w oczy, podpowiadał mu rozsądek.

– Student Bibleman? – zapytał jeden z nich.

– Nazwisko jest na identyfikatorze – odparł Bibleman.

– Proszę wyciągnąć ręce, Bibleman. – Roślejszy z dwóch wartowników nałożył mu kajdanki.

Mary w milczeniu, niespiesznie kontynuowała posiłek.

W gabinecie majora Casalsa Bibleman ponuro doszedł do wniosku, że został – praktycznie rzecz biorąc – aresztowany. Ogarnęło go zniechęcenie. Zastanawiał się, jaki będzie następny ruch. Zastanawiał się, czy i kto go zrobił. Zastanawiał się, co pocznie, gdy zostaną mu przedstawione zarzuty. Zastanawiał się też, dlaczego to tak długo trwa i o co tu tak naprawdę chodzi. No i czy znalazłby odpowiedź na te wszystkie pytania, gdyby kontynuował swój tok nauczania w temacie pierwszego okresu filozofii greckiej.

– Przepraszam, że kazałem panu tak długo czekać – rzucił major Casals, wchodząc do gabinetu.

– Czy można mi zdjąć te kajdanki? – zapytał Bibleman. Kajdanki obcierały mu nadgarstki, powodując dotkliwy ból.

– Nie znaleźliśmy wykresów – odparł Casals, siadając za biurkiem.

– Jakich wykresów?

– Silnika „Pantera”.

– Podobno nie istnieją żadne wykresy silnika „Pantera”. Sam pan nam to powiedział.

– Czy umyślnie zaprogramował pan swój terminal? Czy też hasło pojawiło się przypadkiem?

– Mój terminal miał mówić o wodzie – odrzekł Bibleman. – Świat składa się z wody.

– W chwili gdy poprosił pan o wydruk, niezwłocznie został zaalarmowany system ochronny. Wszystkie wydruki są monitorowane.

– Mam was gdzieś – prychnął Bibleman.

– Powiem ci coś – odrzekł major Casals. – Interesuje nas jedynie odzyskanie wykresów; nie mamy najmniejszego zamiaru cię uwięzić. Zwróć je, a nic ci się nie stanie.

– Co mam zwrócić? – Bibleman szedł w zaparte, choć czuł, że to strata czasu. – Czy mógłbym to przemyśleć?

– Tak.

– Mogę odejść? Chciałbym się położyć. Jestem zmęczony. Proszę zdjąć mi te kajdanki.

– Zawarliśmy z wami umowę dotyczącą tajnych materiałów – powiedział major Casals, zdejmując Bobowi kajdanki. – Ty również zobowiązałeś się przestrzegać regulaminu.

– Dobrowolnie? – zapytał Bibleman.

– Hm, nie. Niemniej jednak znałeś zasady. Gdy natrafiłeś na wykresy silnika „Pantera” zawarte w pamięci Akademii i

dostępne dla każdego, kto z jakiegoś, z jakiegokolwiek powodu postanowił zapytać o praktyczne zastosowanie teorii...

– Sam byłem zaskoczony – przyznał Bibleman. – Nadal jestem.

– Lojalność to zasada etyczna. Pomińmy kwestię kary i skupmy się na kwestii lojalności wobec Akademii. Człowiek odpowiedzialny przestrzega zasad i zawartych umów. Zwróć wykresy, to pozwolimy ci kontynuować studia. Więcej, otrzymasz możliwość samodzielnego wybrania zakresu zagadnień, nikt nie będzie cię do niczego zmuszał. Myślę, że stanowisz dobry materiał do nauczania. Przemyśl to i jutro rano, między ósmą a dziewiątą, daj mi odpowiedź, tu, w moim gabinecie. Z nikim na ten temat nie rozmawiaj. Będziesz pod ścisłą obserwacją. I nawet nie myśl o ucieczce. Zgoda?

– Zgoda – odparł tępo Bibleman.

W nocy przyśniło mu się, że umarł. Rozciągały się wokół niego niezmierzone przestrzenie i z mroku wyłoniła się postać jego ojca, z wolna podążając ku słońcu. Ojciec sprawiał wrażenie zadowolonego z widoku syna i Bibleman czuł jego miłość.

Gdy się obudził, wciąż ogarniało go przemożne przekonanie o miłości ojca. Wkładając mundur, rozmyślał o ojcu i o tym, jak rzadko doświadczał w życiu tej miłości. Na myśl o zmarłych rodzicach poczuł się samotny. Matka i ojciec zginęli w katastrofie nuklearnej razem z wieloma innymi ludźmi.

Mówią, że po drugiej stronie czeka na ciebie ktoś ważny, pomyślał. Może major Casals umrze pierwszy i będzie czekał, aby mnie serdecznie powitać.

Postacie ojca i majora zlały mu się w jedno.

I co ja mam robić, pomyślał znowu. Zawieszono kwestię kary,

zredukowano sprawę do pryncypiów, do kwestii lojalności. Czy jestem lojalny? Czy zaliczam się do tej kategorii?

Do diabła z tym, powiedział w duchu. Popatrzył na zegarek. Ósma trzydzieści. Ojciec byłby ze mnie dumny, pomyślał.

Wszedł do pralni i rozejrzał się. Żadnego robota w polu widzenia. Włożył rękę pod stertę prześcieradeł, wyjął wykresy, przejrzał je i ruszył w kierunku windy, która zawiozła go do gabinetu majora Casalsa.

– Przyniosłeś – powiedział Casals na widok Biblemana.

Bibleman wręczył mu trzy kartki papieru.

– Nie sporządziłeś dodatkowych kopii? – zapytał Casals.

– Nie.

– Dajesz słowo honoru?

– Tak – odparł Bibleman.

– W trybie natychmiastowym zostaje pan usunięty z Akademii – oznajmił major Casals.

– Co takiego? – zapytał Bibleman.

Casals wcisnął umieszczony na biurku przycisk.

– Proszę wejść.

W drzwiach stanęła Mary Lorne.

– Nie reprezentuję Akademii – powiedział do Biblemana major Casals. – Sytuacja została ukartowana.

– To ja jestem Akademią – odezwała się Mary Lorne.

– Niech pan usiądzie, Bibleman – polecił major Casals. – Nim pan odejdzie, ona wszystko panu wyjaśni.

– Nie zdałem egzaminu? – zapytał Bibleman.

– To ja nie zdałam – odparła Mary. – Celem sprawdzianu było nauczenie cię stania mocno na ziemi, nawet gdyby oznaczało to

przeciwstawienie się przełożonym. Ukrytym przesłaniem instytucji jest: Poddaj się temu, co uważasz za władzę. Dobra szkoła kształci człowieka jako całość, nie chodzi wyłącznie o zbiór wiadomości i danych; próbowałam zrobić z ciebie istotę pełną pod względem psychologicznym i moralnym. Nie można jednak nakazać komuś nieposłuszeństwa ani zmusić go do buntu. Mogłam jedynie ofiarować ci model, przykład.

Bibleman przypomniał sobie jej riposty podczas pierwszego wykładu Casalsa. W głowie miał pustkę.

– Z technicznego punktu widzenia silnik „Pantera” jest bezwartościowy – ciągnęła Mary. – To standardowy test, któremu poddajemy wszystkich studentów bez względu na wyznaczoną im specjalizację.

– Wszyscy dostali wydruk na temat silnika „Pantera”? – zapytał z niedowierzaniem Bibleman. Wbił wzrok w kobietę.

– Dostaną go, jeden po drugim. Twój pojawił się nadzwyczaj szybko. Najpierw usłyszałeś, że materiał jest tajny, powiedziano ci, co grozi za jego ujawnienie. Potem przekazaliśmy go w twoje ręce z nadzieją, że rozgłosisz to publicznie, a przynajmniej spróbujesz to uczynić.

– Na trzeciej stronie wydruku widniała informacja, że silnik stanowi oszczędne źródło energii hydroelektrycznej – wtrącił major Casals. – To było ważne. Wiedział pan, że rzesze ludzi skorzystałyby na jego produkcji.

– Zawieszono groźbę kary – dodała Mary – Czyli w twoim przypadku nie chodziło o strach.

– Chodziło o lojalność – odrzekł Bibleman. – Zrobiłem to przez wzgląd na lojalność.

– Wobec kogo? – zapytała Mary.
Bob milczał, nie był w stanie myśleć.
– Ekranu komputera? – dorzucił major Casals.
– Wobec pana – odparł Bibleman.
– Obrażałem pana i sztydziłem z niego – odpowiedział major Casals. – Traktowałem jak śmiecia. Powiedziałem, że gdy rozkażę panu szczać na różowo, będzie pan...
– Dobrze – przerwał mu Bibleman. – Wystarczy.
– Żegnaj – powiedziała Mary.
– Słucham? – zapytał zdumiony Bibleman.
– Odchodzisz. Wracasz do swojego życia i pracy, do tego, co miałeś, nim cię wybraliśmy.
– Proszę o kolejną szansę – powiedział Bibleman.
– Przecież teraz wiesz, na jakiej zasadzie funkcjonują nasze testy – zaproponowała Mary. – Nie możesz już liczyć na szansę. Znasz oczekiwania Akademii. Przykro mi.
– Mnie również – dodał major Casals.
Bibleman milczał.
Mary wyciągnęła rękę.
– Zgoda?
Bibleman bezmyślnie uściskał jej dłoń. Major Casals patrzył na niego pustym wzrokiem, nie podał mu ręki. Wydawał się pochłonięty inną sprawą, być może kolejną próbą. Być może rozmyślał o innym studencie. Bibleman nie wiedział.



Kiedy Bob Bibleman trzy noce później przemierzał rozświetloną gdzieniegdzie latarniami ciemność miasta,

zauważył tkwiący niezmiennie na posterunku mechaniczny bar szybkiej obsługi. Nastolatek kupował właśnie taco i jabłecznik. Bob Bibleman stanął za chłopakiem i czekał z rękami w kieszeniach. W jego pozbawionej myśli głowie tliło się jedynie poczucie przemożnej pustki. Zupełnie jakby obojętność widoczna na twarzy Casalsa opanowała również mnie, pomyślał. Czuł się jak przedmiot, przedmiot wśród przedmiotów, niczym nieróżniący się od mechanicznego sprzedawcy hamburgerów, który, jak Bob dobrze wiedział, nigdy nie patrzył nikomu prosto w oczy.

– Dla pana? – zapytał robot.

– Proszę frytki, cheeseburgera i koktajl truskawkowy. Czy można wziąć udział w jakimś konkursie?

– Pan nie może, panie Bibleman – odparł po chwili robot.

– Aha – odpowiedział i czekał.

Wkrótce pojawił się zapakowany w jednorazowe pudełka posiłek.

– Nie zapłacę – oznajmił Bibleman i odszedł.

– Tysiąc sto dolarów, panie Bibleman – zawołał za nim robot. – Łamie pan prawo!

Bob zawrócił, wyciągając portfel.

– Dziękuję, panie Bibleman – rzekł robot. – Jestem z pana dumny.

Mark Clifton (1906–1963) nie żył wystarczająco długo, by dowiedzieć się, jak bardzo ceniono jego twórczość. Zmarł w wieku zaledwie 57 lat, znając jedynie recenzje, które określały jego utwory jako gorzkie, zjadliwe i mizantropijne. Chociaż, jak się okazuje, wcale takie nie były. Clifton kierował ludźmi i jego doświadczenie z wielotysięcznymi grupami skłoniło go do pesymistycznych poglądów na ludzkość w ogóle, ale wcale pozytywnych opinii o jednostkach. Pisarz niewzruszenie wierzył, że tylko działania indywidualne, jednostki, mogą zapanować nad bałaganem tworzonym przez rząd, instytucje, duże firmy, zbiorowości. To przekonanie przepełniało wszystkie jego utwory science fiction, wśród których znajdują się m. in. *They'd Rather be Right* („*Astounding*”, 1954), za które omal nie dostał nagrody, oraz *Eight Keys of Eden* (1960). Jednak dopiero w latach osiemdziesiątych krótkie formy zostały wydane w zbiorze pt. *The Science Fiction of Mark Clifton* redagowanym przez Barry'ego Malzberga. Prezentowane opowiadanie jest pierwszym utworem Cliftona i jak dotąd wcale się nie zestarzało.

CO JA ZROBIŁEM?

Tak, to musiałem być ja. Głupotą byłoby upierać się, że to brzemię powinno spaść raczej na jakiegoś męża stanu, wielkiego przywódcę czy znanego naukowca. Z całą skromnością, na jaką mnie stać, uważam, że jestem jednym z nielicznych, którzy potrafiliby odpowiednio wcześnie wyczuć niebezpieczeństwo i zapobiec nieszczęściu.

Mam pewien szczególny talent. To właśnie jemu wszystko zawdzięczam. Mianowicie: znam się na ludziach.

Kiedy zobaczyłem go pierwszy raz, płaciłem właśnie w kiosku za papierosy. Facet stał przy stojaku z czasopismami. Sądząc z wyrazu jego twarzy, nigdy w życiu czegoś takiego nie widział. Z drugiej strony podobną minę ma wielu ludzi niemogących się zdecydować, co kupić.

Zaniepokoiło mnie tylko, że nie mogę go rozpoznać.

Są tacy, którzy chcą porównywać się ze mną, jeżeli chodzi o liczbę przypadków, z jakimi mieli do czynienia, ale to właśnie ja zwróciłem uwagę na tego faceta. Przez trzydzieści lat słuchałem ludzi, rozmawiałem z ludźmi, doradzałem ludziom – w sumie sporo ponad dwustu tysiącom. Nie były to takie sobie rutynowe pogaduszki. Każdemu z nich miałem do zaoferowania wrażliwość, współczucie i inteligentne zainteresowanie.

Miałem obsesję, by jak najlepiej poznać ludzi. Nie tak, jak to czyni zachodnia nauka, tworząc narzędzia i wzory służące do mierzenia z drobiazgową dokładnością powłok żywych robotów, ignorując zarazem tkwiącego pod tą powłoką człowieka. Ani tak, jak to czynią różne wschodnie filozofie, chcące poznać człowieka na podstawie obrazu, jaki na ułamek sekundy wywoła we mgle jego oddech.

Staralem się korzystać z obydwu tych szkół. Muszę stwierdzić, że nie bez sukcesów.

Doświadczony geograf potrafi rzucić okiem na fragment odręcznie narysowanej mapy i błyskawicznie umiejscowić przedstawiony na niej obszar kuli ziemskiej, orientując się według charakterystycznego zakrętu rzeki, swoiście ukształtowanej linii brzegowej jeziora czy wygięcia łańcucha górskiego. Swoją wiarygodność potwierdzi następnie, opowiadając z najdrobniejszymi szczegółami, co można, a czego nie można tam znaleźć.

Dla mnie po zapoznaniu się z około pięćdziesięcioma tysiącami przypadków, w których musiałem postawić diagnozę, a następnie obserwować i sprawdzić jej słusność, takimi charakterystycznymi cechami stały się skrzywienie ust, ruch dłoni, pochYLENIE pleców. Moimi dokonaniem zainteresował się jeden z uniwersytetów.

Według uniwersyteckich badań wyniki moich obserwacji potwierdziły się w 92 procentach przypadków. Działo się to piętnaście lat temu. Przypuszczam, że od tamtej pory jestem jeszcze skuteczniejszy.

Lecz kiedy przyglądałem się młodemu mężczyźnie stojącemu

przy stojaku z czasopismami, nie mogłem nic odczytać. Nic a nic.

Gdyby była to taka sobie, zwyczajna twarz, odruchowo zaklasyfikowałbym ją do kategorii „przeciętność”, po czym natychmiast bym o niej zapomniał. Podobne widuję tysiącami. Ale ta twarz nie mogła zostać sklasyfikowana i zapomniana, ponieważ nie było w niej nic.

Chciałem już napisać, że to w ogóle nie była twarz, ale to nieprawda. Każda ludzka istota ma jakąś twarz.

Jeżeli chodzi o sylwetkę, to mężczyzna był niewysoki, raczej barczysty, proporcjonalnie zbudowany. Miał krótko przystrzyżone jasne włosy, niebieskie oczy, jasną karnację. Można powiedzieć: klasyczny typ nordycki – ale nie byłaby to prawda.

Zapłaciłem za papierosy i spojrzałem jeszcze raz w jego stronę w nadziei, że uchwycę w jego rysach charakterystyczną cechę, która mogłaby mi cokolwiek o tym człowieku powiedzieć. Nic z tego. Zostawiłem go przy czasopismach, wyszedłem na ulicę i skręciłem za najbliższy róg. Ulica, sklepy, policjant na rogu, ciepłe promienie słońca – wszystko było znajome, więc nie zwracałem na to najmniejszej uwagi. Wszedłem po schodach na piętro, do mojego biura w budynku stykającym się jedną ścianą z tym, w którym mieścił się kiosk.

Poczekalnia mojego biura pośrednictwa pracy była pusta. Nie zależy mi specjalnie na dzikich tłumach, bo wtedy nie mam okazji, by porozmawiać dłużej z interesantami i poćwiczyć moje zdolności.

Margie, recepcjonistka, była zajęta sporządzaniem jakiegoś sprawozdania, więc tylko skinęła mi głową, gdy przechodziłem

obok jej biurka. Margie jest dobrą, pracowitą dziewczyną, ale nie potrafi zrozumieć, dlaczego marnuję tyle czasu, zajmując się różnymi pijakami, ćpunami i różnymi innymi psychopatami, po których od razu widać, że nie wzbogacą szczupłego konta firmy wpłatami.

Usiadłem za biurkiem i powiedziałem: – Ten facet jest fałszywy! Nie ma najmniejszych wątpliwości. Po prostu fałszywy!

Usłyszawszy własny głos, zastanowiłem się, czy aby nie zaczynam wariować. Co to znaczy „fałszywy”? Wzruszyłem ramionami. Po prostu trafiłem wreszcie na kogoś, z kim nie potrafiłem sobie poradzić. To wszystko.

Wtedy dopiero do mnie dotarło, jak niezwykle było to przeżycie. Nie doświadczyłem go już od przeszło dwudziestu lat. Co za rozkosz! Po tylu latach natknąć się i zmierzyć z czymś, co wydawało się zawsze niemożliwe!

Wypadłem z biura i popędziłem na dół do kiosku. Hallahan, ten gliniarz na rogu, przyglądał się ze zdziwieniem, jak kłusuję ulicą. Pomachałem mu na znak, że wszystko w porządku. Zsunął czapkę z czoła i podrapał się za uchem, po czym potrząsnął głową, przesunął czapkę na poprzednie miejsce i zagwizdał wściekle na jakiś samochód prowadzony przez kobietę.

Wbiegłem do kiosku. Faceta, rzecz jasna, już tam nie było. Rozejrzałem się w nadziei, że dojrzę go za którymś stojakiem, ale nic z tego.

Zniknął.

Ociągając się, ruszyłem w drogę powrotną do biura. Usiłowałem przypomnieć sobie twarz nieznanego,

próbowałem coś z niej odczytać. Logika podpowiadała mi jednak, że gdyby było można, nie istniałby problem. Twarz była po prostu pusta, pozbawiona śladu jakichkolwiek ludzkich uczuć, emocji.

Nie, niezupełnie. Była pozbawiona – pozbawiona człowieczeństwa!

Zawróciłem do kiosku, ponownie rozglądając się za nieznajomym. Hallahan znowu spojrział w moim kierunku, ale tylko krzywo się uśmiechnął.

Podejrzewam, że w sąsiedztwie uważają mnie za dziwaka. Zadaję ludziom najniezwyklejsze pytania, z punktu widzenia laika, rzecz jasna. Mimo to usłyszałem już od kilku klientów, że gdy pytali gliniarza, jak trafić do najbliższego „pośredniaka”, zawsze byli kierowani właśnie do mnie.

Po raz kolejny wspiąłem się po schodach i wszedłem do poczekalni. Margie spojrzała na mnie podejrzliwie, ale powiedziała tylko: – Ma pan klienta. Czeka w gabinecie.

Odniosłem wrażenie, jakby chciała jeszcze coś dodać, ale tylko wzruszyła ramionami. Albo się wzdrygnęła. Od razu wiedziałem, że coś musi być nie tak, skoro nie kazała mu usiąść w poczekalni.

Otworzyłem drzwi i doznałem ogromnego, niewyobrażalnego uczucia ulgi. To był on. Właściwie nie było nic niezwykłego w tym, że właśnie tu się znalazł. Prowadzę biuro pośrednictwa pracy. Ludzie przychodzą do mnie po pomoc w znalezieniu zajęcia, dlaczego więc nie on?

Wśród umiejętności, jakie posiadam, poczesne miejsce zajmuje zdolność nieujawniania uczuć. Ten osobnik nie miał prawa choćby przez moment podejrzewać, jak wielką rozkosz sprawi

mi wysłuchanie jego historii. Gdybym spotkał go na ulicy, mógłbym co najwyżej zadać standardowe pytanie o godzinę albo poprosić o ogień, ewentualnie zapytać o drogę do ratusza. Tutaj natomiast mogłem go wypytywać, ile dusza zapragnie.

Wysłuchałem, co miał o sobie do powiedzenia, a potem przystąpiłem do zadawania rutynowych pytań. Wszystko było w niesamowitym wręcz porządku. Służył w wojsku, skończył astronomię na uniwersytecie, bez stażu, bez doświadczenia, bez najmniejszego nawet wyobrażenia o tym, co właściwie chciałby robić, jednym słowem – bez niczego, czym mógłby zainteresować ewentualnego pracodawcę. Typowe.

W dodatku był pozbawiony uczuć i emocji. A to już mniej typowe. Moi klienci zwykle są rozdrażnieni i oburzeni, że nikt nie czeka na nich z otwartymi ramionami.

Zdecydowałem się na stary schemat naprowadzający klienta na zainteresowanie się zajęciem choćby odrobinę praktycznym.

– Astronomia? – spytałem. – To znaczy, że jest pan dobry w matematyce. Zdolności matematyczne można często wykorzystać choćby w pracy związanej ze statystyką.

Miałem nadzieję, że może w ten sposób posunę się chociaż o krok naprzód.

Okazało się, że wcale nie jest taki dobry.

– Jeszcze nie przystosowałem mojej matematyki do... – urwał.

Po raz pierwszy dał po sobie poznać, że reaguje na to, co się dzieje dokoła niego. Zawahał się. Do tej pory można go było wziąć za grecki posąg – szeroko otwarte, pozbawione wyrazu oczy, doskonale, zbyt doskonale rysy, czoło nieskażone śladem jakiegokolwiek myśli.

– Po prostu nie jestem w tym zbyt dobry, to wszystko – dokończył po chwili.

Westchnąłem w duchu. To także nie było nic nowego. Absolwentów wypuszcza się teraz z uczelni, byle szybciej się ich pozbyć. Czasem przez kilka dni wśród moich klientów nie trafiał się nikt, kto potrafiłby robić coś sensownego. Zatem i sytuacja tego człowieka w pewnym sensie wydała mi się normalna.

Nienormalne natomiast było to, że najwyraźniej zdawał sobie sprawę, jak źle brzmi to, co mówił. Zwykle takim młodym ludziom nie przychodzi do głowy, że jednak powinni coś umieć. Niemniej ten sprawiał wrażenie zażenowanego, jakby wstydził się, że można skończyć astronomię, nie znając zbyt dobrze matematyki. No cóż, wcale bym się nie zdziwił, gdyby można ją było skończyć, nie wiedząc nawet, ile jest planet w Układzie Słonecznym. Najwyraźniej młodzieniec zaczął się też niepokoić. Było to również dosyć niezwykle, do tej pory wydawało mi się bowiem, że znam wszystkie możliwe kombinacje naprężeń i napięć mięśni ciała, jego zaś zdenerwowanie objawiało się tak, jakby był skomplikowaną marionetką prowadzoną przez lalkarza amatora. I jeszcze te oczy. Ciągłe bez żadnego wyrazu.

Zapytałem o to, o tamto. Podsunąłem jedną myśl, drugą.

Spośród wszystkich fałszywych masek i sztucznych póz, z jakimi miałem do czynienia, ta była najbardziej nienaturalna. Spotykam się nieraz z czymś podobnym u facetów, którzy siedzieli długo w więzieniu i po wyjściu wymyślają sobie przeszłość. Ale to nigdy nie przybierało aż takich rozmiarów.

I jeszcze jedno. Kiedy klient zorientuje się, że mydlenie oczu na nic się nie zdaje, zazwyczaj znika, korzystając z pierwszego

lepszego pretekstu. A ten nie. Wyglądało to tak, jakby – czy ja wiem? – sprawdzał, na ile wiarygodne jest to, co mi mówi. Skierowałem rozmowę na astronomię, o której, jak mi się wydawało, mam jakie takie pojęcie. Okazało się, że albo tylko mi się wydawało, albo to on jest zupełnie zielony. Jego astronomia nie miała z moją nic, ale to nic wspólnego.

I wtedy właśnie się wygadał. Bredził o Układzie Słonecznym i zaczął następne zdanie od: „Dziesięć planet, które...”.

Natychmiast przerwał.

– Ach, prawda. Przecież jest tylko dziewięć.

Może to była ignorancja, ale nie przypuszczam. Raczej wiedział o istnieniu planety, której nie udało się jeszcze odkryć naszym uczonym.

Uśmiechnąłem się. Otworzyłem szufladę i wyjąłem z niej kilka magazynów sf.

– Czytał pan to kiedyś? – zapytałem.

– Przejrzałem kilka w kiosku, parę minut temu.

– Dzięki nim bardzo rozszerzyłem moje horyzonty – stwierdziłem. – Tak bardzo, że mógłbym nawet uwierzyć, że gdzieś w kosmosie istnieje system planetarny zamieszkały przez inteligentne istoty.

Zapaliłem papierosa i czekałem na reakcję mojego gościa. Jeśli nawet się pomyliłem, mogłem obrócić to w żart.

Jego oczy się zmieniły. Nie przypominały już oczu greckiego posągu. Nie były już błękitne. Były czarne bezdenną, nieskończoną czernią, tak głęboką i zimną jak kosmos.

– Na czym polegał mój błąd? – zapytał, wykrzywając wargi w uśmiechu, który wcale nie był uśmiechem.

No tak, teraz już wiedziałem. Rzeczywiście trafiłem na coś niezwykłego, bez dwóch zdań. Kosmita siedział po drugiej stronie biurka, a ja nie miałem pojęcia, jakie ma zamiary. Nie wiedziałem, jakie są motywy jego postępowania. Nic nie wiedziałem – bo i skąd? Przez całe życie poznajemy naszych bliźnich, jednak ile czasu potrzeba, by poznać istotę z gwiazd?

Wiele bym dał, by zachować się tak jak ci bohaterowie space oper, którzy w podobnych okolicznościach uśmiechają się uprzejmie i mówią: „Powiadasz, że jesteś z Arktura? Popatrz, popatrz, jaki ten Wszechświat mały!”. A potem obejmują się i idą na drinka do najbliższego baru.

Przez głowę przemknęła mi histeryczna myśl, że nie wiem nawet, czy ten typek lubi piwo. Nie będę opisywał walki, jaką stoczyłem z moim organizmem, a szczególnie z mięśniami, by nie dać niczego po sobie poznać. W każdym razie udało mi się nie spaść z krzesła i zachować uprzejmy wyraz twarzy. Procentowało duże doświadczenie w stosunkach interpersonalnych.

– Nie mogłem nic w panu wyczuć – odpowiedziałem. – Kompletnie nic, tylko pustkę.

Faktycznie wyglądał tak jakos pusto. Tyle że oczy miał już znowu błękitne. Wolałem to niż bezdenną czerń.

W takiej sytuacji powinny cisnąć się na usta miliony pytań, ale ja miałem tylko uczucie, że siedzę w towarzystwie odbezpieczonej bomby, nie wiedząc, co może spowodować jej wybuch. Mogłem się zdobyć tylko na coś doskonale trywialnego.

– Jak długo jest pan na Ziemi? – spytałem. Coś w stylu: „Cześć, Joe! Kiedy wróciłeś do miasta?”.

– Od kilku waszych tygodni – odpowiedział. – Ale dziś jestem po raz pierwszy wśród ludzi.

– A gdzie pan był wcześniej?

– Uczyłem się.

Jego odpowiedzi stawały się coraz krótsze i znowu coś dziwnego działo się z jego mięśniami.

– Gdzie pan się uczył? – naciskałem.

Lecz wówczas mój gość wstał z miejsca i wyciągnął rękę, wszystko jak najbardziej sprawnie.

– Muszę już iść – oświadczył. – Oczywiście moje podanie o pracę przestaje być aktualne. Czeka mnie jeszcze wiele nauki.

Uniosłem brwi.

– Uważa pan, że ot, tak sobie o wszystkim zapomnę? O czymś takim?

Uśmiechnął się ponownie swoim dziwnym uśmiechem.

– Zdaje się, że na tej planecie istnieje zwyczaj zgłaszania wszelkich problemów policji. Może pan to zrobić.

Nie mogłem się zdecydować, czy w tych słowach zawarta była ironia, czy tylko zwykła logika.

Nie wiedziałem, co mógłbym jeszcze powiedzieć. Obcy wyszedł, a ja stałem bez ruchu przy biurku i patrzyłem, jak zamykają się za nim drzwi.

Co miałem robić? Iść za nim?

Poszedłem.

Nie jestem wywiadowcą, ale czytałem wystarczająco wiele powieści detektywistycznych, by wiedzieć, jak należy śledzić kogoś, samemu pozostając niezauważonym. Po pewnym czasie dotarliśmy do cichej, spokojnej dzielnicy domków

jednorodzinnych. Stałem za palmą, udając, że zapalam papierosa, a kosmita wszedł do jednej z willi. Widziałem, jak przez chwilę walczy z drzwiami, otwiera je i przestępuje próg.

Odczekałem dłuższą chwilę, wszedłem po schodach na werandę i zadzwoniłem. Otworzyła mi siwowłosa matrona. Chyba zajmowała się gotowaniem, bo wycierała dłonie w fartuch.

– Niczego dziś nie kupuję – oświadczyła przez ledwie uchylone drzwi.

Niemniej spoglądała na mnie z ciekawością, czekając, co mam do zaoferowania.

Przywołałem na twarz najlepszy z moich uśmiechów, przeznaczony dla starszych pań.

– A ja niczego nie sprzedaję – odparłem, wręczając jej wizytówkę.

Przyjrzała się kartonikowi ze zdziwieniem, po czym podniosła wzrok.

– Chciałbym się widzieć z Josephem Hoffmanem – powiedziałem grzecznie.

– Obawiam się, że pomylił pan adresy.

Byłem już gotów wsadzić stopę między drzwi, ale okazało się to niepotrzebne.

– Był u mnie w biurze kilkanaście minut temu – wyjaśniłem. – Wychodząc, zostawił mi swój adres. Oferta pracy nadeszła tuż po jego wyjściu, a ponieważ i tak szedłem w tym kierunku, pomyślałem sobie, że wpadnę i powiem mu o tym osobiście. To dosyć pilne – dodałem. Parę razy rzeczywiście zdarzały mi się takie sytuacje, ale w tej chwili nawet dla mnie nie brzmiało to

przekonująco.

– Nikt tu nie mieszka oprócz mnie i mojego męża – upierała się gospodyni. – A on już dawno jest na emeryturze.

Nie obchodziło mnie, co robi jej mąż. Mógł nawet wisieć głową w dół na drzewie. Chciałem się widzieć z młodzieńcem–astronomem–kosmitą.

– Ale widziałem, jak ten młody mężczyzna tu wchodził – nie dawałem za wygraną. – Właśnie wyszedłem z za rogu i nie zdążyłem go dogonić.

Przyjrzała mi się podejrzliwie.

– Nie wiem, do czego pan zmierza – wycedziła przez zaciśnięte zęby – ale i tak niczego nie kupię. Ani nie podpiszę. Nie chcę nawet z panem rozmawiać. – Chyba naprawdę wierzyła w to, co mówi.

Przeprosiłem starszą panią, mamrocząc o pomyłce, którą musiałem popełnić.

– Tak właśnie mi się wydaje – powiedziała kwaśno i z godnością zamknęła drzwi. Dałbym głowę, że była to godność nieudawana.

Prowadząc biuro pośrednictwa pracy, można zyskać wielu przyjaciół. Przez kolejne kilka dni ta nieszczęsna starsza pani musiała odnieść wrażenie, że stała się ofiarą jakiejś plagi.

Najpierw zjawił się człowiek od naprawy telefonów w celu zlokalizowania stwierdzonego rzekomo uszkodzenia. Potem gość z gazowni sprawdzał plomby na liczniku.

Następnie człowiek z elektrowni szukał zwarcia w sieci. Modliłem się tylko o to, by jej mąż nie okazał się na przykład byłym elektrykiem, bo błyskawicznie zorientowałby się, że to

maskarada. Na koniec przyszedł rachmistrz z Urzędu Statystycznego, by skorygować pewne dane z ostatniego spisu.

Dom został przeszukany cegła po cegle, od piwnicy począwszy, na strychu skończywszy. Kobieta mówiła prawdę: nie mieszkał w nim nikt oprócz niej i męża.

Trzy miesiące czekałem sfrustrowany. Wydeptałem dziury w chodnikach, szukając wszędzie młodego mężczyzny. Bezskutecznie.

Aż tu nagle pewnego dnia otworzyły się drzwi mojego gabinetu i Margie wprowadziła klienta. Za jego plecami chwyciła się za serce i trzepotała opętańczo rzęsami.

Był przeciętnie wysoki, ciemnowłosey, przystojny, uśmiechnięty i o błyszczących, żywych oczach. Jego osobowość uderzyła mnie z siłą kowalskiego młota. Tacy ludzie nigdy nie przychodzą do biur pośrednictwa pracy, bo po prostu nie muszą. Każdy pracodawca zatrudnia ich po trzech minutach rozmowy, a potem zachodzi w głowę, dlaczego to zrobił.

Nazywał się Einar Johnson i pochodził z Norwegii. Jeżeli myślał, że jestem naiwniakiem, którego łatwo da się oszukać, to się pomylił, a ja od razu wyprowadziłem go z błędu.

– Poprzednim razem nazywał się pan Joseph Hoffman – powiedziałem. – I pod względem antropologicznym był pan raczej Nordykiem.

Ogniki w jego oczach momentalnie zgasły, zaś na twarzy pojawiła się irytacja. Spora irytacja, powiedziałbym nawet. W dodatku wyglądająca jak najbardziej autentycznie.

– W porządku. Na czym teraz wpadłem? – zapytał niecierpliwie.

– Wyjaśnienie zajęłoby mi bardzo dużo czasu. Może najpierw wysłucham tego, co ma mi pan do powiedzenia.

Może to dziwne, ale czułem się zupełnie swobodnie. Zdawałem sobie sprawę, że pod tą pozornie ludzką powłoką kryje się obce, nieznane stworzenie, ale kamuflaż był tak doskonały, że pozwalał o tym zapomnieć.

Przez dłuższą chwilę mierzył mnie badawczym spojrzeniem, a potem powiedział: – Według naszych przewidywań istniała nie więcej niż jedna szansa na milion, że zostanę rozpoznany. Przyznaję, że mój poprzednik niezbyt nam się udał, ale od tamtej pory sporo się nauczyliśmy i wszystko to zostało złożone w osobowość, którą teraz noszę.

Przerwał, by obdarzyć mnie promiennym uśmiechem. Gdyby rzeczywiście przyszedł znaleźć pracę, już by ją miał.

– Przewędrowałem całą południową Kalifornię – podjął. – Pracowałem przez jakiś czas jako sprzedawca. Chodziłem na zabawy i przyjęcia. Upijałem się i trzeźwiałem. Nikt, powtarzam, nikt nie powziął najmniejszego podejrzenia.

– Nie byli zbyt spostrzegawczy, prawda? – rzuciłem z ironią.

– Ale pan jest – odparł. – Dlatego właśnie zjawiłem się tu, by przejść ostatni test. Chciałbym wiedzieć, na czym polegał mój błąd.

– Przychodzą tutaj różni osobnicy – zacząłem. – Facet, który rejestruje się w różnych biurach jako bezrobotny, by żyć z zasiłków. Nieszczęśnik, którego przygania tutaj żona, strasząc, że jeśli nie pójdzie wreszcie do pracy, to ona zrezygnuje ze swojej. Tajniak węszący w poszukiwaniu nielegalnych kantorów bukmacherskich. Najróżniejsi.

Mężczyzna słuchał z zainteresowaniem. Skrzywiłem się.

– Demaskuję ich w ciągu najdalej dwóch minut. Pana też mi się udało przejrzeć, ale pan nie należy do żadnej z kategorii, z którymi zwykle mam do czynienia. A poza tym czekałem na pana.

– Na czym polegał mój błąd? – powtórzył z uporem.

– Zbyt wielka siła osobowości. Ludzie po prostu tacy nie są. Poczułem się, jakbym, bo ja wiem, dostał czymś ciężkim po głowie.

Westchnął niewesoło.

– Obawiałem się, że tak czy inaczej uda się panu mnie rozpoznać. Skontaktowałem się z domem. Przekazano mi, bym w razie zdemaskowania zaproponował panu nawiązanie z nami współpracy.

Uniosłem brwi. Nie wiedziałem, czy jest na tyle potężny, by mi cokolwiek nakazywać.

– Mam włączyć pana do naszych działań w charakterze osoby kontrolującej i nadzorującej nasz ostateczny trening tak, by nikt nie mógł nas rozpoznać. Jest to nieodzowne dla realizacji naszego podstawowego planu. Gdyby to miało się nie udać, będziemy musieli wprowadzić w życie plan zastępczy.

Mówił jak nauczyciel, ale czar jego osobowości ciągle promieniował niczym lampa podczerwona.

– Musi mi pan powiedzieć znacznie więcej niż do tej pory – odezwałem się.

Rzucił szybkie spojrzenie na drzwi gabinetu.

– Nikt nie będzie nam przeszkadzał – zapewniłem go. – To, co klienci mają do powiedzenia, otoczone jest ścisłą tajemnicą.

– Pochodzę z jednej z planet Arktura – powiedział.

Na mojej twarzy musiał pojawić się uśmiech, bo zaraz zapytał:

– Uważa pan, że to zabawne?

– Ależ skąd – zaprzeczyłem pospiesznie. A więc jednak nie potrafił czytać w myślach. Najwidoczniej byliśmy dla nich równie obcy jak oni dla nas. – Uśmiechnąłem się dlatego, że za pierwszym razem, kiedy pan się tu zjawił, pomyślałem sobie, że jest pan równie nieodgadniony jak istota na przykład z Arktura. A teraz okazuje się, że miałem rację. Najwidoczniej jestem lepszy, niż przypuszczałem.

Teraz on z kolei uśmiechnął się ze zdawkową uprzejmością.

– Moja ojczysta planeta jest bardzo podobna do waszej – podjął. – Z jednym wyjątkiem: jest dużo bardziej zatłoczona.

Po plecach rozeszły mi się nieprzyjemne ciarki.

– Zbadaliśmy wasz glob i postanowiliśmy go skolonizować. – Było to po prostu stwierdzenie faktu, bez cienia wahania czy wątpliwości.

Spojrzałem na niego ze zdumieniem.

– I spodziewacie się, że wam w tym pomogę?

Odpowiedział mi wszechwiedzącym, nieruchomym spojrzeniem.

– A czemu by nie?

– Chociażby dlatego, że istnieje coś takiego jak lojalność wobec własnego gatunku. Jeszcze kilka pokoleń i nam też będzie za ciasno. Nie zmieścimy się razem na Ziemi.

– Och, to nie problem – odparł ze wzruszeniem ramion. – Dla nas wystarczy miejsca na bardzo długo. Rozmnażamy się dosyć wolno.

– Ale my nie – zauważyłem z naciskiem. Cały czas miałem niejasne wrażenie, że ta rozmowa powinna się toczyć między nim a jakimś wielkim mężem stanu.

– Pan mnie chyba nie zrozumiał – zaczął znowu cierpliwie. – Was tutaj nie będzie. Nie ma żadnego powodu, dla którego mielibyśmy oszczędzić wasz gatunek. Po prostu wymrzącie i tyle.

– Zaraz, zaraz – wpadłem mu w słowo. – Ja wcale nie chcę, żebyśmy wymarli.

Spojrzał na mnie jak na nieznośnego bachora, który uparcie odmawia położenia się spać.

– Dlaczego? – zapytał.

I tym mnie załatwił. Dobre pytanie, pod warunkiem, że zada się je w odpowiednim momencie. Jak można sensownie obronić potrzebę istnienia ludzkości? A jednak spróbowałem.

– Ludzkość przeszła niełatwą drogę – zacząłem. – Za nasz rozwój musieliśmy nieraz płacić straszliwą cenę. Jeżeli teraz zabierze się nam przyszłość, na którą z nadzieją oczekujemy, to znajdziemy się w położeniu kogoś, kto zapłacił bardzo dużo za coś, o czym nie ma najmniejszego pojęcia, czym jest i do czego służy.

Nic lepszego nie potrafiłem wymyślić. Przytaczanie argumentów o sprawiedliwości, miłosierdziu i litości nie miało żadnego sensu. Ten obcy nie miałby pojęcia, o czym mówię. I raczej nie zanosilo się na to, by mógł się tego prędko nauczyć.

Nie czekałem długo na odpowiedź.

– A jeżeli nikt nie będzie wiedział o naszym istnieniu, my zaś stopniowo i niepostrzeżenie przejmujemy od was tę planetę, to kto będzie się martwił, że ludzkość nie ma już przed sobą żadnej

przyszłości? – Wstał nagle, podobnie jak poprzednim razem, i powiedział lodowatym tonem: – Możemy, rzecz jasna, zrealizować nasz drugi plan i zniszczyć ludzkość bez żadnych negocjacji. Nie mamy w zwyczaju zadawać żadnej formie życia niepotrzebnych cierpień, ale możemy to zrobić, jeśli zajdzie potrzeba. Bez pana współpracy prędzej czy później zostaniemy zdemaskowani, to oczywiste. A wtedy nie będziemy mieli wyboru.

Uśmiechnął się, ogłuszając mnie niemal siłą osobistego wdzięku.

– Zdaję sobie sprawę, że musi pan przemyśleć moją propozycję. Wrócę tu.

Odwrócił się jeszcze w progu.

– I proszę nie niepokoić więcej tej biednej starej kobieciny. Drzwi jej domu są tylko jednym z wielu połączeń, jakie utworzyliśmy. Ona nie ma pojęcia o naszym istnieniu, tylko czasem dziwi się, dlaczego nie działa zamek w drzwiach. A my wcale nie musimy korzystać akurat z jej domu. Jak może się pan przekonać.

I zniknął.

Otworzyłem drzwi. Margie, umalowana i emanująca kobiecością, czekała w pogotowiu za biurkiem. Kiedy gość się nie pojawił, wstała i zajrzała do mojego gabinetu.

– Gdzie on się podział? – zapytała ze zdumieniem.

– Otrząśnij się, dziewczyno – nakazałem. – Jesteś tak rozmarzona, że nawet nie zauważyłaś, jak wychodził.

– Coś tu jest nie tak – mruknęła.

Miała rację. A ja miałem jak najbardziej realny problem.

Monstrualny problem. Co mogłem zrobić? Mogłem zgłosić się do miejscowych władz i wylądować w zakładzie zamkniętym jako niepoczytalny. Mogłem zgłosić się do jakiegoś instytutu czy ośrodka badawczego i wylądować w zakładzie zamkniętym jako niepoczytalny. Mogłem zawiadomić FBI i wylądować w zakładzie zamkniętym jako niepoczytalny. Nie, ta linia rozumowania stawała się zdecydowanie zbyt monotonna.

Uczyniłem zatem jedyną rzecz, która moim zdaniem miała sens. Spisałem całą historię i wysłałem do mojego ulubionego pisma science fiction. Prosiłem o pomoc i radę tam, gdzie mogłem liczyć na szybką reakcję i, co najważniejsze, na zrozumienie.

Rękopis wrócił tak szybko, jakby był połączony z moim biurkiem niewidzialną, ciągnącą się przez cały kontynent gumową taśmą. Obejrzałem dokładnie, z dwóch stron, krótką odpowiedź redakcji uzasadniającą odrzucenie rękopisu, ale nigdzie nie mogłem znaleźć słów otuchy lub porad. Ba, nie było tam nawet zachęty, żeby spróbować jeszcze raz.

Wtedy pierwszy raz w życiu przekonałem się, co to znaczy być samotnym – całkowicie samotnym.

Właściwie trudno było się dziwić. Mogłem sobie wyobrazić redaktora odrzucającego z niesmakiem mój rękopis. „No tak, i znowu jakaś obca rasa chce podbić Ziemię. Gdybym to wydrukował, już jutro byłbym bez pracy”. Jak ten ksiądz, który zobaczywszy wypisane na ścianie świństwa, mruknął tylko pod nosem: „I do tego z błędami”. Przypomniała mi się bajka o chłopcu, który o jeden raz za dużo krzyknął: „Wilk! Wilk!”...

Byłem sam. I sam musiałem rozwiązać problem. Problem miał

dwa aspekty: pierwszy – natychmiastowa eksterminacja. Rasa, która potrafi przenosić się bezpośrednio z jednego systemu planetarnego do drugiego, dysponuje z pewnością środkami, które pozwoliłyby jej dokonać zagłady ludzkości. Drugi – wytępienie, co prawda stopniowe, ale równie pewne. Gdybym odmówił współpracy, byłbym jak sędzia, który skazał rodzaj ludzki na śmierć. Gdybym się zgodził, zostałbym arcyzdrajcą. A najgorsze było to, że niezależnie od mojej decyzji los ludzkości był przesądzony.

Mijały dni, a ja cierpiałem męki niezdecydowania. Wreszcie, jak to się zwykle robi w takich sytuacjach, postanowiłem zagrać na zwłokę. Udając, że zgadzam się na współpracę, może zdołam odkryć sposób, by pokonać obcych.

Kiedy już dokonałem wyboru, w mojej głowie zaczęła się szalona gonitwa myśli, gdy analizowałem najróżniejsze możliwości. Gdybym został instruktorem uczącym obcych, jak mają zachowywać się wśród ludzi, miałbym ich w garści. Wyposażyłbym ich w takie cechy i nauczył takich zachowań, które sprawią, że ludzie zniszczą ich w okamgnieniu.

Wszak znałem się na ludziach. Może to nawet dobrze, że trafiło akurat na mnie.

Zadrzałem na myśl, że istoty z kosmosu mogły spotkać kogoś o mniejszym ode mnie doświadczeniu. Najprawdopodobniej na Ziemi nie byłoby już ani jednego człowieka.

Tak, tak, ten stary i zużyty pomysł o bezimiennym bohaterze ratującym całą ludzkość przed śmiertelnym niebezpieczeństwem może jeszcze znaleźć swoje odbicie w rzeczywistości.

Byłem gotów. Arkturianin mógł wracać. I wrócił.

Porządnie tym razem przestraszona Margie otrzymała płatny urlop, ja natomiast opuściłem biuro w towarzystwie Einara Johnsona. Miał mnóstwo pieniędzy i nie widział nic zdożnego w ich wydawaniu. Dla kogoś, kto potrafi przenieść się w dowolnej chwili do bankowego skarbcza, pieniądze naprawdę nie mają znaczenia.

Oczami wyobraźni widziałem nieszczęsnych urzędników tłumaczących się przed kontrolerami, ale to już nie był mój problem. Zamknąłem biuro i wywiesiłem informację, że jestem chory i nie wiem, kiedy wrócę do pracy.

Zeszliśmy na parking, wsiedliśmy do mojego samochodu i w tej samej chwili znaleźliśmy się na zacienionym patio w Beverly Hills. Tak po prostu. Żadnych sensacji z utratą przytomności czy przewracaniem żołądka na lewą stronę. Nic z tych rzeczy. Po prostu: samochód – patio.

Chciałbym opisać Arkturian jako istoty o ohydnych wijących się mackach i obrzydliwych paszczach, ale nie mogę. W ogóle nie mogę ich opisać, ponieważ ich nie widziałem.

Widziałem natomiast około trzydziestu ludzi spacerujących po patio, pływających w basenie, wchodzących i wychodzących z domu. Miejsce było wybrane idealnie.

Nieproszeni goście nie odwiedzają posiadłości w Beverly Hills.

Miejscowi przyzwyczaili się już na tyle do obecności tłumu gwiazd, że przestali się właściwie czemukolwiek przyglądać albo dziwić, ciekawscy turyści natomiast mogli co najwyżej dostrzec wijący się podjazd, drzewa, trawę i może kawałek dachu. Jeśli mieli z tego choć odrobinę satysfakcji, to świetnie.

Jednak nawet gdyby rozeszła się wieść, że po posiadłości

włóczy się gromada dziwacznych osobników, nikt by się tym nie przejął. Mieszkańcy takich posiadłości nie różnią się specjalnie od zbieraniny, którą można zobaczyć na ulicach Hollywood.

Tyle tylko, że ci akurat się różnili. Mogliby zrobić fortunę, występując jako trupa naturalnej wielkości marionetek. Teraz wiedziałem, dlaczego pozbawiony życia Nordyk został uznany za tak doskonałego, by przebywać między ludźmi. W porównaniu z tą gromadą był tryskającym energią i pełnym czaru disc jockeyem.

Tyle właśnie zobaczyłem. Ludzkie ciała wykonujące ludzkie ruchy bez choćby śladu uczuć czy emocji. Moje zadanie wyglądało na trudniejsze, niż na początku sądziłem. Jednak obcy uważali, że współpraca ze mną najlepiej i najszybciej doprowadzi ich do celu. Znakomicie.

Ktoś ciekawski zasypałby ich dziesiątkami pytań – skąd mają ten dom, skąd wzięli ludzkie ciała, gdzie nauczyli się mówić po angielsku – ale ja nie byłem ciekawski.

Miałem ważniejsze sprawy na głowie. Skoro kosmici potrafili tyle zdziałać, to znaczy, że mieli możliwości i środki. I tyle.

Nie będę się rozpisywał o tygodniach, które nastąpiły potem. Nie mam pojęcia, jak wygląda cywilizacja na ich ojczystej planecie. Cała pajęcza sieć naukowej psychologii nie wystarczy, by ukazać choćby skrawek wnętrza człowieka. Analogicznie jakiegokolwiek opisy cywilizacji z Arktura nic by nam nie powiedziały o obcych. Wiedzieć coś o człowieku a znać go to dwie zupełnie odrębne kwestie.

Na przykład warunkujące nasze zachowanie reakcje mózgu, które nazywamy potocznie uczuciami, są kosmitom zupełnie

nieznane. Ideały, takie jak prawda, honor, sprawiedliwość, doskonałość – także. Nie ma u nich nawet podziału na płcie, dlatego nie są w stanie pojąć, czym jest miłość. Z filmów i spektakli, które oglądali w telewizji, rozumieli mniej niż my z zachowania kolumny mrówek maszerujących przez ścieżkę.

Czy warto próbować opisu takiej cywilizacji? Człowiek musi najpierw marzyć, by potem realizować marzenia. Obcy najwyraźniej nie musieli, choć przecież dotarli na Ziemię.

Kiedy wreszcie doszedłem do przekonania, że nie ma sensu i potrzeby porównywania obu cywilizacji, odczułem radość i ulgę. Moje zadanie stawało się tym samym znacznie łatwiejsze. Wiedziałem, jak zniszczyć najeźdźców. I miałem podstawy przypuszczać, że kosmici nie odkryją pułapki, którą na nich zastawię.

A nie odkryją jej właśnie dlatego, że mają ludzkie ciała. Może stworzyli je sobie z powietrza, ale w ich żyłach płynęła teraz krew, czuli ból, zimno i gorąco, otrzymywali zwykłą porcję wytwarzanych przez gruczoły hormonów.

Otóż to, hormony. Dowiedzą się, co to emocje i uczucia. Byłem przecież mistrzem w manipulowaniu i jednym, i drugim. Marzeniem człowieka było osiągnięcie wielkich, nieśmiertelnych ideałów. Niemal cała literatura dotyczy w gruncie rzeczy właśnie tego tematu. Zawsze i wszędzie mówiło się i pisało o tym, jacy powinniśmy być, prawie nigdy i nigdzie, jacy jesteśmy.

W ramach prowadzonej przeze mnie nauki zaaplikowałem kosmitom spory wybór arcydzieł literatury światowej, malarstwa, rzeźby, muzyki – tych gałęzi sztuki, w których najlepiej widać nieustanne dążenie do ideału. Nauczyłem ich, co

to znaczy „marzyć”.

Wiedząc, co to jest, i ulegając działaniu hormonów, obcy nauczyli się czuć. Tym większym podziwem zacząłem obdarzać Einara, bo przecież wtedy, kiedy tak mnie oszołomił siłą swojej osobowości, jeszcze nie umiał czuć.

Z marionetek kosmici stali się nowo narodzonymi dziećmi. Dziećmi obdarzonymi dorosłymi ciałami, ze wszystkimi konsekwencjami wynikającymi z tego faktu.

Chciałem uczuć – i miałem uczucia. Nieograniczone żadnymi hamulcami, nieskrępowane zakazami. Czasem najzwyczajniej w świecie obcy bali się i musiałem korzystać z całej mojej wiedzy o manipulowaniu emocjami. Kiedy indziej znowu zachowywali się za bardzo po hollywoodzku, nawet jak na Hollywood. Starłem się trzymać ich w ryzach.

Jedno muszę im przyznać: uczyli się. I to szybko. Najpierw marionetki, potem dzieci, hałaśliwi chłopcy i dziewczęta, młodzież o zmiennych nastrojach i zachowaniu, którego nie można przewidzieć, wreszcie dojrzały, zrównoważeni mężczyźni i kobiety. Metamorfoza dokonywała się na moich oczach.

Zrobiłem jeszcze więcej.

Uczyniłem z nich takich ludzi, jakimi chciałby być każdy z nas: mądrych, szlachetnych, uczuciowych. Mój skromny IQ 145 stał się granicą, poniżej której była już tylko głupota.

Najwspanialsze z marzeń o wielkości człowieka okazały się niczym wobec tego, co osiągnęli moi uczniowie i co jeszcze mogli osiągnąć.

Realizacja mego planu odbywała się bez zakłóceń.

W pełni ukształtowani przypominali bogów. Wpajając nowe,

wyrzucałem jednocześnie stare. Odkryłem, że mamy jednak z obcymi coś wspólnego: podstawą ich działania była logika, ale wyniesiona na takie wyżyny, o których mnie nigdy się nawet nie śniło. Ale jednak istniał wspólny punkt odniesienia i udało mi się go znaleźć.

W pewnym momencie moi podopieczni zrozumieli, że jeśli pozwolą, by w ich świadomości funkcjonowała ich własna, obca motywacja, to zawsze towarzyszyć im będzie aura inności, stanowiąca zagrożenie dla realizacji ich celów. Zaniepokoiłem się, kiedy mi o tym powiedzieli. Podejrzywałem, że próbują zastawić na mnie pułapkę.

Dopiero potem uświadomiłem sobie, że przecież nie nauczyłem ich fałszu i obłudy.

Podporządkowali mi się zupełnie, ponieważ to było logiczne, a zatem słuszne. Gdybym to ja znalazł się na ich planecie i starał się do nich upodobnić, również musiałbym robić wszystko, co by mi polecił tamtejszy instruktor. Zdawali sobie sprawę, że po prostu nie mają innego wyjścia.

Z początku obcy nie widzieli nic dziwnego w tym, że pomagam im w zniszczeniu własnego gatunku. Według nich Arkturianie byli najlepiej przystosowani i tylko Arkturianie mogli przetrwać, więc tak właśnie powinno się stać. O ludziach nie można było tego powiedzieć, dlatego musieli wyginąć.

Nauczyłem ich, co to współczucie. I wreszcie, kiedy zaczęli dojrzywać jako ludzie i gdy ich chłodny intelekt został przytłumiony przez ludzkie uczucia, zrozumieli, na czym polega mój dylemat.

Kryła się w tym ironia. Od ludzi nie mogłem oczekiwać

zrozumienia. Najeźdźcy obdarzyli mnie zrozumieniem i współczuciem. Pojęli, że mój zdradziecki czyn miał na celu zyskanie jeszcze kilku lat dla ludzkości.

Ale ich arkturiańska logika była jeszcze zbyt silna. Ronili wraz ze mną gorzkie łyzy, lecz nie mogło być mowy o zmianie planu. Plan był ustalony, oni zaś stanowili jedynie zespół instrumentów niezbędnych dla jego przeprowadzenia.

A jednak, wykorzystując ich współczucie, udało mi się ten plan zmienić. A oto rozmowa, w której wyszło na jaw, że taka modyfikacja zaistniała.

Einar Johnson, który jako robiący największe postępy właściwie się ze mną nie rozstawał, powiedział pewnego dnia: – Wszystko wskazuje na to, że jesteśmy już ludźmi. Sam powiedziałaś, że tak jest, więc musi to być prawdą – dodał z uśmiechem. – Zaczynamy zdawać sobie sprawę, jak wielki i wspaniały jest człowiek. – Kiedy to mówił, emanował powagą i dostojeństwem. – Ci, którzy pozostali na naszej planecie i nie dysponują ani ludzkimi ciałami, ani ową równowagą między inteligencją a uczuciami, przez ciebie nazywaną duszą, nie będą w stanie docenić i zrozumieć ogromnego skoku, jakiego dokonaliśmy. Nigdy nie staniemy się tym, czym byliśmy, bo zbyt wiele przysłoby nam utracić. Nasi ziomkowie kierują się logiką. Muszą polegać na tym, co im przekazemy, o ile, rzecz jasna, nie wiązałoby się to z koniecznością rezygnacji z planu, jaki nam wyznaczono. Poinformowaliśmy ich o wszystkim, czego się nauczyliśmy. We Wszechświecie jest dosyć miejsca i dla nas, i dla was. Nie będzie migracji z naszej planety na waszą. Pozostaniemy wśród was, będziemy się rozmnażać i żyć tak

godnie, jak nas tego nauczyłeś. Może kiedyś naszym udziałem stanie się ta wielkość, którą możemy podziwiać u ludzi. Pomożemy ludzkości odnaleźć jej przeznaczenie wśród gwiazd, tak jak my je odnaleźliśmy.

Pochyliłem głowę i rozplakałem się. A jednak zwyciężyłem.

Minęły cztery miesiące. Wróciłem do siebie. Hallahan zostawił kierowców ich własnemu losowi i zszedł ze skrzyżowania, by powitać mnie pytaniem: – Gdzie pan się podziewał?

– Chorowałem – odparłem.

– Widać to po panu. Niech pan na siebie uważa. Co... Co za dureń tam się wpakował! – Popędził na swoje miejsce, dmuchając co sił w gwizdek.

Do biura prowadziły schody. Tak, zdecydowanie wymagają remontu. Cały czas wysyłałem Margie pieniądze, żeby opłacała czynsz i telefon. Zdjąłem z drzwi wywieszkę i wszedłem.

W poczekalni panowała ta typowa zakurzona atmosfera, jaka pojawia się zawsze w pomieszczeniach, gdzie od dawna nikogo nie było. Dozorca w ogóle nie otwierał okien, powietrze było stęchłe i nieświeże. Z przyzwyczajenia oczekiwałem, że zobaczę Margie za biurkiem w recepcji, choć było to niemożliwe. Jeżeli dziewczyna i tak dostaje pensję, a jednocześnie nie ma kompletnie nic do roboty, to jedynym miejscem, gdzie można ją znaleźć, jest plaża.

Moje krzesło pokryte było warstwą kurzu, ale usiadłem na nim, nie zadając sobie nawet trudu, by je oczyścić. Ukryłem twarz w dłoniach i wpatrzyłem się w ludzką duszę. Moje działania zależały od jednej umiejętności. Znałem ludzi. Znałem ich bardzo dobrze, kto wie, może nawet najlepiej na świecie.

Zajrzałem w przeszłość i zobaczyłem, jak człowiek pali, krzyżuje i drze na strzępy to, co szlachetne, dobre i wspaniałe.

Lecz jedyna szansa na ocalenie ludzkości zależała od tego, czy uda mi się wpoić trzydziestu obcym istotom właśnie to, co wspaniałe, dobre i szlachetne. Czy zdołam przekonać obcych, że ludzie są właśnie tacy. Tylko wtedy przybysze uznałyby nas za równych sobie.

Zajrzałem w przyszłość i zobaczyłem, jak giną jeden po drugim. Nie dałem im żadnej możliwości obrony. Są całkowicie nieprzygotowani na spotkanie z człowiekiem takim, jaki jest naprawdę. Nie będą potrafili tego pojąć.

Albowiem to, co człowiek najbardziej podziwia – dobro, szlachetność, piękno – jest jednocześnie tym, czego nie potrafi znieść.

Obcy są bezbronni, gdyż nie zdają sobie z tego sprawy. Zginą, pokonani wściekłością, zawiścią i żądzą niszczenia, tak bowiem zawsze reaguje człowiek, gdy stanie twarzą w twarz ze swoimi ideałami.

Ukrywam twarz w dłoniach.

Co ja zrobiłem?

Dwie klasyczne apokalipsy Chciałem włączyć do antologii jeden lub dwa naprawdę stare utwory, które nie tylko pokażą, że science fiction istnieje od dawna, lecz także dowiodą, że ówczesni pisarze potrafili tworzyć zdumiewające wizje. Postęp ówczesnej nauki i techniki był równie zdumiewający dla ludzi epoki wiktoriańskiej jak obecny rozwój dla nas. Obawa przed rozwojem nauk ścisłych inspirowała liczne opowieści o końcu świata. W *The Star* (1897) H.G. Wells opowiedział, jak świat ledwie przetrwał spotkanie z innym ciałem niebieskim, a w *Wehikule Czasu* (1895) opisał opustoszałą Ziemię z dalekiej przyszłości, gdy słońce się prawie wypaliło, a życie wymarło. Sławny francuski astronom Camille Flammarion połączył oba te pomysły w utworze pt. *Omega* (1897). Takie myślenie charakteryzowało początki zeszłego wieku i bez wątpienia stało się inspiracją dla kolejnych dwóch utworów prezentowanych w tym zbiorze.

Frank Lillie Pollock (1876–1957) został już całkiem zapomniany, a jeżeli w ogóle się go wspomina, to jedynie w związku z opowiadaniem pt. *The Argosy* z 1906 roku. Pollock był kanadyjskim pisarzem, który stworzył wiele niekonwencjonalnych utworów. Może pewnego dnia zostanie ponownie odkryty.

FINIS

– Zaczynam być zmęczony – jęknął Davis, wychylając się przez okno Wydziału Fizyki. – I śpiący. Już po jedenastej. To czwarta zarwana noc i tym razem ostatnia. Ta pańska nowa gwiazda miała się pojawić trzy tygodnie temu, a tu nic.

– Pani też jest zmęczona, panno Wardour? – zapytał Eastwood.

Dziewczyna zerknęła spłoszona i zarumieniła się, zaprzeczając cicho.

Eastwood po raz kolejny odniósł wrażenie, że panna Wardour jest chorobliwie nieśmiała. A z wyglądu była równie przeciętna, co nieśmiała z natury. Jedynie włosy miała wspaniałe: płomienne i gładkie jak jedwab.

Zapewne nie była głupia, Eastwood zauważył, że czytywała naprawdę poważne książki, ale wydawało się, że dziewczyna stroni od rozrywek i ma dość wąskie zainteresowania. Na co dzień pracowała w Art Students' League i czasami pomagała Eastwoodowi. To dlatego poprosił ją, by towarzyszyła mu podczas wizyt Davisów – mieli obserwować nową gwiazdę z okien pracowni na Heights.

– Myśli pan, że warto jeszcze czekać, profesorze? – zapytała pani Davis, tłumiąc ziewnięcie.

Eastwooda zaczynało irytować, że wyczekiwana gwiazda jak

dotąd nie raczyła się pojawić, poza tym nie znosił, gdy tytułowano go „profesorem”, skoro był tylko asystentem wykładowcy fizyki.

– Nie mam pojęcia – udało mu się zachować uprzejmy ton. – Sam czekam już dwunastą noc. Rzecz jasna, gdyby astronomom udało się obliczyć dokładnie moment wystąpienia zjawiska, byłby to cud matematyki. Co tu kryć, pracowali nad tymi obliczeniami zaledwie przez ćwierćwiecze.

Nowy budynek Wydziału Fizyki na Uniwersytecie Columbia miał kilkanaście pięter. Pracownie fizyczne zajmowały dziewiątą i dziesiątą kondygnację, powyżej znajdowały się natomiast pomieszczenia wyposażone w instrumenty i sprzęt obserwacyjny, co nie byłoby możliwe, gdyby nie wynalazek filtra szumów, dzięki któremu można było skutecznie odizolować sprzęt astronomiczny od ziemskich zakłóceń i wpływów.

Eastwood zainstalował w oknie niewielki teleskop. Poniżej błyszczały światła Nowego Jorku, z oddali niosła się przytłumiona muzyka. Na ulicach kotłował się tłum, jak każdej nocy od piątego dnia bieżącego miesiąca – kiedy to według zapowiedzi na niebie miała pojawić się nowa gwiazda, nowe wielkie słońce.

Jednak w obliczeniach musiał być błąd, chociaż, jak podkreślał Eastwood, astronomowie biedzili się nad równaniami od dwudziestu pięciu lat z okładem.

Tak naprawdę minęło prawie czterdzieści lat od ogłoszenia po raz pierwszy teorii o ograniczonych rozmiarach wszechświata. Uczynił to profesor Adolf Bernier na Międzynarodowym Kongresie Naukowym w Paryżu. Teorię uznano wówczas za

kompletne mrzonki.

Profesor Bernier nie uważał, że kosmos jest nieskończony. Gdzieś – argumentował – musi istnieć środek, wokół którego wszechświat się obraca.

Przecież księżyc krąży wokół Ziemi, planety wokół słońca, a systemy planetarne wokół jakiegoś odległego centrum. Ale ta prawidłowość nie może powtarzać się w nieskończoność.

Gdzieś zatem musi istnieć centralne słońce, olbrzymie rozżarzone ciało niebieskie, które wcale się nie porusza. A ponieważ słońce jest zawsze większe niż satelity, które wokół niego orbitują, zatem ciało niebieskie w centrum wszechświata będzie pod względem rozmiaru i temperatury niewyobrażalnie ogromne.

Pojawiły się natychmiast głosy sprzeciwu wobec teorii. Argumentowano, że skoro to hipotetyczne ciało niebieskie jest tak duże, powinno być widoczne. Profesor Bernier odparł, że bez wątplenia tak się stanie, gdy tylko światło tej gwiazdy dotrze do Ziemi, co jeszcze nie nastąpiło.

Światło najbliższej gwiazdy potrzebuje na to prawie trzech lat. Bez wątplenia istnieje mnóstwo gwiazd tak odległych od Ziemi, że ich promienie jeszcze do nas nie dotarły. A centralne słońce znajduje się zapewne jeszcze dalej, dlatego miną setki, a może nawet tysiące lat, zanim jego promienie osiągną układu słonecznego.

Teoria została ochrzczone „sensacją dla brukowców” i odrzucona przez środowiska naukowe. Ale w drugiej połowie dwudziestego wieku matematyka zaczęła przeżywać nadzwyczajny renesans, co pozwoliło na dokładniejszą

weryfikację hipotez Berniera.

W oparciu o nowe twierdzenia profesora Burnside'a z Princeton i opracowania doktor Taneki z Tokio astronomom udało się obliczyć ruchy Słońca w przestrzeni kosmicznej i orbity wszystkich planet. Na tej podstawie możliwe stało się rozszerzenie zakresu badań, by objęły więcej systemów gwiazdnych i dostarczyły więcej informacji o obrotach dalszych ciał niebieskich.

Wielkość i odległość od centralnego słońca wszechświata została oszacowana w przybliżeniu, zatem – uwzględniając prędkość światła, która była już znana – obliczenie, kiedy promienie nowej wielkiej gwiazdy dotrą do Ziemi, pozostało już tylko kwestią czasu. Określono wówczas, że zdarzy się to za dwadzieścia sześć lat – i było to dwadzieścia sześć lat temu. Od wyznaczonej daty pojawienia się na ziemskim nieboskłonie nowego ciała niebieskiego minęło trzy tygodnie – i do dziś ani widu, ani słyhu.

Zainteresowanie opinii publicznej sięgnęło zenitu, napędzane niezliczonymi artykułami w dziennikach i czasopismach, a nocami na ulicach tłoczyły się podniecone tłumy uzbrojone w teatralne lornetki i mapy nieba, zaś nieliczni szczęśliwi posiadacze teleskopów ustawiali po kątach trójnogi swoich instrumentów, by nie przegapić wielkiej chwili.

Podobne sceny miały miejsce w każdym cywilizowanym zakątku świata.

Spodziewano się, że fenomen świetlny pojawi się w połowie odległości między Wenus a księżycem. Lepiej poinformowani oczekiwali, że na niebie zabłyśnie drugie słońce, a korporacje już

przygotowywały umowy dzierżawy terenów na wybrzeżach Grenlandii, licząc na migrację w tamte strony, gdy tylko nastąpi globalne ocieplenie.

Nastroje ludności – podniecenie, ale i niepewność – wpływały oczywiście na sytuację w biznesie. Na giełdzie spadała wartość akcji, a pomniejszych sekty i kultury religijne odważnie przepowiadały koniec świata.

– Mam tego dość – stwierdził Davis, spoglądając na zegarek. – Możemy już iść, Grace? A tak przy okazji, czy nie zrobiło się cieplej?

Chociaż luty był chłodny, rzeczywiście zrobiło się cieplej. Sople na okapach i parapetach topniały, woda kapiała coraz szybciej, jakby nagle nadeszła fala wyższej temperatury.

– Co to za światło? – zapytała Alice Wardour, wychylając się przez otwarte okno.

– Pewnie wschodzi księżyc – odpowiedział Eastwood, chociaż blask na horyzoncie przypominał raczej ten, który nadchodził o świcie.

Davis porzucił myśl o wyjściu z pracowni. Wraz z resztą przyglądał się, jak na wschodzie rozlewa się jasna poświata, a potem nad widnokrąg unosi się oślepiająco biały dysk.

– Dobry Boże, to musi być ta nowa gwiazda! – westchnął Davis z podziwem.

– Nie, to tylko księżyc. Miał wzejść dokładnie o tej porze, co do minuty – zapewnił Eastwood, domyślając się jednak od razu przyczyny niezwykłego zjawiska. – Ale nowe słońce musiało się pojawić nad drugą półkulą. Jego światło odbija się od księżyca i sprawia, że jest tak jasny. Nowa gwiazda wszędzie zapewne

razem z naszym słońcem, choć trudno powiedzieć, kiedy dokładnie. Jest jaśniejsza, niż oczekiwano – i chyba bardziej gorąca – zakończył niepewnie.

– Chyba robi się coraz goręcej. – Pani Davis rozpięła żakiet. – Można tu włączyć klimatyzację?

Eastwood włączył nawiew, ponieważ mimo otwartego okna w pomieszczeniu zrobiło się nieprzyjemnie duszno. Ciepło chyba docierało z zewnątrz, pogoda przypominała teraz wiosenny wieczór – gdy jeszcze na gzymsach utrzymuje się lód, ale temperatura powietrza wyraźnie się podnosi.

Przez następne pół godziny we czworo wyglądali przez okno i prowadzili urywane rozmowy. Ulice wypełnił nieruchomy tłum, ludzie unosili głowy, na ciemnym tle bruku jaśniały tylko ich twarze. Księżyc wznosił się na nieboskłonie, a noc stawała się coraz cieplejsza.

Było już dobrze po północy, gdy Eastwood zauważył, że nad horyzontem chmury rozjaśnia czerwona poświata. Wskazał to reszcie towarzystwa.

– To nareszcie nowe słońce – oznajmił, drżąc z podniecenia. Oto już niedługo ujrzy niebywale zdarzenie na skalę kosmiczną.

Światło szybko stawało się coraz jaśniejsze.

– Na Boga, patrzcie, jak czerwienieje! – wybuchł Davis. – Robi się jaśniej niż w dzień! I goręcej! Ach!

Na wschodzie niebo stawało się coraz bardziej różowe, poświata obejmowała już niemal cały horyzont. Na dachach zaświergotały jaskółki. Zdawało się, że nieznana gwiazda powinna się już ukazać nad falami Atlantyku, jednak ciągle zwlekała.



Nieboskłon płonął miriadami barw, niczym wielkie palenisko.

Pani Davis wrzasnęła nagle. Amerykańska flaga łopocząca na dachu sąsiedniego budynku niespodziewanie stanęła w ogniu.

W oddali na wschodzie rozprzestrzenił się płomień – ludzie obserwowali falę ognia, mrużąc załzawione oczy. Zdawało się, że na horyzoncie rozprzestrzenił się pożar, rozpalając świat do białości.

Jasny księżyc zaczął blednąć w powodzi światła nowej gwiazdy. Z obserwatorium na piętrze rozległy się zmieszane okrzyki i łomot upadających przedmiotów, a kiedy promienie obcego słońca wpadły przez okno do pracowni, czworo ludzi cofnęło się, jakby liznął ich ogień piekielny.

Szyba zatrzeszczała i pękła, odłamki szkła wpadły do pomieszczenia. Z oceanu wynurzała się powoli ogromna tarcza, pięćdziesięciokrotnie większa od ziemskiego słońca i o wiele gorętsza. Stojący pod oknem metalowy stół roboczy zaczął dymić, w powietrzu uniósł się kwaśny swąd lakieru.

– Do diabła, Eastwood, co to ma być?! – krzyknął oskarżycielsko Davis.

Na ulicach gwałtownie narastały jęki przerażenia i bólu, z miliona gardeł dobył się krzyk, któremu towarzyszył łomot tysięcy stóp, gdy tłum rzucił się do ucieczki. Przejścia i chodniki zaklinowali zataczający się, oszołomieni i miotani paniką ludzie, przenikliwie zabrzmiały klaksony, a ponad ten zgiełk wzbił się ryk syren i łomot pomp strażackich.

Z kilku miejsc w pobliżu Central Parku unosił się dym, w kościołach dzwony zaczęły bić na trwogę.

Czwórka obserwatorów w szaleńczym tempie rzuciła się do schodów i zbiegła, wybijając głośny rytm kroków na stopniach. Winda była nieczynna, obsługujący ją mężczyzna porzucił stanowisko pracy.

– Tutaj! Musimy się stąd wydostać! – krzyczał Davis, szarpiąc żonę za ramię i ciągnąc ją do drzwi frontowych. – Tu zaraz będzie pożar!

– Stać! Nie może pan wyjść na ulicę! – zawołał Eastwood, próbując go powstrzymać.

Ale Davis wyrwał się z uścisku i pognał po schodach, na wpół niosąc przerażoną żonę. Eastwood dotarł do wyjścia w samą porę, by złapać Alice, zanim wybiegła za Davisami.

– W tym budynku nic nie zajmie się ogniem, panno Wardour – powiedział najspokojniej jak potrafił. – Lepiej tu zostać, przynajmniej teraz. Wyjście na ulicę to pewna śmierć, tłum nas stratuje. Proszę tylko posłuchać, co się tam dzieje.

Zdawało się, że tłumy przetaczają się w tę i we w tę, a krzyki, płacz i przekleństwa zlały się w dziki, zwierzęcy niemal ryk.

Gorąco wywoływało już oparzenia na skórze, choć Eastwood i Alice starali się unikać bezpośredniego kontaktu z promieniami nowego słońca. Szklane przyrządy w laboratoriach pękały głośno raz po raz.

Nad przystanią uniósł się wielki kłęb dymu, statki i promy na kei musiały zająć się ogniem. W oddali rozległ się przerażający huk eksplozji. Kilka minut później pożary wdarły się na niższe poziomy miasta, w górę strzeliły płomienie i dym, rozwiewające się w oślepiającym blasku obcej gwiazdy.

Wielkie słońce stało już w zenicie i zdawało się, że niebo na

wschodzie płonie. Tumult na ulicach ucichł nagle, uciekinierzy, którzy przeżyli, znaleźli schronienie w najbliższych domach, na otwartej przestrzeni pozostały tylko ciemne, nieruchome ciała kobiet i mężczyzn.

– Zrobię, co pan powie – powiedziała Alice. Była śmiertelnie blada, ale opanowana. Nawet w takiej chwili Eastwooda uderzyło piękno jej jedwabistych włosów, które teraz jeszcze bardziej przypominały płomień. – Ale nie możemy tu zostać, prawda?

– Tak – odparł Eastwood, starając się zachować spokojny wyraz twarzy w obliczu katastrofy. – Lepiej zejźmy do piwnic.

W podziemiach znajdowały się pomieszczenia, w których przechowywano delikatny sprzęt, więc mogły również posłużyć za schron – przynajmniej na jakiś czas. Eastwood pomyślał, że ziemskie stworzenia w obecnej sytuacji nie mogą liczyć na nic więcej niż tylko chwilowe schronienie.

Jednak poprowadził towarzyszkę po metalowych schodach. Pokonali sześć, może siedem stopni, gdy poczuli, jakby upał zaczął ustępować.

Mieli wrażenie, że robi się chłodniej, a na nieboskłonie pojawiły się ciężkie chmury, wyglądające, jakby zrobiono je z wypolerowanego srebra.

W oddali, z południowego wschodu, rozległ się głęboki łomot. Eastwood i panna Wardour zatrzymali się na drugiej kondygnacji i podeszli do okna.



Wielka ciemna masa wypełniła przestrzeń między niebem a

oceanem i przemieszczała się w kierunku miasta, najpewniej od strony przystani. Eastwoodowi wydawało się, że potężne kłębowisko rośnie w oczach.

– Cyklon... I wysokie fale! – wymamrotał.

Mógł się tego spodziewać – po nagłym ociepleniu powietrza i gwałtownym parowaniu należało oczekiwać określonych skutków. Gigantyczna czarna kolumna zbliżała się w konwulsyjnych skrętach, a wraz z nią nadchodził sztorm, ciągnąc za sobą ścianę nieprzeniknionej mgły.

Brzuchate chmury rozświetliło nagle kilkanaście błyskawic, a zaraz potem przez ryk wiatru przedarł się huk przypominający armatnią salwę.

Z okrętów i nabrzeżnych posterunków wojskowych posłano pociski w kłębiącą się masę, ale bez widocznych efektów. Była to ostatnia próba oporu, jaką podjęło miasto, i próba ta okazała się bezowocna. Niedługo potem okręty i poligon zostały zalane.

– Szybko! Ten budynek może się zawalić! – krzyknął Eastwood do Alice. Pobiegli schodami w dół, a za ich plecami rozległ się donośny trzask i łomot, kiedy monstrualny żywioł wdarł się do Nowego Jorku. Fala powodzi przelała się przez ulice, spieniona woda bulgotała jak podczas wrzenia. W oddali zabrzmiały nierówne trzaski, gdy pękały i waliły się ściany, a zaraz potem budynek Wydziału Fizyki jęknął i zachrząścił, jakby zgniatała go dłoń olbrzyma. Mury pękły, w jednej chwili zmieniając się w rumowisko cegieł i kamieni.

Jednak zbrojenia ze stali pozostały nienaruszone – wyższe kondygnacje po prostu spadły na niższe, rozbijając marmurowe stiuki i podłogi.

Eastwood upadł, uderzony cięższym odłamkiem. Kiedy się ocknął, schody nadal stały, choć wyginały się pod niebezpiecznym kątem. Kłęb powykęcanych prętów i poręczy zwisał jard od głowy mężczyzny, nieco dalej kołysała się zerwana platforma, przecinając wszystko, co napotkała na drodze.

Plątanina zniszczonych schodów otoczyła Eastwooda jak klatka, dzięki czemu powstrzymała impet desek, cegieł i połamanych mebli, jakie spadły wokoło. Mężczyzna mógł się nawet rozejrzeć.

Parę jardów dalej Alice, która nie odniosła widocznych obrażeń, podnosiła się z podłogi, machinalnie ocierając twarz z błota i wilgoci. Letnia woda przeciekała przez szczeliny zrujnowanego dachu, choć na zewnątrz nie padał deszcz.

Powodzi towarzyszył silny wicher, który przyniósł ułudę chłodu. Eastwood przepytął Alice, czy nic jej się nie stało, choć niewiele go to obchodziło. Zdaje się, że jego zdolność do współczucia uległa paraliżowi.

– Nie wiem. Myślałam... Myślałam, że już po nas! – wymamrotała oszołomiona dziewczyna. – Co to było? Czy już po wszystkim?

– Obawiam się, że to dopiero początek – odpowiedział bezmyślnie Eastwood.

Wichura przyniosła więcej chmur, praktycznie nie widać było czystego nieba, ale nawet burzowe obłoki świeciły jakby rozgrzane do białości i burzy nie towarzyszył zwykły w takich momentach mrok. Zerwała się natomiast ulewa, krople deszczu były gorące, niemal wrzące, i kiedy spadały na asfalt, parowały z cichym sykiem.



W ciągu paru chwil świat utonął w gorącym deszczu, a sądząc po szumie i huku, większość ulic zmieniła się w burzliwe rzeki.

Ulewa była zbyt gwałtowna, by trwać długo – po godzinie skończyła się równie nagle, jak zaczęła, a miasto spowiła mgła. Poprzez biały opar Eastwood dostrzegł zarysy ruin i sterty gruzu – wszystko, co zostało z największego miasta dwudziestego wieku.

A potem fale uderzyły znowu z nieposkromioną siłą, jakby cała woda świata cofnęła się i zdławiła w przestrzeni między niebem i oceanem. Ziemia zatrzęsała się konwulsyjnie i pękła, szczelina pobiegła do rzeki Hudson.

Powietrze było ciężkie od gorącej wilgoci, dławiło i dusiło przy każdym oddechu. Fizyczna agonía wyrwała Alice z transu wywołanego upadkiem, dziewczyna zaszlochała przestraszona, że umiera.

Silny wiatr przygnał gorące kłęby pary i mżawkę między rumowiska. Zdawało się, że ludzkie płuca nie wytrzymają w tej niemal płynnej atmosferze, a jednak niemożliwe stało się możliwe, ponieważ i Alice, i Eastwood oddychali nadal.

Po godzinach łaźni deszcz przestał padać, a chmury się rozstały. Eastwood dostrzegł między nimi skrawek nieba i... Słońce. Stare, dobre słońce. Teraz wydawało się blade i słabe.

Intensywne gorąco i jasność przypomniały mu, że gigantyczna gwiazda nadal płonie za chmurami. Deszcz skończył się chyba zupełnie i biały, nieznośny upał znowu ogarniał nieboskłon.

Temperatura powietrza podniosła się gwałtownie jak w piekarniku, chmury zniknęły, a ziemia zaczęła wysychać niemal

w okamgnieniu. Świat ogrzewały teraz jednocześnie dwa słońca – co okazało się koszmarem nie do zniesienia.



Atmosferę zaczął wypełniać swąd dymu i spalenizny, nad ulicami drżało powietrze, a kłęby pary uniosły się znad zatoki, lecz nie gromadziły się w chmury, które mogłyby zaciemnić niebiosą.

Rumowisko po budynku Wydziału Fizyki dało schronienie dwojgu ludziom uciekającym przed promieniami nowego słońca, choć nie mogli uciec przed upałem. Jednak ciało może znieść niemal wszystko, nawet rozdieranie na strzępy, przynajmniej przez krótki czas. To wspinały mechanizm układu nerwowego cierpi najbardziej w trudnych warunkach.



Alice leżała z twarzą wciśniętą między cegły i odłamki ścian, oddychając płytko i pojękując. Eastwoodowi krew pulsowała w skroniach, a przed oczyma przemykały majaki. To popadał w stupor, to budził się w ciężkim, śmiertelnym upale mijającego dnia. W krótkich chwilach przytomności docierało do niego, że ta agonia nie potrwa już długo, i usiłował sobie przypomnieć, jaka temperatura powoduje śmierć.

W godzinę po ulewie i deszczu Eastwood był spragniony, jakby spędził dzień na pustyni, i miał wrażenie, że skóra mu się zaraz złuszczy.

Gorączka, pragnienie i przerażenie trwały nieprzerwanie, Eastwood zapomniał, że można się czuć inaczej. Jednak w końcu

na zachodzie rozlała się czerwona łuna i płonące nowe słońce opadło za widnokrąg. Na niebie pojawiły się znane konstelacje, choć nie było tak ciemno jak zwykle. Ale przynajmniej upał odrobinę zelżał.

Kiedy naprawdę nadeszła noc, przyniosła ożywczy chłód – chociaż temperatura była nadal wysoka, w porównaniu z ciepłem dnia wydawała się niska. Lecz przede wszystkim noc przyniosła koniec katastrof, jakie miały miejsce w świetle słońca.

– Ach! Prawdziwy raj! – westchnął Eastwood, oddychając pełną pierśią. Otepienie opuściło jego ciało i umysł.

– To nie potrwa długo – odpowiedziała Alice, a jej głos brzmiał nienaturalnie spokojnie w ciemności. – Upał powróci za kilka godzin, gdy tylko wzejdzie nowe słońce.

– Możemy wcześniej znaleźć lepsze schronienie: jakąś głęboką piwnicę albo korytarze metra – zaproponował Eastwood.

– Nie ma sensu. Nie rozumiesz? Przemyślałam to. Od teraz nowe słońce będzie już świecić cały czas. Nie wytrzymamy kolejnego dnia. Fale gorąca napływają nieustannie i za kilka godzin Ziemia zmieni się w wypaloną skałę. Najprawdopodobniej jesteśmy ostatnimi żywymi ludźmi w Nowym Jorku, a może nawet w całej Ameryce.

Zdaje się, że Alice Wardour przejęła intelektualną inicjatywę. W jej głosie brzmiała pewność i autorytet, który rozbawił i zaskoczył Eastwooda.

– Ale muszą być inni – zaproponował po chwili namysłu. – Inni ludzie, którzy znaleźli schronienie, w podziemiach lub kopalniach...

– Zapewne utonęli podczas ulewy. A jeżeli nawet nie, nikt nie

przeżyje do jutrzejszego wieczoru. I pomyśleć – zamyśliła się – że przez tysiące lat ta fala ognia pędziła w kierunku Ziemi, podczas gdy my żyliśmy w szczęściu i spokoju, nieświadomi, że nasz świat od początku skazany był na zagładę. I oto teraz nadszedł koniec.

– Czy ja wiem? – odparł Eastwood powoli. – Może to koniec ludzkości, ale jakieś formy życia powinny przetrwać, może mikroorganizmy zdolne do funkcjonowania w wysokich temperaturach, może nawet jakieś gatunki wyższe. Nasienie życia przetrwa, a to wystarczy. Ewolucja zacznie się ponownie, powstaną nowe gatunki przystosowane do zmienionych warunków. Szkoda, że nie zobaczę, jakie stworzenia posiadają Ziemię za kilka tysięcy lat. Ale nie potrafię pojąć tego wszystkiego! – wykrzyknął nagle z pasją. – To się dzieje naprawdę? A może zwariowałem? To wszystko tak bardzo przypomina zły sen...

Kiedy mówił, deszcz znowu się rozpadał i z ulic zaczęły się unosić kłęby pary, choć nie tak gwałtownie, jak za dnia. Godzinami woda pędziła i rozbryzgiwała się na lądach gorącymi falami, dopóki ulice nie stały się spienionymi brudnożółtymi rzekami meandrującymi wśród gruzów i ruin zniszczonych budowli.

Słychać było nieprzerwany łomot, gdy piasek i rumowiska zwały się do East River, a potem Most Brookliński załamał się z hukiem, wibrując głośnym echem niosącym się po Manhattanie. Rzeka wylała się z koryta gigantyczną falą.

Ulewa zmaląła i złagodniała, a zaraz potem na niebie pojawił się księżyc – jego jasny blask przenikał przez chmury.

Na wschodzie widać było pierwsze przebłyski światła i tym razem nie było wątpliwości, czego są zwiastunem.

Alice przysunęła się bliżej do mężczyzny, gdy szara poświata załśniła w wilgotnym powietrzu.

– Pocałuj mnie! – wyszeptała i objęła Eastwooda za szyję. Wyczuł, że dziewczyna drży. – Powiedz, że mnie kochasz. Utul mnie w ramionach. Chcę, żebyś mnie kochał. Teraz. Została tylko godzina.

– Nie bój się. Spróbujmy przyjąć to z godnością – wyjąkał Eastwood.

– Nie boję się. Nie śmierci. Ale nie żyłam dotąd wcale. Nigdy nie kochałam. Niczego nie odczuwałam, niczego nie poznałam. Zawsze byłam nieśmiała, przestraszona i nieszczęśliwa – bałam się nawet głośniej odezwać. Wolę już ten ból i cierpienie, wolę czuć cokolwiek, bo to lepsze niż tamto poczucie, że jestem głupia, otepiała i martwa, jak zawsze. Nigdy nie ośmieliłam się powiedzieć, jaka jestem i czego chcę. Bałam się przez całe życie, ale teraz już się nie boję. Nigdy nie żyłam, nigdy nie byłam szczęśliwa, a teraz muszę umrzeć, ale przynajmniej nie umrę sama!

Eastwood miał wrażenie, że jej płacz to lament całego umierającego świata. Wziął Alice w ramiona i pocałował ją. Twarz miała załzawioną, ściągniętą żalem i rozpaczą.

Wśród straszliwego spustoszenia i zniszczeń jego serce wyrwało się do dziewczyny, Eastwooda ogarnęła upajająca namiętność, kiedy jego wargi dotknęły ust Alice, namiętność o wiele silniejsza w obliczu nieuchronnej śmierci i zagłady.

– Musisz mnie kochać, musisz! – szeptała Alice. – Żyjmy choć

przez chwilę, choć krótko, ale w pełni!



Ciemność odeszła ani się obejrzała. Niebo znowu było błękitne, znaczone smugami purpury w zenicie, a temperatura rosła coraz gwałtowniej.

– To już koniec, Alice – powiedział Eastwood, a głos mu drżał.

Kobieta popatrzyła na niego ze spokojem i niezmierną łagodnością, a potem zwróciła oczy na wschód.

Tam w chwale purpury i oranżu rozpalał się ostatni świt, jaki miały ujrzeć ludzkie oczy.

George C. Wallis (1871–1956) pisał głównie do angielskich czasopism i wydawnictw dla chłopców, jakie powstały w zeszłym stuleciu. Został kierownikiem kina w Sheffield, ale do 1940 roku nie przestawał również pisać. Prezentowane opowiadanie, które opiera się na założeniach przeciwnych niż poprzedni utwór, pewnie jeszcze bardziej trąci myszką, jednak jest też wspaniałym przykładem wartości i postaw wiktoriańskich w literaturze. Utwór pochodzi z „The Harmsworth Magazine” z lipca 1901 roku. Pragnąłem ponownie go wydać nie tylko ze względu na fascynujące wizje autora, ale też z powodu poruszanych problemów, które obecnie są już rzadko wspominane.

OSTATNI DZIEŃ NA ZIEMI

Mężczyzna i kobieta stanęli naprzeciw siebie przy stole w wielkim pokoju. Rozmawiali bez pośpiechu, gdy zasiedli do jedzenia – mieli spożyć swój ostatni posiłek na Ziemi. Koniec był blisko: słońce przestawało ogrzewać świat, było już tylko czerwonym, żarzącym się kręgiem na nieboskłonie; a tych dwoje wierzyło, że są ostatnimi żywymi ludźmi na świecie opanowanym przez lód, śnieg i niewyobrażalne zimno.

Kobieta była piękna – szczupła, jasnoskóra, ale z lekkim, zdrowym rumieńcem na delikatnych policzkach i błyskiem inteligencji w oczach. Mężczyzna, średniej postury, o szerokich ramionach i okazałej łysinie, miał postawę pełną zdecydowania i pewności siebie – człowiek odważny, potrafiący stawić czoła przeciwnościom losu, nawykły do surowego życia. Oboje nosili długie szaty z grubego czarnego materiału, przepasane w talii.

Podczas rozmowy ich palce przemknęły po rzędach niewielkich białych przycisków z różnymi symbolami, jakie znajdowały się na blacie. Naciśnięcie guzików sprawiło, że środek stołu się otworzył i wysunęły się małe szklane fiolki z ciemną, półpłynną, parującą zawartością. Kobieta i mężczyzna spożyli ich zawartość małymi łyżeczkami. Nie było innej zastawy ani sztućców na owym stole umieszczonym na masywnym

podeście z szarego metalu.

Po skończonym posiłku fiolki i łyżeczki zniknęły w otworze blatu. Stół był teraz pusty i czysty. Ludzie umilkli. Mężczyzna założył nogę na nogę i wsparł podbródek na dłoniach. Nie patrzył na swoją towarzyszkę, lecz poza nią, na skomplikowaną maszynę wystającą ze ściany. Był to Czujnik Czasu, który precyzyjnie na okrągłych tarczach pokazywał rok, miesiąc, dzień i dokładną godzinę – wyliczoną według miary astronomicznej dla tego określonego punktu długości i szerokości geograficznej Ziemi. Mężczyzna z uporem po raz kolejny przeczytał dobrze znane symbole. Była za kwadrans trzynasta, popołudnie, czwartek, osiemnasty lipca, A.D. 13 000 085. Pomyślał, że długi pobyt w tym miejscu i rejestracja czasu były trudem podjętym na próżno. Pokój, w którym przebywali mężczyzna i kobieta, znajdował się w wysokim budynku w starożytnym Greenwich. W rzeczy samej, ostatnia nazwa tego miejsca, nadana mu przez teraz już zimnych i martwych mieszkańców, brzmiała: Grenijia.

Spojrzenie mężczyzny przeniosło się od maszyny czasu na pomieszczenie. Z nowym zainteresowaniem przyjrzał się przedmiotom, które były mu tak dobrze znane – surowe, puste ściany, jedna z nich przezroczysta, pozbawiona ram okiennych i obrysowanych framugami drzwi, za nią mroźna panorama śniegu lśniącego w słabym świetle słońca; pod sufitem wielki teleskop poruszany na hermetycznych podnośnikach i niewielki silnik poruszający konstrukcję, niemal niezniszczalne elektryczne grzejniki tworzące cokół opasujący pokój, błyszcząca kula zawieszona w połowie wysokości między sklepieniem a posadzką, która dawała światło, gdy na zewnątrz zapadał

zmierzch, starannie skatalogowana biblioteka z książkami i fotofonowalkami oraz szereg urządzeń do ich odtwarzania poniżej. W kącie pomieszczenia znajdowało się łóżko otoczone dodatkowymi grzejnikami, dalej stały dwa wentylatory i wielki szary krąg telegrafu obrazkowego, a na podłodze umieszczono termometr. Na nim spojrzenie mężczyzny zatrzymało się dłużej. Kobieta również popatrzyła na przyrząd. Rejestrował temperaturę, poczynając od zera absolutnego, i w tej chwili pokazywał znak odpowiadający 42 stopniom w skali Fahrenheita. Oczy kobiety uniosły się, napotykając spojrzenie towarzysza – oboje doskonale wiedzieli, co to oznacza. Mężczyzna odezwał się pierwszy: – Cały stopień od wczoraj, Celio. Dynama dają prąd o napięciu sześć tysięcy woltów. Nie potrafię sprawić, by pracowały wydajniej. Co oznacza, że kolejny spadek temperatury zakończy dramat tej planety. Odejdziemy dzisiaj wieczór?

Jego głos nie zadrżał, nie było w nim znać ani strachu, ani żalu lub niechęci. Podobnie jak w głosie, który mu odpowiedział. Długie lata mentalnej ewolucji wymazały z umysłu człowieka skazy nierozumnych namiętności.

– Jestem gotowa w każdej chwili, Alwynie. Nie chcę odchodzić, nie chcę ryzykować odejścia, ale to nasz ostatni obowiązek wobec zmarłej ludzkości – i muszę być z tobą do końca.

Ponownie zapadło milczenie – cisza zakłócana jedynie pomrukiem dynam, który zdawał się wypełniać całą przestrzeń nieznośnym hałasem. Nagle mężczyzna pochylił się, by uważniej spojrzeć w twarz towarzyszki. Na jego obliczu odmalowało się zdziwienie.

– Masz mokre rzęsy, Celio. Chyba nie płakałaś? To takie archaiczne.

– Muszę się przyznać do winy – odpowiedziała, opanowując się z wysiłkiem, by nie okazać smutku. – Nie zaadaptowaliśmy się tak dobrze do warunków otoczenia, by zwalczyć wszystkie nasze słabości i instynktowne impulsy. Czyż nie powiedziałeś przedwczoraj, że słońce zaczęło się ochładzać pięć milionów lat za wcześnie dla ludzkości? Lecz nie będę znowu oglądać się na przeszłość. Czy możemy zacząć od razu?

– Tak lepiej, teraz mówisz jak prawdziwa Celia. Tak, jeśli sobie życzysz, możemy zacząć natychmiast, przyszło mi jednak do głowy, abyśmy najpierw po raz ostatni przyjrzeni się światu – a przynajmniej tym zakątkom, w których działa jeszcze system telegrafu. Pozostały nam jeszcze trzy godziny słonecznego światła.

W odpowiedzi Celia podeszła i usiadła obok towarzysza na sofie przed tarczą telegrafu. Mężczyzna ujął dłoń kobiety, ich ręce były zimne. A potem pochylił się i przesunął niewielką dźwignię pod tarczą – jedną z wielu, podpisanych różnymi nazwami miejsc i liczbami.

Ściany pociemniały, świetlna kula zgasła. Na tarczy pojawił się początkowo zamglony, ale nabierający ostrości ruchomy obraz, ciszę przeciął niski, jękliwy dźwięk. Ludzie spoglądali na przekazywany telegrafem krajobraz, miejsce nieopodal miasta w Chile nazywanego ongiś Santiago. Wysoko po lewej stronie wznosiły się ruiny oślepiająco białych budowli, niegdysiejszej stolicy. W dole po prawej ciągnęło się nabrzeże, zimne morze wyzierało spod kry i rozpryskiwało się w zlodowaciałych falach

na krawędzi lodowca.

Dalej od brzegu wielkie góry lodowe powoli dryfowały w stronę lśniącego białą widnokregu. Nie minęła chwila, a wielki kawał lodu z donośnym trzaskiem oderwał się od zmarzliny na nabrzeżu i spadł do wody, rozbijając krę i rozpryskując pianę, by po chwili odpłynąć w otwarte morze. W tej samej chwili nadszedł raport o kolejnym niepowodzeniu.

W zimnym oceanie nie było oznak życia, ani śladu człowieka czy zwierzęcia, ptaka ni ryby. Niedźwiedzie polarne i arktyczne lisy, mali roślinożercy oraz wielkie foki dawno wyginęły, nawet na obszarach niegdysiejszych tropików.

Mężczyzna przesunął kolejną dźwigienkę i na tarczy telegrafu pojawił się obraz Skały Gibraltarskiej. Ponury masyw unosił się nad okrytymi krą, szarymi wodami, ośnieżona góra na tle majaczącego w oddali lodowca – krajobraz był tak oślepiająco jasny, że dwoje widzów musiało założyć okulary z zielonymi szklami, by móc na niego patrzeć. Na płaskim szczycie Gibraltaru – który przed wiekami został wyrównany i zmieniony w stację dla kontynentalnych maszyn powietrznych – spoczywał wśród śniegu i lodu ogromny szkielet jednego z ostatnich latających urządzeń.

Kolejna dźwignia i ukazało się Colombo na Cyprze, lśniące martwo z tarczy telegrafu. Kolejna – Nagasaki w Japonii i czoło ogromnego lodowca wynurzającego się z ciemnych fal i kry. Jeszcze więcej dźwigni i więcej widoków – a wszędzie lód i śnieg, i płytkie, zamarznęte morza lub równiny, mroczne i pozbawione roślin, ocienione jedynie białymi zboczami. Ani śladu życia poza szczątkami nieistniejącej już władzy człowieka i jego walki z

nieprzejednanym chłodem. W miejscach, gdzie jeszcze nie sięgała marzłość, pozostały ruiny ośrodków ciepła, miast, gigantyczne fosy, wykopane, by powstrzymać napór wiecznej zmarzliny, kanały łączące cieplejsze morza, szkielety wielkich latających pałaców z metalu, które spadły pod ciężarem śniegu i lodu. A wszędzie ponad bielą wznosiły się maszty obrazkowego telegrafu, przesyłające na falach Marconiego impulsy przekształcane u celu w obraz i dźwięk. I na każdym przesianym krajobrazie widniała blada zjawa zamglonego czerwonego słońca wiszącego na bezchmurnym niebie.

Na północy i południu magnetyczne światła były tak wyraźne jak zawsze, jednak nie dochodziły już obrazy z najdalszych regionów polarnych. Miejsc, do których nie było już dostępu, robiło się coraz więcej, ponieważ na masztach osiadała marzłość, a mróz powoli, lecz nieubłaganie ogarniał lądy i oceany.

Jeszcze więcej przesuniętych dźwigni, i jeszcze... aż wreszcie dwoje ludzi odwróciło się od tarczy telegrafu, a pokój ponownie zalało łagodne światło.

– To samo widzimy od dwóch lat – rzekł mężczyzna. – Jednak dzisiaj tragedia naszego świata trwoży mnie jak nigdy dotąd. Po tylu latach wymagań i umysłowego szkolenia nie spodziewałem się, że tak właśnie będzie wyglądał koniec. Czuję pokusę, by uczynić to, co nasi rodzice – poszukać schronienia w Ostatecznej Ciszy.

– Nie tam, Alwynie – nie tak. Z pokolenia na pokolenie oczekiwano, że ten dzień kiedyś nadejdzie, i przygotowano się nań, a my, kiedy zostaliśmy wybrani, by pozostać, przyrzekliśmy, że nie umrzemy, dopóki nie przekonamy się, że nauka zawiodła.

Udajmy się na dół i przygotujmy od razu do odlotu.

Twarz Celii zajaśniała i Alwyn zauważył ten blask.

– Powiedziałem jedynie, że czuję pokusę, Celio. Gdybym był sam, nie pomyślałbym nawet o złamaniu danego słowa. Poza tym jestem ciekaw. I poczułem stare, dziwne pragnienie, by żyć. A ty jesteś tu ze mną. Pozwól, że cię pocałuję, Celio. To przynajmniej nie jest... archaiczne.

Ramię w ramię podeszli do kwadratu rysującego się na posadzce, jedno z nich przycisnęło guzik w ścianie. Kwadratowa płyta zaczęła opadać wraz ze stojącymi na niej ludźmi do ciemniejszego pomieszczenia, w którym nieustanny pomruk dynam zmieniał się w rwący uszy ryk. Oczyma nawykłymi do słabego światła wodzili po czterech wielkich prądnicach i wirujących twornikach. Na skórze poczuli powiew. Obok alternatorów znajdowały się silniki chemiczne o dziwacznych powyginanych kształtach, czerpiące paliwo z dużych cystern. Tylko dzięki reakcjom i procesom chemicznym wytwarzana była moc, która stała między dwojgiem ludzi a mrozem, oznaczającym koniec. Złóża węgla dawno się wyczerpały, jak również torf, drewno i wszelkie łatwopalne ciecze oraz gazy. Żadna turbina nie mogłaby pracować na zamarzniętych rzekach i morzach, żaden wiatrak nie obróciłby się w powietrzu nieogrzewanym już przez dogasające słońce. Moc reakcji chemicznych, przemiany i syntezy pierwiastków była ostatnim źródłem energii, jaka pozostała człowiekowi u schyłku jego dni.

Po szybkim zerknięciu na pomieszczenie kobieta i mężczyzna zjechali na najniższą kondygnację. Tutaj włączyły się niewielkie lampy i stłumiony blask zaśnił na jasnoczerwonej metalicznej

kuli zajmującej większość wolnego miejsca w sali. Oboje nieczęsto ją widywali. Stanowiła zbyt silne przypomnienie o chwili, której nadejścia się obawiano.

Czerwona Kula zrobiona została z ręcznie wykonanych części, zapomnianych od miliona lat i tak kłopotliwych oraz kosztownych w produkcji, że skonstruowano jedynie dwie takie sfery. Zbudowano je pięćset lat przed urodzeniem się Alwyna i Celi. Powstały dla jednego tylko celu – by umożliwić wybranym ocalonym ucieczkę z Ziemi, gdy moc chemicznych reakcji przestanie wystarczać, aby stawić opór postępującemu zlodowaceniu. W Czerwonej Kuli Alwyn i Celia mieliby odlecieć w przestrzeń – nie żeby szukać ciepła i światła na innych światach Systemu Słonecznego, byłoby to bowiem bezużyteczne, lecz by dotrzeć do najbliższej młodej i gorącej jeszcze gwiazdy. Wiadomo, że będzie to przerażające zadanie, o wiele bardziej przerażające niż zwykłe podróże międzyplanetarne – przedsięwzięcie podobne do próby przepłynięcia Atlantyku w czółnie, po tym jak nauczyło się nawigować tylko w wąskich potokach i rzeczkach. Pozostawiono tę próbę na sam koniec, kiedy Ziemia nie będzie mogła już zaoferować ludziom najmniejszych szans na przetrwanie.

– Ta Kula wygląda tak samo jak w dniu, gdy ujrzałam ją po raz pierwszy i poznałam jej przeznaczenie. – Celię przeszedł dreszcz, którego nie umiała opanować. – Jesteś pewien, Alwynie, że to urządzenie przeniesie nas bezpiecznie do celu? Jesteś pewien, że poradzisz sobie z Instrukcją?

Przez pokolenia Czerwoną Kulę i wszystko, co się z nią wiązało, wspominano z podziwem.

– Tym się nie kłopotuj. Instrukcja jest prosta. Niezbędna aparatura i niepsujące się zapasy żywności na dziesięć lat są już załadowane i zabezpieczone. Musimy jedynie na godzinę podłączyć Czerwony Metal do prądu pod napięciem sześć tysięcy woltów, wsiąść do Kuli, zamknąć właz i odciąć cumy. Naelektryzowany Czerwony Metal, jak wiesz, zacznie się odpychać od sił grawitacji i zachowa tę właściwość przez rok i pół. Przez ten czas, zgodnie z obliczeniami, będziemy podróżować z prędkością dwukrotnie większą niż światło i pokonamy ponad połowę drogi do najbliższej gwiazdy, a wówczas znajdziemy się w zasięgu jej grawitacji. Przy obecnej pozycji Ziemi, jeżeli wystartujemy za parę godzin, powinniśmy dotrzeć do F188, jas. 2, z trzeciego szeregu widmowego. Nasze Słońce – według zapisów – należało do tego samego szeregu. A wiemy, że F188 posiada co najmniej dwie planety.

– Ale czy trafimy dokładnie do F188, jak mamy nadzieję, a nie minimy jej? Albo minimy ją tak blisko, że spali nas jej ciepło? Albo nie trafimy, minimy gwiazdę i wpadniemy na paraboliczną lub hiperboliczną orbitę w otwartej przestrzeni? A jeżeli nawet uda się nam dokładnie wypośrodkować trasę i dotrzeć do celu, może się przecież okazać, że na żadnej z planet układu nie ma i nigdy nie było życia? Albo będzie życie, ale wrogie. Co wtedy?

– To nieuchronne ryzyko naszego przedsięwzięcia, Celio. Z równym prawdopodobieństwem może się zdarzyć każda z tych rzeczy. Lecz nie ma absolutnej pewności, zatem niemożliwe także może się zdarzyć.

– Owszem, Alwynie. Lecz... Przypominasz sobie, co mówi

Instrukcja, jeżeli zdarzy się jedna z tych gorszych możliwości?

– Jedna z...? Tak. W Czerwonej Kuli jest dość piorunianu i sterarium, by w okamgnieniu rozerwać ją i nas na tysiące drobnych kawałeczków – jeżeli sobie zażyczymy. Zawsze będziemy mieć tę możliwość. A teraz podłączę dynamo do Kuli. Zabierz swoje prywatne drobiazgi i będziemy gotowi.

Celia podeszła do windy, a Alwyn po przyłączeniu kilku cienkich przewodów do powierzchni Czerwonej Kuli ruszył za towarzyszką. Na górze oboje usiedli w ciemności i czekali, aż minie godzina. Odzywali się od czasu do czasu urywanymi zdaniami.

– Będzie się robić zimniej podczas przygotowania kuli do lotu – odezwał się Alwyn.

– Tak, ale powinniśmy zostać razem, mój drogi, jak wcześniej przez długi czas. Pamiętam, jaką czułam żalność, gdy dowiedziałam się o moim przeznaczeniu, ale kiedy powiedziano mi, że zostałeś wybrany, by mi towarzyszyć, ucieszyłam się bardzo. Lecz ty nie byłeś szczęśliwy, Alwynie. Kochałeś Amy?

– Tak.

– I kochasz ją nadal, prawda? Ale też kochasz mnie. Czy wiesz, dlaczego Amy nie została wybrana?

– Tak, Celio, kocham cię, choć nie tak mocno, jak kochałem Amy. Wybrano cię, a nie ją, ponieważ, jak mi powiedziano, masz silniejszą wolę i więcej fizycznego wigoru. Niewielkie wzniesienie, jakie zauważymy podczas odlotu, to Ciepły Dom, do którego Amy i jej drugi kochanek odeszli, gdy Decyzja została podjęta. Zapewne będziemy mogli się przekonać, czy oboje naprawdę są martwi. Amy, jak pamiętam, miała umysł pełen

heretyckich pomysłów.

– Jeżeli nie umarli, to dziwne, że nie odpowiedzieli choćby po roku na nasze wiadomości przesyłane falami Marconiego i telepatycznie. Chyba że, zgodnie z twoimi podejrzeniami, schowali się w drugiej Czerwonej Kuli. Choć to dziwne, że właśnie tam ją pozostawiono! Gdyby mieli dość jedzenia, mogliby żyć w Kuli do późnej starości, bezpieczni, jeżeli przestrzegaliby rygorystycznych zasad, jednak cóż za miálki koniec – życie i śmierć w więzieniu!

– Przeróżające. Nie zniósłbym życia w Czerwonej Kuli – chyba że podczas podróży.

I tak minęła godzina. Celia i Alwyn podłączyli prąd do maszynierii wehikułu, który miał ich zabrać w kosmos. Grzejniki ostygły, a światła zgasły, pozostawiając ludzi w absolutnej ciemności i przejmującym zimnie. Celia i Alwyn przytulili się pod ścianą, gdzie wyczuwali wibracje dynamy, objęli się ciasno, cisi i zdecydowani, czekając, aż minie godzina chłodu i mroku. Ledwie odzywali się słowem, lecz ich umysły były bardzo aktywne.

Myśleli o chwalebnej, lecz teraz bezużytecznej przeszłości, o straconych marzeniach i cenionych wartościach oraz ideałach, o niespełnionych nadziejach. Zdawało im się, że czują w sobie skumulowane obawy i żale wszystkich wieków. Oczyma duszy widzieli rozległą panoramę historii, miliony lat, które przeminęły i zniknęły – od świątłych początków Ziemi do jej ruiny i zagłady, od dni, które liczyły cztery godziny, do tych, co trwały dwadzieścia sześć i pół, od kiełkujących ziaren prymitywnej protoplazmy do ostatniego, wielkiego, lecz także złego stworzenia żyjącego na świecie, Człowieka. Wspominali

niepewne wieki ludzkiego postępu, długie okresy rozwoju i regresu, sukcesów i klęsk. Wyobrażali sobie ludzkość borykającą się z tendencjami do Egoizmu, starającą się sięgnąć ideału Altruizmu, i widzieli, jak to wszystko zmieszało się w końcu w automatyczne zrównoważenie Obowiązku i Pożądania. Widzieli szczytowy okres tej równowagi, Tysiąclecie Człowieka – i zdawali sobie sprawę, że schyłek i upadek jest nieuchronnym następstwem tamtego czasu.

Celia i Alwyn przypomnieli sobie, jak wiedza, że w naturze życia leży śmierć i śmierć owa dotknie również Człowieka, na początku powoli docierała do ludzkości, ale z czasem stawała się silniejsza i bardziej natarczywa, gdy czas końca się zbliżał, a intelekt Człowieka i jego współczucie rozwijały się i sięgały dalej w przyszłość. Kiedy nadszedł mróz i strefy umiarkowane ogarnęła wieczna zima, Człowiek zmuszony był znowu migrować. Jednak gdy tropikalne źródła ciepła i mocy wyczerpywały się jedno po drugim, a świadomość końca wypełniła każdą myśl, Człowiek zmobilizował wszystkie siły i inwencję twórczą tylko w jednym celu. Celia i Alwyn raz jeszcze prześledzili przebieg długotrwałej walki, zwycięstwa i porażki poniesione w zmaganiach z zimnem. I kolejne okresy, po których stawało się coraz bardziej pewne, że to Człowiek przegrywa. Był czas, gdy ludzie uzbrojeni w wiedzę przodków, która czyniła ich podobnymi bogom, wyruszyli na inne planety Systemu Słonecznego, tylko po to, by przekonać się, że umierające słońce nie zapewni im warunków do życia nawet na innych światach. Wtedy wielu ludzi, całe narody, postanowiło znaleźć schronienie przed Lękiem w Ostatecznej Ciszy, jak nazywano Śmierć. Dwoje

ostatnich przedstawicieli ludzkości wspomniało, jak dawne przekonania i wiara aż do najmniejszej mistycznej cząstki zawiodły Człowieka i opadły z niego jak zdarta szata, pozostawiając go duchowo obnażonym, nagim w obliczu przerażającego Kosmosu. A jednak Człowiek nie zrezygnował z marzenia o świetlanej Przyszłości i raz jeszcze zaprzęgnął myśli i siły, by wypełnić pragnienia i obowiązki z Przeszłości.

Celia i Alwyn przypomnieli sobie niedawne stulecia zmagania, odkrycie Czerwonego Metalu, zbudowanie Kul, których nikt nie odważył się użyć, ale które kolejne pokolenia przechowywały i przekazywały następnym generacjom, jako bezcenne dziedzictwo, tylko po to, by wypróbować wehikuły, gdy już zawiedzie każda inna możliwość. Oboje przypomnieli sobie również swoje dzieciństwo, Zgromadzenie, na którym podjęta została Decyzja i Alwyn oraz Celia zostali wybrani, jako jedyna para posiadająca wystarczające zdrowie, wigor i zwierzęcą odwagę, które pozwolą im przyjąć straszliwe dziedzictwo i podjąć się trudnego zadania, by znaleźć nowy dom w dalekiej próżni, dzięki czemu dni Człowieka nie dobiegną końca i jego wiedza nie zostanie zaprzepaszczona. Pamiętali aż za dobrze, jak reszta ludzkości odeszła do swoich ostatnich siedzib, kilku domów, obiecując sobie wzajem, że oddalą się w Ciszę i nie będą dłużej męczyć zamarzającego świata. Celia i Alwyn przekonali się niedługo potem, że obietnice te zostały dotrzymane. W ciszy i chłodzie przytulali się do siebie coraz mocniej.

Aż wreszcie usłyszeli z wyższej kondygnacji sygnał Wskaźnika Czasu, który dał znać, że minęła pełna godzina przygotowań Czerwonej Kuli. Oto nadeszła pora, by ostatni ludzie odegrali

finałowy akt tragedii życia na Ziemi.

Alwyn wyciągnął dłoń i włączył lampę. Niewielki owal załśnił stłumionym blaskiem. W ciszy mężczyzna pomógł Celi dostać się do Kuli – która teraz lśniła głęboką purpurą i rozsiewała migotliwe błyski w półmroku – a potem wszedł do pojazdu za towarzyszką, zamknął i zabezpieczył właz, obracając do oporu pokrętło. Wnętrze Czerwonej Kuli było wygodne i przestronne, przezroczyste nawet w słabym świetle lampy, poza miejscami przysłoniętymi miękką tkaniną. Było również przyjemnie ciepłe, ponieważ Czerwony Metal nie przewodził ciepła. Mężczyzna zaczął przesuwac dźwignię i uchwyty, które z zewnątrz przytrzymały wehikuł przy ziemi, rozluźniły się. Wówczas dopiero spojrzal w oczy towarzyszki. Zawahał się. I w jej, i w jego oczach pojawiło się lśnienie, uczucie w jej i jego sercu, którego wcześniej żadne z nich nie doświadczyło.

– To szaleństwo, Celio – powiedział powoli Alwyn. – Jeszcze nie jest za późno. W chwili gdy do końca przesunę dźwignię, Kula przebije się przez budynek jak bańka przez wodę, ale dopóki tego nie uczynię, nie jest za późno.

Nie było w jego głosie pytania, lecz stwierdzenie, więc Celia nie odpowiedziała.

– Czyż to nie żalosne wariactwo tak trzymać się przeszłości? Czyż oboje nie wiemy, że śmierć jest równie pewna tam daleko, jak i tutaj? – mówił dalej mężczyzna.

– Tak, Alwynie – odpowiedziała Celia. – Życie, Człowiek, wszystko to największe i najbardziej żalosne szaleństwo. Lecz nie możemy nic z tym zrobić, nie możemy nic na to poradzić. Dopóki nie spróbujemy, dopóty nie dowiemy się, jaki los nas

spotka. Jeżeli teraz się wycofamy, zdradzimy naszych przodków, okażemy się małostkowymi tchórzami. Nawet w obliczu niewyobrażalnej nieskończoności Wszechświata Materii pamiętajmy, że jeszcze żyjemy i jesteśmy przytomni.

Jak często w przeszłości, tak i teraz kobieta była wsparciem dla mężczyzny w godzinie próby. Alwyn przesunął dźwignię do końca i krzyknął, ulegając archaicznej impulsywności: – Wybacz mi, Celio! Nie poddamy się, nawet jeżeli cały wszechświat będzie przeciwko nam! Kula rusza! Lecimy!

Wehikuł drgnął gwałtownie i ludzie zachwiali się, padając sobie w ramiona. Rozległ się rozdzierający, jękliwy trzask marmuru i metalu, kiedy Czerwona Kula opuszczała ruiny budynku i pędziła przez noc, unosząc się w górę i nieco na zachód. Celi i Alwynowi mignęła jeszcze tarcza Wskaźnika Czasu w szczelinie rumowiska, ale potem widzieli już tylko białe oblicze Ziemi pod nimi i jasne światła gwiazd na ciemnej kopule nieba nad nimi.

Nadal obejmowali się mocno i rozglądali. Wówczas dojrzeli niewielki ciemny obiekt zbliżający się z dołu. Musiał wystartować z czarnego punktu widocznego w mroźnym białym pejzażu na zachód od ich porzuconego domu. Obiekt poruszał się szybciej niż Czerwona Kula, w której stali Alwyn i Celia.

Przyjrzeni mu się z rozbudzoną ciekawością, wkrótce jednak zrozumieli, na co patrzą, a wtedy ogarnęła ich otępiająca groza.

– Druga Kula!

– Amy i jej kochanek!

Kiedy to powiedzieli, drugi wehikuł rósł i rósł w polu widzenia. Uświadomili sobie, że zderzenie jest nieuchronne. To

wręcz niewyobrażalne, że kaprys losu rzucił obie Czerwone Kule na tory kolizyjne. Jakież nieszczęsny przypadek sprawił, że znalazły się na ścieżkach zmierzających do tego samego punktu w wielkiej, niezmierzonej przestrzeni, oba wehikuły skazując na zagładę? Decyzja, by opuścić Ziemię przez jakiś instynkt, magnetyzm uczuć, u obu par mogła nastąpić w tym samym czasie, jednak reszta nieszczęśliwych okoliczności była niewytłumaczalna. Celia i Alwyn odwrócili się od widoku pędzącej ku nim Kuli i spojrzeli sobie w oczy, chwytając się za ręce – wyrażając więcej przez dotyk i spojrzenie, niż mogliby wyjawiać słowami.

– Oni nie poddali się Decyzji – powiedział Alwyn. – Musieli mieć w sobie pragnienie życia takie, jakie i ja dzisiaj odczuwałem. Amy musiała zapamiętać Instrukcję. Potrafię nawet zrozumieć, dlaczego ich Kula porusza się szybciej niż nasza – była ukryta na zewnątrz tylko pod metalową kopułą, więc gdy wystartowała, musiała pokonać mniejszy opór i zyskała większą prędkość przy starcie. Ale to dziwne, że ich kurs jest taki sam jak nasz. To kwestia minut, gdy nas dogonią. A wtedy nastąpi koniec – dla nas wszystkich. To stanie się, zanim opuścimy atmosferę i osiągniemy pełną prędkość. A to oznacza koniec Ludzkości, koniec marzeń Człowieka...

...I Amy jest w drugiej Kuli...

Myśl o złych zamiarach, celowej agresji lub nienawiści pary w drugiej Czerwonej Kuli nawet na okamgnienie nie zagościła w głowach Celi i Alwyna.

– Na nas spoczywa odpowiedzialność i obowiązek, by podjąć odpowiednie działania – stwierdziła Celia. – Tamci zapewne nas

nie widzą na tle ciemnego nieba. I zbliżają się szybko, mój drogi.

– Zatem możemy uczynić tylko jedno, nie mamy innej możliwości. Lepiej tylko jedna Kula niż obie – powiedział mężczyzna.

– Co zrobisz, Alwynie?

– Odpalę piorunian i sterarium.

– Czy to nie zaszkodzi Amy i jej partnerowi?

– Nie, jeżeli odpalimy materiały wybuchowe w ciągu... około trzech minut. To musi być dla ciebie trudne, Celio, świadomość, że własnoręcznie odeślę cię w Ciszę, by Amy zyskała ostatnią, desperacką szansę na życie. Przez te ostatnie godziny czułem, jakby powróciły do mnie wszystkie archaiczne uczucia.

Celia uściśnęła lekko dłoń towarzysza.

– I ja również to czułam, Alwynie. Ale władza tych uczuć nie potrwa długo. Wolę umrzeć z tobą, niż żyć bez ciebie. Jestem gotowa. Nie zwlekaj z odpaleniem, Alwynie.

Przyłgnęli do siebie w objęciach, ich usta spotkały się w ostatnim pocałunku. Nie odsuwając się od towarzyszki, Alwyn prawą ręką sięgnął do małego białego przycisku w ścianie.

Jasnemu rozbłyskowi towarzyszył ryk eksplozji. Kobietę i mężczyznę w drugiej Kuli zaskoczyła krótkotrwała jasność i wstrząs. Ich metalowa skorupa przemknęła przez chmurę pierwiastków – tyle zostało bowiem po pierwszej Czerwonej Kuli i jej pasażerach.

Cisza i ciemność otoczyła drugi wehikuł. Znajdująca się wewnątrz para odzyskała równowagę, w milczeniu i mroku kobieta i mężczyzna, którzy nie zostali wybrani, pomknęli w Przestrzeń, nie zdając sobie sprawy z wagi i znaczenia owego

dziwnego błysku i wstrząsu, jaki przeżyli, przechodząc przez atmosferę. Wiedzieli tylko, że są sami w Kosmosie i zmierzają w nieznane.

KONIEC tomu: I